



Ines
Thorn

Córka
drukarza

Świat Książki

Minęło ponad pięćdziesiąt lat od czasu,
gdy pochowano Guttę i Bertrama.
Ich syn, Gero, dotrzymał słowa i przydał
nazwisku i rodzinie Geisenheimer świetności,
honoru i poważania.

W roku 1622 cień wojny trzydziestoletniej
pada na życie rodziny Gerona
Geisenheimera – mężczyźni idą na wojnę. Zdana
tylko na siebie Marga Mahlich obawia się, czy
utrzyma swoją lipską drukarnię. W końcu przychodzi
jej do głowy pewien pomysł, który ratuje warsztat
przed grożącą mu plajtą. Tymczasem we Frankfurcie
Lila rozpaczliwie walczy o to, by nie wyszła na jaw
niebezpieczna tajemnica z przeszłości, która
może zrujnować jej życie. Czy jej szwagierce,
intrygantce Rieke, uda się poróżnić Lilę
z ukochanym mężem?

II tom sagi o wielopokoleniowej
frankfurckiej rodzinie kupieckiej.

Ines' Thorn urodziła się w roku 1964 w Lipsku.
Zdobywszy zawód księgarza, studiowała germanistykę,
sławistykę i filozofię kultury. Obecnie zajmuje się
wyłącznie twórczością pisarską. Mieszka i pracuje
we Frankfurcie.

Weltbild.pl

ISBN 978-83-7799-151-0



9 788377 991510

Nr 10926855

Cena 36,90 zł

Ines Thorn

Córka
drukarza

Z niemieckiego przełożyła
Maria Skalska


Świat Książki

1

Frankfurt, Anno Domini 1621

W nocy wiatr szalał po ulicach miasta, tłukł w okiennice, łamał gałęzie, rozmiatał śmieci w zaułkach. Deszcz rozmył drogi, poniszczył skrzynki z kwiatami na oknach, woda w Menie wystąpiła z brzegów.

Teraz, rankiem, kropelki wody skrzyły się w słońcu niby kamienie szlachetne. Ptaki wywodziły swoje trele, a oszalamiające wonie kwiatów i drzew mieszały się z odorami miasta.

Na uliczkę wyszła dziewczka służebna, z wiadrem w każdej ręce. Zatrzymała się na chwilę za progiem, odstawiła wiadra, uniosła twarz ku porannemu słońcu. Uśmiech rozjaśnił jej twarz, kiedy odwróciła głowę w stronę sąsiednich drzwi, które właśnie rozwarły się ze skrzypieniem.

— Szczęść Boże, Trude!

— Szczęść Boże, Agathe!

Poszły razem do studni. Gdy przechodziły obok powrozowni, mistrz właśnie otwierał okiennice. Piekarczyk z lnianym woreczkiem pełnym bułek pośliznął się w patynkach na mokrym jeszcze bruku. Jakiś pies, ujadając, biegał wokół jego gołych nóg.

Wzdłuż całej ulicy otwierały się po kolei drewniane okiennice na wyższych piętrach. Na gzymsach łądowały puchate pierzyny i poduchy. Z okien wychylały się gospodynie i, oparłszy łokcie na piernatach, głośno pozdrowiały sąsiadki.

— Oj, kumo, ale wściekła nawałnica była w nocy!

— I to jaka, kochanieńka! — odezwała się zagadnięta. — Nie szło zmrużyć oka.

— Jakby sam diabeł wył w kominie — dorzuciła sąsiadka z lewej.

Tu i tam z okna chlusnęła woda po myciu, pierwsze otwarte sklepy zapraszały klientów. Po bruku turkotały pierwsze fury, młody parobek gnał przed sobą świnie. Miasto wstało, zapanował codzienny hałas i zgiełk. Ze wsząd dobiegały pokrzykiwania i śmiechy, turkot i zgrzytanie, kwiczenie i ryki, wszędzie szum, rwetes, gwar i wrzawa.

Lecz oto nagle wyszła na ulicę kobieta w czarnej szacie i w długim welonie. Ta kobieta. Trzymała w dłoni krzyż, unosząc go wysoko. A kto napotkał ją na swej drodze, ten milkł.

Jeźdźcy ściągali cugle koniom i żegnali się znakiem krzyża. Dziewkom chichot wiązał w gardłach. Mała dziewczynka przytuliła się mocno do matki, która szybko pociągnęła ją ze sobą.

To było tak, jakby dzień ustał — zatrzymał się i zamarł, nim się na dobre rozpoczął.

Kobieta w czerni głęboko nabrała powietrza, tak bardzo, że uniosły się jej piersi. Na chwilę wstrzymała oddech, po czym otworzyła usta i wydała z siebie przeraźliwy krzyk, aż kobietom krew się ścięła w żyłach, a mężczyźni powciągali głowy w ramiona.

— Gero Geisenheimer nie żyyyje! — krzyczała z głośnym zawodzeniem — Gero Geisenheimer zmarł!

Z drzwi domu handlowego braci Geisenheimerów wyszło sześciu mężczyzn, na ramionach dźwigali trumnę. Kobiety na ulicy żegnały się i mamrotały modlitwy, mężczyźni zrywali z głów czapki i kapelusze.

— Gero Geisenheimer nie żyyje!

Zawodzeniu płaczki zawtórował dzwon żałobny, nwołujący do pogrzebu. Niosący trumnę miarowo kroczyli pod górę, do kościoła Najświętszej Maryi Panny. Za nimi posuwała się rodzina. Zaraz za trumną szli Lila i Arno Geisenheimerowie. Arno był wnukiem patriarchy rodu. Tak samo jak Andreas Geisenheimer, który siedł ze swoją żoną Rieke, drugą ręką trzymając pod ramię Amalię Geisenheimer, swoją matkę.

Mężczyźni byli do siebie podobni. Tak bardzo, że sąsiedzi spodziewali się, iż dostaną po równo pieniędzy ze spadku. Ale rodzina patrzyła na to inaczej.

Bo tak jak podobni byli do siebie bracia, tak różne były ich żony.

Lila szła wyprostowana, z podniesioną głową, z troską na twarzy. Spoglądała to na trumnę, to na męża, lecz Arno nie tracił opanowania, siedł godnie, spokojnie.

Rieke natomiast szlochala głośno, ocierała oczy chusteczką, zataczała się uczepiona ramienia męża. Obraz niepomiernego żalu i boleści, w którą sama nie wierzyła. Amalia Geisenheimer kroczyła w milczeniu, z wyprostowanymi plecami, i tylko od czasu do czasu z westchnieniem spoglądała na synową.

Za nimi szła Judith Geisenheimer, powinowata Gero-na, żona synajego siostry. Mocno trzymała za rękę swoją córkę Julię i co chwila spoglądała w górę, na okna domów, jakby w obawie, że ktoś może jej wylać na głowę zawartość nocnika. W pewnej chwili potknęła się o rąbek sukni, potem zgubiła krok i wpadła na dziewczkę, która gapiła się na kondukt.

Za Julią i jej córką szli Marga i Robert. Właśnie wczoraj przybyli z Lipska — ale wcale nie w zamiarze uczestniczenia w pogrzebie. Spodziewali się zastać Gerona przy życiu, miał im pożyczyć pieniądze, około tysiąca reńskich, ta kwota uwolniłaby ich od wierzycieli i pomogła postawić na nogi podupadającą drukarnię. Ale przybyli o parę godzin za późno.

— Musimy się tu wlec ze wszystkimi? — burknął Robert.

— Ciii! Pewnie, że musimy. Przecież jesteśmy krewnymi. Gero Geisenheimer był bratem mojego dziadka. Moim dziadkiem stryjecznym.

— No i co? Na pewno niczego ci nie zapisał. Już te jego pazerne wnuki zagarną wszystko dla siebie.

Marga, zmrużywszy oczy, z ukosa spojrzała na męża.

— Słyszałam, że adwokat odczyta testament zaraz po stypie.

Na te słowa uśmiech zaigrał wokół ust Roberta.

— To dobrze — mruknął. — A nawet bardzo dobrze.

— Dlaczego? Przecież mówisz, że nie mamy się czego spodziewać. Co zamyślasz?

— A co mam zamyślać? W dniu pogrzebu ludzie są nastroszeni łagodnie. Tym bardziej gdy parę sztuk złota osłodzi im żalobę. Ja tylko przypomnę o dobrym imieniu rodziny i o tym, że jeszcze żaden Geisenheimer nie splajtował.

Marga zatrzymała się na chwilę, mocno przytrzymała męża za ramię.

— Chcesz naciągnąć Arna i Andreasa?

— Co to znaczy naciągnąć, kochana? Założę się, że będą bardzo radzi wesprzeć swoją małą kuzyneczkę z Lipska.

— Żegnamy Gerona Geisenheimera, kupca, patrycjusza i rajcę naszego miasta. Przedwczoraj wieczorem położył się do łóżka i już nie wstał. Dożył sędziwego wieku dziewięćdziesięciu czterech lat. Jego życie było głośnie, lecz cicho odszedł z tego świata. Niech Bóg zmiłuje się nad jego duszą. — Ksiądz nakreślił znak krzyża, poruszył kadzielnicą, wziął szufłę i rzucił ziemię na trumnę. Potem odszedł na bok, żeby rodzina mogła się pożegnać ze zmarłym.

Rieke Geisenheimer przepchnęła się do przodu. Miała na sobie drogą suknię z czarnego brokatu, przetykanego złotą nitką. Czarny półwelon z koronki zakrywał jej twarz. Przy codziennym przeważnie przydzwiewku pozostałych żałobników ten czarny welon wydawał się nieco przesadzony. Rieke szlochała głośno, co chwila przytykała do oczu adamaszkową chusteczkę i trzymała się ramienia męża, by nie osunąć się do grobu.

Andreas Geisenheimer podtrzymywał żonę, rzucając zgromadzonym przepaszające spojrzenia. W końcu odprowadził bliską omdlenia Rieke na bok i powierzył opiece Margi.

— Pogrzeby tak strasznie mnie rozrzewniają — powiedziała Rieke tonem zwierzenia, a jednocześnie, obrzucając żałobników szybkim spojrzeniem, upewniła się, że zainteresowanie obecnych skupiło się na kimś innym. Nie omieszkała odnotować w pamięci, kto przybył na pogrzeb. Stawiło się całe kupiectwo miasta, większość rajców, ale brakowało drugiego burmistrza i Rieke postanowiła się wywiedzieć, co też nie pozwoliło mu przyjść. Pierwszy burmistrz właśnie ścisnął dłoń jej mężowi, obecni byli także najwyższy sędzia i skarbnik miasta, jak również co najmniej ośmiu cechmistrzów i garstka przedstawicieli najznacześniejszych stowarzyszeń patrycjatu.

Rieke, zadowolona, wsunęła adamaszkową chusteczkę pod obszyty koronką rękaw sukni i uniosła welon.

— Za każdym razem czuję się tak nędznie, że jeszcze żyję.

— To ani twoja wina, ani zasługa — odparła Marga z uśmiechem i spojrzała w stronę grobu. Stała tam właśnie Lila, prosta jak świeca, w sukni, która zwracała uwagę wytworną elegancją. Haftowany czepek doskonale pasował do tej sukni, zupełnie jakby został uszyty specjalnie dla Lili na tę okazję. Trzymała w dłoni czerwoną różę, po chwili z wdziękiem wrzuciła ją do otwartego grobu. Potem odsunęła się na bok, robiąc miejsce mężowi. Jej twarz była biała jak świeżo spadły śnieg.

— Jaka ona jest? — zapytała Marga sąsiadkę. — Jeszcze jej nie poznałam.

— Ona? — Rieke odrzuciła głowę do tyłu. — Jest doskonała. Nienaganna, idealna pod każdym względem. Nie uważasz?

Spojrzała na Margę z boku i zmarszczyła czoło, widząc jej pełne respektu spojrzenie.

Marga lekko wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, pierwszy raz ją widzę.

— Cóż, ale ona jest doskonała. Uwierz mi. Lila Geisenheimer jest znana z tego, że trzyma służbę twardą ręką. Przyjęcia, które urządza w swoim domu, są słynne w całym mieście. Jest też znana ze świetnego gustu, znakomitej kuchni, nienagannych manier i szykowności. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby z upięcia wymknął jej się chociaż kosmyk włosów i nikt nie widział, żeby miała zbrukany choć rąbek sukni. Każdy we Frankfurcie uważa ją za doskonałą żonę i matkę.

— Każdy? — upewniła się Marga, odwzajemniając sztywny uśmiech Rieke.

— Moja droga, obawiam się, że nadchodzi burza. Co prawda, nie jest uprzejmie odejść od grobu, zanim złożył

kondolencje ostatni żałobnik, ale nie chciałabym stać tu w deszczu.

Rieke energicznie wzięła pod ramię lipską krewniaczkę i razem opuściły cmentarz.

— Na stypę idziemy do „Białego Łabędzia”. Nie jesteśmy przecież chłopami, żeby jeść i pić od razu przy grobie. To by było dla osób naszego stanu naprawdę bardzo, bardzo niestosowne. W końcu jesteśmy patrycjuszami.

Szły śródmiejskimi uliczkami. Po żałobie Rieke nie zostało ani śladu. Z uśmiechem pozdrawiała wszystkich na prawo i lewo, pilnie bacząc, by ją zauważano. Gdy jej usta otwierały się i zamykały, gdy rażno stawiała kroki, lewą ręką podtrzymując narzutkę, a prawą wczepiając się w ramię Margi, jej myśl nieustannie krążyła wokół sumy, jaką Gero mógł zapisać Andreasowi. To musi być dużo pieniędzy. Bardzo dużo. Gero Geisenheimer, rajca miejski, kupiec, fundator i przewodniczący potężnej gildii frankfurckich patrycjuszy, był bogatym człowiekiem. Wiedział o tym każdy. Gerona zawsze pozdrawiano pierwszego. Mężczyźni zdejmowali czapki, gdy tylko pojawił się na ulicy, kobiety dygały ze spuszczoneymi oczami. Nie było miesiąca, by ktoś nie pytał, czy nie zechciałby zostać ojcem chrzestnym jego dziecka, ale on zawsze odmawiał. Nikt nie wiedział dokładnie, jak wielki był jego majątek. Gero Geisenheimer posiadał kilka domów w pobliżu placu rynkowego, Römerplatz, a na temat jego majątku w gotówce krążyły najfantastyczniejsze historie. Rieke aż zmarszczyła czoło, tak intensywnie o tym myślała.

Była zdecydowaną kobietą. Już jako młoda dziewczyna przysięgła sobie, że kiedyś będzie niezmiernie bogata, że nigdy nie będzie cierpiała biedy. To z tego powodu poślubiła Andreasa Geisenheimera. Nie było łatwo zostać jego żoną. Kiedy Rieke wspominała swoje smętne, szare dzieciństwo, kiedy myślała o tym, jak trudno było wejść

do frankfurckiego towarzystwa, utwierdzała się w przekonaniu, że aż nadto zasłużyła na luksus, w jakim teraz żyje. Jej ojciec był rycerzem, tak zubożałym, że musiał nawet sprzedać swój tytuł szlachecki. Rodzinie został jedynie zrujnowany majątek rycerski; bez bydła i koni, za to z rozpadającymi się budynkami i jałową ziemią, która mało co rodziła. Zimą wiało przez wszystkie dziury i szczeliny i nieraz zdarzyło się, że woda w dzbanie była rano zamarznięta. Suknie Rieke wcześniej nosiło kilka pokoleń kobiet, a jedyną ozdobą, jaką miała, był skromny, cieniutki pierścionek z odłamkiem kryształu górskiego.

Majątkiem Rieke była wyłącznie uroda. Jej jedwabiste włosy połyskiwały głębokim brązem, oczy błyszcząły niczym bursztyn. Uśmiech pełnych ust był obietnicą, którą potwierdzała jeszcze kształtna figura: szczupła, ale zaokrąglona we właściwych miejscach. Rieke von Gutzow była jedną z najbardziej pociągających kobiet w okolicy. Zauważył to i Andreas Geisenheimer, ale dopiero gdy Rieke wzięła sprawy w swoje ręce i sama zwróciła na siebie jego uwagę. Raz potknęła się dokładnie przed nim, tak że w ostatniej chwili musiał chwycić ją wpół i podtrzymać. Innym razem potrafiła go tak, że oblał czerwonym winem bawet u jej sukni; trzeba go było od razu odpiąć, aby się nie przeziębila.

I w końcu to Rieke oświadczyła się Andreasowi. A on był zbyt oszołomiony jej urodą i zbyt uprzejmy na to, by odrzucić jej oświadczenia. W wieczór zaślubin, podczas wspaniałej uroczystości, kiedy to spojrzenia wszystkich skupiały się na niej, kiedy zasypywano ją kosztownymi darami, kiedy czuła na skórze wykwintną jedwabną bieliznę, a na szyi drogocenną rodzinną biżuterię — w ten wieczór Rieke Geisenheimer poprzysięgła sobie, że nigdy więcej nie będzie biedna. Raczej umrze, niż wróci do

nędzy dzieciństwa, do rozpadającego się domu, gdzie wiatr hulał po kątach! Podczas nocy poślubnej dosłownie rzuciła się na Andreasa, aby od razu spłodzić potomka, który umocniłby jeszcze jej pozycję. Jako matka dziedzica Geisenheimerów nie musiałaby się obawiać biedy czy niedostatku.

Lecz Andreasowi, oniesmielonemu żądzą młodej żony, nie udało się, niestety, spełnić małżeńskiej powinności. Ani tej nocy. Ani podczas wielu następnych.

*

— Jesteśmy na miejscu — oświadczyła Rieke, wskazując palcem szyld, który wisiał nad drzwiami na żelaznym łańcuchu i ukazywał białego łabędzia na czarnym tle.

Marga stanęła jak wryta.

— To tu odbędzie się stypa?

— Cóż, może i w innych miastach są wytworniejsze miejsca, ale tutaj jest najbliżej Romera. A ludzie powinni widzieć, że godnie oplakujemy naszego dziadka.

— Nie, nie — wtrąciła szybko Marga — to nader godne miejsce, i właśnie sobie myślę, czy jestem stosownie odziana.

— Niech spojrzę!

I Rieke odsunęła Margę od siebie, po czym bacznie się jej przyjrzała. Przy tych oględzinach kąciki jej ust opadały coraz niżej i niżej. Zdjęła narzutkę Margi, strzepnęła, skubnęła jakiś włos, potem poprawiła jej czepek i tak udrapowała narzutkę na ramionach, żeby zakrywała suknię.

— Tak, teraz jakoś to wygląda — oświadczyła niezbyt taktownie, przyglądając się z dezaprobatą spódnicy Margi, uszytej ze zwykłego polskiego sukna, a następnie się poskarżyła: — Rada miejska znowu wydała dekret

przeciwno luksusowi. Wyobraź sobie, na wesele będzie można zaprosić tylko stu czterdziestu gości! Podobnie na stypę. Spożywanie konfektów podczas świąt jest zupełnie zabronione! A służba od zaraz ma nie nosić ani jedwabiu, ani wełny. Jeśli o to chodzi, akurat zgadzam się z Radą. W końcu każdy powinien znać swoje miejsce.

Tymczasem do karczmy dotarł także Andreas. Wziął żonę pod rękę i odszedł z nią na stronę.

— Wolałbym, żebyś się nie przechwalała nowymi klejnotami — powiedział. — Lila, Arno i inni i tak wiedzą, że dostajesz ode mnie wszystko, czego tylko zapragniesz.

Rieke gwałtownie wyrwała rękę.

— Wszystko? — Zdmuchnęła z czoła kosmyk, który wysmyknął się spod czepka. — Wszystko? O nie, mój drogi! Głupstwo i błazenada! Tego, co najważniejsze, ciągle jeszcze od ciebie nie dostałam! — rzuciła zjadliwie i odwróciła się. Nie oglądając się na męża, któremu ze wstydu poczerwieniały policzki, przekroczyła próg oberży.

Andreas patrzył za nią skonfundowany. Powiedziała: głupstwo i błazenada! — myślał, zbity z tropu. — Ledwie pogrzebaliśmy Gerona, a ona już używa tego powiedzenia! Ulubionego powiedzonka dziadka, a przedtem prababki Gutty!

Gutta była matką Gerona — i to było jej powiedzonko. Andreasowi przemknęła myśl, że być może Rieke użyła go, by poczuć się prawdziwą panią Geisenheimerową — a jednak odebrał to jako świętokradztwo.

Chleb z ciemnej i jasnej mąki, jeszcze ciepły, prosto z pieca, ponczajeczny, piwo, wino, moszcz, różne gatunki sera, pieczone cielece i wołowe, gotowane gołębie i kury, dziczyzna, warzywa, owoce kandyzowane i małe ciasteczka, do tego ogromna gęś obłożona wokół płatkami złota — to wszystko ukazywało gościom, jak wielki był żal rodziny po stracie patriarchy rodu.

Lila Geisenheimer wsunęła palec za kołnierz wysoko zabudowanej sukni. W drugiej ręce trzymała cienką chusteczkę, którą ocierała sobie czoło i kark. Był dopiero maj, ale ona czuła się jak w środku lata. I do tego jeszcze te gorące potrawy! Gdy wachlowała się chusteczką, jej wzrok padł na Rieke i głębokie wycięcie jej sukni. Dekolt Rieke zdobił złoty łańcuszek z niebieskim kamieniem wielkości orzecha włoskiego.

Rieke pochwyciła spojrzenie Lili. Pochyliła się nad stołem, wskazała palcem na klejnot i powiedziała tak głośno, że mogli to usłyszeć wszyscy siedzący wokóło:

— Podarunek od Andreasa na rocznicę ślubu. Kamień pochodzi z Orientu. Powiadają, że jest wart tyle, co fura pieprzu.

— Piękny, naprawdę piękny jest twój naszyjnik — odparła Lila i mile uśmiechnęła się do szwagierki.

Potem zwróciła się do Judith, która siedziała obok niej. Judith Geisenheimer miała trzydzieści osiem lat i już była wdową. Jej mąż Matthias zmarł przed czterema laty — w samą porę, gdyż inaczej Judith pewnie własnoręcznie wyprawiłaby go na tamten świat. Matthias, który uganiał się za niewiastami i żadnej nie przepuścił, w końcu przyniósł do domu francuską chorobę. Szczęściem Judith ustrzegła się zarażenia. Teraz mieszkała ze swoją córką Julią, niedorosłym dziewczęciem, w sporym domu na Buchgasse, w pobliżu klasztoru karmelickiego. Dom handlowy jej męża złączono z przedsiębiorstwem Arna i Andreasa Geisenheimerów. Bracia spłacili Judith, tak że miała zapewnione godne i dostatnie utrzymanie do końca swoich dni.

— Jak się miewasz, moja droga?

Lila nachyliła się do Judith i uśmiechnęła — obie kobiety, przez małżeństwo związane z tą samą rodziną, łączyła serdeczna przyjaźń.

— Dobrze — odparła Judith. — W s z y s t k o w y ś m i e n i e.
Ale westchnienie, które jednocześnie wyrwało się z jej piersi, zadało kłam tym słowom.

Lila położyła rękę na dłoni przyjaciółki.

— No powiedźże, czym się trapisz. Przecież od dłuższego czasu widzę, że coś ci leży na sercu. Czym się tak frasujesz? — szepnęła cichutko, jednocześnie rozglądając się, czy ktoś nie nadstawia zbyt ciekawego ucha.

Judith uśmiechnęła się słabo.

— Ach, nic takiego. Może nadszedł czas, by pomyśleć o zameściu — odparła. — Rzecz nie w tym, że czuję się samotna, nie. Ale jednak czegoś brakuje.

— Tak mniemasz? Jednak czy to nie ty przysięgałaś, że nigdy więcej nie wpuścisz do domu mężczyzny?

— Ale kobieta bez mężczyzny jest tylko połowę warta — rzuciła Judith z uśmiechem, lecz ciągle jeszcze wyglądała na przygnębioną. — Teraz nie czas o tym rozmawiać — dodała i powiodła wzrokiem po żałobnikach. — Ciągle jeszcze nie mogę pojąć, że Gero nie żyje. On, który trzymał w karchach całą rodzinę. Teraz każdy będzie ciągnął w swoją stronę. Waśnie, swary i niezgoda. Truchleję na samą myśl o tym...

— Ale, ale! — Lila potrząsnęła głową. — Co też opowiadasz! Przecież nie jesteśmy jakimiś wschodnimi barbarzyńcami! Nic się nie stanie, zobaczysz. Wszystko będzie tak jak zawsze.

Judith spojrzała Lili w oczy, otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, jednak nic nie rzekła. Bardzo lubiła Lilę, uważała ją za szczerą i uczciwą. Ale wiedziała też, że Lila wszystko, co przeszkadzało jej w życiu, wszystko, z czego nie miała pożytku, odrzucała, usuwała jak wypaloną łojówkę. Po prostu. Kłótnia w rodzinie należała do takich rzeczy.

Tymczasem Judith doskonale pamiętała, jak to było, kiedy zmarł Matthias, i trzeba było zlikwidować jego dom kupiecki. Nikt nie mógł znaleźć ksiąg rachunkowych, chociaż dokładnie wszystko przeszukano. Przepadły. Z dnia na dzień. Toteż nikt nie mógł powiedzieć, co tak naprawdę należało do Matthiasa, a co nie: ostatni ładunek towarów z Genui. Został opłacony czy może czekali jeszcze wierzyciele? Które weksle były płatne do następnych targów? Kto był im winny pieniądze?

Judith już wtedy domyślała się, kto wykradł księgi, ale nie potrafiła tego dowieść. Dlatego nic nie powiedziała. Nie mogła sobie pozwolić na powaśnienie z rodziną, to byłoby dla niej znacznie gorsze niż skromne uposażenie. Toteż na koniec zadowolili się tym, co wypłacali jej wnukowie Gerona. Pieniądzy miała i tak dość i nie musiała się obawiać wyrzeczeń. Zresztą nie to ją bolało, nie kwestia pieniędzy, lecz myśl, że ktoś ją oszukał. Tym kimś nie była jednak Lila — tego Judith była całkowicie pewna.

Dlatego teraz skinęła jej głową.

— Masz rację, wszystko będzie po staremu.

W sali rozległ się okrzyk bólu, to Julia, córka Judith, musiała się o coś uderzyć. Judith zerwała się z miejsca.

— Pozwolisz, że pójde? — rzuciła pośpiesznie i zaczęła się przepychać do drugiego końca stołu. Po drodze zderzyła się z jakimś mężczyzną.

— Wybaczcie, łaskawa pani! — przeprosił mężczyzna, przyglądając się Judith z wyraźną przyjemnością. — Pozwolicie? — zapytał, po czym poprawił jej czepek, który zsunął się przy potrąceniu. — Pani, to naprawdę niegodziwe, że musicie nosić czepek — powiedział cicho. — Azaliż nie byłoby piękniej, gdyby wasze włosy swobodnie powiewały na wietrze? Na przykład na spacerze...

Judith zarumieniła się, odruchowo dotknęła ręką czepka. Potem uśmiechnęła się i przecisnęła obok nieznanego. Obejrzała się po kilku krokach: mężczyzna stał w tym samym miejscu, patrzył za nią. Powolnym ruchem podniósł rękę i pomachał jej. W tej samej chwili nadeszła Kathi Weyrauch, kobieta z sąsiedztwa. Stała obok mężczyzny i wsunęła mu rękę pod ramię. Dopiero teraz Judith rozpoznała nieznanego. To był Lennart Leuthold, iglarz, którego wyroby dom handlowy Geisenheimerów dostarczał aż na Węgry.

Nie minęły nawet dwie godziny, a po stypie pozostało tylko parę obgryzionych kości i puste dzbany, z których nie dało się już wydusić ani kropli. W niskiej izbie powietrze było gęste i nieruchome. Zmieszane zapachy potu i potraw, wody perfumowej, pachnidła i winnych wyziewów stały w pomieszczeniu niczym ściana, której niemal można było dotknąć. Goście zegnali się po kolei. W końcu została sama rodzina. Lila dla ochłody wachlowała się chusteczką. Rieke przysiadła się do Judith.

— Widziałaś suknię Lili? Idę o zakład, że poszło na nią z osiem łokci najlepszego mediolańskiego jedwabiu. Czy to się godzi tak obnosić ze swoim bogactwem podczas pogrzebu? Od dobrego chrześcijanina oczekuje się, że w takiej chwili nie będzie się wynosił ponad innych.

Judith nic nie odpowiedziała, ale nie mogła się powstrzymać od spojżenia na wisior Rieke.

— Cóż, gdybyśmy nie mieli w domu matki Andreeasa, a córki Gerona, i nie musieli się tak na nią wykosztowywać, to i ja chodziłabym w srebro i złocie.

Judith nieco zmarszczyła czoło, osuszyła sobie kark chusteczką.

— Nie wydaje mi się, żeby twoja świekra miała przesadne wymagania.

— Ach, gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo Amalia uprzykrza nam życie!

Rieke machnęła ręką, nabrała głęboko powietrza, gotując się do dłuższego wywodu o nieustannych pretensjach i wymaganiach świekry. Śpiesznie jej było opowiedzieć Judith, że Amalia odmówiła uczestnictwa w stypie, służący musiał zawieźć ją do domu. Oczywiście zrobiła to tylko po to, by jej, Rieke, popsuć uroczystość!

Jednak właśnie w tej chwili Arno lekko uderzył dłonią w stół.

— Teraz, skoro zostali już tylko sami swoi, proponuję, byśmy wysłuchali adwokata.

Wskazał dłonią wielkonosego mężczyznę z głębokimi cieniami pod oczyma, którego skóra wyglądała tak, jakby pył z kancelaryjnych akt wniknął w każdy, najmniejszy nawet por.

Mężczyzna podniósł się i uklonił na wszystkie strony.

— Adwokat Höfler — przedstawił się tym, którzy go nie znali. — Od lat w służbie Gerona Geisenheimera.

Potem jeszcze raz zapewnił zebranych o swoim współczuciu, jednocześnie grzebiąc w skórzanej tece w poszukiwaniu papierów. W sali panowała cisza.

— Zatem — zaczął adwokat i poprawił binokle — Gero Geisenheimer rozporządził, co następuje:

„Moim wnukom, Arnowi Geisenheimerowi i Andreaso-
wi Geisenheimerowi, zapisuję po dziesięć tysięcy guldenów. Judith Geisenheimer, wdowie po moim wychowanku Matthiasie Geisenheimerze oraz synowej mojej siostry Konstancji, zapisuję pięć tysięcy guldenów. Tyle samo zapisuję mojej wnuczce stryjecznej Mardze Mahlich, żonie Roberta Mahlicha i wnuczce mojego brata Falka Geisenheimera.

Reszta spadku, która wynosi sto dwadzieścia tysięcy guldenów, przypada w równych częściach na dzieci wnuków Gerona Geisenheimera. Dniem oznaczonym na objęcie spadku jest dzień uzyskania pełnoletności przez najstarszego prawnuka".

Rieke nie wierzyła własnym uszom. Ze zdumienia aż otworzyła usta. Szturchnęła Andreasa w bok, ale ten nie zareagował. Spojrzała na Margę, której twarz przybrała wyraz odprężenia, gdy tymczasem na ustach Roberta błąkał się chciwy uśmieszek. Lila siedziała bez ruchu, wyprostowana jak świeca, splecione ręce trzymała na stole przed sobą, uśmiechała się lekko. Arno miał przed sobą kartkę papieru, kałamarz i pióro i robił notatki. Nikt poza Rieke najwyraźniej nie zauważył, jakiej potworności się tu właśnie dopuszczono.

— Czy są jakieś pytania?

Adwokat Höfler schował papiery do teki, nie podnosił oczu na obecnych.

Ci zaś ciągle jeszcze siedzieli w milczeniu.

Rieke pierwsza odzyskała mowę.

— To niesprawiedliwe! — oświadczyła i łokciem trąciła męża w bok. — Powiedzże coś wreszcie, na miłość boską!

Andreas uniósł rękę, jakby chciał żonie zatkać usta, ale zaraz opuścił ją, zrezygnowany, i tylko patrzył na stół przed sobą.

— Niesprawiedliwe? — Adwokat parę razy skubnął sobie nos kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki. — Czemu tak uważacie, pani?

— Arno i Lila mają dwoje dzieci, my natomiast jeszcze jesteśmy bezdzietni. A to znaczy, że oni z tych stu dwudziestu tysięcy guldenów dostaną prawdopodobnie więcej niż my. Może nawet wszystko!

Adwokat Höfler spojrzał na nią z powagą.

— To nie jest powiedziane, łaskawa pani. O ile wiem, najstarszy syn waszej szwagierki ma zaledwie dwanaście lat. Macie więc jeszcze dużo czasu, by zrobić swoje.

Zgromadzeni roześmieli się cicho. Ale Rieke wstała gwałtownie, dumnie zadarła głowę, i szarpiąc męża za rękaw, zakomenderowała:

— Andreas, idziemy!

I natychmiast wybiegła.

Andreas uśmiechnął się krzywo, usprawiedliwiająco wzruszył ramionami.

— Zobaczymy się później w kantorze — mruknął do Arna i podążył za żoną.

*

Słońce stało wysoko na niebie. Na Rómerplatz robotnicy, przysiadłszy na belkach, spożywali pajdy chleba, które popijali cienkim piwem. Od brzegu Menu szły dwie praczki z pełnymi koszami. Za nimi rybak niosący kubel z rakami.

— Przecież nie gnaj tak! — poprosił Andreas żonę, ale Rieke nie zważała na jego słowa i tylko rzuciła mu pełne pogardy spojrzenie. Przystanąła, dopiero gdy Andreas zdecydowanie ujął ją za ramię.

— Co się stało, Rieke? — zapytał żonę.

— Jeszcze pytasz? — Rieke wyrwała się i popędziła dalej, nie troszcząc się o męża. Andreas szedł za nią nieśpiesznie, przywitał się z jakimś znajomym, przystanął na małą pogawędkę, przyjął kondolencje od innego znajomego.

Kiedy wreszcie dotarł do swojego domu na Hasengasse, Rieke siedziała już w bawialni, w ręku trzymała tamborek i z furją szarpała jakąś nitkę, która nie chciała się urwać. Rieke chwyciła nić zębami i pociągnęła tak mocno, że rozdarł się materiał.

— Co z tobą? — zapytał Andreas ponownie.

Rieke fuknęła wściekle i znowu rzuciła mężowi ostre spojrzenie.

— Czemu nie oprotestowałeś testamentu? Wystrychnięto nas na dudka, a ty się godzisz na to oszukaństwo!

Andreas nalał sobie wina z karafki, jednym haustem opróżnił kieliszek.

— Nie czuję się oszukany — powiedział. — Arno i ja zawsześmy się dogadywali. Razem uczyniliśmy dom handlowy Geisenheimera tym, czym jest dzisiaj, czyli drugim w mieście po przedsiębiorstwie rodziny Heller.

— A czy zauważyłeś, że Lila była odziana kosztowniej niż ja? — wtrąciła Rieke, zamiast odpowiedzieć na uwagę Andreasa. — A widziałeś jej klejnoty? Mój nowy wisior skwitowała dwoma słowami!

Andreas pokiwał głową.

— Oto i twoje troski, moja droga. Bardzo to być może, że suknia Lili była droższa, ale przecież ona pewnie i tak nie ma nawet połowy tego, co ty w swoich kufrach i szafach!

— Głupstwo i błazenada! — wybuchnęła Rieke. — Należymy do dostojników tego miasta i jesteśmy zobowiązani pokazywać się odpowiednio do naszego stanu. Ale nie o to teraz idzie. Rzecz w tym, że znowu zachowałeś się jak niedojda. Grabią twoje dzieci, a ty milczysz!

— Nie mamy dzieci, Rieke.

Andreas nalał sobie drugi kieliszek wina.

— Oddałeś Arnowi większą część interesu, a teraz spokojnie patrzysz, jak zagarnia lwia część spadku! — Ton Rieke z każdym słowem stawał się ostrzejszy. Wstała, podeszła do męża, stanęła tuż przed nim. — Lila. To Lila. To ona musiała nabić Geronowi głowę tymi bzdurami. Nie inaczej.

— Skąd ci to przyszło do głowy?!

— To ona pielęgnowała dziadka w ostatnich miesiącach jego życia. Mieszkał w ich domu. Ona się o niego

troszczyła. Gero był starym człowiekiem, na pewno bezradnym pod koniec. Kto wie, w jaki sposób naciskała, żeby go przywieść do tego durnego testamentu, żeby zrobił tak, jak mu przykazała!

— Czemuż zatem nie kazała wskazać Arna jako jedy-
nego spadkobiercy? — rzucił Andreas kpiąco.

— Nie pojmujesz? To by było nazbyt jawne, grubymi
nićmi szyte. Każdy by od razu zobaczył, że to podejrzane.
O nie, na to Lila jest za chytra.

Rieke odwróciła wzrok. Przez kilka chwil wpatrywała
się nieruchomo w nagą ścianę, potem powiedziała cicho:

— Jak ją jej nienawidzę! Jak ją nienawidzę Lili Geisen-
heimer! Ale w tej sprawie ostatnie słowo nie zostało
jeszcze powiedziane!

Potem Rieke zwróciła się do męża:

— Musimy mieć dziecko, Andreas. Jest mi obojętne,
jak tego dokonasz, ale spłodź dziecko. Inaczej nic nie
dostaniemy ze spadku po Geronie. Tak czy owak to
z twojej przyczyny nie mamy jeszcze dzieci.

Andreas kiwnął głową.

— Wiem. A gdybym nawet zapomniał, ty nie omiesz-
kasz mi o tym przypomnieć. Nie ma dnia, żebyś o tym
nie wspomniała.

Nagle Rieke zamilkła. Podeszła do męża, oplótła mu
szyję ramionami.

— Andreas — zaszeptała — musimy mieć dziecko. Nie
tylko ze względu na spadek. Ludzie gadają. Wiesz, co
mówią? Że nasza bezdzietność to kara boska. Za to, że
upadłam przed ołtarzem. Inni mówią, że nie mamy dzieci,
bo w naszym małżeństwie brak miłości. A jeszcze inni
szepczą, że mam wyschnięte łono. Jeszcze trochę, a za-
czną myśleć, że może nie jesteś prawdziwym mężczyzną.
A przecież tego byś nie chciał, prawda? Andreas!

Andreas uwolnił się z objęć żony.

— Jest mi całkowicie obojętne, co ludzie gadają.

Popatrzył na żonę, otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale się rozmyślił, machnął tylko ręką i wyszedł z izby.

Rieke wybuchnęła płaczem.

*

Kiedy Lila z mężem i z dziećmi przyszli do domu, dziewczka służebna siedziała w kuchni z koszykiem rzeczy do cerowania.

Lila zdjęła czepek, potrząsnęła włosami, przyglądała je, potem spięła na karku zapinką.

— Czy zrobiłaś wszystko, co ci poleciłam, Irmeczko? — zapytała. Dziewczyna kiwnęła głową.

— Dobrze — odparła Lila. Poszła do sypialni, palcem wskazującym przesunęła po szafach, skrzyniach, po parapecie. Potem wspięła się jak najwyżej na palce i przejechała ręką po drewnianej ramie nad łóżkiem, do której przymocowany był baldachim. Palce pozostały białe i Lila z zadowoleniem kiwnęła głową. Na skrzyni leżał stos bielizny, którą służebna wygładziła gorącym kamieniem. Lila delikatnie musnęła bieliznę, wyciągnęła koszulę nocną, bacznie przyjrzała się koronce. Nie znalazłszy ani fałdki, ani zagniecenia, zadowolona kiwnęła głową i schowała bieliznę do skrzyni. Wróciwszy do kuchni, zlustrowała miedziane garnki i patelnie, tak wypolerowane, że odbijały się w nich inne naczynia. Sprawdziła, czy drewno na opał jest porządnie ułożone obok pieca, czy w spiżarni jest wystarczająca ilość chleba, jaj, prosa, słoniny, kielbas, twarogu, gryki i masła i czy półki błyszczą od czystości. Kiedy skontrolowała wszystko, westchnęła z zadowoleniem, potem zapytała dziewczkę:

— Napaliłaś już w izbie łaźiebnej?

— Tak, pani.

— Położyłaś dobre mydło? Zaniósłś olejek różany? Świeżą bieliznę i dość ręczników? A kieliszek wina dla mojego męża i sok jabłkowy dla dzieci?

— Tak, pani. Wszystko. Jak każdej soboty.

— Dobrze.

Lila uśmiechnęła się, okręciła wokoło, z dumą omiatając spojrzeniem swoje lśniąco czyste gospodarstwo.

— Możesz już iść. Tylko pilnuj, byś jutro nie spóźniła się do kościoła.

Dziewczyna uprzątnęła koszyk z robótkami i poszła.

Lila przeciągnęła się, ściągnęła ramiona do tyłu, potem zawołała na dzieci i wysłała je do łaźni. Po nich kąpał się Arno. Lubił, kiedy woda w cebrze pachniała olejkiem bergamotowym — wtedy lepiej odprężał się w kąpieli. Na koniec Lila dołała do cebra kociołek gorącej wody, wrzuciła garść płatków różanych. Teraz jej kolej. Z rozkoszą wyciągnęła się w wodzie, leżała przez jakiś czas, zanim zabrała się do mycia swoich długich włosów. Splukała je rumiankiem, żeby błyszczwały, potarła ciało miękkim piaskiem, by nadać skórze gładkość. Namydliła się i splukała, a na koniec natarła olejkiem różanym. Dopiero gdy usłyszała, jak dzwony pobliskiego kościoła Najświętszej Maryi Panny biją na ósmą, żwawo wskoczyła w odzienie i pośpieszyła do kuchni, by doprawić pieczeń.

Po kolacji Lila zaprowadziła dzieci do łóżka, odmówiła z nimi modlitwę. Dwunastoletni Tytus uważał się za bardzo dorosłego i pogardliwie prychnął, kiedy jego młodsza o cztery lata siostra Damaris poprosiła o historyjkę na dobranoc.

Ale dzisiaj Lila nie dała się ubłagać.

— Jest późno. Jutro musimy wcześniej wstać. Robert i Marga wyruszają raniutko, a przecież chcemy ich pożegnać jak należy.

Lila pocałowała dzieci, potem przeszła do bawialni i zajęła się robótką, gdy tymczasem Arno siedział naprzeciwko niej, zapatrzony w płomień w kominku. Małżonkowie milczeli, ale nie było w tym nic przytłaczającego. Milczeli tak, jak mogą milczeć ludzie, którzy dobrze się rozumieją.

Pierwsza odezwała się Lila.

— Co sądzisz o testamencie Gerona? — zapytała. — Bardzoś był zaskoczony?

Arno potrząsnął głową, pyknął z fajki.

— A czemu miałbym? Pieniądzy mamy dość, więcej nam nie trzeba. Mądrze zadecydował — spadek niezależnia od nas dzieci. Coś takiego jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

I zaśmiał się cicho.

Lila uniosła głowę.

— A co? Z czego się śmiejesz?

— Myślę właśnie o Rieke i Andreasie. Teraz to już ona nie przepuści żadnej nocy, by mu nie przypomnieć o małżeńskich obowiązkach.

Lila cicho parsknęła śmiechem, ale zaraz zasłoniła ręką usta i spoważniała.

— Będzie mnie jeszcze bardziej nienawidzić niż dotąd.

Arno uniósł brwi.

— A to dlaczego?

— My mamy dzieci, ona nie. Widzi, jak pieniądze Gerona przechodzą jej koło nosa. Będzie mi dokuczać, wiem to. Uspokoi się, dopiero gdy i ona będzie miała co najmniej dwójkę.

Lila opuściła tamborek na kolana.

— Ale powiedz, Arno, uważasz, że Rieke kiedykolwiek będzie miała dziecko? Od sześciu lat jest żoną Andreasa i ciągle nic.

Arno znowu pociągnął z fajki.

— To nie nasza troska, Lilu. Nie mieszajmy się, póki nas kto nie zapyta o radę. Postępujemy jak zawsze.

Kiedy świeca godzinowa pokazała, że minęła dziesiąta, Lila wstała, włożyła robótkę do wyplatane go koszyka.

— Jest sobota — powiedziała miękko. — Czekam na ciebie w łóżku.

Arno kiwnął głową i podniósł się.

— Tak, moja miła — odparł z czułością. — Zaraz przyjdę.

*

Robert Mahlich miał nadzieję, że frankfurccy krewni przyjmą ich na noc, tak by mogli oszczędzić na noclegu, ale Marga nie chciała o tym słyszeć. Pożalowała jednak swojej decyzji. Zajazd nie był tani. W dodatku ledwie w pokoju zrobiło się ciemno, a już w materacu zaczęło chrobotać. Była głęboka noc, kiedy się obudziła. Księżyc wisiał na niebie niby próżna srebrna misa, promienie zimnego światła wpadały przez okno. Marga drżała z chłodu, podciągnęła koc pod brodę. Nasłuchiwała przez chwilę, ale wokoło panowała cisza, żadnego dźwięku, tylko gdzieś daleko rozległo się wycie psa. Ostrożnie wyciągnęła rękę, pomacała, dotknęła miejsca obok siebie — było puste.

— Robert? — zawołała z cicha. — Robert, gdzie jesteś?
Cisza.

Uniosła się nieco na łóżku, rozejrzała dokoła. Malutka izdebka, w której poza łóżkiem stał tylko waziotki stół z miednicą i skrzynia na ubrania, w świetle księżycy wyglądała jeszcze bardziej niegościnnie niż za dnia.

— Robert! — zawołała głośniej, ale i teraz nie dostała odpowiedzi. Wstała, bosymi stopami wymacała buty, zarzuciła chustę na koszulę nocną i wyszła z izby. Na

korytarzu panowała cisza. Z pomieszczenia obok dobiegało potężne chrapanie, gdzieś ktoś charczał, ktoś inny kaszłał.

— Robert?

Marga ostrożnie podreptała przez ciemny korytarz, aż doszła do drewnianych schodów, które prowadziły na dół, do izby z wyszynkiem. Czuć było tytoń, to nowomodne ziele, które przez Imperium Osmańskie przywędrowało z Ameryki, i zwietrzałe piwo. Nagle do jej uszu dobiegły głosy: śmiech kobiety i bełkotanie mężczyzny. Marga zrazu zdrętwiała, potem bezszelestnie zeszła po schodach aż na pierwszy podest. Stąd mogła ukradkiem przyjrzeć się sali. W izbie migotała tylko jedna, jedyna łożówka, jej światło rzucało długie cienie na ściany. Na krześle siedział Robert z szynkarką na kolanach. Lewą ręką obejmował jej biodra, prawą grzebał w wycięciu sukienki. Dziewka zachichotała i z udanym gniewem uderzyła go po ręce.

— Puść mnie! Chcesz tego, co wszyscy!

— Ale nie, nie, wierzaj mi! Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Wysłuchaj mnie, inaczej umrę!

Dziewucha znowu parsknęła śmiechem, a ręka Roberta powędrowała pod jej spódnicę. Dziewczyna przymknęła oczy, cicho jęknęła.

— No, podoba ci się, co? To jest to, czego potrzebujesz! Prawdziwego chłopca, tego ci potrzeba.

Marga się odwróciła. Jej serce biło szybko, twardo, boleśnie, ścisnęło ją w żołądku. Poczwała, jak jednocześnie wzbierają w niej gniew i żal. Najchętniej zbiegłaby po schodach i obydwójce wytrzaskała po gębach. Ale wiedziała, że to nic nie da.

Przycisnęła więc dłoń do szalejącego serca, wzięła głęboki oddech i na drżących kolanach powlokła się

z powrotem do swojej izby. Rzuciła się na łóżko i wtuliwszy głowę w poduszkę, płakała cicho.

Księżyc przewędrował na niebie spory kawałek, kiedy Robert wreszcie wrócił. Rozebrał się do koszuli i wśliznął do łóżka obok żony. Marga leżała z otwartymi oczyma, sztywna jak posąg, czuła zapach obcej kobiety. Zapach zdrady. Zrobiło jej się niedobrze z obrzydzenia i najchętniej by zwymiotowała, ale nie śmiała się ruszyć. Robert należał do mężczyzn, którzy karzą żony za własne zdrady. I Marga o tym wiedziała. Ale wiedziała też, że nie będzie tego wiecznie znosić.

*

Następnego dnia poranek wstał bez słońca. Grube chmury wysiały nad dachami miasta niby ogromne piezryny. Lila stała w kuchni i pakowała do koszyka małe drożdżowe ciasteczka; wlała moszcz do dzbanka z przykrywką, zamknęła naczynie i wstawiła do koszyka. Na jej twarzy malował się wyraz pogody, jak zawsze.

— Kończ jedzenie, Damaris, zaraz musimy iść — ponagliła córkę.

Lila miała na sobie błyszczące trzewiki do kostek i ciemnoczerwoną suknię, na nią narzuciła lekką zarzutkę z najlepszego angielskiego sukna. Włosy Lili pod czepkiem były nienagannie ufryzowane. Jej twarz, zwykle blada, dzisiaj ukazywała szlachetną biel alabastru, która niezwykle pociągająco kontrastowała z lekko skośnymi zielonymi oczami i rudymi włosami. Przez ramię przewiesiła koszyk na dużych uszach. Trochę trwało, zanim dzieci i Arno się wyszykowali; w końcu Lila po raz ostatni przyglądała włosy na dziecięcych głowach, zdjęła jakiś kłaczek z peleryny męża i wyszli.

*

— Nie mam najmniejszej ochoty tam iść. Oni nie są prawdziwymi Geisenheimerami, takimi jak my. To chłopci. Widziałeś suknię Margi? Co za nędza! A zauważyłeś, jak ten Robert gapi się na dziewczki? Założę się, że wsadza im rękę pod spódnicę, jak tylko nadarzy się okazja.

— Proszę, żebyś poszła ze mną, Rieke. Lipszczanie to nasi krewni. Wypada ich pożegnać. Prawdopodobnie już ich nigdy nie zobaczymy.

— Oby, Andreas, ale obawiam się, że ujrzymy ich szybciej, niżbyśmy sobie życzyli.

Rieke wygładziła suknię, wybrała wymyślny kapelusz, który bardzo rzucił się w oczy, i wzięła męża pod ramię.

*

— Gdzie ja wsadziłam te klucze?! — Judith stała w kuchni i po kolei wyciągała szuflady. Przeszukała wszystkie, prozrzuciła obrusy i serwety, pomieszała sztućce, narobiła bałaganu na półkach z przyprawami. Ale klucza nie znalazła.

— Może dziewczka zabrała? — zastanowiła się głośno, ale Julia potrząsnęła głową.

— A po co? Lepiej zajrzyj do kieszeni sukni. Pewnie go tam znajdziesz.

Judith z powątpiewaniem spojrzała na córkę. Ale potem sprawdziła w kieszeniach i rzeczywiście znalazła klucz.

— Jest! — powiedziała, podnosząc go triumfalnie. — Możemy iść. Weź jeszcze parę jabłek i cztery jajka na twardo. Przydadzą się lipszczanom w podróży.

Dyliżans pocztowy stał już przed stacją, gotowy do odjazdu, gdy zaczęli się kolejno schodzić krewni, by pożegnać się z Margą i Robertem. Robert był w wybornym humorze, gdy tymczasem Marga, z mocno podkrążonymi

oczami i zaciśniętymi ustami, stała smętnie obok powozu — zupełnie jak zapomniana sierota.

Judith podeszła do niej, podała owoce i jajka, objęła ją.

— Wszystkiego dobrego, jedźcie szybko i bezpiecznie do domu. Napisz czasem. Chcielibyśmy wiedzieć, jak się wam tam, w Lipsku, powodzi.

Marga skinęła głową, ale z jej ust nie padło żadne słowo.

— Coś mizernie wygląda — szepnęła Rieke do Judith, gdy Margę obejmowała Lila. — Zupełnie jakby to ona umarła, a nie stary Gero. A przecież nie ma powodu się uskarżać. W końcu obłowili się bez kiwnięcia palcem. Pięć tysięcy guldenów to niezły mająteczek. Pięćdziesięciu prostych rzemieślników musi na to harować pięć lat.

Potrząsnęła głową, przywołała uśmiech na twarz i nadstawiła Robertowi policzek do pocałowania.

— Pamiętaj, gdyby coś, zawsze masz tu u nas kąt we Frankfurcie — zapewniała Lila, patrząc z zatroskaniem na zbolałą minę kuzynki — twarz Margi nie rozchmurzyła się ani na chwilę.

— Dziękuję, Lilu. Dziękuję za wszystko. — Spojrzenie Margi pomknęło ku Robertowi, który puszył się przed Arnem i Andreasem i częstował ich grubymi żartami, nie zauważając zgoła, że uśmiechają się z przymusem i tylko z uprzejmości.

Mężczyźni pokleпали się po plecach, czas było wsiadać do powozu. Lila wyciągnęła z rękawa białą, koronkową chusteczkę i zaczęła machać, ledwie dyliżans trochę ujechał.

— Szerokiej drogi! — zawołała. Ale nagle zamarła, zupełnie jakby ją zmroziło. Chusteczka jeszcze przez chwilę powiewała na wietrze, potem opadła smętnie.

Lila szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w mężczyznę, który z rękami w kieszeniach stał przed stacją

pocztową i spoglądał w ich stronę. Kiedy upewnił się, że Lila go zauważyła, lekko dotknął kapelusza, pozdrowił ją skinieniem głowy, po czym odszedł.

Błada twarz Lili stała się jeszcze bledsza. Złapała dzieci za ręce.

— Idziemy! — zawołała z niezwykłą u niej gwałtownością.

Ta krótka scenka nie uszła uwagi Rieke, która postarała się jak najlepiej zapamiętać wygląd nieznajomego.

2

Prasa drukarska robiła tak piekielny hałas, że Marga wcale nie zauważyła, jak otworzyły się drzwi i do warsztatu wszedł jakiś mężczyzna. Dopiero gdy stanął przed nią, drgnęła przestraszona.

— Witajcie, magistrze Schein. Jak się wam wiedzie?
Zagadnięty uśmiechnął się.

— Gdy was widzę — bardzo dobrze, ale o tym sami wiecie.

Zatarł ręce, jakby mu było zimno. Marga zostawiła prasę.

— Co mogę dla was zrobić, mistrzu? — zapytała.

— Po kolei — odparł Hermann Schein, trzydziesto-pięcioletni kantor u św. Tomasza i dyrygent słynnego chóru kościoła. Był o rok młodszy od Margi i w mieście ceniony nie tylko jako zdolny *musicus*, lecz także jako kompozytor zbiorów wdzięcznych madrygałów i pieśni. — Długo was nie było. Jak udała się podróż? — zapytał.

Marga wzruszyła ramionami.

— Jak to podróż. A teraz jestem z powrotem i muszę się martwić o robotę, która przez ten czas leżała. Ale lepiej wy mi powiedzcie, co też się działo w Lipsku podczas naszej nieobecności.

Hermann Schein wykrzywił wąskie usta.

— Powiadają, że dwudziestego maja, w Zielone Świątki, padało tu u nas z nieba siarka. Tak mówią niektórzy. Ale ja tam niczego takiego nie widziałem.

Marga szeroko otworzyła oczy.

— Jak pada siarka, to będzie nieszczęście.

Wszyscy to wiedzieli. Marga podeszła do okna i rzuciła spojrzenie na niebo. Niebieskie i czyste otwierało się przed nią jak ogromny ocean.

Kantor podszedł do niej blisko, odchrząknął.

— Wojna przyjdzie i do nas. Nasze spokojne życie już niedługo się skończy. Dzieci i kobiety będą płakać, mężczyźni — ginać w bitwach. Pola wyschną. Bydło zmarnieje albo padnie, jeśli wcześniej nie zrabują go żołdacy. My wszyscy z otwartymi oczami pakujemy się w nieszczęście. I nikt nic nie robi, by zapobiec nadchodzącemu cierpieniu.

Marga kiwnęła głową zatroskana, odruchowo osłoniła ręką gardło i pomyślała o tych strasznych wieściach, które krążyły od kilku lat, wzniecając lęk i niepokój w całym kraju. W Pradze 23 maja 1618 roku wyrzucono z zamkowego okna cesarskich namiestników Jarosława Borzitzę z Martinic i Wilhelma Slavatę, i jeszcze jednego sekretarza. Wszyscy trzej przeżyli. Ci, którzy byli przy tym obecni, różnie o tym mówili: jedni, że ten cud sprawiła cuchnąca, parująca kupa gnoju pod zamkowym oknem, która złagodziła upadek. Inni w uratowaniu panów posłów dostrzegali zrządzenie boskie i znak, że katolicyzm to jedyna prawdziwa, przez Boga pożądana religia. Tak czy inaczej defenestracja praska zapoczątkowała wojnę, która trwała już cztery lata i której końca nie było widać. Zaraz po incydencie na zamku podniosły się stany czeskie. Po raz pierwszy protestanci i katolicy stanęli uzbrojeni przeciwko sobie. Do tego doszły liczne bunty chłop-

skie w całym Świętym Cesarstwie Rzymskim Narodu Niemieckiego. Dwa lata po defenestracji katolicy odnieśli wreszcie zwycięstwo nad protestantami w bitwie na Białej Górze w Czechach. Większa część zbuntowanej protestanckiej szlachty czeskiej została stracona, zwłoki dla odstraszenia zostawiono na wiele dni niepogrzebane. Drzewa łamały się pod ciężarem powieszonych.

W tym samym czasie w innych miejscach Europy prześladowano protestantów. Mocno dotknięci zostali zwłaszcza wierni angielscy i niderlandzcy. Z Niderlandów wielu uciekło do Niemiec.

W Anglii stu jeden prześladowanych stowarzyszyło się i na statku „Mayflower” popłynęli do Ameryki, by tam rozpocząć nowe życie w wolności.

W Szwajcarii dochodziło do krwawych wystąpień przeciwko zwolennikom Lutra i Zwingliego.

Na terenie całego Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego w ośrodkach metalurgicznych wzrosła produkcja broni. Wszystkie znaki wskazywały na to, że wojna, w którą wplątane były nie tylko kraje Rzeszy Niemieckiej, ale i państwa sąsiednie, będzie długa i krwawa.

— Nie mogę i po prostu nie chcę uwierzyć, że nasz Pan dopuszcza, by wierni zabijali się nawzajem ze względu na wyznanie. Nie, to nie może być wola boska — rzekła Marga, wzdychając ciężko. — Co my mamy robić?

Hermann Schein potrząsnął głową.

— Gdybym tylko wiedział! Ale każdy z nas może robić to, co potrafi, co w jego mocy. Ja w każdym razie nie zmrzyłem dzisiaj oka, pracowałem całą noc.

I wyciągnął z rękawa kilka kart papieru. Marga dopiero teraz zauważyła zaczerwienione oczy i bladeść cery kantora.

— Co to jest? — zapytała, wyciągając rękę.

— Pieśni — odparł Schein. — I prosiłbym, byście je wydrukowali tak szybko, jak to tylko możliwe.

Marga wzięła karty z rąk mężczyzny. Wszystkie teksty traktowały o wojnie i o winie, jaką biorą na siebie ludzie, gdy przyczyniają cierpienia stworzonej przez Boga ziemi.

— Wydrukuję wasze utwory, kantorze. Zacznę już jutro rano. Ile egzemplarzy potrzebujecie?

Hermann Schein zawahał się przez chwilę, potem rzekł:

— Chciałbym trzysta sztuk. Mógłbym rozdać egzemplarze podczas nabożeństw u Świętego Tomasza, ale...

— O co chodzi? — zapytała Marga.

— Trzysta egzemplarzy kosztuje. Pewnie będę się musiał zadowolić mniejszą liczbą — nie wystarczy mi pieniędzy.

Marga uśmiechnęła się, machnęła ręką.

— Prasie drukarskiej jest obojętne, czy będzie chodzić trzydzieści, czy trzysta razy. Zapłaćcie mi tylko za farbę i papier. Wtedy i ja będę miała poczucie, że zrobiłam coś przeciwko wojnie.

Jeszcze nie skończyła mówić, gdy do drukarni wszedł Robert. Wyglądało na to, że właśnie wstał z łóżka — do warsztatu schodziło się po schodach z części mieszkalnej domu.

Robert stanął przed kantorem i bez najmniejszego skrępowania zaczął się drapać po tyłku. Marga poczerwieniała ze wstydu.

— Przestań! — syknęła.

— A to czemu? — zapytał Robert zaczepnie. — On przecież nawet nie jest w stanie zapłacić za zwykłą robotę. Ciągłe dajesz mu rabaty, jakich właściwie udziela się tylko rodzinie. To i ja traktuję go tak, jakby należał do rodziny.

Robert wyszczerzył się w uśmiechu, Marga poczuła falę nieświeżego oddechu z jego ust.

— To ja już pójde — odezwał się Herman Schein.

— Nie, nie, zostańcie. Toja pójde. Moja żona wymaga, bym się ochędożył do roboty, jak to ona mówi. Ale najpierw chcę zjeść porządne śniadanie, jak przystało na prawdziwego mężczyznę. Jaja, słonina, masło, chleb. — Spojrzał kpiąco na żonę. Potem, szurając nogami, wyniósł się z warsztatu.

— Proszę, nie miejcie mu za złe jego zachowania. Nie należy do rannych ptaszków — Marga próbowała jakoś usprawiedliwić męża. Hermann Schein uniósł rękę, jakby chciał ją pogłaskać po policzku, ale zaraz opuścił dłoń.

— Ach, mną się nie przejmujcie. Raczej przejmijcie się sobą. — Kantor pożegnał się, nałożył kapelusz i opuścił warsztat.

Marga jeszcze przez kilka minut stała bez ruchu obok prasy.

*

Tego poranka Lila Geisenheimer wstała wcześniej; jak codziennie zarządziła służbą, dopilnowała, by o odpowiedniej porze nakryto do śniadania.

Teraz, gdy Arno był już w kantorze, Tytus w szkole miejskiej, a Damaris na zajęciach dla dziewczynek u karmelitanek, Lila wyszła z kuchni do sieni i przystanąła. Wokoło panowała cisza. W całym domu unosił się zapach świec woskowych — w sypialni pomieszany z wonią olejku brzoskwiniowego, w kuchni — z zapachem świeżo upieczonego chleba. Lila z zadowoleniem wygładziła prostą domową sukienkę, którą miała na sobie, pod palcami poczuła dotyk dobrego angielskiego sukna. Zebrała spódnicę i weszła na schody prowadzące na strych, który kiedyś służył jako skład, ale na którym już od dawna stało tylko kilka pustych skrzyń i beczek.

Podłoga była zakurzona, przy jednym z okienek ciągle jeszcze tkwił przymocowany wielokrażek, teraz już mocno zardzewiał. U belek dachowych wisiały pajęczyny, słysząc było mysi chrobot. Lila pokręciła nosem, odgarnęła pajęczynę, która przykleiła jej się do czoła. Przeszła przez strych i weszła do małego pomieszczenia, gdzie przed niemal stu laty Bertram Geisenheimer, pradziad Arna, miał izdebkę dla czeladnika. Lila przyklękła, ostrożnie podniosła jedną z desek podłogi — w schowku stała mała skrzyneczka.

Wyciągnęła ją, delikatnie starła z wieczka kurz. Potem otworzyła skrzyneczkę małym kluczykiem, który nosiła na rzemyku na szyi. Promień słońca przez chwilę oświetlił zawartość. Lila pochyliła się nisko nad swoim skarbem i z przymkniętymi oczyma wdychała jego zapach. Woń, która przypominała jej przeszłość. Czas, kiedy życie było zrozumiałe, a jego reguły przejrzyste i sprawiedliwe. Czas, kiedy była kimś innym.

Ostrożnie wyjęła ze skrzyneczki kosmyk blond włosów, okręcony ciemnoczerwoną, wąską aksamitną wstążeczką. Cichutko nucąc dziecięcą piosenkę, delikatnie przytknęła zwitek do policzka. Ucałowała lekko kosmyk jedwabistych włosków, po czym z nabożeństwem, jakby to było najcenniejsze szkło z Murano, odłożyła zawiniątko z powrotem.

W skrzyneczce, poza blond kosmykiem, leżała jeszcze obciążona czarnym aksamitem szkatułka. Po chwili zamyślenia Lila uniosła wieczko pudzderka i spojrzała na cienki złoty łańcuszek o delikatnych ogniwach, z wisiorkiem w kształcie gwiazdy. Lekko powiodła palcem po sześciu wierzchołkach gwiazdy i westchnęła. Łzy napłynęły jej do oczu, poszukała w kieszeniach chusteczki do nosa, ale nie znalazła. Sięgnęła po chusteczkę, która leżała złożona w skrzynce, lecz nie po to, by otrzeć nią

oczy. Chusteczka była haftowana, haft przedstawiał herb, Lila delikatnie, bardzo delikatnie pogładziła palcem ścięgi. Jej oko miękko spoczęło na złotym sygnecie schowanym w szkatułce, spojrzenie się zamgliło. Tęskny, melancholijny uśmiech przebił się przez łzy.

Na dole, w domu, rozległy się jakieś głosy. Lila rozpoznała bas ostrzyciela noży. Śpiesznie włożyła wszystko z powrotem do skrytki. Zeszła ze strychu i różnym krokiem udała się do kantoru na Hasengasse, do domu handlowego braci Geisenheimerów. Właściwie nie miała tam nic do załatwienia, nie szła w żadnej konkretnej sprawie, po prostu były takie dni, kiedy ożywiony ruch i atmosfera pracy w kantorze pomagały jej zagłuszyć własne myśli, przytępić bolesne uczucia.

Od wczesnego ranka do późnego wieczora w składzie panował zgiełk i wrzawa jak na placu targowym. Piętrzyły się tu próbki towarów, przez przedstawicieli handlowych przywożone na statkach do miasta nad Menem. Handlarze z bliższych i dalszych okolic: z urodzajnej krainy Wetterau, z górzystych terenów Vogelsbergu, z niziny Ried, dostarczali nie tylko wyrobów, lecz także wiadomości z prowincji. Kupcy z bliska i daleka paradowali z ważnymi minami, a zawarłszy korzystne umowy, opuszczali kantor z wyrazem zadowolenia na twarzy i dokumentami pod pachą. Zajeżdżali tu zarządcy dóbr rycerskich, by dla swoich panów zakupić wina, korzeni i materiałów na odzienie. Żydzi o czarnych kędziorach, przybyli z krajów słowiańskich, oferowali wełnę, konopie, wosk, łój i potaż. Madziarowie, słusznej postury, o ciemnym wąsie, w białych koszulach i czerwonych kamizelkach, zachwalali swoje konie i wyroby ze skóry. I co chwila wpadali też do kantoru furmani, by pobrać listy frachtowe, a lichwiarze i właściciele lombardów ściszym głosem nakłaniali prokurentów do transakcji.

Kantor na Hasengasse był mniej więcej takiej wielkości, jak część mieszkalna kamienicy znajdująca się bezpośrednio nad nim i zajmowana przez Andreasa i Rieke Geisenheimerów. I to właśnie tu, w kantorze, przy czterech pulpitach, przy których swoje miejsca mieli pisarze i urzędnicy, załatwiano większość rozlicznych interesów i transakcji, którym rodzina Geisenheimer zawdzięczała swoją zamożność.

Na ścianie przeciwległej do okien z gomółkowymi szybami wisiały porozpinane mapy, w nie powtykane były szpilki z chorągiewkami. Obok map wisiała łupkowa tablica, na której wypisywano dzienne kursy wymiany. Od strony frontowej stał obszerny regał z próbkami towarów, kawałkami tkanin, tutkami z przyprawami, pełny tygielków, pojemników, dzbanków i Bóg wie czego jeszcze. Wśród tych wszystkich przedmiotów stały też puszki z piaskiem do suszenia atramentu, pióra do pisania i rolki papieru. Po przeciwległej stronie znajdowało się wielkie biurko z zamykanymi szufladami, gdzie przechowywano pieczęcie i cenne dokumenty. Tu pracował Arno. Jednak zwykle biurko było osierocone, gdyż właściciel domu handlowego przebywał gdzieś w mieście, załatwiając ważne interesy. Tak było i dzisiaj.

— Witajcie, pani Geisenheimerowo — pozdrowił Lile prokurent Wilken.

— Witam was — odparła Lila. Kiedy urzędnik spojrział na nią pytająco, nieco uniosła ramiona i uśmiechnęła się. — Chciałam zajrzeć do męża — powiedziała cicho, wskazując na jego puste biurko.

— A! Jest teraz w halach składowych, żeby się rozmówić z ładowaczami. Jeśli zechcecie chwilę poczekać, pani, przyprowadzę go.

— Ach, nie! — Lila machnęła ręką — Nie chcę mu przeszkadzać, tak tylko przyszłam... — Zaśmiała się

zakłopotana. — Po prostu chyba aż za bardzo lubię ten kantor. Tam u nas, na Fahrgasse, w domu Pod Krukiem, jest tak cicho, kiedy nie ma dzieci i męża. A tu o każdej porze dnia tyle życia i ruchu. O, przyjemnie tu zajrzeć. — Lila pieszczotliwie musnęła ręką wypolerowany blat biurka.

Wilken kiwnął głową.

— Rozumiem was doskonale. A jak jeszcze pomyśleć, że dom handlowy Geisenheimerów liczy już sobie dobrych sto lat, to tym bardziej.

Lila jeszcze raz głęboko wciągnęła zapach tkanin, wełny, skóry, przypraw korzennych i tysiąca innych rzeczy, których nawet nie potrafiła nazwać, potem wyszła z kantoru.

Wróciwszy do siebie na Fahrgasse, w małym ogródku na tyłach domu nazrywała kwiatów na bukiet do obiadu. Bo Lila z całego serca kochała rodzinę i swój dom. To była jej największa namiętność i Lila nigdy nie pragnęła niczego więcej, jak tylko tego, by zostać żoną i matką. Jednak przez całe swoje dzieciństwo niemal każdego dnia musiała wysłuchiwać, że ktoś taki jak ona nie powinien o tym marzyć: nigdy nie wyjdzie za mąż, nigdy nie będzie miała dzieci. Ale to było dawno temu, w innym życiu, w innym świecie. Teraz była matką, panią domu i żoną. Udało jej się — ale Lila nieustannie odczuwała przymus, by wszystkie swoje zadania jako matka i żona wypełniać z absolutną doskonałością.

Z małą Damaris przez długie miesiące ćwiczyła śpiewanie. Niestrudzenie i wytrwale, aż dziewczynka rzeczywiście nauczyła się bez najmniejszego fałszu śpiewać najbardziej znane pieśni kościelne. Od syna Tytusa wymagała cenzur najlepszych w szkole i nienagannego, uprzejmego zachowania. Praczka musiała pracować bieliznę nie po prostu porządnie — rzeczy musiały lśnić idealną

bielą. Dania przygotowane przez kucharkę miały być zdrowe, pożywne, smakowite. A dziewczka od sprzątanía miała nie tylko czyścić i szorować — podłogi, rondle, meble musiały lśnić jak lustro. Od siebie samej Lila także wymagała doskonałości. Jej brwi były zawsze porządnie wyskubane, włosy splecione w gruby warkocz, z którego nie śmiał się wymknąć ani jeden przekorny kosmyk, jej suknie nie były ani zbyt skromne, ani nadmiernie przeładowane, lecz zawsze w dobrym guście, stosowne do jej stanu i pozycji w mieście. Lila zawsze była w pogodnym nastroju, a nawet jeśli czasem nie była, to przynajmniej sprawiała takie wrażenie.

Z uśmiechem przeszła się po domu. Tu wygładziła obrus na stole, tam poprawiła przekrzywioną poduszkę. Potem przyniosła cenny szklany wazon, przywieziony kiedyś przez Arna z Czech, i pojedynczo układała w nim przyniesione z ogrodu kwiaty, tak by również bukiet wyglądał idealnie.

Z ulicy usłyszała dzwony na południe. Niedługo Arno przyjdzie do domu. Była zamężna już trzynaście lat, ale ciągle jeszcze serce potrafiło jej zabić mocniej, gdy wchodził w drzwi.

Uśmiechnęła się do siebie i poszła do jadalni; z szuflad kredensu wyciągnęła cztery adamaszkowe serwety do ust i położyła je równiutko obok talerzy. Służąca ułożyła błyszczące srebrne sztucce. Lila obstawała przy tym, by w jej domu posługiwano się przy jedzeniu nożem i widelcem. Było jej obojętne, że niektórzy patrycjusze uważali ten nowy włoski zwyczaj za całkowicie zbędny, za czystą afektację.

Dziewczyna wniosła półmisek z grasicą cielęcą, do tego glazurowane w miodzie marchewki i kaszę orkiszową.

W tej samej chwili na górę wszedł Arno; za nim, potykając się i śmiejąc, wbiegły rozdokazywane dzieci.

Arno ucałował żonę w czoło i chciał od razu zasiąść za stołem, lecz Lila wskazała ręką miskę z wodą, którą właśnie wniosła służąca.

— Proszę, najdroższy, umyj najpierw ręce — powiedziała.

Zaraz też spojrzała surowo na dzieci, które natychmiast wyciągnęły przed siebie ręce, pokazując, że są czyste. Lila nigdy by nie wybaczyła niani, gdyby ta posłała dzieci do stołu z brudnymi rękami.

Arno westchnął, ale zrobił to, o co poprosiła żona. Zajął swoje miejsce przy stole i, wskazując marchewkę, zapytał:

— Czemu te marchwie tak błyszczą?

Lila uśmiechnęła się.

— Błyszczą, gdyż poprosiłam kucharkę, żeby obtoczyła je w maśle, a potem poglazurowała miodem.

— Aha — odparł Arno i skosztował marchewek, które nałożono mu na talerz.

— I? Jak smakuje? — zapytała natychmiast Lila.

— Całkiem dobrze — odparł Arno, uśmiechając się do żony. Lecz zaraz spojrzał pytająco, kiedy ujrzał jej minę.

— Tylko tyle? — rzuciła Lila z nutą rozczarowania w głosie. — A czy ty wiesz, ile musiałam przekonywać kucharkę, żeby choć raz spróbowała czegoś nowego?! Ile się musiałam nagadać!

Spojrzenie Lili padło na dzieci.

— Pyszne, mamuniu — zapewniła pośpiesznie Damaris, a Tytus energicznie kiwnął głową.

Lila odetchnęła zadowolona; poprawiła jeszcze jakiś kwiat, który ośmielił się za bardzo wychylić z wazonu.

Po deserze i modlitwie dziękczynnej dzieci wstały od stołu, Arno zaś jak zwykle zapalił fajkę.

Tak naprawdę Lili przeszkadzał dym, obawiała się też, że szkodzkiej meblom. Ale z drugiej strony za nic w świecie

nie chciałyby stracić tych poobiednich chwil poufalej bliskości.

— Co nowego w mieście? — zapytała jak zwykle.

Arno wypuścił obłoczek dymu.

— Wojna podchodzi coraz bliżej. Wilken uważa, że powinniśmy część składu towarowego przenieść w bezpieczniejsze miejsce, gdzieś dalej, do Wetterau.

— Ale dlaczego? — zdumiała się Lila.

— Feldmarszałek Tilly właśnie przegrał pod Mingolsheimem bitwę z Mansfeldem i Jerzym Fryderykiem, margrabią Badenii-Durlach. Z osłabionymi siłami wycofał się w kierunku Wurzburga, Palatynat został więc pozbawiony należytej osłony ze strony wojsk Ligi Katolickiej. Chrystian Brunszwicki chce wykorzystać tę sytuację, by zadać Lidze ostateczny cios. Z dwudziestoma tysiącami piechoty i sześcioma konnych ciągnie właśnie od biskupstw westfalskich przez dolinę Wezery i Hesję w kierunku Menu, by pod Darmstadtem połączyć swoje wojska z siłami Mansfelda i margrabiego Badenii-Durlach.

— A co to oznacza? — poprosiła Lila o wyjaśnienie.

— Obawiam się, że dojdzie do nowej bitwy między wodzem Ligi Katolickiej Johannem t'Serclaesem, hrabią Tilly, a protestanckim księciem Chrystianem Brunszwickim. I że ucierpią przy tym frankfurczycy.

— Będziemy musieli uciekać? Trzeba będzie wywieźć dzieci w bezpieczne miejsce?

Arno potrząsnął głową i znowu wypuścił kłęb dymu.

— Pod Darmstadtem obozują już pierwsze oddziały, kolejne się zbliżają. Frankfurt wysłał do dowódców poselstwo złożone z kilku dostojników, by pertraktować w sprawie oszczędzenia miasta. Ale mężczyźni odurzeni krwią zwykle nie oszczędzają nikogo i niczego. Musimy się liczyć z najgorszym. Jednak na razie cieszymy się spokojem. — I Arno pyknął z fajki. — Wojna to straszny czas,

ale dobry kupiec nawet z wojny potrafi wyciągnąć zysk. Wkrótce spotkam się z marszałkiem protestantów. Będę z nim rozmawiał nie tylko jako kupiec, ale i jako rajca miasta Frankfurt.

— Dla mnie najgorsze byłoby, gdybyś musiał iść na bitwę — wyjąkała Lila drżącym głosem.

Arno wzruszył ramionami.

— Jak dojdzie co do czego, nie będę mógł tego uniknąć, Lilu. A przynajmniej będę musiał zaopatrywać wojsko. — Arno wystukał fajkę. — Muszę wracać do kantoru — powiedział. — Wojna czy nie, robota czeka.

— Tak, idź już — odparła Lila. Siedziała sztywno wyprostowana, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w obrus przed sobą, jakby to była wyrocznia. Potem złożyła ręce i powiedziała cicho: — Ojczy, proszę cię o obronę. Ochroń swoim ramieniem moich bliskich, którzy zostali ochrzczeni w imię Twoje.

I rozplakała się. Wstrząsana gwałtownym szlochaniem, z głową opartą o blat stołu, gryzła chusteczkę do nosa.

— O mój Boże, mój Boże... — wyszeptala — ...co ja najlepszego zrobiłam!

*

Judith zdecydowanym krokiem szła ulicami miasta, rozjaśnionego światłem wczesnego lata. Rozważywszy sprawę, zdecydowała się złożyć iglarzowi wizytę. W jego sklepie. Oczywiście pod pretekstem, że chce, a właściwie — że musi kupić kilka nowych igieł. Nie chciała już dłużej zdawać się na los, sama poszuka odpowiedniego mężczyzny. Judith ważyła się na rzecz niesłychaną! Kobiecie nie wypadało tak postępować — kobieta ma czekać, aż zjawi się starający, ażjakiś mężczyzna zacznie ubiegać się o jej rękę. A jak żaden nie przyjdzie w konkury, to cóż, po prostu pech. Ale ona, Judith, do tego nie

dopuści. Na Boga Ojca, jej Matthias to nie był wzór małżeńskich cnót i ideałów. Ale zawsze to lepiej mieć choćby takiego męża, niż być zupełnie bez mężczyzny. Odkąd Matthias nie żyje, czuję się tak, jakbym nic nie była warta — pomyślała Judith. — Bo też co stanowi o wartości kobiety? To, czy jest zamężna. Nawet taki nicpoń, takie ladaco jak Matthias, to w końcu był mężczyzna. A już dobry mąż przydaje wartości swojej małżonce. Przy złym kurs spada. A jak nie ma żadnego — to już bankructwo. Tak to właśnie jest. Judith westchnęła ciężko. Złego męża już miałam — pomyślała. Teraz czas, by znaleźć sobie dobrego. I pokrzepiona tą myślą rażno maszerowała dalej.

Jakaś stara niewiasta sprzedawała na rogu ulicy bukietki konwalii. Judith przystanęła, przez chwilę przyglądała się kwiatom, po czym wybrała bukietek i zapłaciła — o wiele za dużo. Chciało jej się śpiewać z radości, ale odwagi starczyło jej tylko na ciche nucenie. Słońce świeciło. Na murku studni miejskiej, jednej z wielu we Frankfurcie, siedziały dziewczęta z gołymi nogami, wystawiające twarze ku ciepłym promieniom. Drzwi do sklepów i warsztatów stały szeroko otwarte, na ławach siedzieli starzy ludzie i wygrzewali na słońcu powykręcane artretyzmem kości. Pachółkowie przekomarzali się z dziewczkami, jakiś furmańczyk gwizdał głośno. Całe miasto było skąpane w słońcu i świeżych barwach, wszystkim świat radował się wiosną.

Twarz Judith jaśniała uśmiechem, który zdołał ją bardziej niż najpiękniejsza szata. Młoda kobieta przeszła przez Tóngesgasse i skręciła wreszcie w Kannengiessergasse, ulicę, przy której stał dom iglarza. Już z daleka widziała blaszany szyld, wiszący na łańcuchu nad drzwiami: Iglarstwo Lennart Leuthold. Mimowolnie przyśpieszyła kroku. Z lekko zaróżowionymi policzkami i błyszczącymi oczyma weszła do warsztatu.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powiedziała Lennarta słowami katolików.

Lennart, który akurat miał w ustach kilka igieł, wyjął je, uśmiechnął się i odparł:

— Na wieki wieków, amen. Czym mogę służyć pięknej pani?

I spojrzął na Judith z lekko kpiącym uśmiechem.

— Ja... eee... ja... chciałabym... przysłałam, bo...

— Tak?

— ...chcę kupić igły.

— Ach tak! Igły?

— Tak. Tuzin igieł.

— Do czego ich potrzebujecie? — zapytał Leuthold. Judith spojrziała na niego pytająco.

— Jak to do czego? Do szycia, do czegoż by?

Uśmiech na twarzy Lennarta stał się wyraźniejszy.

— Jakiej grubości igieł potrzebujecie? Co chcecie szyc? Sukno czy jedwab? Len? A może skórę? Do każdego z tych materiałów potrzeba innych igieł.

Judith ze zrozumieniem kiwnęła głową. Spojrzała na mężczyznę, podobał jej się, o tak. Judith miała trzydzieści osiem lat, była wdową. I była po prostu za stara, by czekać, aż ktoś zwróci na nią uwagę i spodoba się także jej. Nie, nie chciała od Lennarta igieł. Chciała, by się nią zainteresował.

Przed dwudziestu laty poślubiła Matthiasa, syna Konstancji, starszej siostry Gerona Geisenheimera. Jej, wówczas osiemnastoletniej dziewczynie, taki mężczyzna wydawał się dobrą partią. Po śmierci ojca przyjął nazwisko Gerona, który i tak był jego prawnym opiekunem. Czterdziestoletni Matthias był od Judith ponad dwa razy starszy — i dawał jej odczuć tę różnicę wieku, traktował ją jak głupiutkie, bezrozumne stworzenie. Nazywał ją swoją Małą, sadzał sobie na kolanach i folgował żądy,

gdy tylko go naszła. Judith już po niedługim czasie była przy nadziei i po trudnej ciąży wydała na świat słabego chłopczyka, którego nazwała imieniem ojca. Dziecko wkrótce zmarło, a Judith przeżyła poród tylko dzięki szczęściu i łasce boskiej. Po tym wszystkim straciła dla męża cały powab — jego Mała przestała go pociągać, była już tylko tą głupią, która w żaden sposób nie potrafiła go zadowolić. Nic mu się w niej nie podobało. Uważał, że jest zbyt blada, że ma za bardzo szpiczasty nos, oczy zbyt ciemne, usta nazbyt czerwone, a włosy za długie. Innym razem wyrzucał jej, że ma za blade wargi, kartoflasty nos, za krótkie włosy, a kolor jej oczu przypomina mu psie gówno — tak właśnie mówił. Judith milczała, aby jeszcze mocniej nie rozdrażniać męża. Bała go się coraz bardziej, zaczynała drżeć, gdy tylko do niej zagadał. Jąkała się przy najprostszej odpowiedzi, nie potrafiła sklecić zdania. W końcu doszło do tego, że już nawet jego spojrzenie wprawiało ją w dygot. Mimo to od czasu do czasu Matthias z nią sypiał, w przerwach między swoimi miłostkami. Ale to, co robił, to nie było wypełnianie małżeńskiego obowiązku, tylko akty gwałtu. Jakimś cudem Judith znowu zaszła w ciążę i urodziła zdrowe dziecko. Znowu jednak zawiodła, bo na świat przyszła dziewczynka. Tymczasem Matthias życzył sobie chłopca — czy to rzeczywiście zbyt duże wymagania? Pragnął syna i dziedzica — a nie tego wrzeszczącego tłumoka o czerwonej gębie, na który trzeba będzie jedynie wydawać i wydawać. Po urodzeniu Julii mąż nigdy więcej nie tknął Judith. Miała dwadzieścia dwa lata i musiała się obyć bez jakiegokolwiek czułości. Może nawet dałoby się wytrzymać takie życie, gdyby nie ta pogarda ze strony męża. Wraz z każdym rokiem, który jej przybywał, Judith coraz bardziej traciła pewność siebie i poczucie własnej wartości. Przestała płukać włosy octem, nie zależało jej,

żeby błyszczwały. Nie regulowała już linii brwi, zrezygnowała z barwiczki, którą dawniej nakładała na policzki i usta. Wychudła i suknie na niej wisiały. Matthias zdradzał ją coraz bardziej jawnie. Na początku przynajmniej zadawał sobie trud, by ukrywać przed nią swoje przygody miłosne, teraz bez skrępowania wracał do domu późno w nocy, zwał się obok niej do małżeńskiego łóża, a jego ciało czuć było zapachem innych kobiet. To było okrutne. Potem z jej szkatułki zaczęły znikać kosztowności. Najpierw mała broszka — czerwone granaty oprawne w złoto. Judith dostała ją kiedyś od swojej matki chrzestnej, ale nosiła rzadko, gdyż uważała, że w granatach nie jest jej do twarzy. Broszka zawsze leżała w szkatułce. I nagle zniknęła. Podejrzanie Judith zrazu padło na dziewczkę służebną. Ale ta, wypytywana, z płaczem zaklinała się, że jest niewinna. Także kucharka i praczka przysięgły na Boga i wszystkich świętych, że nie tykały broszki. Zaledwie tydzień później Judith na targu zobaczyła młodą kobietę, jej żółty welon wskazywał, że to ladacznica. I ta dziewczka miała przypiętą do sukni jej broszkę! Judith podeszła do niej i krzyknęła rozzłoszczona:

— Oddaj broszkę, łajdaczko! Jest moja! No, dawaj!

Ulicznica przestraszyła się, zakryła dłonią klejnot.

— Dostałam w podarunku — zapewniła — nie oddam. Należy do mnie zgodnie z prawem.

Jej głos brzmiał hardo, ale Judith wyczuła w nim jednak drżenie strachu.

— Od kogo ją masz? No, gadajże! Ajak nie, to zawołam strażnika! Zamkną cię w lochu. Mam dość świadków, którzy potwierdzą, że ta brosza należy do mnie.

Ladacznica pobladła, rozejrzała się spłoszona, jakby rzeczywiście strażnik miejski był tuż. Chwyliła Judith za rękę i zaklinała ją ściszym głosem:

— Przysięgam na Pana naszego Jezusa Chrystusa, że dostałam ją w podarunku. Od jednego kupca. To klient. Dał mi ją.

— Tylko klient? — wtrąciła Judith. — To tylko twój klient?

Nierządnica odchrząknęła niepewnie.

— Eee... no... to mój najlepszy klient. Obiecał, że wyciągnie mnie z tego bagna. Podarował mi broszkę, jak nalegałam, żeby wreszcie spełnił obietnicę.

— Czy przypadkiem ten twój „klient” nazywa się Matthias Geisenheimer? — zapytała Judith szorstko. Poczuła odrobinę współczucia dla tej kobiety, która musi nosić żółty welon. Ona, Judith, знаła swojego męża, a ta ladacznica nie. I naprawdę czekała na to, żeby Matthias wyciągnął ją z tego bagna, w którym tkwi.

Czekanie — pomyślała w tej chwili Judith — to stan rajy na ziemi. Czas, zanim zapadnie postanowienie, kiedy wszystko jest jeszcze otwarte, wszystkie możliwości: to najpiękniejszy czas, nawet jeśli tak trudno wytrzymać to czekanie. Nic nie jest ustalone, wszystko w zawieszeniu. Wszystko może się jeszcze obrócić na dobre. Czas oczekiwania jest nie tylko czasem nadziei, to także czas bez odpowiedzialności. Skoro nic nie zostało rozstrzygnięte, nie trzeba niczego żałować. Nic jeszcze nie ma i nie ma nikogo, i za nikogo nie ponosi się odpowiedzialności. Wszystko może się zdarzyć. Przynajmniej tak myśli ktoś, kto czeka.

Judith wiedziała, że ta sprzedajna dziewczka czeka nadaremnie. Matthias nigdy nie spełni swojej obietnicy. Wszystko, co pozostało nieszczęsnej, to ta broszka. A i ona nie jest przecież jej własnością. Judith uśmiechnęła się wtedy, położyła rękę na przedramieniu nierządnicy.

— Zatrzymaj broszę — powiedziała cicho. — I niech Bóg ma cię w opiece — dodała.

Dziewka aż otworzyła usta ze zdumienia. Stała tak z otwartymi ustami i gapiała się za odchodzącą Judith.

Niedługo potem znowu coś zniknęło ze szkatułki Judith. Ale było jej to obojętne, wiedziała, że Matthias kradnie jej klejnoty, lecz tak naprawdę nikomu nie sprawia nimi radości. Potem zabrał się nawet do jej skrzyni z odzieniem — to zniknął pasek, to chusteczka, potem zapinka do włosów, haftowany woreczek. Judith za każdym razem przyjmowała to z uśmiechem, w skrytości ducha rada, że dla niej czekanie na Matthiasa już dawno się skończyło.

A potem nadszedł ów dzień, kiedy wieczorem, a było już dawno po komplecie, ktoś zakolatał do drzwi. Judith otworzyła — przed nią stała młoda dziewczyna. Była bosa, miała na sobie porwaną spódnicę. Brązowe włosy zwisały w długich, skudlonych pasmach aż do bioder.

— Czego chcesz? Nie mamy nic do dania — powiedziała od razu Judith, która uznała, że to żebraczka.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Chcę do mojego ukochanego, chcę dostać, co mi obiecał.

Judith szeroko otworzyła oczy.

— Do twojego ukochanego? — zapytała zdumiona.

Dziewczyna kiwnęła głową.

— Tak. Powiedział, że będzie się o mnie troszczył. Już nie będę musiała jeździć z taborem i tańczyć na jarmarkach.

Judith bacznie przypatrzyła się dziewczynie.

— Ile masz lat? — zapytała.

— Trzynaście, może czternaście, nie wiem — odparła przybyła.

— Czy ten ukochany był twoim pierwszym kochankiem?

Dziewczyna oblała się pasem, spuściła głowę i palcem bosej stopy kreśliła wzory na zakurzonej bruku.

Judith ujęła ją pod brodę, zmuszając, by dziewczyna popatrzyła jej w oczy.

— On... on... był pierwszy — wyszeptała indagowana.

— I zaraził mnie francuską chorobą.

— A twoja rodzina wie, gdzie jesteś? — wypytywała dalej Judith.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Jak nazywa się ten mężczyzna?

— Matthias — odparła dziewczyna.

— Poczekaj tu.

Judith zamknęła drzwi, poszła do bawialni, odemknęła skrzynię ze skarbczykiem, potem otworzyła skarbczyk, wyjęła z niego woreczek reńskich.

Dziewczyna rzeczywiście czekała przed drzwiami. Judith wetknęła jej sakiewkę w rękę.

— Nie znajdziesz tu tego, którego szukasz — powiedziała. — Pewnie cię oszukał, podał ci fałszywe imię. Ale masz szczęście w nieszczęściu. Jestem pobożną niewiastą, która pomaga upadłym dziewczętom. Weź pieniądze, wróć do rodziny. Te guldeny powinny ci z nawiązką wynagrodzić utraconą cnotę. Możesz sobie nawet poszukać medyka, ale na twoją francę on ci i tak nie pomoże.

Dziewczyna wahała się przez chwilę, spoglądała niepewnie to na sakiewkę z pieniędzmi, to na Judith. Potem ukryła woreczek na piersi i popędziła, ile sił w nogach. Judith nawet za nią nie spojrziała. Zamknęła drzwi i pędem rzuciła się do alkierza, mijając kuchnię, gdzie dziewczyna służebna stała przerażona, trzymając się za głowę, a kucharka raz po raz wznosiła oczy do nieba i potrząsała głową. Judith pot spływał z czoła. Zdarła ze słupków łóżka ciężką materię baldachimu, ściągnęła z łóżka dwuczęściowy materac z końskiego włosia, poduszki i kołdry, prześcieradła, koce, narzutę — wszystko cisnęła w kąt izby. Złapała lewą część materaca i zaciągnęła do sieni,

rzuciła na wierzch połowę piernatów. Zamknęła sypialnię, a klucz powiesiła sobie na szyi. Później poszła do bawialni; z wyprostowanymi ramionami i rękami skrzyżowanymi na piersi usiadła w fotelu, i tak czekała na Matthiasa.

Ale ten nie przychodził. W końcu Judith zasnęła. Jej ciało osunęło się na miękkie oparcie fotela, głowa opadła na piersi. Nagle z drzemki wyrwało ją kołatanie do drzwi, Judith poderwała się, uładziła suknię i włosy, zeszała po schodach na dół. Przed drzwiami stał pacholek miejski.

— Wy jesteście Geisenheimerowa? — zapytał.

Judith kiwnęła głową.

— Sędzia was wzywa — oznajmił przybyły. — Pójdźcie ze mną.

Judith znowu tylko kiwnęła głową, zdjęła z haka chustę, narzuciła na ramiona, owinęła się.

— Dobrze. Chodźmy — powiedziała tylko.

— Nie chcecie nawet wiedzieć, o co idzie? — zapytał mężczyzna ze zdumieniem.

— Przypuszczam, że o mojego męża — rzekła Judith, a jej twarz pozostała obojętna.

Mężczyzna odchrząknął, ale wstrzymał się od odpowiedzi. Kiedy jednak skierowali się do budynku sądu kryminalnego, Judith zapytała:

— Nie żyje? — Urzędnik skinął głową.

— To dobrze. Bo inaczej sama musiałabym go zamordować.

*

— Nad czym się tak zamyśliliście?

— Co mówicie? — Judith otrząsnęła się ze wspomnień i powróciła do teraźniejszości — oto stoi przecież w sklepie iglarza Lennarta Leutholda. Mocno skonfundowana spojrzała na igły rozłożone przed nią na stole.

— Ach, macie rację, tak naprawdę nie potrzebuję igieł, i nie po to tu przyszłam — powiedziała i niespokojnie przyglądała suknię.

— Czegóż zatem chcecie?

Judith uśmiechnęła się, lecz nagle jej serce zaczęło jak szalone tłuc się w piersi, zrobiło jej się gorąco, uśmiech zamarł na twarzy. Chciała odpowiedzieć, szukała słów, ale czuła tylko pustkę w głowie.

— Ja... ja... chciałam... eee... — wyjąkała spłoszona.

Jeszcze bąkała pod nosem, gdy otworzyły się drzwi za nią i zamaszystym krokiem weszła Kathi Weyrauch. Kathi była w całym mieście znana jako „potajemna kochanka”. Nie była ladacznicą we właściwym tego słowa znaczeniu. Nie czekała na mężczyzn na brzegu Menu, nie mieszkała w zamtuzie, nie nosiła nawet żółtego welonu, znaku nierządnic. Mężczyźni przychodzili do niej do domu. Ale Kathi nie wszystkich przyjmowała: ci, których wpuszczała, mogli mówić o szczęściu — pozwalała im spać ze sobą, i za to przyjmowała podarki. Gdy któregoś nie chciała, zamykała przed nim drzwi. Było kilku mężczyzn, którzy odwiedzali ją regularnie, i było też wielu, którzy pragnęli móc ją regularnie odwiedzać. Kathi była wysoką niewiastą, jej długie blond włosy swobodnie opadały na plecy. Judith uważała, że Kathi, ze swoimi niebieskimi oczami, wysokimi piersiami, przesadnie czerwonymi ustami i licznymi pierścionkami i bransoletkami wyglądała nieco tanio. Ale spojrzenia mężczyzn mówiły co innego.

— Och, dostojna wizyta z patrycjuszowskiego domu — powiedziała Kathi na cały głos i stanęła obok Lennarta. Oboje patrzyli na Judith.

Ona zaś milczała, uczyniła lekki ruch ręką, potem niemo wbiła wzrok w podłogę.

— A z czym to przychodzicie? — zapytała Kathi.

— Zamilczże — nakazał Lennart — Pani Geisenheimerowa chciała właśnie coś powiedzieć.

Znowu oboje spojrzeli na Judith. Ona podniosła głowę i zaśmiała się sztucznie.

— Ach, po prawdzie to nic ważnego — powiedziała szybko i pośpiesznie wybiegła z warsztatu, jakby się za nią paliło.

*

Rieke miała na sobie lekką pelerynę z ogromnym kapturem, który niemal całkowicie zasłaniał jej twarz. Kryjąc się w cieniu domów, przemknęła do bramy miejskiej i ustawiła się w kolejce tych, którzy chcieli opuścić Frankfurt. Wokół niej stali zwaliscy mężczyźni o grubo ciosanych rysach i chropawych głosach, z ich mowy Rieke nie rozumiała nawet co drugiego słowa. Rozpoznawała dobrze tylko jedno, nazwę miasta, którą wymieniano co chwila: Antwerp. Tak mężczyźni nazywali Antwerpię. Dokładniej przyjrzała się rozmawiającym: to byli żołnierze. Żołdacy Chrystiana Brunszwickiego, który coraz bardziej zbliżał się do miasta ze swoim wojskiem — teraz obozował w Oberursel, tylko parę mil na zachód od Frankfurtu. Mężczyźni śmiali się grubiańsko, kilku zagwizdało za przechodzącą młodą zakonnica, a jeden podszedł do Rieke tak blisko, że aż uderzył ją w nos fetor jego niepranego przyodziewku, lekko tylko przytłumiony wonią tytoniu i wódki. Rieke cofnęła się odruchowo i z obrzydzeniem skrzywiła.

Tymczasem żołnierze zaczęli się niecierpliwić. Brutalnie odepchnęli na bok jakąś chłopkę z niedużym drewnianym wózkiem, zmusili też do cofnięcia się jeźdźca na koniu; któryś kopnął w siedzenie małego chłopca, inny wyciągnął jego matkę z niszy bramy, w której ta usiłowała się ukryć. Strażnicy bram chwycili za swoje arkebuzy, ale ci z Antwerpii tylko roześmiali się i położyli dłonie na

swojej broni, która była dziesięć razy bardziej niebezpieczna. Strażnicy cofnęli się z rozwścieczonymi minami, przepuszczając antwerpczyków. Rieke szybko się połąpała: wykorzystwała okazję, jaka się nadarzyła, i — zasłonięta przez przechodzących żołnierzy — przesunęła się z końca szeregu oczekujących na sam początek. Stała przed strażnikami.

— A dokąd to idziecie? — zapytał jeden z nich, mężczyzna o dobroduszej twarzy.

— Chcę odwiedzić moją piastunkę. Mieszka na przedmieściu — oświadczyła Rieke.

Strażnik się roześmiał.

— Tylko uważaj, żeby cię ta twoja niania rozpoznała pod tym kapturem! — Trącił łokciem kolegę i mruknął: — Że też niewiasty uważają nas za głupków! A czy to wstyd iść do zielarki po dekott, co rozrusza leniwe łądzwie małżonka? Albo po miksturę na wyschnięte łono?

Oburzona Rieke już chciała powiedzieć coś do słuchu mężczyźnie, ale uświadomiła sobie kolejkę ludzi za sobą. Bez słowa, gromiąc tylko strażnika wzrokiem, wyszła za mury.

Już zaraz za bramą droga nie była wybrukowana. Nocą padało i Rieke w swoich trzewikach z sarniej skóry zapadała się w błoto niemal po kostki. Ale nie samo błoto pokrywało drogę, która prowadziła do nędznych chat przedmieścia. Krowie placki, końskie łajno, gnój, to wszystko wymieszane było z błockiem. Tu i tam leżały gnijące liście kapusty, rozpadające się, pomarszczone zimowe jabłka i spleśniała słoma. Chude kury pierzchały z głośnym gdakaniem, jakiś kot otarł się o nogi Rieke, lecz przepędziła go kopniakiem.

W końcu zatrzymała się przed chałupką na skraju przedmieścia, nieco zsunęła kaptur. Poprawiła pelerynę, jej spojrzenie powędrowało w dół — suknie miała aż do kolan powalane nieczystościami, do podeszew trzewików

przykleiło się błoto i zwierzęce odchody. Otrzepała się trochę, potem zapukała do drzwi chałupy i weszła, nie czekając na zaproszenie.

W chacie, przy poobijanym stole siedziała stara kobieta i drewnianą kopyścią mieszała w glinianym garnku.

— Czegóż chcesz, moje dziecko? — zapytała.

Rieke nie pozdrowiła starej, nie zdjęła też kaptura.

— Można ci ufać? — zapytała.

Stara wzruszyła ramionami.

— Ufajcie albo i nie. Mnie to zajędo. Ja mam wszystko, czego mi trzeba, a wy — nie.

Rieke przełknęła ślinę, potem szorstkim tonem rzuciła:

— Chciałabym ziele miłosne. Może być napój.

Stara pokręciła głową.

— To nie takie proste, dziecko. Jest dużo napojów i ziół na miłość. Czy wasz potrzebuje czegoś, żeby jego przyrodzenie w ogóle się podniosło? Czy czegoś, żeby nie opadło od razu? Ten wasz dochodzi za szybko, za wolno, a może na koniec wcale nie dochodzi? Czy może to wy nie możecie zatrzymać u siebie nasienia?

Rieke znowu przełknęła ślinę. Nikt nigdy nie wypytywał jej tak dokładnie.

— Chcę mieć dziecko — powiedziała w końcu ochryple.

— Ale mój się mną nie interesuje. Mogłabym tańczyć przed nim nago jak jakaś ładaczka, a on najwyżej by mnie zapytał, czy mi nie zimno.

Stara zaśmiała się beczącym głosem.

— To wasz jest kiepski w lędźwiach. Na to pomoże odrobina bielunia.

— Jednak — wtrąciła Rieke — czasem do mnie przychodzi, ale ja i tak nie mogę począć.

Stara wstała, wzdychając, i coś tam przygotowywała w głębi ciemnej chaty. Wreszcie wróciła z lnianym woreczkiem.

— Z tego musicie sobie ugotować wywar. Weźcie garść ziół, wrzućcie do waru, potem dobrze odcedźcie wodę. Wypijcie powoli, małymi łykami. Po tym ani się obejrzycie, jak będziecie przy nadziei. A jak trzeba będzie pomóc waszemu, to wsypcie mu kilka nasion tej tu rośliny do piwa albo piwa z korzeniami. To nasiona lulka, rozpalicie tym jego pożądanie. Ale nie więcej niż pięć ziaren, słyszycie?

Rieke kiwnęła głową, wepchnęła zioła do skórzanego woreczka, położyła na stole monetę. Stara wzięła monetę, sprawdziła zębami, aprobująco kiwnęła głową.

— Życzę wam szczęścia, dziecko — powiedziała.

Rieke skinęła głową, wyszła z chaty bez pożegnania i błotnistą drogą pośpieszyła z powrotem do bramy. Zaciskając zęby, zniosła jakoś grubiańskie żarty strażników, chciała tylko jak najszybciej wrócić do siebie, toteż prędko przebiegła ulicę, kryjąc się w cieniu.

Wróciwszy do domu, odesłała służebną, niedbale rzuciła pelerynę na krzesło. Nalała wody do kociołka, wsypała garść ziół; odczekała, aż się dobrze wygotują, po czym przecedziła wywar przez kawałek lnianego płótna i odstawiła na parapet, żeby napój przestygł. Z woreczka wyjęła nasiona.

— A może i ja powinnam ich trochę zażyć? — szepnęła do siebie. Włożyła palec do wywaru, żeby sprawdzić, czy już odpowiednio przestygł. Potem jednym haustem wypila pół kubka napoju, wysypała tuzin nasion lulka na rękę, dorzuciła trochę wilczej jagody, połknęła wszystko i popiła resztą wywaru. Ledwie skończyła, gdy usłyszała kołatanie do drzwi.

Nagle poczuła się lekka i wesoła jak nigdy dotąd, i tylko jej nogi były tak ciężkie, że ledwie zdołała dowlec się do drzwi. Ostatkiem sił sięgnęła do klamki, potem bez czucia padła na podłogę.

3

Arno, jak zwykle po obiedzie, zasiadł z fajką w najwygodniejszym krześle z poręczami. Lila zajęła miejsce naprzeciwko niego. Słońce wpadało przez gomółkowe szyby i spowijało pokój ciepłym światłem. W bawialni unosił się zapach pszczelego wosku i subtelna woń kwiatów. Jakaś mucha, brzęcząc, uparcie tłukła się o szybę, z kuchni dolatywał brzęk naczyń. Lila powoli uspokajała się po przeżyciach przedpołudnia. Rano była na targu. To, co tam usłyszała i zobaczyła, przeraziło ją nie na żarty. Tylko połowa jarmarcznych kramów była zajęta — przekupnie i przekupki, którzy zwykle przybywali do miasta z okolic Oberursel, dzisiaj nie pojawili się wcale. Jakaś obszarpana, zapłakana kobieta stała przed jedną z bud i, lamentując, wyciągała rękę do przechodzących:

— Zlitujcie się, dobrzy ludzie! Żołdacy zabrali mojego męża i synów! Podpalili gospodarstwo, zhańbili córkę! Zrabowali bydło, całe ziarno wrzucili do wody, a mnie wytłukli kijami.

Lila wetknęła nieszczęsnej do ręki monetę.

— To prawda? — zapytała wstrząśnięta.

Kobieta z płaczem kiwnęła głową.

— Robią jeszcze gorsze rzeczy! Naszych sąsiadów żywcem spalili w domu, słyszeliśmy ich krzyki. Jeden z synów wyskoczył przez okno, płonął jak pochodnia, chciał dobiec do studni, ale żołdacy mu nie dali, zagrozdził drogę muszkietami, spalił się na ich oczach. — Kobieta jęknęła z głębi piersi. — Lepiej by było, jakby i mnie zabili. Teraz nie mam po co żyć. Nie wytrzymam tego. — Spojrzała Lili w twarz. — I na was przyjdą ciężkie chwile, młoda pani. Życzę wam dzielności i siły.

Lila, stropiona i przestraszona, poszła dalej. Ale wszędzie, gdzie tylko się zatrzymała, ludzie opowiadali o potwornościach i okrucieństwach wojny.

Od mocno brzemiennej kobiety kupiła warzywa po bardzo wygórowanej cenie, za chleb zapłaciła dwa razy więcej niż poprzedniego dnia. W jatkach ruch był niewielki, mało co wyłożono na lady.

— Chciałabym dobry kawałek pieczeni wołowej — poprosiła.

Rzeźnik pokręcił głową.

— Zostały mi tylko nóżki wieprzowe. I para wołowych oczu na zupę.

Lila z niedowierzaniem potrząsnęła głową. Rozejrzała się dookoła — inne budy były równie puste jak ta tutaj.

— Dobrze, wezmę nóżki — powiedziała.

Poruszona tym, co zobaczyła, i mocno przestraszona, wracała do domu. Myśli wirowały jej w głowie. Chciała jak najprędzej znaleźć się w domowym zaciszu, tam gdzie przytulnie, bezpiecznie. Bała się. Bała się wojny. Wszystko, czego nie mogła kontrolować, napełniało ją strachem. Nie potrzebowała wiele do szczęścia. Tylko możliwości jako takiego panowania nad swoim życiem. No a wojna, o tym wiedziała aż nadto dobrze, całkowicie to uniemożliwia.

Lila przyglądała się mężowi. Arno miał gęste, brązowe włosy Geisenheimerów, a po Gutcie, swojej prababce,

odziedziczył niebieskie oczy. Jego twarz miała przyjemny, odprężony wyraz. Tego właśnie Lila potrzebowała teraz najbardziej, żeby się uspokoić. Ale w słowach męża pobrzmiwał niepokój i głęboka troska.

— Część wojsk Chrystiana Brunszwickiego dotarła do Oberursel — mówił Arno. — Wsie, przez które przeciągnęła armia, zostały zrównane z ziemią.

— Tak, wiem o tym — wtrąciła Lila. — Nie rozumiem tego okrucieństwa. Jaki to ma sens...

Arno wzruszył ramionami.

— To jest wojna, najdroższa. A podczas wojny dzieją się rzeczy, dla których nie ma wytłumaczenia, nie ma oczywistego powodu. Chrystian wysłał piętnaście tysięcy chłopów. Powiadają, że wszystko obcy, zacieźni. W większości Flamandowie.

Lila przełknęła ślinę. Jej twarz okryła się trupią bladocią, nad górną wargą wystąpiły kropelki potu.

— Co ci jest? — zaniepokoił się Arno.

— Nic. — Lila z trudem przywołała na twarz uspokajający uśmiech.

— Mam posłać po lekarza?

— Ach, nie! Nic mi nie jest, naprawdę! To pewnie ta pogoda.

— W mieście jest nowy medyk. Podobno też przybył z Flandrii. Protestant. Jeden z tych, co musieli uciec, gdy Antwerpia dostała się w ręce Hiszpanów. Mam go sprowadzić? Może go nawet znasz z dawnych czasów.

Przerażenie ścisnęło Lilę za gardło, położyła rękę na piersi, starała się uspokoić oddech. Opanowała się i po chwili znowu przywołała uśmiech na pobladłe wargi.

— Najdroższy, wszystko dobrze, nic mi nie jest. A co do Antwerpii, to gdy wyjeżdżałam, miałam siedemnaście lat. I pewnie nie znam już stamtąd nikogo.

Wstała i poszła do sypialni. Z założonymi na piersiach rękami stanęła przy oknie, wyjrzała na ulicę.

Właśnie przechodziła służebna Rieke — Lila cofnęła się o krok od okna i pomyślała o wczorajszym dniu. Poszła do szwagierki, by prosić ją o pomoc przy porządkowaniu rzeczy po Geronie. Odzież, o ile była stosowna, miała pójść dla potrzebujących do szpitala św. Ducha. Takie było życzenie zmarłego, ale Lila jakoś nie mogła sobie sama dać z tym rady. Odkąd usłyszała o żołnierzach z Antwerpii, dręczył ją niepokój i lęk, nie mogła sobie znaleźć miejsca, straciła zwykłą energię. Zdarzały jej się chwile, kiedy stała bezradnie, nie mogąc sobie przypomnieć, co właśnie miała zrobić. Przeszłość, o której tak bardzo chciała zapomnieć, którą pragnęła wymazać z życia, wracała oto, była coraz bliżej — i Lilę paraliżował strach.

*

Wczoraj, gdy stała pod domem na Hasengasse, stukając mosiężną kołatką, zdumiało ją dziwne szuranie kroków zbliżających się do drzwi. Po chwili drzwi się otworzyły i jednocześnie Rieke upadła na podłogę!

Lila w osłupieniu patrzyła na szwagierkę. Przez głowę przeleciała jej myśl, jak by to było, gdyby Rieke umarła. Kuszące wyobrażenie, ale niemal w tej samej chwili Lila nakreśliła znak krzyża, przywołała chłopca na posyłki i posłała po medyka miejskiego, a sama zaciągnęła Rieke do bawialni, położyła jej na czoło mokrą szmatkę i usiłowała wlać do ust odrobinę wody. Po niedługim czasie zjawił się medyk. Na jego widok serce zamarło Lili w piersi. Pochyliła się nad szwagierką, tak żeby mężczyzna nie mógł zobaczyć jej twarzy.

— Potrzebujecie mnie jeszcze? — zapytała cichym, schrypniętym głosem. — Czy może lepiej pójde po jej męża?

Lekarz właśnie przewracał Rieke na bok i otwierał jej usta.

— Pióro, szybko! — zażądał.

Lila z niewielkiego biurka po oknem wzięła gęsie pióro, którego Andreas używał zapewne do pisania i, nie podnosząc wzroku, podała lekarzowi. Ten wsunął je głęboko do otwartych ust Rieke, drażnił jej gardło, żeby wywołać wymioty. Po chwili Rieke faktycznie zwymiotowała, a medyk głośno odetchnął.

— No, udało się — mruknął, nie spuszczać Rieke z oczu. — Teraz możecie zawiadomić jej męża. Byłoby dobrze, gdyby ktoś przy niej czuwał przez kilka następných dni. Ja oczywiście też zajrzę. — Zamilkł na chwilę, spojrział na Lilę, która znowu odwróciła głowę. — Nie wiecie, czemu ta kobieta chciała się zabić?

— Zabić się? Nie! — Lila ze zdumieniem potrząsnęła głową. — Chyba się mylicie. Rieke Geisenheimer nigdy z własnej woli nie odebrałaby sobie życia.

— Hmm... to jak wyjaśnicie zatrucie nasionami lulka? Wezwaliście mnie w ostatniej chwili, pani.

Tego Lila nie umiała wyjaśnić.

*

To było wczoraj. A teraz Lila stała przy oknie i zastanawiała się, czy powinna zajrzeć do Rieke. „Po co ją w ogóle ratowałeś! — słyszała wewnętrzny głos. — Przecież byłabyś rada, gdyby zniknęła raz na zawsze”.

Lila podniosła oczy, jej spojrzenie prześliznęło się po dachach domów naprzeciwko i zawisło na niebie, gdzie piętrzyły się białe, brzuchate, pierzaste chmury. Jej myśli pomknęły do dnia, w którym Rieke zaręczyła się z Andrea-sem. Do dnia, kiedy one obie spotkały się po raz pierwszy.

*

Także Rieke myślała o owym dniu, od którego upłynęło już tyle lat. To wtedy, w dniu swoich zaręczyn, ujrzała

Lilę po raz pierwszy. Lila. Wyprostowana, z wysoko uniesioną głową. Z uśmiechem Madonny igrającym wokół ust. Białą skórę jej ramion i rąk osłaniał jedwabny welon. Była czysta i szlachetna od stóp do głów. I nieprzystępna w swojej piękności i dumie. Taka przynajmniej wydała się jej, Rieke. Właśnie wtedy z całą wyrazistością uświadomiła sobie swoje nędzne pochodzenie, manieri rodem z gniazda rycerzy-rozbójników, mizerne wykształcenie. Przy Lili po raz pierwszy w życiu zdała sobie sprawę, że jej uroda to nie wszystko. I w jej sercu zagnieździła się zawiść. Lila była jedyną osobą na świecie, przed którą Rieke odczuwała lęk.

Teraz leżała w łóżku, ciągle jeszcze osłabiona. Od doktora van Aakena dowiedziała się, że to Lila ją znalazła i sprowadziła medyka. Rieke uporczywie zastanawiała się, dlaczego Lila jej pomogła, a właściwie — uratowała jej życie. To było niedorzeczne. W każdym razie ona, Rieke, na pewno nie postąpiłaby tak durnie. Gdyby Lila pozwoliła mi umrzeć — myślała — wtedy pieniądze Gerona tym pewniej przypadłyby jej dzieciom. Co prawda, Andreas powinien się ożenić po roku żałoby. Ale jemu chyba nie zależy ani na małżeństwie, ani na spadkobiercach, ani na spadku.

Rieke westchnęła. Czuła się taka zmęczona. Zresztą lekarz i tak zaordynował jej ścisły wypoczynek. Znowu pomyślała o tym, że o mały włos pożegnałaby się z tym światem. Nasiona lulka. Wzięła ich o wiele za dużo. Gdyby nie wymiotowała, byłaby teraz martwa. Przez ulotną chwilę pomyślała o obietnicy spokoju, jaką niesie śmierć, i poczuła tęsknotę. Potem zamknęła oczy i zasnęła.

Obudziła się, gdy ktoś wszedł do pokoju. Doktor van Aaken.

— Jak się czujecie, pani? — zapytał i usiadł przy łóżku na żółtym, wyściełanym krześle z poręczami.

— Zmęczona i wyczerpana — odparła Rieke cicho.

— O, to na pewno. — Doktor kiwnął głową. Potem pochylił się do przodu, ujął ją za rękę. — Nie mam pojęcia, co was skłoniło do połknięcia tych nasion, ale chciałbym wam powiedzieć, że na każdą troskę znajdzie się rada.

— Co takiego?! — Rieke omal nie poderwała się z łóżka, gdy dotarło do niej, co pomyślał medyk: że chciała sobie odebrać życie!

— Samobójstwo? Wierutna bzdura! — zaoponowała gwałtownie.

Lecz doktor spojrział na nią z takim współczuciem, że Rieke darowała sobie dalsze wyjaśnienia.

— Czy zechcielibyście, pani, powiedzieć mi, co was tak gnębi? — zapytał van Aaken.

Rieke opadła na poduszki. Z ukosa przyglądała się medykowi. Doktor van Aaken miał spokojną twarz, jego szare oczy spoglądały życzliwie. Długie włosy opadały na kołnierz. Ręce trzymał splecione na kolanach. Począł chwilę, a gdy Rieke nie odpowiadała, wstał z krzesła, zabierając się do wyjścia.

— Zostańcie w łóżku, jak długo wam potrzeba — powiedział. — A l e chora na ciele już nie jesteście. Słabość przejdzie, jak zjecie pożywną strawę.

Rieke lekko kiwnęła głową, lecz nie uniosła powiek. Nagle zrobiło jej się wstyd przed tym człowiekiem o przyjaznej twarzy i jasnych oczach, które zdawały się czytać w jej myślach.

— Niech Bóg ma was w opiece — powiedział jeszcze doktor van Aaken, i Rieke usłyszała, jak otwiera drzwi.

Zaczekajcie! — chciała zawołać, ale jej usta pozostały nieme.

Kiedy kroki doktora na schodach ucichły, wstała i podeszła do okna. Mleczne niebo wisiało nad miastem.

Rieke wyjrzała na podwórzec — pod jej oknem mały kociak bawił się ze swoją matką. Dziecko! — pomyślała Rieke. — Dlaczego, Boże miłosierny, ciągle nie mam dziecka?! Dlaczego, Panie, nie chcesz obudzić namiętności w moim mężu? To nie za moją przyczyną ciągle jeszcze nie mamy dzieci. To wina Andreasa. Ty, Panie, wiesz, jak bardzo się staram. Położyłam na szali nawet własne życie. Lzy napłynęły jej do oczu, Rieke Geisenheimer poczuła się tak, jakby była najbardziej godną pożałowania istotą w całym mieście. Pociągnęła nosem, wierzchem dłoni otarła oczy. Nagle znieruchomiała. Jej spojrzenie pobiegło ku studni, która znajdowała się z boku handlowego podwórca. Stał tam Trajan, pierwszy ładowacz.

Wyładował właśnie z wozu beczki z olejem. Teraz, gdy inni robotnicy przenosili je do składu, podszedł do studni, żeby się obmyć. Jedna z beczek musiała być nieszczelna, bo Trajan był cały usmarowany olejem, jego opalony tors lśnił od tłuszczu. Promień słońca padł na plecy mężczyzny, podkreślając grę wspaniałych mięśni. Rieke wstrzymała oddech — nie mogła oderwać wzroku od postaci robotnika. Trajan miał bary szerokie jak waga do worków. Mięśnie ramion napinały się przy każdym ruchu, a Rieke nie mogła napatrzeć się na to ciało, które wydało jej się stworzone do rozkoszy. Aż rozchyliła usta i wciągnęła powietrze przez zęby, kiedy ładowacz zaczerpnął wody i ochlapał sobie twarz. Potem dużymi, silnymi dłońmi obmywał sobie piersi, parszkając i prychnając, polewał wodą tors. Rieke przełknęła ślinę, odetchnęła głęboko. A potem przyszła jej do głowy myśl, która wywołała uśmiech na jej twarzy. Pomysł, który za jednym zamachem uwolni ją od wszelkiego zmartwienia i zgryzoty.

„Tylko żołnierz jest wolnym człkiem, ten, co śmierci patrzy śmiało w oko”.

Lila nieraz słyszała to powiedzenie. Ona sama też już zajrzała śmierci w twarz, ale nie czuła się przy tym wolna. I nie czuła się też wolna teraz, jadąc na wozie pewnego kołodzieja, który bladym świtem wyruszył do Oberursel z zaopatrzeniem dla wojska. Przycupnęła na wozie, owinięta w łachmanowatą narzutkę, którą kupiła od pewnej handlarki starzyzną. Podarta, dziurawa peleryna słabo chroniła przed porannym chłodem, ale Lila drżała nie tylko z zimna. Co chwila zagryzała wargi, zdzierając z nich małe kawałeczki naskórka. Zbliżali się do obozu. Hałas i wrzawę żołnierskiego obozowiska było słycać z daleka. Dobosze i trębacze maltretowali swoje instrumenty, konie rżały, kobiety śmiały się głośno, słycać było kwilenie i popłakiwanie dzieci, a pośród tego wszystkiego — nawoływania żołnierzy, ostre komendy, niewybredne żarty i towarzyszący im rechot.

Lila wyprostowała się ostrożnie i rozejrzała wkoło. Osłoniła oczy ręką, ale gdziekolwiek spojrzeła, dokądkolwiek sięga jej wzrok, wszędzie widać było tylko niepokojne, ruchliwe obozowisko. Wspaniałe namioty, w których mieszkali dowódcy, na przemian z dziurawymi płachtami, pod którymi chronili się najbiedniejsi z taborów, ciury obozowe. Lila zobaczyła, jak jakaś kobieta pierze bieliznę w skórzanym wiadrze, a obszarpany mężczyzna obdziera ze skóry zajaca, gdy tymczasem inny opieka nad ogniem kawałek tłuszczu na patyku. Dwaj mali, chudzi chłopcy ze śmiechem obrzucali się grudami błota. Nieco dalej kilkunastu piechurów ćwiczyło krok marszowy. Inni żołnierze leżeli wokół ognisk, grali w kości, pili gorzałkę. Opodał, po lewej, tłukli się jacyś dwaj, wokoło stali gapie, zagrzewając ich do walki okrzykami

i klaskaniem. Jakaś kobieta zawisła na szyi mężczyzny i polizała go po twarzy. Ten zaśmiał się, odepchnął ją, aż poleciała na ziemię, a on wymierzył jej kopniaka.

Lila przestraszyła się, gdy zobaczyła te masy ludzi. Żołnierze, żołnierskie kobiety, knechci, dziewczki, kramarze, obozowe nierządnicę, rękodzielnicy, markietanie i markietanki, kuglarze i dzieciaki. Taborów było niemal dwa razy więcej niż właściwego wojska.

— Jak ja go tu znajdę... — szeptała Lila gorączkowo do siebie — ...jak w tej masie znaleźć kogokolwiek, bo przecież to był on, pozdrowił mnie wtedy pod stacją... a co, jeśli zacznie mi grozić? Jeśli zechce zniszczyć życie moje i mojej rodziny? Co wtedy, Boże miłosierny!

— Teraz musicie zejść. Jesteśmy na miejscu! — zawołał z kozła stelmach.

Lila podziękowała i zeskoczyła z wozu. Z ociąganiem, niepewnie zbliżała się do pierwszych ognisk, bacznie rozglądając się dokoła. Łatwo było po odzieniu odróżnić tych, którzy należeli do taborów: mieli na sobie ubrania ze skóry, nałożone warstwami, tak by chroniły ich przed zimnem i rabunkiem. Suknie rzadko kiedy miały szwy, gdyż przez szwy z łatwością przedostawało się robactwo. Wielu z taborów nosiło pilśniowe kapelusze, inni pozawijali się w skórki. Ale niezależnie od tego, w co ubrani byli ludzie, wszystko było sztywne od brudu.

Strój żołnierzy uderzająco różnił się od tego, co nosiły ciury. Większość miała na sobie swoje zwykłe odzienie, mieszczańskie albo chłopskie: pończochy podwiązane pod kolanem, szerokie spodnie z paskiem, do tego skórzany kaftan i wams z wykładanym miękkim kołnierzem, na modłę walońskich jeźdźców; niektórzy mieli koronkowe obszywki przy rękawach. Na wierzch nakładali luźne płaszcze. Głowę osłaniał miękki kapelusz o szerokim rondzie, na którym kołysały się barwne pióra.

Od tej pstrokacizny Lile wkrótce rozboleły oczy. Ale jeszcze gorszy był hałas. I ten odór! Zewsząd uszu Lili dobiegały wycia, huki, wrzaski, przekleństwa, odgłosy burd i awantur, piski, trzaski, strzelanie, odgłosy piłowania, śmiechy, dydolenie na instrumentach. Powietrze było przepełnione dymem z ognisk, smrodem niemytych ciał, wyziewami piwa i wina, zapachem smaru do broni i prochu strzelniczego.

Lila w oszołomieniu, potykając się, błądziła po obozie. To przewróciła jakiś kociołek, to opaliła sobie rąbek sukni, raz znalazła się za blisko jakiejś markietanki, która rozzłoszczona skłęła ją na całe gardło:

— Hej, ty brudna dziewczko! Idź do swojego ogniska, wara od moich rzeczy!

Lila przeprosiła, pośpieszyła dalej. W końcu znalazła się przed namiotem jednego z dowódców. Przystanąła. Po chwili wahania zebrała się na odwagę, podeszła do wartownika, który stał z muszkietem u boku, i zapytała:

— Szukam żołnierzy z Antwerpii. Proszę, powiedzcie mi, gdzie mogą ich znaleźć.

Wartownik spojrział na nią nieufnie, jego oczy prześliznęły się po jej postaci od stóp do głów.

— A ty kim jesteś? — zapytał i lekko zmrużył oczy.

— Och, nikiem ważnym, mieszczką z Frankfurtu. Chcę się dowiedzieć o krewnych.

Wartownik zmarszczył czoło. Potem włożył do ust dwa palce i zagwizdał przeraźliwie — natychmiast zjawili się dwaj inni żołnierze. Jeden wykręcił Lili ramiona do tyłu, drugi odciął jej od paska skórzaną sakwę, otworzył i wytrząsnął: zawartość ze szczękiem wypadła na ziemię. Trzej strażnicy gapili się na ziemię z rozdziawionymi gębami. Lecz pierwszy spojrział na Lilę i powiedział cicho:

— Miałem nosa.

*

Do tej pory czerwiec był w Lipsku zimny i deszczowy, ale tego dnia zaświeciło słońce, a niebieskie niebo wisiało nad dachami miasta czyste jak świeżo wybielony obrus. Marga zdejmowała właśnie z prasy drukarskiej ostatnią z pieśni Hermanna Scheina, kiedy gwałtownie zastukano do drzwi.

— Robert, bądź łaskaw otworzyć! — zawołała, ale nikt nie odpowiedział. Marga westchnęła. Znowu nie zauważyła, jak mąż wymknął się z domu. Dobrze wiedziała, gdzie teraz jest: tkwił w szynku „Pod wesołym pijusem” z dzbanem korzennego wina przed sobą i z paroma kompanami. Leniami jak on, nierobami i nicponiami, którzy pozwalali, żeby ich żony tyrały jak woły. Już się dobry Bóg o wszystko zatroszczy! Marga westchnęła raz jeszcze, otarła ręką czoło, wepchnęła z powrotem pod czepek jakiś niesforny kosmyk. Ramiona ciążyły jej jak ołów — obsługiwanie prasy drukarskiej wymagało dużo siły. Marga była zmęczona, czuła się brudna, nosiła przepeczone ubranie. Miała dość wszystkiego, serdecznie dość! Miała po dziurki w nosie swojego życia. Jej serce już dawno wykrwawiło się dla miłości, która nie zasługiwała na to imię. Najchętniej usiadłaby przy stole, oparła głowę na rękach i płakała, płakała, płakała, tak by wreszcie ustąpił ten ucisk w gardle i ciężar w żołądku. Ale oto znowu odezwała się kołatka, tym razem bardziej zdecydowanie. Przy takiej pogodzie drzwi do warsztatu stały zwykle otworem, ale dzisiaj Marga tak pragnęła spokoju i samotności, że je zamknęła, wbrew swoim zwyczajom, a teraz otwierała z trudem. Przed nią stała młoda kobieta, którą pod ramię trzymał niewiele starszy mężczyzna. Kobieta była w odmiennym stanie.

— O co chodzi? — zapytała Marga. — Czym mogę służyć?

Mężczyzna nie odpowiedział, odsunął Margę na bok, wszedł do drukarni. Posadził brzemienną dziewczynę na

stołku, skrzyżował ręce na piersi i w milczeniu obserwował Margę. Jego spojrzenie z lekceważeniem prześliznęło się po jej twarzy; a tu znowu jakiś niesforny kosmyk włosów wymknął się spod czepeczka! Marga popatrzyła na siebie oczyma nieznanego: jasne włosy, matowe, pozbawione blasku; wąskie, blisko osadzone oczy, między nimi pospolity nos. Cienkie, stanowczo zbyt cienkie wargi i do tego kanciasta szczęka.

Marga wiedziała, że nie jest urodziwa. Lecz teraz, gdy ten obcy na nią patrzył, dotarło do niej, że ma na sobie wyświechtany fartuch, który nosi nie tylko ślady drukarskiej roboty. No i ręce! Te czarne obwódki pod krótkimi paznokciami! Opierają się wszelkim szczotkom — czern drukarska to czern drukarska! Ale ktoś, kto tego nie wie, pomyśli tylko: jaka brudna, zaniedbana kobieta! Marga się wyprostowała.

— Czego tu chcecie? — zapytała i obronnym gestem złożyła ręce na piersi.

— Widzicie, to moja siostra! — odrzekł młody mężczyzna.

Marga kiwnęła głową.

— Zauważyliście coś? Coś zwraca waszą uwagę, gdy na nią patrzycie?

— Jest brzemienna.

— A czy jej twarz wyraża szczęście kobiety, która jest przy nadziei? — pytał dalej mężczyzna.

Marga potrząsnęła przecząco głową.

— A chcecie wiedzieć, dlaczego nie?

— Właściwie nie.

— A ja wam i tak powiem, kobieto. Moja siostra została zgwałcona. Wstydziła się powiedzieć, aż zrobiło się za późno. Teraz każdy widzi jej hańbę. Rodzice chcieli ją wygnąć. Pozwolili jej zostać tylko dlatego, że obiecałem zrobić z tą sprawą porządek.

— Słusznieście postanowili — zgodziła się Marga. — Ale ja nadal nie wiem, jak mogę wam w tym pomóc.

Młody mężczyzna tracił siostrę w ramię.

— No, dalej, powiedzże jej! — zażądał.

Dziewczyna kaszlnęła, prawą ręką przesunęła po brzuchu.

— To był wasz... — wyszeptała.

— Co? — Marga prawie krzyknęła. — Coście powiedzieli?

— Wasz mi to zrobił.

Marga jeszcze mocniej przycisnęła ręce do piersi i postąpiła kilka kroków w stronę dziewczyny. Brat stanął przed nią, zasłaniając siostrę przed Marga.

— Możecie jej wierzyć, mówi prawdę — rzekł.

— Nie zamierzam się z wami spierać — odparła Marga. — Znam swojego męża. Ale czego chcecie ode mnie?

— Pieniądzy. — Brat wypowiedział to słowo jasno i wyraźnie. Marga tylko kiwnęła głową, a dziewczyna spuściła oczy. — Dużo pieniędzy.

Marga roześmiała się, rozłożyła ręce.

— Rozejrzyjcie się. To wszystko, co mamy. Pieniądzy u nas nie znajdziecie. Coś wam powiem: weźcie lepiej mojego!

*

— Judith, zaczekajcie, proszę was! Judith!

Judith oczywiście usłyszała nawoływanie Lennarta, ale tylko przyśpieszyła kroku. Nie, drugi raz się nie zbłąźni! Wystarczy jej tego blamażu w sklepie! Już lepiej pozostanie wdową na resztę życia. Jakoś to szło przez te wszystkie lata, to i dalej pójdzie. Judith dumnie podniosła głowę, musnęła ręką rozgrzany policzek i, nie oglądając się za siebie, szła dalej, byle szybciej. Niestety, ledwie skręciła za róg, natknęła się na jakąś bezpańską świnię,

która, chrumkając i węsząc, pałętała się po ulicy, i której musiały się spodobać akurat jej buty! Judith zamachnęła się na nieszczęsne zwierzę swoją wyszywaną sakiewką, ale świnia tylko zachrzakała i chwyciła rąbek jej spódnicy.

— Pu szczaj, puszczaj! — krzyknęła i przyłożyła świni w łeb. — Puszczaj, mówię! Idź sobie! No już!

Judith najpierw usłyszała obok siebie cichy śmiech i zaraz potem silne męskie ramię chwyciło świnie za kark, popchnęło zwierzę w przeciwną stronę.

— Dziękuję! — powiedziała i podniosła oczy. Przed nią stał Lennart Leuthold. — Och! — wykrzyknęła, a jej twarz oblała się rumieńcem.

— Z przyjemnością wam pomogłem — odezwał się Lennart, tym razem powstrzymując się od kpiącego spojrzenia.

— Och! — powtórzyła tylko; mimo najlepszych chęci nie potrafiła sklecić jednego sensownego zdania.

Lennart stał przed nią, miętosząc w rękach kapelusz. Judith uśmiechnęła się, gdy to zobaczyła.

— Kapelusz — powiedziała. — Chyba mu to nie pomoże.

— Co proszę? Ach tak, kapelusz.

Lennart drżącymi palcami usiłował wygładzić swoje nakrycie głowy, w końcu Judith wzięła kapelusz i zaczęła prostować rondo.

— Co chcieliście mi powiedzieć wtedy w warsztacie? — zapytał po chwili Lennart.

— Ach, to... już zapomniałam... — wybąkała Judith, oddając mu kapelusz. Przez chwilę pomyślała o swoim odbiciu w lustrze dzisiaj rano. Zobaczyła w zwierciadle kobietę z siateczką drobnych zmarszczek w kącikach oczu. Kobietę o nieco bladawych wargach i policzkach, których wprawdzie jeszcze nie można było nazwać obwisłymi, lecz które z pewnością nie miały już młodzieńczej,

brzoskwiniowej jędrności. Tylko wielkie, ciemnobrazowe oczy, o których jej piastunka mówiła, że są sarnie, były pełne blasku. Ale, ach! powieki już zaczynały nieco zwisać.

— Aha... no to... to ja chciałbym was o coś zapytać — odparł Lennart niepewnie.

Judith nastawiła ucha. Spojrzała iglarzowi w twarz, ale nie wytrzymała jego wzroku, spuściła oczy i przyglądając się czubkom buczków, wodziła nimi po bruku.

— Zatem?

— Chciałem... chciałbym zapytać, czy wolno mi będzie towarzyszyć wam w niedzielę do kościoła?

Zajrzał jej w twarz i Judith ujrzała w jego oczach oczekiwanie. Uśmiechnęła się z lekka.

— Do kościoła?

Potakująco kiwnął głową.

— Chcecie się publicznie pokazać u mego boku?

Lennart cofnął się, jego twarz przybrała wyraz niemal przestraszu.

— Och, nie, nie myślcie tylko, że chciałbym się wam narzucać.

Wyglądał na naprawdę zmieszanego i Judith najchętniej pogłaskałaby go po policzku.

Wobec jego niepewności odzyskała odwagę. I wszystko wydało jej się nagle takie proste i oczywiste. Nie, nie ma nic niewłaściwego w jej postępowaniu. Nie ma się czego obawiać. I zanim jeszcze na dobre zdała sobie sprawę z tego przyjemnego uczucia, jej usta już zaczęły mówić:

— A co byście powiedzieli, gdybym was zaprosiła do siebie na wieczerzę? Przyszlibyście?

Teraz to Lennart się zdumiał.

— Sam do wdowy, do jej domu?

— Przecież nie musicie przybijać ogłoszenia na drzwiach kościoła! — Judith zaśmiała się i odwracając

nico głowę, rzuciła śpiesznie: — Oczekuję was w moim domu w sobotę, po nieszpórach.

Potem odeszła co rychlej. Ale po kilku krokach przystanęła, spojrzała za siebie. Lennart stał w tym samym miejscu jak przygożdżony i patrzył za nią. Nagle wydał okrzyk radości, podrzucił kapelusz i złapał go. Judith roześmiała w głos.

Lennart zamachał do niej po raz ostatni, potem pogłaskał po głowie jakiegoś ulicznego chłopaka i pobiegł ulicą rażno jak młody żreback.

A Judith stała jeszcze przez chwilę roześmiana. Czuła się młoda, godna pożądania. Miała wrażenie, jakby coś mile łaskotało ją w środku — i tylko nie wiedziała, czy to przyjemne uczucie brało się głównie z pogody, czy z jej dobrego nastroju i radości oczekiwania na sobotę.

*

Kiedy wreszcie nastąpiła sobota, Judith przez cały dzień walczyła z niezwykłym u niej niepokojem, który zauważyła nawet jej córka.

— Mamo, nie turbuj się tak — odezwała się spokojnie — przecież to nic takiego zaprosić kogoś na wieczerzę.

— Tak powiadasz? — odparła Judith. — Ale jednak boję się, że będzie gadanie, ludzie wezmą mnie na języki. Bo to przecież nie jest takie zwyczajne, że samotna kobieta zaprasza do domu mężczyznę.

— Nie jesteś samotna, masz mnie! — zauważyła Julia. Judith uśmiechnęła się.

— Nie jestem pewna, czy piętnastoletnia dziewczyna jest odpowiednią osobą, by odgrywać przyzwoitkę owdowiałej matki.

Z tymi słowy poszła do sypialni, rozłożyła na łóżku kilka sukien, by wybrać odpowiednią na wieczór. Gdy tak stała tylko w koszuli i przytknąwszy wskazujący

palec prawej ręki do dolnej wargi, przeglądała garderobę, w pewnej chwili pochwyciła spojrzeniem odbicie swojej postaci w oprawnym w rzeźbioną drewnianą ramę zwierciadła, które stało ukośnie nieco za nią. Obróciła się i zaczęła przyglądać swojej figurze. Wyjęła szpilki z włosów, potrząsnęła głową, tak by pukle opadły na ramiona. Potem zsunęła ramiączko koszuli, dotknęła skóry: jedną ręką przesunęła po szyi, podczas gdy druga prześliznęła się po prawej piersi. Judith pochyliła głowę, przytuliła policzek do chłodnej krągłości ramienia, uśmiechnęła się do swojego odbicia. W tym momencie do pokoju wpadły jaskrawe promienie słońca. Światło, dopiero co tak przypochlebne i łaskawe, stało się ostre, bezlitosne. Ramiona, przed chwilą łagodnie zaokrąglone, teraz ukazywały obwisłe mięśnie, białe, pełne piersi stały się nagle ociążałe jak dojrzałe gruszki. Judith zacisnęła powieki. Chciało jej się płakać — nad straconą młodością, przebrzmiałą urodą, nad miłością, której nie zaznała.

Kto marzy o miłości w moim wieku? Kto w ogóle wierzy jeszcze wtedy w miłość? — zastanawiała się. — Ten, co już ją poznał? Czy ten, kto jej nigdy nie spotkał?

Nie znalazła odpowiedzi na te pytania.

*

Lennart przybył punktualnie. Włożył świeży wams, włosy, starannie odgarnięte i zaczesane do tyłu, były jeszcze wilgotne od wody. Porządnie wyczyszczone buty aż lśniły. W rękę, niby tarczę, trzymał bukiet polnych kwiatów. Judith wzięła je od niego z uśmiechem. Potem zasiedli przy stole w bawialni. Lennart zajął miejsce naprzeciwko Judith, Julia siedziała obok matki. Rozmowa toczyła się opornie i Judith pomyślała, że nie ma nic bardziej krępującego niż takie pierwsze bliższe spotkanie. Nic bardziej krępującego, a jednocześnie śmiesz-

nego. Koniec czekania, decyzja zapadła. Teraz okaże się, czy właściwa. Nie, teraz trzeba dowieść, że decyzja była właściwa. Nadszedł czas na wykazanie tego, co ich łączy, na wykazanie podobieństw.

— Lubię pieczeń cielęcą. Wieprzowinę natomiast nie za bardzo.

Lennart gorliwie kiwnął głową.

— Tak, tak, ja też.

Judith uśmiechnęła się do niego. Lennart właśnie podnosił do ust widelec i było widać, że nie nawykł do tego nowomodnego sztucца. Judith natychmiast zgromiła się w duchu: po co też podała te nieszczęsne nakrycia! Ale było już za późno. Lennart uśmiechnął się dzielnie, ale w tym momencie kawałek mięsa zsunął się z widelca i wylądował na jego wamsie.

— Och! — wyrzucił z siebie zduszonym głosem i zaczerwienił się po same uszy. W domu specjalnie ćwiczył jedzenie widelcem, bo od razu pomyślał sobie, że kto jak kto, ale Geisenheimerowie na pewno używają tego włoskiego wymysłu. A on w żadnym wypadku nie chciał się zblamować. Tymczasem już mu się udało. Zażenowany, zdjął nieszczęsny kęsek z ubrania.

Julia parsknęła śmiechem. Judith zaś zerwała się z miejsca, swoją chusteczką do nosa zaczęła wycierać plamę.

— Ależ proszę, poniechajcie! — bronił się Lennart. — Nie jest tak źle. I tak oddam go do prania.

— Dobrze, dobrze. To dla mnie nic takiego. A plamę należy usunąć natychmiast, zanim wgrzyzie się w materiał — odparła Judith.

Wreszcie posiłek dobiegł końca, niefortunny wypadek został zapomniany, a Julia wysłana do łóżka.

Judith poprosiła Lennarta, aby usiadł przed kominem, na wyściełanym krześle z oparciami, naląła wina

z karafki do najlepszych kryształowych kieliszków, jakie miała w domu.

— Wasze zdrowie, iglarzu! — powiedziała cicho.

— Wasze, piękna pani! — odparł Lennart, upił duży łyk i otarł usta wierzchem dłoni.

— Nie jesteśmy już najmłodszy — powiedział potem i uważnie spojrział na Judith. — A człowiek nie jest stworzony do samotności.

Pochylił się do Judith, zajął jej w oczy. Wytrzymała jego spojrzenie. Przysunęła się do niego. Ich wargi zbliżyły się do siebie i już miały się zetknąć, stopić w pocałunku, gdy rozległo się bicie dzwonu na pożar.

Odskoczyli od siebie, jak przyłapani na gorącym uczynku, Judith głośno nabrała powietrza.

— Pali się — powiedziała, jakby to nie było oczywiste. Lennart kiwnął głową.

— Muszę iść. Każdy rzemieślnik jest zobowiązany się stawić, gdy dzwonią na pożar.

Z tymi słowy zerwał się z miejsca, szybko pożegnał Judith i wybiegł.

Judith wzięła narzutkę, zajął jeszcze do Julii, która spała już głębokim snem, potem zamknęła dom i ruszyła w stronę miejsca pożaru. Dym i czerwona luna, widoczna z daleka na niebie, wskazywały jej drogę. Wiodła ona prosto w stronę domu iglarza Lennarta Leutholda. Judith szła coraz szybciej. Po chwili napotkała pierwszych pomocników do gaszenia pożaru — utworzyli łańcuch do najbliższej studni i podawali sobie wiadro za wiadrem. Dym gryźł w oczy, drapał w gardło. Napad kaszlu zmusił Judith do zatrzymania się, łzy ciekły jej po policzkach. Wreszcie skrzyła za róg, w Kannengiessergasse, i zobaczyła, który dom płonie. Odetchnęła i nakreśliła znak krzyża. To nie był dom Lennarta — w płomieniach stał dom jego sąsiadki Kathi.

4

Widzieliście może moją żonę? Wysoka, smukła, pod czepkiem rude włosy. Zielone oczy, bardzo jasna cera.

— Tak znam ją. Czasem kupuje u mnie masło. Ale dzisiaj jeszcze jej nie widziałem.

— Dziękuję. A wy? Może widzieliście moją żonę? Patrycjuszkę Geisenheimer?

Zagadnięty mężczyzna zaśmiał się.

— A co? Uciekła wam?

— Że co? — Arno sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał.

— Nic, nic, tak tylko powiedziałem — odparł kramarz i szybko odwrócił wzrok.

Arno szedł śpiesznie zaułkami wśród jarmarcznych kramów, które tego dnia zajmowały cały Römerplatz. Co chwila przystawał i pytał o Lilę. Raz wydało mu się, że mignęła mu w bocznym zaułku. Rzucił się pędem, ale gdy dobiegł, zobaczył, że się pomylił.

Z balkonu ratusza zwisała flaga zezwalająca na handel, po placu przechadzali się strażnicy z arkebuzami przewieszonymi przez ramię. Na krańcu targowiska Arno dostrzegł drewniany wóz, na którym stał mężczyzna

w żołnierskim uniformie. Zagadywał wszystkich młodych mężczyzn, którzy przechodzili obok, obiecywał im sławę i honory, i złotego guldena do ręki, jeśli się tylko zdecydowali zaciągnąć do katolickiego wojska pod dowództwem Tilly'ego.

Na targu panowała atmosfera pełna podniecenia i rozdrażnienia. Coś wisiało w powietrzu. Kramarze i handlarze stali za swoimi ladami ze skrzyżowanymi na pierśiach rękoma, trzymając w pogotowiu solidne pałki. Gospodynie gromadziły się przed budami, jazgocząc i wyrzekając.

— Wczoraj masło kosztowało połowę tego, co dzisiaj! — wykrzykiwała jedna, wymachując w powietrzu ręką. — A za moje dwa grosze co dnia dostaję mniej chleba. Może mi powiesz, tłuszciochu, co mam włożyć dzieciom do gąb?

Zagadnięty w ten sposób kramarz wzruszył tylko ramionami.

— A co ja pocznę, dobra kobieto? Trzeba zaopatrzyć wojsko. Najpierw obcy, potem swoi. Wiecie przecież, jak to jest podczas wojny.

— Nie wiem. Nic nie wiem poza tym, że biednemu wiatr zawsze w oczy wieje. Wczoraj moja sąsiadka chciała kupić materiał na nowy fartuch dla swojej najmłodszej. I co? Nic nie dostała! Nic! A w mieście pełno płótna i sukna. Tylko za jakie pieniądze!

— A ja słyszałam — wtrąciła się inna kobieta — że piekarze z cechu zobowiązali się, że co rano będą wysyłać do Oberursel całe fury białego pieczywa. Jak wczoraj koło ósmej chciałam kupić obwarzanek, to nic już nie było, nic dla nas nie zostało!

— Właśnie! — zawołał jakiś mężczyzna — Nie dostaniesz drewna, gwoździ, haka! Wszystko idzie dla wojska. Nienasycona gardziel! A z nami co będzie? Tylko

patrzeć, jak zabiorą naszych synów, a z córek zrobią nierządnicę! Tylko patrzeć, jak podpalą nasze domy! Już teraz pola wokoło są do cna spustoszone, bydło zrabowane, pieką tam sobie smakowite kąski na obozowych rusztach! Kiedy wreszcie rada miejska coś zrobi?!

— Też coś! Jakby rada cokolwiek mogła! Wojska liczą ponoć piętnaście tysięcy pieszych, a jeszcze pięć tysięcy ciągnie za armią! Właśnie tyle dusz liczy Frankfurt! Rada jest słaba, nie postawi się cesarzowi i jego Lidze Katolickiej. A miasto jest i pozostanie ewangelickie, nie pójdziemy na naszych braci w wierze! Nie my! Pozostaje nam siedzieć cicho! Siedzieć cicho, aż to wszystko się skończy!

Arno słyszał, jak ludzie gadali, ale miał teraz inne troski. Tymczasem dotarł do ratusza. Po drodze zastanawiał się, czy nie powinien wejść do budynku straży miejskiej i nie zgłosić zaginięcia żony, ale porzucił tę myśl. W końcu Lili nie było dopiero od wczorajszego dnia. Wróci — powtarzał sobie. — Pewnie była u praczki na przedmieściu albo u zielarki i spóźniła się z powrotem do bramy. W końcu miasto zamykają wraz z zachodem słońca. No i w dzisiejszych czasach nie jest dobrze być samemu w drodze. Przecież wszędzie wokoło pełno żołdactwa. Pewnie gdzieś zanocowała.

Ale w głębi duszy Arno wiedział doskonale, że jego żona nigdy by się nigdzie nie spóźniła. Zgnębiony pobiegł do bramy miejskiej, żeby i strażników zapytać o kobietę o rudych włosach, zielonych oczach i bladej cerze. Ale ci też nie potrafili mu pomóc. Tylko jakiś kaleka, z lewą nogą uciętą nad kolanem, który właśnie o dwóch kosturach taszczył się przez bramę, zatrzymał go.

— Rudowłosa, powiadacie? Potrafi gadać po flamandzku i robić bronią jak lancknecht? No, taką jedną widziałem. Dwóch strażników obozowych ciągnęło ją przez miasto.

Arno na chwilę zaniemówił. Potem odparł:

— Moja żona nie potrafi obchodzić się z bronią.

Ułomny zaśmiał się głośno.

— Jesteście pewni, że dobrze znacie waszą kobietę?

Arno spojrział na mężczyznę, potrząsnął głową i prawie biegiem ruszył z powrotem.

Nie zważał na strażników miejskich, którzy konno rozgłaszali wiadomości. Ale strażnicy zauważyli jego.

*

Judith bardzo chciałaby być dobrym człowiekiem. Takim, co to nie musi się bać gniewu Bożego, gdyż może o sobie z pewnością powiedzieć, że należy do sprawiedliwych. Judith co tydzień chodziła do spowiedzi. Co prawda, była ewangeliczką, jak wszyscy Geisenheimowie, ale jak większość nowowierców ciągle jeszcze trwała przy niektórych dawnych tradycjach — spowiedź do nich należała; tyle że pastor nazywał ją „rozmową”. Tak więc Judith spowiadała się co piątek. A potem przez cały wieczór czuła się taka lekka i beztraska, wolna od grzechu, czysta jak Baranek Wielkanocny. Ale już następnego ranka znowu popełniała jakiś grzech. Jeśli nie uczynkiem, to przynajmniej mową albo myślą. Judith w głębi serca uważała się za nader niedoskonałą i ułomną istotę. Nie umiała powiedzieć, na czym dokładnie polegać by miała jej wina, ale w końcu wystarczyło już to, że jest kobietą, istotą z natury skłoną do grzechu, a przede wszystkim chciwą rozkoszy. Udręczona poczuciem winy, tego ranka przeszukała wszystkie szafy i skrzynie, żeby znaleźć parę rzeczy dla Kathi, sąsiadki Lennarta. Tej biedaczce, której dom padł pastwą płomieni, zostało pewnie tylko to, co miała na sobie. W końcu Judith znalazła suknię w dobrym jeszcze stanie, ale której ona sama nie nosiła, gdyż uważała, że ją postarza. Suknia

była z szaroniebieskiego sukna, uszyta może nie według najnowszej mody, ale za to z porządnego materiału i dobrze skrojona. Do tego dorzuciła jeszcze lekką narzutkę, chustę na ramiona, w której tylko trzy frędzle opaliły się od płomienia świecy, i jeszcze kołdrę, którą zimą kładła na parapet — jako osłonę przez wiatrem, wpadającym przez nie dość szczelne okno. Poza tym do kosza, który dźwigała teraz na ramieniu, idąc do Kathi, włożyła poleć słoniny, szynkę i wędzoną kielbasę. Sumienie Judith było czyste i bielutkie jak świeżo utkane ślubne prześcieradło, jej twarz jaśniała uśmiechem. Dzisiaj ona, Judith, jest dobrym człowiekiem, dzisiaj swojej rywalce w zabiegach o przychyłność Lennarta ofiarowuje własne rzeczy. Dzisiaj może się czuć szlachetna, wspaniałomyślna, wielkoduszna, po prostu wspaniała.

Szła spacerkiem przez miasto, kłaniała się uprzejmie na prawo i lewo, nie zapominając napomknąć znajomym, dokąd też właśnie zmierza. Gdy tylko skręciła w Kannegiessergasse, od razu z daleka ujrzała Kathi na pogorzelnisku. Kobieta chodziła pochylona, sprawdzając miejsce po miejscu, w nadziei, że może znajdzie coś, czego nie strawił ogień.

— Bóg z tobą, Kathi — pozdrowiła ją Judith. — Bardzo mi przykro z powodu twojego domu.

— Ach tak? — Kathi wyprostowała się, oparła ręce na biodrach. — Przykro ci? A jużci! Od razu uwierzę! Jak usłyszałaś o pożarze, na pewno od razu złapałaś swoją córkę w pas i z radości puściłyście się w tany!

Judith nie wierzyła własnym uszom. Poczula w ustach gorzki smak obrazy, przez moment zastanawiała się, czy się odciąć, ale zaraz przywołała na twarz uprzejmy uśmiech.

— Nawet jeśli mi nie wierzysz — powiedziała — przyszłam, żeby ci pomóc. Proszę!

I podała Kathi koszyk z rzeczami. Ta nieufnie spojrzała na dar, potem jednak zaczęła grzebać w koszu obiema rękami, wyciągnęła suknię, przyłożyła do siebie.

— Pasuje mi? — zapytała.

— Bardzo! Ma kolor twoich oczu.

Kathi szeroko uśmiechnęła się do Judith.

— Dzięki — powiedziała prawie serdecznie. — Naprawdę ci dziękuję. Bo teraz Lennart nie będzie mnie musiał oglądać gołej. — I zaśmiała się głupawo, odzrucając głowę w tył. Judith zaś ściągnęła brwi.

— Co ty wygadujesz? Gdzie też on ma cię widzieć naga?

— W swoim domu, moja droga. Mieszkam u niego. Od razu wczorajszej nocy zaofiarował mi schronienie u siebie.

*

Nagle opuściło Rieke wszelkie zmęczenie i słabość. Jej myśli śmigały jak mewy nad morzem. Uśmiech, który błąkał się wokół jej ust, u każdego wywołałby dreszcz przerażenia — ale Rieke była sama. Stała przy oknie i wyglądała na podwórzec. Stała już tak dłuższy czas, lecz na dziedzińcu ciągle jeszcze roilo się od ludzi, jak codziennie o tej porze. Furmanki wjeżdżały i wyjeżdżały, ładowacze tłoczyli się przy skrzyniach ładunkowych, pisarze w grubych księgach kantorowych zapisywali towary przychodzące i wychodzące. Pachółkowie toczyli do składów beczki, taszczyli kufry, worki i skrzynie.

Rieke czekała cierpliwie. Niedługo dzwon kościoła Mariackiego wybije południe, a parę chwil potem podwórzec opustoszeje jak wymieciony. Rieke spojrzała na swoją, prawą rękę — ścisnęła w niej jakiś przedmiot tak mocno, że aż pobieleły jej kostki palców. Kiedy dzwon wreszcie zabrzmiał, uśmiech zniknął z jej twarzy. Zebrała suknię i zbiegła po schodach, zanim jeszcze ostatni pachółek opuścił podwórzec.

Chmury nad miastem miały niebieskawobiałą barwę świeżego mleka i chociaż nie przenikał przez nie nawet najmniejszy promyk słońca, było gorąco. Ba! Duszno nawet.

Rieke przystanąła w progu, uważnie rozejrzała się na wszystkie strony. Potem pośpieszyła do pierwszego składu, gdzie ładowacze i pacholki odwieszali swoje kurty. Stała cicho, bacznie nasłuchując. Najmniejszego dźwięku. Skład, kantor, podwórzec — nigdzie żywego ducha. Wszyscy jak jeden mąż udali się do najbliższej gospody, by przy cienkim piwie spożyć obiadowe pajdy chleba. Dom handlowy Geisenheimerów stał o tej porze pusty. Rieke szybko znalazła to, czego szukała — kurta pierwszego ładowacza wisiała zaraz z brzegu. Rieke wymacała kieszeń przy bocznym szwie, wsunęła coś do środka. Potem poprawiła kurtę, aby wisiała tak jak przedtem, obejrzała się jeszcze raz i przemknęła z powrotem do domu. Znowu stanęła przy oknie w sypialni — stąd miała najlepszy widok na składy i podwórzec. Czekwała. Dzwon u Najświętszej Maryi Panny wybił właśnie następne pół godziny, kiedy robotnicy zaczęli wracać.

Na przedzie, przed wszystkim kroczył pierwszy ładowacz, którego imienia Rieke za nic w świecie nie mogła sobie przypomnieć. Za to jego nagie ciało jak żywe stało jej przed oczyma.

Mężczyzna doszedł już do połowy placu. Zatrzymał się, odwrócił, zawołał coś do innego ładowacza, obaj się roześmiali. Potem poszedł dalej, a Rieke podziwiała jego mocny krok i gibkie ruchy.

Po chwili robotnik wszedł do składu. Rieke ze swojego miejsca przy oknie mogła obserwować maleńki kawałek składowej hali, akurat do miejsca, gdzie wisiała kurтка mężczyzny. Zobaczyła, że robotnik próbuje wsunąć do kieszeni kurtki ćwiartkę chlebowego bochenka. Nagle

coś go wstrzymało. Zmarszczył czoło, jeszcze raz sięgnął do środka, wyciągnął dłoń i zaskoczony gapił się na coś, co wydobył z kieszeni. Potem szybko rozejrzał się wokoło, wsadził przedmiot z powrotem do środka i przekręcił kurtkę tak, aby kieszeń znalazła się od strony ściany.

Rieke nie posiadała się z radości, aż klasnęła w dłonie.

— Mam cię! — szeptała do siebie. — Nie wywiniesz mi się!

*

Marga oszołomiona i struchlęła z przerażenia stała w swojej drukarni i bezradnie przyglądała się, jak młody mężczyzna wyciąga wszystkie szuflady, zagląda do każdej skrzyni w poszukiwaniu pieniędzy albo cennych rzeczy.

— Przecież mówiłam, że nic tu nie znajdziecie.

Mężczyzna dalej grzebał w rzeczach, jakby wcale nie słyszał Margi. Jego siostra siedziała obojętnie na stołku, osłaniając rękami duży brzuch, gapiała się w przestrzeń nieobecny wzrokiem.

Marga miała wrażenie, że nagle przeniesiono ją do jakiegoś nieznanego jej świata, w którym panowały zupełnie odmienne prawa, ustanowione przez nieznaną jej istotę. Nie wiedziała, co orzekają te prawa, nie miała pojęcia, jak się zachować. To, co się działo, wydawało jej się komiczne i groźne zarazem.

Mężczyzna ciągle jeszcze grzebał w szufladach i kasztach zecerskich, rozrzucił czcionki, rozlał farbę na świeży papier. Marga pomyślała, że przecież powinna wezwać straż miejską, ale zaraz jej spojrzenie padło na brzemieną dziewczynę.

— Co zrobicie, jak nie znajdziecie pieniędzy? — zapytała jej brata.

Ten przerwał przeszukiwania, oddychał ciężko, wierzchem dłoni otarł czoło.

— To proste — odparł. — Oczekuję, że najpóźniej pojutrze zdobędziecie trzysta srebrnych guldinerów.

— A jak nie?

Mężczyzna uładził ubranie, poprawił wams, dał siostrze znak, żeby wstała.

— A jak nie, to doniosę na waszego, że zgwałcił moja siostrę. — Z tymi słowy uchylił kapelusza i, popychając brzemienią przed sobą, rzucił na odchodne: — Pojutrze koło południa przyjdę znowu.

Ledwie tych dwoje zniknęło, a Marga poczuła się tak wyczerpana, że nie mogła utrzymać się na nogach. Opadła na stół, z którego właśnie wstała brzemienna dziewczyna. Złożyła ręce na podolku, popatrzyła na swoje popękane, brudne paznokcie. Co się ze mną stało? — pomyślała.

Marga wzrastała w tej drukarni. Jej dziadek chciał tutaj, w Lipsku, otworzyć dom handlowy, ale jako obcemu nie udało mu się przebić, splajtował. Potem przejął ten warsztat i zajął się drukowaniem pism uniwersyteckich. Szybko zdobył sobie w mieście dobre imię, został członkiem cechu, był uznawany i poważany. Od swojej matki Gutty nauczył się, że tylko ten może być w życiu szczęśliwy, kto dobrze zna samego siebie. Jednak nie potrafił przekazać tej mądrości swojemu synowi. Maximilian Geisenheimer miał nieznośny, podejrzliwy charakter. Był mrukliwym, zrzedliwym człowiekiem, postarzałym już właściwie za młodych lat. Tylko żona i dzieci znały go od innej, lepszej strony. Maximilian dobrze czuł się jedynie w swojej rodzinie i w kościele — bo tylko tu potrafił ufać. Ale kiedy zmarł mu syn, przestał wierzyć w miłosierdzie Boże. A gdy wkrótce potem z tego świata odeszła także żona, Maximilian ostatecznie wygnał Boga ze swojego życia. Została mu tylko Marga i ta drukarnia. Jednego i drugiego strzegł jak żrenicy oka. Marga dorastała, stawała się kobietą, ale on ciągle traktował ją jak małą

dziewczynkę. Kiedy przyszedł pierwszy konkurent, by starać się o jej rękę, ojciec wypędził go z domu miotłą. Drugiemu wylał na głowę kubel wody. A gdy trzeci zalotnik przykuśtykał z drukarni z obolałym siedzeniem, już nikt więcej nie odważył się starać o rękę Margi. Tylko Robert. Ale ten zalecał się potajemnie. Ukradkiem prawił jej komplementy, kiedy spotkał ją na targu. Obdarowywał ciastkami i słodyczami, które oczywiście musiała pochłaniać na miejscu. Malował przed jej oczyma obraz wspaniałego wspólnego życia, w którym nie będzie już jej ojca. Obraz, który tak dokładnie zgadzał się z marzeniami Margi, jakby Robert czytał w jej myślach. A potem przyszedł dzień, kiedy Maximilian faktycznie zmarł i Marga została sama z drukarnią. Miała na karku cech, który już wyznaczył jej swojego człowieka na męża i majstra. To wszystko przekraczało siły Margi. Nie miała nikogo, kogo mogłaby zapytać o radę. Nikogo, poza Robertem. I ani się obejrzała, jak wyszła za Roberta, a on został majstrom w warsztacie, który należał do niej. Już po kilku tygodniach nie było mowy o jakimkolwiek wspólnictwie i partnerstwie. Rządził Robert. A Marga miała się podporządkować. Gdy ośmieliła się postawić, wtedy on, trzaskając drzwiami, wybiegał z domu i wracał bladym świtem. Od zapachów, jakimi wtedy zionął, żołądek podchodził jej do gardła. Ale Marga nigdy się nie nauczyła przeciwstawiać mężczyźnie. Podejrzewała, że potrafiły to tylko bardzo nieliczne kobiety. I one, te nieliczne, które posiadały tę sztukę, były same na świecie.

Marga ścisnęła dłonie na podołku, nie chciała już dłużej powstrzymywać łez. Płakała cicho, bezgłośnie. Siedziała bez ruchu, pozwalając, by łzy spływały po policzkach i skapywały na niebieski roboczy fartuch.

Słońce właśnie zniknęło za kalenicą kościoła Mariackiego, gdy Rieke zeszła na dół, na podwórzec, i przywołała najstarszego pacholka i mistrza wszystkich robotników składu.

— Co wielmożna pani rozkaże? — zapytał stary Jakob uniżenie. Onieśmielony obracał w rękę czapkę, jednocześnie spoglądając niespokojnie w stronę kantoru. Jeszcze nigdy pani nie wydawała mu poleceń, a on nawet nie wiedział, czy jej wolno. Ale czy ma się jej sprzeciwić? Nie! Znał ją zbyt dobrze!

— Muszę z tobą pomówić — oświadczyła Rieke i pociągnęła go za rękaw. — Ale nie tu. Na osobności.

Stary człowiek zacisnął powieki, lecz nic nie powiedział. Rieke zaciągnęła go w kąt podwórca, potem nachyliła się do niego, z niesmakiem kręcąc nosem.

— Wasz pierwszy robotnik, ładowacz, jak też on się nazywa? Czy to porządny człowiek?

— Trajan? O tak, wielmożna pani! Trajan to porządny, uczciwy chłop, można na nim polegać. Pracowity, punktualny, silny. Trzyma ładowaczy mocną ręką i jak nikt inny zna się na towarach. Z furmanami też się dogaduje. Nie da się o nim powiedzieć nic złego.

— Hm. — Rieke spojrzała na Jakoba, jej oczy prześliznęły się po nim z góry na dół. I to spojrzenie nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości, że mu nie wierzy.

— Czemu pytacie, pani? Czy do waszych uszu doszło o jakimś uchybieniu? Trajan w czymś zawinił? Ktoś się na niego poskarżył, nie daj Boże?

— Dość tego gadania! To nie ma nic do rzeczy, nie powinno cię obchodzić, kto i o czym ze mną rozmawia! — odparła Rieke władczo.

— Tak, wielmożna pani.

Stary człowiek postąpił krok do tyłu i uniżenie spuścił głowę.

— Przylapałeś go już kiedy na kradzieży? — wypytywała Rieke dalej.

— Nie, pani, nigdy! Kradzież to ciężkie przestępstwo, karane jest utratą pracy. I doniesieniem do straży miejskiej. Panowie Geisenheimerowie nie dopuszczają tu żadnych wyjątków.

— Ja sama wiem, co mój mąż robi, a czego nie. A więc jesteś przekonany o uczciwości pierwszego ładowacza?

— Z całego serca.

— Może byłoby lepiej, gdybyś oceniał rozumem, a nie sercem. Uczuciami mało można zdziałać. Bo jak mi wyjaśnisz taką rzecz: zgubiłam tu coś, kiedy rano przechodziłam przez podwórzec, mały klejnocik. Musiał mi wypaść. Potem już go nie znalazłam, zniknął. A na podwórku nie było wtedy nikogo poza tym... tym Trajanem. Stał przy studni i mył się. W czasie pracy!

Stary Jakob rozłożył ręce.

— Trajan nigdy by niczego nie ukradł. Nie, to niemożliwe.

— Chcesz przez to powiedzieć, że kłamię?! — wrzasnęła Rieke na starego. Ten był już tak przestraszony, że nie wiedział, co powiedzieć. Raz po raz potrząsał głową, unosił ręce, wsuwał palce za kołnierz, jakby mu brakło powietrza.

— Zaraz się przekonamy, czy jest złodziejem! — oświadczyła Rieke i znowu pociągnęła starego za rękaw. — Jeżeli znalazł tę moją zapinkę do włosów, srebrną, z diamentem, to musiał ją ukryć. Sprawdź w jego kurcie!

Stary Jakob stał jak wmurowany. Nie ruszył się z miejsca, póki go Rieke nie popchnęła. Wtedy powlókł się przed nią do składu.

Stanęli przy hakach na kurtki.

— Która to kurta Trajana?

Jakob pokazał na pierwszą w szeregu.

— No to poszukaj w kieszeniach. Jak znajdziesz moja zapinkę, to będzie dowód. Jak nie — to się jeszcze raz wywinie.

Mówiła ostrym, podniesionym tonem, z taką złością, że stary sługa zaczął dygotać. Bojaźliwie wsunął rękę do kieszeni, nagle znieruchomiał i szybko ją wyciągnął, jakby się sparzył.

— No? Co jest? Znalazłeś coś? — przynaglała go Rieke.

Jakob znowu włożył rękę i rzeczywiście wyciągnął zapinkę do włosów, srebrną z diamentem, dokładnie taką, jak opisała Rieke.

— To... to musi być jakaś omyłka... — wyjąkał. — To przez przeoczenie. Tak. Na pewno chciał oddać.

Rieke wyrwała mu zapinkę z ręki.

— Nie wierzę w to, mój drogi.

Jakob podrapał się po karku, potem zapytał nieśmiało:

— Co zamierzacie z nim zrobić, wielmożna pani?

— A co, myślisz, powinno się zrobić z pospolitym złodziejem? — odparła Rieke pytaniem, ale nie zaczęła na odpowiedź. — Złodziejowi z wyroku sędziego kat i jego pacholek ucina rękę. Na pewno to wiesz. Albo przebija policzek rozpalonym żelazem. Albo wypala się złodziejom piętno na czole. Tak postępuje się ze złodziejami we Frankfurcie. Żeby porządni ludzie od razu wiedzieli.

Jakob patrzył na nią przerażony.

— Trajan ma żonę i dzieci — powiedział cicho. — Mądre, wspaniałe dzieci. Niedługo przyjdzie na świat czwarte. — Spojrzał na Rieke. — Ulitujcie się, pani... postawcie litość przed prawem...

Rieke przerwała mu ruchem ręki.

— Przyprowadź tu tego niegodziwca! — rozkazała.

— Tak jest, łaskawa pani! — odparł stary i pobiegł czym prędzej. Rieke patrzyła za nim, a na jej twarzy znowu pojawił się ten straszny uśmiech.

Niedługo potem Jakob wrócił z Trajanem. Młody mężczyzna był blady, w jego oczach widać było przeżenie.

Rieke podsunęła mu zapinkę pod oczy.

— Co mi o tym powiesz?!

Trajan oddychał gwałtownie. Był od Rieke wyższy o całą głowę, a bary miał tak szerokie, że na każdym ramieniu pomieściłby się worek mąki.

Silny jest — pomyślała Rieke. — Tak silny, że mógłby gołymi rękami ukręcić wieprzowi kark. Ale ja jestem od niego silniejsza. I on to wie. Widziała to po jego spłoszonym spojrzeniu, bladych policzkach, drżącej dolnej wardze.

— Ja... ja... ja nie wiem... — wyjąkał Trajan, poruszył grdyką, z trudem przełknął ślinę — nie wiem, jak ta zapinka znalazła się w mojej kieszeni.

Spojrzał przy tym Rieke mocno w oczy. Żona chlebowdawcy odwzajemniła spojrzenie. I to w końcu Trajan spuścił wzrok.

— To nie ja — wymamrotał. — Po co mi coś takiego?

— Cóż, słyszę, że znowu uczyniłeś swoją żonę brzemiennej, a już masz w domu trzy głodne gęby do nakarmienia. Może chciałeś zanieść moją spinkę na żydowską uliczkę i sprzedać?

Trajan tylko potrząsał głową. Patrzył na ziemię przed sobą i nie przestawał potrząsać głową.

— Nie. Nie — powtarzał w kółko jak nakręcony. — Nie, nie, nie, nie, nie.

Rieke głośno wciągnęła i wypuściła powietrze.

— Jak chcesz. Skruszonemu i pokornemu grzesznikowi odpuszcza nie tylko Pan. Ja też byłabym gotowa ci przebaczyć, ale skoro tak, to od razu poślę po pacholców miejskich. Niech się z tobą sąd wodzi.

Zebrała spódnice i odwróciła się.

— Nie! Zaczekajcie! — wykrzyknął Trajan, ledwie zrobiła pierwszy krok.

— Taak? — zapytała Rieke.

— To ja — wyszeptał mężczyzna — ja to zrobiłem. Ja ukradłem zapinkę. Jestem winny i błagam was, pani, okażcie litość i łaskę.

Przy tych słowach ani na chwilę nie podniósł wzroku. Oddychał tak gwałtownie, że Rieke widziała ruchy jego klatki piersiowej pod koszulą. Szczęki mu chodziły, kwadratowa broda wysunęła się do przodu.

— Co, co powiedziałeś? — zapytała Rieke. — Co powiedziałeś przed chwilą? — powtórzyła i zdawało się, że nie może się nasycić widokiem męki Trajana.

Teraz Trajan podniósł wzrok i Rieke dostrzegła w jego oczach błysk zimnej, morderczej wściekłości. Uśmiechnęła się.

— No, słucham!

— To ja ukradłem waszą zapinkę, aby wymienić ją u Żydów na pieniądze — powiedział ładowacz mocnym głosem.

— Ty? — Stary Jakob osłupiał. A Trajan krótko spojrzał na niego, zanim potwierdził skinieniem kiwnięciem głowy.

— Ty też słyszałeś, Jakob? — upewniła się Rieke.

Stary człowiek smutno pokiwał głową.

— Co dokładnie usłyszałeś? — drażyła dalej.

— Że Trajan przyznał się do ukradzenia waszej zapinki, pani. Chciał ją sprzedać na żydowskiej ulicy.

Rieke zadowolona kiwnęła głową i obeszła Trajana wokół, jakby był kolumną. Potem palcem wskazała na Jakoba.

— Ty możesz iść. I ani słowa nikomu. Niech cię lepiej język nie świerzbi! Zrozumiałeś?

Stary spojrzał na nią, kiwnął głową, odwrócił się i już go nie było.

— A teraz ty — powiedziała Rieke, gdy tylko Jakob zniknął za rogiem budynku. — Jak myślisz, jak powinno się ciebie ukarać?

Trajan wzruszył ramionami.

— Proszę was, pani, nie składajcie na mnie doniesienia. Za kradzież obcina się rękę. Będę pracował dwa razy więcej niż dotąd, ale błagam, nie donoście na mnie! Moja żona i dzieci... potrzebuję obu rąk, by ich wyżywić.

— Kochasz żonę i dzieci?

Trajan kiwnął głową, znowu wbił wzrok w ziemię.

— Spójrz na mnie — rozkazała Rieke.

Uczył, czego zażądała, a Rieke ujrzała łzy w jego oczach. Nie nad sobą płakał, wiedziała o tym.

— Cóż, mam serce dla zakochanych i oczywiście dla dzieci. Dlatego postąpię z tobą łaskawie.

Rieke spodziewała się, że ładowacz padnie przed nią na kolana, że będzie ją całował po rękach. Lecz nic takiego nie nastąpiło. Trajan stał spokojnie i mocno patrzył jej w oczy.

— Ale mam warunek — ciągnęła dalej Rieke, a on kiwnął głową, jakby nie spodziewał niczego innego.

— Jaki? — zapytał. — Jestem w waszych rękach.

— Chcę od ciebie dziecka.

5

Arno skrecił w Fahrgasse. Już z daleka zobaczył pachółka miejskiego i jego konia. Pachółek zsiadł z wierzchowca i grzebał w sakwie, przywieszonej u siodła, a zatrzymał się bezpośrednio przed domem Pod Krukiem. Przed jego domem. Arno przyśpieszył kroku.

— Co się stało? Czego tu szukasz?! — zawołał z daleka, jeszcze zanim znalazł się przy mężczyźnie.

Pachółek milczał, tylko ręką dał mu znak, żeby się zbliżył. Dopiero kiedy Arno stanął przed nim, powiedział:

— Idzie o waszą żonę, panie rajco. Została aresztowana. Sędzia nakazał, bym przyprowadził was do sądu. W końcu jesteście patrycjuszem i rajcą miejskim.

Arno kiwnął głową.

— Kiedy?

— Natychmiast.

— Dobrze. — Arno odwrócił się i poszedł z powrotem na Römerplatz. Sędzia, który także był członkiem rady miejskiej, a nadto drugim burmistrzem miasta Frankfurt, czekał już na niego.

— Niedobra sprawa, Geisenheimer — odezwał się, przeglądając akta leżące przed nim na stole.

— Czemu Lila jest w areszcie? — zapytał Arno. — Co takiego zrobiła? Od kiedy tu jest?

— Przyprawdzili ją dzisiaj rano. Towarzyszyli jej dwaj żołnierze z wojsk Chrystiana Brunszwickiego. Przyłapano ją w obozie flandryjskiej piechoty. Z torby wypadł jej przy tym pistolet.

— Pistolet? Skąd ona miała pistolet? Czego szukała w obozie?

Sędzia wzruszył ramionami.

— Pojęcia nie mam. Chrystian Brunszwicki mógł ka-
zać ją rozstrzelać. Zgodnie z prawem. Nie paraduje się,
ot, tak sobie, z bronią po obcym obozie wojskowym. Nie
w takich czasach. Że odesłał waszą żonę do nas, za-
wdzięczamy pewnie wyłącznie moim dobrem z nim sto-
sunkom.

Arno popatrzył na sędziego z niedowierzaniem.

— Nie rozumiem. Musiała zajść jakaś pomyłka. Co
moja żona miałaby robić w obcym obozie wojskowym?
I do tego z bronią!

— Musicie ją o to sami zapytać — odparł sędzia. —
Zapłaćcie sto guldenów, wtedy będziecie mogli zabrać
żonę. Radzę wam nie oszczędzać kija, inaczej kobiety
wejdą nam na głowę. Aha, wojsko oczywiście skonfis-
kowało pistolet.

Arno podziękował, obiecał, że przyniesie pieniądze
w ciągu godziny, a potem za uśmiechającym się pod
nosem pacholkiem poszedł do aresztu.

*

Niekiedy dni ciągnęły się powoli, jakby nigdy nie miały
się skończyć. Innym znów razem czas mijał tak szybko,
jakby wskazówek zegara na wieży kościelnej dosiadał
jeździec i poganiał je batem. Te dwa dni, które Marga
dostała od brzemiennnej kobiety i jej brata na zdobycie

pieniędzy, minęły o wiele za szybko. Miała te pieniądze. Leżały w skarbczyku, ukryte w jej skrzyni z ubraniami. Spadek po Geronie Geisenheimerze.

Mimo wszystko Marga kochała Roberta. Bardziej niż jej to było miłe. Jeśliby mogła mieć jakieś życzenie, to pewnie prosiłaby o to, by uwolnić się od tej miłości. A jednocześnie w skrytości ducha wcale tego nie chciała. I tak od lat te sprzeczne uczucia walczyły ze sobą, a Marga nie potrafiła się zdecydować. Znała swojego Roberta. I nie spodziewała się po nim wiele więcej. Był z niego babiarz, tak, uganiał się za spódniczkami; i gnuśny nierób; pijus, blagier i tchórz. Ale gwałcielem? Nie. Gwałcielem na pewno nie był.

Marga siedziała w warsztacie pogrążona w smętnych rozmyślaniach, patrzyła przed siebie zamglonym przez łzy wzrokiem. Siedziała tak długo, bardzo długo, aż otworzyły się drzwi i do warsztatu wpadł jej syn Konstantin. Kiedy siedemnastolatek zobaczył, że matka płacze, zatrzymał się gwałtownie.

— Co jest?! — wrzasnął na nią. — Czemu się lenisz i chlipiesz, zamiast robić, co do ciebie należy?!

Ten ton ma po swoim ojcu — pomyślała Marga z cichą goryczą. — No i to przeświadczenie o wyższości męzczyzny.

Popatrzyła na swojego siedemnastoletniego syna, jakby dziś ujrzała go po raz pierwszy. Chłopak miał czarne opuszki palców, nieomylny znak czeladnika drukarskiego. Przed kilku laty jeden z majstrów cechowych wziął go do siebie na naukę. Teraz Konstantin praktykował jako czeladnik, aby pewnego pięknego dnia, już jako majster, zostać następcą ojca i objąć warsztat matki.

Konstantin nie był nieudanym synem. Przeciwnie. Każdy pragnąłby mieć takiego chłopaka. Bo Konstantin był męski, obrotny, rzutki. I starał się zarządzać rodziną.

— No więc? — Syn stanął przed nią, zmarszczył czoło. Marga westchnęła.

— Dwa dni temu był tu w warsztacie mężczyzna z brzemienną kobietą. Syn i córka papiernika z błoni. — Marga spojrzała chłopakowi w oczy. — Mężczyzna twierdzi, że twój ojciec zgwałcił jego siostrę.

— Bzdura! Ta kobieta kłamie. — Konstantin powiedział to śmiało i z przekonaniem. Marga nie miała wątpliwości, że jej syn nie wyobraża sobie, by ojciec był zdolny do tak haniebnego czynu.

— Chcą pieniędzy. Trzysta srebrnych guldinerów — mówiła dalej.

— I?

— Co i? Porozmawiam z twoim ojcem. I na koniec będę im musiała dać te pieniądze. Grożą, że na niego doniosą. A wiesz, co wtedy.

Konstantin podszedł do matki, stanął tuż przed nią.

— Chcesz zarzucić mojemu ojcu gwałt?! — zapytał tonem, który nie pozostawiał wątpliwości co do tego, jak bardzo oburza go jej zamiar.

— Zapytam, czy coś jest na rzeczy — odparła Marga.

Wtedy syn splunął jej pod nogi, odwrócił się i wybiegł, z hukiem zatrzaskując drzwi. Znowu zachciało jej się płakać — ale wiedziała, że lzy nic tu nie pomogą: nie pozostało jej nic innego, jak czekać. Po godzinie przyszedł brat brzemiennej dziewczyny i Marga w milczeniu wręczyła mu trzysta guldinerów. Nie wypowiedziała ani słowa.

Kiedy mężczyzna odszedł z bardzo zdumioną miną, Marga wstała, wygładziła suknię, zamknęła warsztat i udała się do najbliższej stajni miejskiej, by wynająć konia pod wierzch.

Niedługo potem na powolnym jabłkowitym koniu wyjechała przez Bramę Ransztadzką do papierni na bło-

niach. Przybywszy na miejsce, uwiązała konia do drzewa, zakolatała do bramy wjazdowej. Ku jej zdumieniu wierzeje uchyliły się już przy pierwszym lekkim uderzeniu. Marga nieśmiało weszła na dziedziniec. W głębi, napędzane przez wodę z potoku, obracało się wielkie koło młyńskie. Na dziedzińcu stały liczne kadzie, w których pływała masa papiernicza. Młody mężczyzna, pewnie terminator, czerpał papier miedzianym sitem.

— Szukam młodej, brzemiennej kobiety — zagadnęła go Marga. — To córka mistrza papiernika. Wiesz może, gdzie jest?

Chłopak ledwo na nią spojrział, podniósł tylko rękę i wskazał w kierunku szopy, której wierzeje stały lekko uchylone.

— Dziękuję — powiedziała Marga. Tymczasem chłopak przełożył odczerpaną masę do cebra, który z wielkim wysiłkiem potaszczył dalej. Marga została sama na wielkim podwórku. Niepewnie podeszła do szopy.

„Jest tam kto?“, chciała już zawołać, ale słowa uwieźły jej w gardle, kiedy usłyszała głos swojego męża.

Pośpiesznie wemknęła się do szopy i skryła za potężną belką. Dwadzieścia kroków od niej stali Robert i brzemienna dziewczyna, zasłonięci ogromną belą siana.

— Chcę, żebyś mnie poślubił — usłyszała Marga głos dziewczyny. — Obiecałeś, że uczynisz mnie twoją żoną, zabierzesz do miasta. Uczyni, co obiecałeś! Co ja mam tu robić, brzemienna i niezamężna! Dziecko będzie bękartem! Chyba tego nie chcesz. Robert! Przysięgałeś, że mnie kochasz.

Marga wstrzymała oddech. Zrobiło jej się ciemno przed oczyma, musiała się oprzeć o ścianę szopy, żeby nie upaść.

— Nie mogę cię poślubić — usłyszała głos Roberta. — Mam żonę. Przecież o tym wiesz.

— Tak. Teraz wiem. Ale kiedy mnie rzuciłeś na siano, nie wiedziałam. A teraz też mi to obojętne. Rozejdź się z nią.

— Nie, Petra, nie mogę.

— Dobrze — wtrąciła kobieta — w takim razie cię oskarżę.

Robert się roześmiał.

— A to o co?

— Powiem sędziemu to, co przedwczoraj twojej żonie: że mnie zgwałciłeś.

— Co takiego?! Mojej żonie?!

— Byłam u niej razem z bratem. Chcę od niej trzystu guldinerów. Brat właśnie pojechał po te pieniądze. Będziemy mogli uciec, zacząć nowe życie.

— To nieprawda! Nie wierzę! — prawie krzyknął Robert. Potem jęknął błagalnym głosem: — Powiedz, że tego nie zrobiłaś...

— Robert! Co ci jest?! Jesteś taki błądny, zęby ci szcękają! Robert! Ja przecież zrobiłam to dla nas... — Marga usłyszała szloch młodej kobiety.

Ostrożnie zajrzała za belę siana, zobaczyła, jak tamta przytula się do jej męża, jak oplata mu szyję ramionami, całuje go, ciągnie na siano.

Marga stała jak sparaliżowana, nie mogła oderwać wzroku od tych dwojga, którzy kochali się na sianie. Każdy pocałunek był jak uderzenie w twarz, każde westchnienie — j a k cios w żołądek. Półprzytomna, po omacku wyszła z ciemnej szopy; nie oglądając się za siebie, pobiegła do wynajętego konia i pojechała z powrotem do miasta.

*

— Po co tam pojechałaś? Co robiłaś w obozie wojskowym? I skąd, na miłość boską, wzięłaś ten pistolet! Co

zamierzałaś zrobić? — pytał Arno raz po raz, ale Lila tylko siedziała przed nim, milcząc, z rękami złożonymi na kolanach, i patrzyła na niego.

Była blada, włosy miała matowe, oczy ciemno podkrążone. Jej zawsze tak świeże i pełne wargi były spekane, a cera poszarzała jak sprane płótno. Uszła z niej cała radość życia, cały wigor i blask.

— Lilu, proszę cię, błagam: powiedz mi, czego tam chciałaś.

Wielkie, zielone, lekko skośne oczy Lili napełniły się łzami. Zagryzła dolną wargę i łagodnie pokręciła głową.

Arno też wyglądał na wyczerpanego. Był nieogolony, szary cień zarostu okrywał jego policzki i brodę. Włosy miał zmierzwione, wams krzywo zapięty, chustę byle jak zawiązaną na szyi. Najwyraźniej miał za sobą niespokojną noc. I tak w istocie było: od poprzedniego dnia, odkąd zabrał żonę z więziennego lochu, usiłował coś z niej wydobyć. Porozumieć się z nią, dowiedzieć, co się stało. Ale Lila milczała, siedziała przed nim jak obca osoba.

Arno opadł na krzesło naprzeciwko — ujął jej ręce, które były tak zimne, jakby przed chwilą wyjęła je z lodowatej wody.

— Lilu, proszę, powiedz coś, porozmawiaj ze mną. Jutro wyjeżdżam. Przecież nie możemy się tak rozstać. Czuję się tak, jakbym cię zupełnie nie znał.

Spojrzała na niego, ciągle nerwowo zagryzała wargę.

— Nie mogę, Arno — powiedziała zduszonym głosem.

— Lilu, jutro opuszczam miasto, będę walczył w bitwie, która nie wiadomo, jak się zakończy. Bóg jeden wie, czy wrócę do domu żyw i cały. Chcesz tak bez słowa posłać męża na śmierć?

To było przesadzone. I Arno wiedział, że to nieprawda. Ale nie wiedział już, co robić. Kochał żonę, do tej pory zawsze ją rozumiał, czuł się rozumiany przez nią. I nagle

coś takiego! Westchnął ciężko. Patrzył na Lilę prawie błagalnie.

Jej oczy znowu wypełniły się łzami.

— Nie mogę — wyszeptała znowu, ujęła rękę męża, wtuliła w nią twarz. — Nie mogę — powtórzyła i lzy pociekły jej po policzkach, nie mogła już ich dłużej wstrzymywać. Arno odsunął się od niej delikatnie, wstał z krzesła. Spakował parę rzeczy do tornistra, zarzucił na plecy podbitą futrem pelerynę, po raz ostatni podszedł do żony. Kciukiem nakreślił jej na czole znak krzyża.

— Niech Bóg ma cię w opiece — powiedział i opuścił dom.

Arno, patrycjusz i rajca miejski, nie szedł na wojnę jako zwykły żołnierz, lecz jako wysłannik rady miasta Frankfurt. Chrystian Brunszwicky wraz z piętnastoma tysiącami chłopów poszedł na Höchst. Jego głównodowodzący, pułkownik von Kniephausen, wziął małe miasteczko u wrót Frankfurtu z zaskoczenia. Arno miał na miejscu wyrobić sobie zdanie o sytuacji i zagrożeniu dla wolnego miasta Rzeszy. Jego zadaniem było też nawiązanie kontaktów między wojskiem a miastem, które miało dostarczać zaopatrzenia, tak żeby armii i taborom nie brakowało niczego z żywności, sprzętu, furazu. To było zarządzenie rady. Arno miał ściśle współpracować z marszałkiem i każdego dnia przekazywać zamówienia wojska frankfurckim rzemieślnikom. Rada miała nadzieję, że w ten sposób uda się uchronić miasto przed napadami i rabunkiem. Niełatwe to było zadanie i wymagało nie lada dyplomatycznej przemyślności. I choć poselskie funkcje Arna nie zmuszały go do bezpośredniego udziału w walce, chociaż nieczęsto znajdował się w pobliżu armat i muszkietów, to jednak przebywanie w obozie wiązało się z niebezpieczeństwem. Nie brakowało tu takich, co od razu wyciągają broń z pochwy, jak im się coś nie spodoba.

Lila o tym wiedziała. Wiedziała też, jak bardzo mąż cierpi z powodu jej milczenia. Ale przecież, i dobry Bóg to wie, ona nie chciała go ranić! I Bóg wie, dlaczego nie mogła, dlaczego nie wolno jej było zwierzyć się mężowi. Na samą myśl o tym, że Arno mógłby poznać jej tajemnicę, zaczynała dygotać z przerażenia. Zza okna, z ulicy dobiegła jakiś hałas, coś głośno huknęło. Lecz zaraz znowu zrobiło się cicho. Lila złożyła ręce, zaczęła się modlić.

*

Od wczoraj Judith czuła się we własnym domu jak więzień. Raz po raz niespokojnie podbiegała do okna, wyglądała na ulicę, biegła do drzwi i nasłuchiwała. Potem znowu śpieszyła do okna. Nie mogła spokojnie usiedzieć na miejscu. A jeszcze bardziej niespokojne były jej myśli.

Krażyły wokół Lennarta. I wokół wojny.

Bo w mieście nie gadano o niczym innym jak tylko o wojnie. O wielkim obozie obcej armii. Nie dalej jak wczoraj Judith widziała przed klasztorem dominikanów długi szereg tych, co uciekli przed żołdactwem. Z ust do ust krążyły najstraszliwsze wieści. Mówiono, że całe bandy żołnierzy napadają na wsie. Żołdacy plądrują i profanują kościoły katolickie, kradną monstrancje i srebrne naczynia, rozbijają stalle, załatwiają się na ołtarzach. Inni opowiadali, jak dzikie hordy wpadały do chlewów i stajni i na oślepię zarzynają zwierzęta. Opowiadano, że w Kronbergu żołdacy dopuścili się licznych gwałtów. Ale najstraszliwsza, niewyobrażalna potworność wydarzyła się w Usingen. Kramarki z terenów Hochtaunusu opowiadały, że jakaś kobieta rzuciła się, by zasłonić własnym ciałem męża, którego żołdackie zbiry chciały siłą wcielić do wojska. Wtedy jeden z siepaczy rapierem rozplątał jej brzemiennie łono. Judith zrobiło się niedobrze, gdy o tym usłyszała.

Bała się, przecież mieszka w domu sama z córką. Właściwie uczucie lęku towarzyszyło jej cały czas. Bała się napadu, włamania, chorób, samotności. A teraz jeszcze wojny. Co to będzie? — myślała gorączkowo, krążąc niespokojnie po pokoju. — Co będzie z nami wszystkimi? Co się dzieje z ludźmi? Czy to nie wszystko jedno, w jakim kościele służę Panu? Judith nie znajdowała odpowiedzi na te pytania. Żeby chociaż był w domu mężczyzna! — żaliła się w duchu. I znowu pomyślała o Lennarcie. Ale na myśl o nim zaczęła ją ogarniać wściekłość. Napelniała ją jak woda puste naczynie. Jakże on mógł posunąć się do tego, by przyjąć do domu tę Kathi! Dobrze, obowiązkiem chrześcijanina jest pomagać sąsiadom w potrzebie, ale że Kathi tak od razu wprowadziła się do Lennarta, nie, to nie może być wola boska! Jakże bezczelnie ta kobieta wśliznęła się w gotowe gniazdko! Potajemna kochanica, co to dla każdego ochoczo rozkłada nogi! A ten jej spalony dom! To nie był dom, ta buda nie zasługiwała na miano domu! Kathi! Któż to taki? Nikt!

Judith aż zacisnęła pięści. O, na pewno mu się podsuwa... kręci tyłkiem, trzepocze rzęsami, potrząsa pierściami! Kto wie, co ta szelma obiecała Lennartowi, żeby tylko pozwolił jej u siebie mieszkać! To babsko nie ma ani krzty dumy, za grosz godności!

Judith poczuła, że się dusi, zupełnie jakby zaczęły na nią napierać ściany domu.

Lila. Pójdę do Lili — postanowiła. — Jeśli ktoś tu może poradzić, to tylko ona.

Popołudnie było szare i ponure, potężne chmury groźnie piętrzyły się na niebie, ale Judith nie mogła już dłużej wysiedzieć w domu. Wybiegła bez narzutki, byle jak nasadzony czepek nieporządnie przykrywał kasztanowe włosy. Szła Buchgasse, potem Mainzer Gasse, zaraz

dojdzie do Fahrgasse, tam gdzie mieszka Lila. Ulice, położone w pobliżu Romera i zwykle pełne ludzi, dzisiaj były opustoszałe i ciche. Nie spotkała nikogo. Było duszno, Judith dyszała ciężko, chociaż wcale nie szła prędko. Krople potu perliły się nad górną wargą, suknia kleiła się jej do ciała.

Już z daleka widziała dom Pod Krukiem. Ale coś było nie tak, inaczej niż zwykle. Dziwna cisza i bezruch. Okna zasłonięte okiennicami, z komina nie leciał dym, a przecież był jasny dzień. Judith podeszła do drzwi. Stała i nie mogła się ruszyć, jakby ją grom raził. Zamek i klamka zostały wyrwane, w miejscu, gdzie były, ziała teraz ogromna dziura, a skrzydło drzwi krzywo wisiało na zawiasach. Judith ostrożnie rozejrzała się wokoło, potem z ociąganiem, lękliwie weszła do środka. Odgłos jej kroków niezwykle głośno rozległ się w sieni.

— Lila? — zawołała. I jeszcze raz, głośniej: — Lila! Gdzie jesteś?

Ostrożnie zbliżyła się do drzwi kuchni, zajrzała do środka. Wypolerowane miedziane kociołki i patelnie leżały na posadzce, między nimi skorupy potrzaskanych glinianych naczyń, rozgniecione rośliny ze skrzynki na parapecie. A wśród tego wszystkiego siedział chudy kot, przegowany burasek, i zlizywał śmietanę, która wypłynęła z przewróconego dzbanka.

Judith powoli poszła dalej. U podnóża schodów zatrzymała się i znowu zawołała Lilę. Ale nikt nie odpowiedział. Weszła na górę, po kolei zajrzała do wszystkich pokojów. Nigdzie nie znalazła Lili. Serce waliło jej jak oszalałe, strach ścisnął gardło. Dom wyglądał jak pobojuwisko, wszystko zniszczone, poprzewracane. Z ociąganiem, drżąc na całym ciele, weszła wreszcie na schody prowadzące na strych. Słychać było tylko chrobotanie myszy. Poza tym nic. Cisza jak makiem zasiał. Dreszcz strachu spłynął jej po karku.

— Lila! — zawołała. — Lila? Lilo, jesteś tu? — Znowu nic. Żadnej odpowiedzi. Ale nie! Chyba usłyszała jakieś westchnienie, jakiś jęk! Ktoś potrzebuje pomocy? A może rabuś czyha tu, na górze, gotów zaatakować, jak tylko postawię nogę na strychu! — pomyślała Judith ze strachem. I w tej właśnie chwili wyraźny, głośny dźwięk zdradził jej, że nie jest w domu sama.

*

Rieke kazała Trajanowi przyjść następnego dnia o wpół do szóstej wieczorem. Stawił się punktualnie. Andreas poszedł na spotkanie towarzystwa „Zum Frauenstein”, jednego z czterech ważnych stowarzyszeń patrycjatu miasta. Podczas tych cotygodniowych, wieczornych biesiad omawiano także sprawy handlowe, Andreas ubił w ten sposób niejeden dobry interes. Rieke wiedziała z doświadczenia, że mąż nie wróci przed północą.

Pod lekkim jedwabnym szlafrokiem, który Andreas nabył od jakiegoś kupca ze wschodu, Rieke miała tylko koszulę. Chciała, aby wszystko odbyło się szybko i bez zbędnych ceregieli. Chodziło o dziecko. O nic więcej.

— Nie stój tak w drzwiach, jakjakiś sługa! — warknęła na Trajana. — Wejź!

Trajanowi zaschło w gardle. Miał w rękach czapkę, niepewnie przestępował z nogi na nogę. Oddychał niespokojnie. Rieke zauważyła, że był świeżo umyty, włosy na karku miał jeszcze wilgotne. Spojrzała na niego z aprobatą.

— Widzę, żeś się postarał — pochwaliła go.

Podeszła bliżej, ujęła go pod brodę, zmusiła, żeby popatrzył jej w oczy. I w tej chwili cała niepewność Trajana zniknęła. Chwycił ją za nadgarstek, drugą ręką ujął pod brodę, przycisnął wargi do jej ust, rozchylił je pocałunkiem. Z początku Rieke trochę się opierała, ale

po chwili poddała się, bezsilna w jego uścisku. Trajan ujął mocno jej nadgarstki, przycisnął ją do ściany. Teraz to on głęboko patrzył jej w oczy. Rieke dostrzegła w jego spojrzeniu wyraz pewnej dzikości, coś, co nappełniło ją nieokreśloną, ale rozkoszną trwogą. Było tak, jakby musiała się poddać jego mocy, wydana na jego łaskę, jakby nie mogła zapobiec temu, co miało się zaraz stać. To było tak, jakby za nic nie odpowiadała.

Przez jeden krótki moment była o krok od tego, by odepchnąć Trajana, zawołać pomocy. Ale zaraz uległa jego męskiej sile.

6

Kiedy Rieke oprzytomniała, leżała na łóżku w swojej sypialni. Obok niej Trajan: wsparty na łokciu muskał palcem jej szyję, potem zszedł niżej, sunąc między piersiami, w dół po brzuchu aż do wzgórka łonowego. Rieke mocno przytrzymała jego rękę.

— Wystarczy — powiedziała i odchrząknęła. — Możesz już iść. Wykonałeś swoje zadanie na dzisiaj.

Uniosła się na łóżku. Jej ciałem owładnęło lekkie drżenie, jakby dreszcz, delikatny dygot, coś, czego wcześniej nie знаła. Odwróciła się. Trajan ciągle jeszcze opierał głowę na dłoni, spoglądał na nią z uśmiechem.

— To wszystko, czego ode mnie chcecie? A miłość, a rozkosz?

Jego uśmiech wydał jej się teraz niemal bezczelny.

— Daruj sobie ten uśmieszek — ofuknęła go. — Jesteś tu tylko po to, żeby zrobić swoje. Uczynić mnie brzemienną. Chcę od ciebie dziecka. Potem nie będziesz mi już potrzebny. Twoja miłość, twoje pożądanie i rozkosz są mi obojętne. Zrozumiałeś?

— Moja miłość, moje pożądanie i rozkosz są wam obojętne. Mam tylko spełnić swoje zadanie, abyście

osiągnęli wasz upragniony cel. A jak tego nie zrobię, oskarżycie mnie o kradzież — odparł Trajan.

Rieke odwróciła się, spojrzała mu w twarz, spodziewając się wyrazu ironii. Ale jego twarz była obojętna.

— Możesz iść — powiedziała szybko, wstała i po omacku ściągnęła jedwabny szlafroczek, przewieszony przez filar łóżka. Zarzuciła go na siebie, podeszła do toaletki, wzięła srebrną szczotkę i zaczęła rozczesywać swoje długie, ciemne włosy. W zwierciadle obserwowała przy tym mężczyznę leżącego w jej łóżku.

Trajan wstał bez pośpiechu, wyprostował się swobodnie, zupełnie się nie wstydząc. Rieke podziwiała jego szerokie bary, płaski brzuch, mocne uda i męskość, znacznych rozmiarów nawet w stanie spoczynku.

— Odziej się! — rozkazała, cisnęła szczotkę na niedużą komódkę i odwróciła się. — No, już! Szybciej!

Schyliła się, podniosła jego spodnie, rzuciła mu. Trajan je wdział, potem koszulę, nałożył wams, na koniec wciągnął boty. Rieke przyglądała mu się z założonymi na piersiach rękami. Kiedy był gotów, podeszła do drzwi, otworzyła je. Trajan przeszedł przez pokój, stanął przed nią: ujął jej twarz w obie dłonie, zajrzał jej w oczy, potem przycisnął wargi do jej ust, całował ją długo i puścił dopiero wówczas, gdy zaczęła pięściami walić go w pierś.

— Nie zapominaj, kim jesteś! — syknęła wściekle, dotykając obolałych warg. — Tylko o tym nie zapomnij! Jesteś ładowaczem u mojego męża. I nikim więcej. Gdyby ci się zachciało kiedykolwiek twierdzić co innego, stracisz rękę. A teraz wynoś się!

Trajan uśmiechnął się, delikatnie musnął ją po policzku.

— Kiedy będziecie mnie znowu potrzebować? — zapytał cicho.

Rieke odrzuciła głowę do tyłu.

— Dowiesz się, gdy przyjdzie pora — oświadczyła i zatrzasnęła za nim drzwi.

*

Godzinę później Rieke siedziała w izbie bawialnej z tamborkiem w ręku. Miała na sobie szatę z najdelikatniejszego angielskiego sukna. Nad flandryjską koronką obszycia wokół szyi jej policzki jaśniały delikatnym odcieniem różu; oczy błyszczały. Co chwila przesuwiała językiem po lekko obrzmiałych wargach. Na jej twarzy malował się wyraz zaspokojenia.

Usłyszała kroki męża już z ulicy, jeszcze zanim wszedł do domu. Odłożyła tamborek, wzięła kielich z czeskiego szkła i napełniła go winem. Kiedy usłyszała, jak drzwi za nią otwierają się, uśmiechnęła się i zwróciła do męża rozpromienioną twarz.

— Mój miły, jak dobrze, że już jesteś.

Podawała mu wino. Andreas wziął kielich, spojrzął na żonę lekko zdziwiony, potem wypił do dna.

— Coś się wydarzyło? — zapytał.

— Jak to?

— Wyglądasz na rozradowaną.

— Cóż... — zaczęła Rieke z uśmiechem, obracając w ręku swój pusty kieliszek. — Dobrze mi się wiedzie. Nie mam powodów do zgryzoty.

— Rad jestem — odparł małżonek i Rieke przez chwilę wydawało się, że naprawdę się cieszy, ale spojrzenie Andreeasa zaraz spochmurniało.

— Coś cię trapi?

— Tak — potwierdził Andreas, kiwając głową. — Czasem wydaje mi się, że służba i najemni robią, co chcą. Zanim wyszedłem, poleciłem Trajanowi, głównemu ładowaczowi, żeby przetoczył beczki z podwórca do piwnicy. A teraz wracam, i widzę, że ciągle jeszcze tam stoją. Ten

człowiek nie pierwszy raz przysparza mi kłopotu. Silny jest jak niedźwiedź, a uparty jak wół. Cały czas muszę go mieć na oku, żeby robił, co każe. Może lepiej go zwolnić.

Rieke oblała się potem. Nie, Andreas nie może teraz wyrzucić Trajana!

— Słyszałam, że on ma rodzinę — wtrąciła — żonę, dzieci. Postąp po chrześcijańsku, okaż pobłażliwość. Może ma jakie zgryzoty, jaką troskę w rodzinie? Wezwij go, każ się wytłumaczyć, ale nie dopuść, by ucierpiały niewinne dzieci.

Andreas nachylił się, lekko pocałował żonę w policzek.

— Niech będzie, skoro o to prosisz. — Wstał, podszedł do kominka i dorzucił dREW do ognia. — Wezwę go i napomnę. Jednak to ostatni raz! Jak się nie poprawi, nie będę mu dłużej pobłażał! I robię to dla ciebie, a nie dla jego dzieci. Ale dość o tym. Powiedz mi, co ty robiłaś przez cały dzień.

Rieke uśmiechnęła się z ulgą.

— Ach, nic takiego! — Machnęła ręką. — To co zwykle. Zresztą muszę ci powiedzieć, że patrycjuszka Rohrbach nie pozdrowiła mnie dzisiaj na ulicy. I tak sobie myślę, czy ma to może co wspólnego z pobytem Lili w więzieniu.

— A skądże by ona miała o tym wiedzieć! — zawołał Andreas. — To niemożliwe.

— Obawiam się, że jesteś w błędzie, mój drogi! Poza tym uważam, że powinieneś w tej sprawie wypytać Arna. Niech się jakoś wytłumaczy. W końcu to Lila naraziła na szwank dobre imię rodziny. Małżonka kupca wtrącona do lochu! Nie, to nie przemawia za solidnością domu handlowego.

— Arno jest w Hóchst. Nie mogę z nim porozmawiać — wyjaśnił Andreas.

— Ach tak? Był tak rozgniewany na Lilę, że aż pociągnął na wojnę? — rzuciła Rieke z przekąsem.

— Nie wiem — skłamał Andreas. Nie miał ochoty rozprawić z żoną o swoim bracie.

— Wszystko jedno — rzekła Rieke. — Bądź co bądź, czas, by ktoś wreszcie utarł nosa tej zadufanej w sobie kobiecie!

*

Deski podłogi trzeszczały przy każdym jej stąpieniu. Strych pogrążony był w półmroku. Z powały zwisały pajęczne nici, między belkami stropu jedno obok drugiego przyklejone były jaskółcze gniazda. Judith czuła się nieswojo w tym nieprzyjemnym miejscu, ale przecież nie mogła wyjść, nie sprawdzwszy wprzód, czy przypadkiem nie ma tu Lili.

Była teraz w najdalszym kącie strychu, naprawdę przestraszona. W przyćmionym świetle wszystko wyglądało groźnie i niesamowicie, dotyk pajęczyn przyprowadził ją o gęsią skórę, wzdrygnęła się ze strachu i obrzydzenia.

— Lila! Lilaaa! — zawołała znowu. I znowu nic. Cisza. Judith wzięła głęboki oddech i już odwróciła się, by pójść z powrotem do schodów, gdy nagle... co to? Nawet w półmroku na zakurzonej podłodze widać było wyraźne, świeże ślady stóp. Judith uniosła spódnice i pochyliła się, by przyjrzeć się im dokładnej. Nie potrafiła stwierdzić, czy zostawiła je kobieta, czy też mężczyzna. Ślad prowadził od schodów w kierunku ściany, a potem skręcał do małego pomieszczenia, którego drzwi stały otwarte. Pośrodku izdebki trop się urywał. Serce Judith zaczęło walić jak szalone — poczuła, że koniecznie musi zbadać tę sprawę. Przyklękła, pomacała ręką podłogę. Palce natrafiły na luźną deskę. Judith wstrzymała oddech, uniosła deszczułkę. W zagłębieniu pod nią leżała skrzyneczka z dziwacznymi zdobieniami. Ostrożnie, świadoma tego, że wtyka nos w nie swoje sprawy, podniosła wieczko.

Wewnątrz spoczywał łańcuszek z wisiorkiem w kształcie gwiazdy i pukiel jasnych włosów.

Judith głęboko nabrała powietrza i wypuściła je, kiwnęła głową, jakby nie spodziewała się niczego innego, potem zamknęła puzderko, włożyła z powrotem do skrytki i przykryła deszczułką. Wstawszy, otrzepała suknie i wyszła z izdebki. Schodząc ostrożnie po schodach, przystawała i nasłuchiwała uważnie. Nie wiedziała przecież, czy ci, którzy splądrowali dom, nie wrócą tujeszcze. Bała się. O siebie. O Lilę.

— Przecież ona musi tu gdzieś być — mruzczała do siebie — i ja muszę ją znaleźć! — Nagle przyszła jej myśl, że może Lila została uprowadzona. Ale potem nieoczekiwanie do jej uszu dotarł jakiś dźwięk — niewyraźny i z pewnego oddalenia.

— Lila? Lila! — znowu zawołała Judith.

Jeszcze raz przebiegła korytarz na piętrze, rozwierając po kolei wszystkie drzwi, zaglądając do każdej izby. Nigdzie nawet śladu Lili! Dopiero na podeście schodów, kiedy słońce wpadło przez uchylone drzwi, Judith zobaczyła jakiś przedmiot — rzuciła się na dół i znalazła czerwony skórzany trzewik Lili. Dotknęła go — był zimny, a to oznaczało, że leżał tu już od pewnego czasu. Judith wybiegła z domu przez tylne drzwi, znalazła się na podwórzu. Rozejrzała się i skierowała w lewo, do niedużej domowej łaźni. Drzwi domku były przymknięte, ale do wewnątrz wpadało wystarczająco dużo światła, toteż Judith weszła do środka. I wtedy zobaczyła Lilę: leżała w wielkim cebrze, z głową opartą o krawędź. Oczy miała zamknięte. Rude włosy pociemniały od wody, splątane oblepiały jej głowę. Twarz była blada, zda się, bez życia. Jakże jest piękna — przemknęło Judith przez głowę — wygląda jak posąg świętej męczenniczki... Na miłość boską, co tu się stało?! Judith szeroko otwartymi oczyma

wpatrywała się w Lilę. Wreszcie dostrzegła, że jej pierś niemal niedostrzegalnie unosi się i opada.

— Żyjesz! — wyszeptała i zaśmiała się. — Ty żyjesz!

Chwyliła Lilę mocno i z wielkim wysiłkiem, natężywszy wszystkie swoje siły, wyciągnęła ją z cebra. Ostrożnie położyła na podłodze, owinęła w wielki ręcznik kąpielowy. Potem wybiegła na ulicę, rozejrzała się szybko. Nie chciała zostawiać Lili samej, ale po tym wszystkim, co wydarzyło się w domu, nie ufała nikomu, kto tędy przechodził. W końcu chwyciła spódnice obiema rękami i co sił w nogach pobiegła w dół ulicy, do domu medyka miejskiego.

*

Marga nie pamiętała potem, jak trafiła z powrotem do domu. Nieświadoma tego, co robi, dosiadła konia i pojechała do miasta, opowiedziała się wartownikom przy bramie, odprowadziła konia do stajni. Kiedy oprzytomniała, siedziała przy kuchennym stole. Policzki miała mokre od łez, trzęsła się jak w febrze, jej ciało pokrywała gęsia skórka. W głowie czuła okropny, pulsujący ból. Zbierając wszystkie siły, wstała od stołu, by wziąć szal i okryć nim ramiona. Kiedy zapadł zmierzch i rozmył kontury przedmiotów, Marga zapaliła świeczkę. Przez cały czas nie ruszyła się z miejsca, splecione ręce złożyła przed sobą na stole i nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w płomień świecy. Westchnęła ciężko i wypowiedziała to straszne zdanie, najtrudniejsze w swoim życiu:

— On mnie nigdy nie kochał. — Słowa zawisły w kuchni jak czarny dym, który wżera się w oczy, nieznośnym ciężarem przygniotły jej plecy. Marga ścisnęła w rękę świecę, nie zważała na rozgrzany wosk kapiący jej na palce. — Nigdy mnie nie kochał — powtórzyła. A moja miłość do niego? — zaczęła się zastanawiać. — Powodo-

wało nią pragnienie korzyści własnej, a więc w istocie nie była to miłość. Chciałam, żeby on kochał mnie. Kiedy patrzyłam mu w oczy, chciałam widzieć siebie. Kiedy mnie dotykał, chciałam czuć delikatność mojej skóry, a nie jego ręce. Pragnęłam jego przypochlebnych słówek, by mile łechtały moją próżność. Jego wargi miały rozpieszczać moje ciało. Tego oczekiwałam.

Ale nic z tego się nie sprawdziło. Jego twarde ręce spadały na moje ciało jak grad na kwietną łąkę. Gdy mnie całował, tak mocno przyciskał mi wargi do ust, że nie mogłam złapać oddechu. Chciałam go, pragnęłam Roberta całym ciałem i całą duszą. Poślubił mnie, bo ja tego chciałam. A chciałam, bo go kochałam. Byłam tak zaślepiona w swojej miłości, że nie zważałam na to, co on odczuwał. No bo jak ktoś mógłby nie odwzajemnić mojej miłości? Czy Bóg pozwoliłby na coś takiego?

Myśli wirowały jej w głowie, jedna bardziej bolesna od drugiej. Marga nie mogła już wytrzymać przy stole, zerwała się z krzesła, wybiegła z domu, nie zabrawszy narzutki ni szala. Katharinenstrasse pośpieszyła w stronę rynku.

Kiedy doszła do placu rynkowego, stanęła jak wryta. Bo na placu urzędowali czescy werbownicy. Na samym środku stał kapitan i wykrzykiwał, rycząc jak buhaj:

*Za dnia i w nocy,
w marszu i na wachcie,
bijąc wroga
na wodzie i lądzie,
w szajkach i na polu,
w szturmach, potyczkach i bitwach,
i wszystkich innych przygodach
jak przystało na godnego, dzielnego i porządnego
żołnierza.*

Podszedł jakiś mężczyzna, lat około trzydziestu. Odzienie jego było nieco obszarpane. Kapitan poklepał go rażno po ramieniu, uśmiechnął się szeroko, wyciągnął błyszczącą monetę, podniósł i pokazał ze wszystkich stron. Marga wiedziała, że to był zadatek, dostawali go ci, co się zaciągnęli do wojska.

— Idź na plac musztrowy — gromkim głosem polecił mężczyźnie kapitan, ale ten miał jeszcze pytania:

— A co tam będzie? I co dalej?

Kapitan westchnął, jakby miał przed sobą głupkowate dziecko, potem odpowiedział rozdrażnionym tonem:

— Na placu musztrowym dołączysz do grupy pięciu, sześciu ludzi. Za kilka dni, gdy już zbiorą się wszyscy żołnierze, przydzielą wam broń i ekwipunek. Następnego dnia rozpocznie się musztra. Na koniec będzie apel, wtedy przeczytają wam regulamin, przedstawią chorążego, złożycie przysięgę żołnierską.

— To wszystko?

Kapitan pomyślał chwilę.

— Kapelan. Przyjdzie jeszcze kapelan, żeby wam zaopiekował się w kości i karty, chlania, bijatyk i przeklinania.

Świeżo upieczony rekrut kiwnął głową i chciał już odejść z placu, ale kapitan zawołał go jeszcze raz:

— A nie przepij pieniędzy. Musisz się odziać, zaprowiantować. Wojsko daje ekwipunek, ale bez aprowizacji. Na to dostaniesz żołd.

Mężczyzna popatrzył na monetę, uśmiechnął się krzywo, nagryzł pieniądza dla sprawdzenia, a potem się oddalił. Marga patrzyła za nim, dopóki nie zniknął w najbliższym szynku.

*

Rieke przez dwa tygodnie codziennie wzywała Trajana do siebie. Zwykle spotykali się u niej w domu. Ale dwa

razy także w spichrzu przy porcie. Andreas niczego nie zaważył, chyba tylko to, że była niezwykajnie wesoła, ale on wcale nie kwapił się, by poznać przyczynę tej wesołości. Kiedy po raz trzeci spotkali się w spichrzu, Trajan zapytał:

— A co, jak się okaże, że jesteś brzemienna? Jak w mówisz mężowi, że to jego dziecko, skoro z nim nie sypiasz?

Rieke się wyprostowała.

— O to się nie kłopotz — odparła szorstko, ale ta sprawa niepokoiła ją bardziej, niż chciała przyznać.

Następnego dnia posłała kucharkę na rynek, żeby kupiła selera, poleciła jej przygotować selerową zupę i sałatkę. Sama jeszcze raz udała się do znachorki na przedmieściu, poprosiła o napój miłosny.

Zielarka wsypała ingrediencje do lnianego woreczka.

— Są tu cztery roztarte płatki różane, miarka imbiru, miarka cynamonu — mruknęła. — Jak masz, dodaj jeszcze utłuczonego pieprzu. Zagotuj wszystko w mleku z migdałami i miodem. Ten napój rozpala ogień w lędźwiach. Nie będziesz się mogła opędzić od swojego chłopca. Rzuci się na ciebie jak ogień na klacz. — Zachichotała. — A jak to nie pomoże, to znaczy, że twój jest trup. — I stara roześmiała się skrzekliwie. Rieke spojrzała na nią z oburzeniem, ale ta nie przestała się śmiać.

Rieke rzuciła monetę na stół, wyrwała starej woreczek i czym prędzej wyniosła się z chaty.

W domu przyrządziła zioła tak, jak nakazała jej zielarka, wlała wywar do dzbanka, domieszała mocnego wina z korzeniami. Po kolacji z selerowymi daniami usiadła Andreasowi na kolanach, przytuliła się do niego. Andreas ani drgnął, siedział na swoim wyściełanym krześle z oparciami sztywno, jakby kij połknął.

— Czego chcesz? — zapytał.

— Odrobinę czułości — odparła.

Andreas dwa razy pogładził ją ręką po plecach, pogłaskał po ramieniu.

— To za mało!

Znowu pogładził ją po plecach, ale robił to tak obojętnie, jakby głaskał psa.

— Czemu mnie nie pragniesz? — zapytała Rieke cichym głosem. — Czemu nie traktujesz mnie tak, jak powinno się traktować kobietę w moim wieku i mojej urodzie?

Andreas westchnął.

— Jesteś moją żoną. Dostajesz ode mnie wszystko, czego chcesz. A teraz czego pragnie twoje serce? Nowej sukni? Kup sobie! Klejnotów? Jutro poślę po jubilera.

Rieke spojrzała na męża i rozpląkała się, pozwoliła łzom płynąć po policzkach.

— Naprawdę myślisz, że chcę nowych szat, nowego naszyjnika? Naprawdę nie wiesz, czego pragnę bardziej niż wszystkiego na świecie?

Andreas z wysiłkiem przełknął ślinę, delikatnie odsunął żonę.

— Dziecka. Wiem — powiedział.

— Tak. Dziecka. Ludzie gadają. Mówią, że Bóg pokarał nas bezdzietnością.

— Bzdura — odparł Andreas — ludzie wygadują różne rzeczy.

— A spadek? Nie myślisz o spadku po Geronie? W testamencie jest napisane, że jego wnukowie...

— Ach, o to chodzi. Zazdrościsz mojemu bratu i jego żonie. Utopiłabyś ich w łyżce wody. To dlatego mnie nękaasz, nastajesz na mnie, jakbym był bykiem rozplodowym! Dlatego wiercisz się na moich kolanach jak jakaś ladacznica!

Rieke zerwała się na równe nogi. Potem zamachnęła się i wymierzyła mężowi taki policzek, że na jego twarzy odcisnęło się wszystkie pięć palców.

Wybiegła z pokoju, w sypialni rzuciła się na łóżko, szlochając rozpaczliwie.

Andreas nalał sobie kolejny kieliszek wina, wypił jednym haustem, znowu nalał i wypił. Dopiero wtedy zebrał się na odwagę, by pójść do żony. Usiadł obok niej na łóżku, delikatnie dotknął ramienia płaczącej:

— Przecież cię kocham, Rieke — powiedział. — Cokolwiek ludzie gadają, kocham cię. A pewnego dnia i my będziemy mieli dziecko. Pewnego dnia. Na pewno. Obiecuję.

*

Kiedy Judith zastukała do drzwi domu doktora van Aakena, ten siedział właśnie przy wieczerzy.

— Doktorze van Aaken, chodźcie, jesteście potrzebni! Natychmiast! — zawołała Judith od progu. Widać było, jak bardzo jest wzburzona, toteż doktor, nie pytając o nic, od razu zerwał się z krzesła, rzucił serwetkę na stół, pobiegł po swoją torbę i czym prędzej wyszli z domu.

— Co się stało? — wypytywał po drodze.

— Znalazłam Lilę Geisenheimer w jej łaźni — odparła Judith — nieprzytomną.

— Ma jakieś obrażenia? Jakies rany zewnętrzne?

— Nie, chyba nie. Niczego nie zauważyłam.

Judith zaczęła drżeć, nie mogła się opanować.

— Żeby tylko nie umarła... — wyjąkała.

Chciała jeszcze dodać, że Lila wyglądała jak święta, ale się powstrzymała i tylko z boku popatrywała na lekarza.

— Jesteście w mieście od niedawna, prawda?

— Tak. Od kilku tygodni.

— Skąd przybyliście?

— Z Antwerpii.

Judith przystanęła.

— Z Antwerpii? Jak Lila? To może ją znacie?

Doktor popatrzył na Judith z boku, a jego spojrzenie wydało jej się bardzo natarczywe.

— Antwerpia to duże miasto. O wiele większe niż Frankfurt — odparł. — Nie jest możliwe, by znać choćby dziesiątą część jej mieszkańców.

Dotarli do domu Geisenheimerów. Judith wskazała na wyłamane drzwi.

— Ktoś tu był, przeszukał i zdemolował dom, zrobił coś Lili.

Złapała doktora za rękaw.

— Cokolwiek się tu stało, cokolwiek tu zobaczycie, proszę was, nie rozpowiadajcie o tym. Przynajmniej do czasu, aż Lila odzyska przytomność.

Medyk milczał.

— Przyrzeknijcie! — nalegała Judith.

Dopiero gdy doktor van Aaken skinął głową na potwierdzenie, Judith poprowadziła go sienią do tylnych drzwi domu, na podwórzec i do łaźni, gdzie Lila ciągle jeszcze leżała nieprzytomna.

7

Dzień był szary, ponury i Marga miała uczucie, że ciemne, brzuchate chmurzyska sięgają aż do jej ramion, kładąc się na barkach nieznośnym ciężarem. Straciła dziś wszystko: majstra warsztatu, męża i wiarę w siebie. Nigdy jeszcze nie czuła się tak słabo i nędznie, nigdy nie wydawała się sobie tak mało warta.

Czy on mnie naprawdę opuści? — zastanawiała się gorączkowo. — I co wtedy? Co ja pocznę! Kobieta, i to sama, w kraju, który od lat nękany jest wojną! Kto mnie obroni? Jak dam sobie radę z warsztatem? Ale, co gorsza, ludzie nie będą mnie poważać, stracę cały szacunek i respekt... o tak, będą gadać, że nie umiałam utrzymać męża przy sobie. Wysznięte łono. Jazgotliwa baba, od której uciekł mąż... Bo nieważne, co się naprawdę stało — jak mąż opuszcza żonę, to zawsze wina jest po jej stronie. Murowana prawda — jak lipski ratusz albo kościół zamkowy w Wittenberdze.

Z jej piersi wyrwało się ciężkie westchnienie. Tak. Robert odejdzie, ucieknie z córką papiernika. Zostawi mnie, pewnie się nawet nie obejrzy. Sama ofiarowałam im na to pieniądze. — Zaśmiała się gorzko. — A jest

wojna. Tylu mężczyzn już padło. Wszędzie wdowy, wdowy i wdowy. I każda jest rada, jak w ogóle złapie jeszcze jakiegoś chłopca. A widoki są marne, naprawdę marne. Bo przecież każda kobieta potrzebuje męża, wszystko jedno jakiego, byle był... Byle był? Choćby przepijał pieniądze, bił i do niczego się nie nadawał...? Tak, nawet taki lepszy niż żaden. A ja jestem sama. Jeszcze nie całkiem, ale tylko patrzeć...

I znowu ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi Margi, jęk z głębi serca. Ale jej myśl była teraz zdecydowana, stanowcza: Nie, on nie może odejść. Nie pozwolę mu! Nie zostawi mnie tak po prostu! Cokolwiek zrobił — wszystko mu wybaczę. Byle tylko ze mną został! Lecz ta kobieta, ta brzemienna, moja rywalka?! Zatkam jej gardło pieniędzmi, skoro nie może być inaczej! Zrobię wszystko, byle go zatrzymać. Tak!

Wstała, gęsia skórka pokryła jej ramiona, Marga aż się wzdrygnęła, dotykając ramienia palcami. Podeszła do okna, wyjrzała na ulicę. Na Katharinenstrasse panował zwykły ruch, pełno ludzi i wozów — ulica prowadziła prosto na rynek targowy.

Obok domu Margi przejeżdżali gospodarze ze swoimi wozami. Jakaś stara kobieta niosła pod pachą chudą kure, której nie udało jej się sprzedać. Dwaj mali chłopcy, pacholeta jeszcze, taszczyli na plecach wielkie, puste kosze, umocowane na ramionach parcianymi paskami i niemal tak duże jak oni sami. Czarno odziany jeździec poganiał swojego wierzchowca, nie bacząc na pieszych, tak że ludzie w popłochu uskakiwali na bok. Mnich żebrak nawoływał do poprawy i pokuty. Pośród tego całego zgiełku, pośród śmiechów, przekleństw i nawoływań rozległo się bicie dzwonów z wieży pobliskiego kościoła św. Mikołaja. Życie toczy się dalej — pomyślała Marga — j a k b y się nic nie stało. Ja nikogo nie obchodzę.

Nikt się o mnie nie zatroszczy, nikogo nie obchodzi, co ze mną będzie.

Na krótką chwilę ogarnęła ją wściekłość. Ale przeciwko komu miałyby tę wściekłość skierować? Przecież była kobietą. Była skazana na przegraną, skazana na służenie, na podległość i podporządkowanie mężczyźnie.

Sięgnęła dłonią do karku, odpięła klamrę przytrzymującą blond włosy o odcieniu trzciny wypłowiałej od słońca. Potrząsnęła głową, zanurzyła we włosach rękę, kosmyki prześliznęły się między palcami. Znowu przeszła ją bolesna myśl: pogardza nią nie tylko mąż, lecz także i syn. Ale wżgarda nie dotyczyła tylko jej — obydwaj, i mąż, i syn, patrzyli z góry na wszystkie kobiety. Gdybym tylko potrafiła kochać siebie — pomyślała Marga — może i Roberta skłoniłabym do miłości. Ujrzała przed sobą obraz brzemiennej kochanicy męża, jak stoi i zadowolona z siebie gładzi się po brzuchu, przekonana o swojej władzy. Może to i było głupie, a może rzeczywiście miała władzę nad Robertem. Ale nawet jeśli, to z pewnością na krótki, śmiesznie krótki czas.

Marga westchnęła. Jednak zaraz uniosła kąciki ust, wygięła wargi jak do uśmiechu — i znowu wstąpiła w nią nadzieja. Jak się tylko czegoś bardzo chce — pomyślała — to się w końcu spełni. Tak powiadają. Trzeba tylko chcieć, wtedy się uda, jak mnie teraz ten uśmiech.

I uśmiechnęła się szerzej: na siłę, ale się udało. A im dłużej tak stała z wygiętymi ustami, tym łatwiej przychodziło jej wargom się uśmiechać.

Po chwili Marga poszła do kuchni, nastawiła wodę na kąpiel.

I już po niedługim czasie gorąca woda parowała w wielkim cebrze. Marga rozebrała się, dołała do kąpieli nieco mleka. Wyciągnęła się w wodzie, jakiś czas rozkoszowała się przyjemnym ciepłem, potem natarła ciało mialkim

piaskiem. Po kąpieli splukwała włosy octem, a zanim się z powrotem ubrała, namaściła ciało wonnym olejkiem. Naliczyła sto pociągnięć szczotką, zanim jej włosy były znowu suche i błyszczące. Odświeżona i ubrana, z kieliszkiem wina poszła do izby bawialnej, by poczekać na Roberta.

Usiadła na krześle z oparciami, nogi wygodnie ułożyła na zydlu i nastawiła się na długie czekanie, ale minęło ledwie parę chwil, gdy usłyszała, że Robert wraca. Miała nadzieję, że mąż zajdzie do niej, do bawialni, jednak tak się nie stało. Usłyszała, jak otwierają się drzwi do małego kantorka męża, a potem zatrząskują. Muszę do niego pójść — pomyślała niezadowolona — do tego wszystkiego to jeszcze ja muszę iść do niego! Przynajmniej wiem, co robić. Jak nie zechce zostać ze mną z własnej woli, to go zmuszę. Już wiem, jakim sposobem.

Podeszła do drzwi kantorka, zapukała krótko i weszła, nie czekając zaproszenia.

— Czego chcesz? — warknął Robert. Nogi w sztywnych od błota butach położył na stole, ręce skrzyżował na piersi. Cała jego postać zdawała się mówić, jak bardzo Marga mu przeszkadza. Wyglądał na sytego i zadowolonego. Jak tłusty czerw w polciu słoniny — pomyślała Marga z lekką odrazą.

— Porozmawiać z tobą — odparła. Jej głos zabrzmiał dosyć żałośnie, zupełnie nie tak, jak chciała.

— O czym?

— O naszej przyszłości.

— A co tu jest do gadania! — burknął Robert.

— Córnica papiernika z błoni jest brzemienna za twoją przyczyną. Żąda, byś się ze mną rozwiódł i żył razem z nią.

Robert zdjął nogi ze stołu, usiadł prościutko jak świeca.

— Skąd to wiesz?

Na jego twarzy pojawił się wyraz napięcia, Robert nie spuszczał z Margi badawczego spojrzenia.

— A jakie to ma znaczenie!

— Chciałbym wiedzieć, kto mnie oczernia.

Marga roześmiała się.

— Nie pleć. Oboje wiemy, że to prawda. Dałam jej bratu trzysta guldinerów, żeby nie oskarżył cię o gwałt.

Robert pochylił się do przodu, oparł przedramiona na stole.

— Czego chcesz? — zapytał.

Marga nie odpowiedziała od razu. Nieśpiesznie przyglądała się mężowi. Nie był już młody, to pewna. Miał trzydzieści sześć lat i już dawno stracił pierwsze zęby. Włosy na skroniach przyprószyła siwizna, cerę znaczyły czerwone żyłki, a tłusty kałdun wylewał się ze spodni. Mimo to ciągle jeszcze był dość przystojnym mężczyzną. Jego brązowe oczy błyszczały jak dojrzałe kasztany, a gdy się uśmiechał, przesuwając ręką po ciągle jeszcze gęstych, kręconych włosach, Marga widziała w nim czasem mężczyznę, jakim był przed osiemnastu laty.

— Zatem, czego chcesz? — powtórzył Robert.

— Życzę sobie być jedyną kobietą w twoim życiu — oświadczyła Marga spokojnie, patrząc mu przy tym mocno w oczy.

— Co takiego?! — Robert wybuchnął śmiechem, jakby jego żona powiedziała coś bardzo zabawnego.

— Chcę być jedyną kobietą w twoim życiu — powtórzyła Marga. — Zrób sobie, co chcesz, z tą nierządną dziewczką, którą uczyniłeś brzemienną. Żądam od ciebie, żeby ona nigdy — słyszysz: nigdy więcej! nie pojawiła się w naszym domu. Daj jej więcej pieniędzy, wyprzuj się ojcostwa, wymyśl coś. Niech zniknie z naszego życia. Potem przysięgniesz mi na Biblię, że jestem jedyna.

Robert zaśmiał się, rozparł na krześle, z powrotem położył uwalane buciory na stół.

— A co, jak tego nie zrobię, czego ode mnie żądasz?

Marga lekko przechyliła głowę na bok, posłała mężowi laskawy uśmiech.

— Och, jest kilka możliwości. Po pierwsze, twoja brzemenna dziewczka groziła mi, że doniesie na ciebie o gwałt. Tak sobie myślę... pewnie paroma talarami uda się nakłonić jej brata, żeby naprawdę poszedł do sędziego z doniesieniem. Po drugie, odmówię zapłacenia podatku do kasy wojennej. Wtedy, chcąc nie chcąc, będziesz musiał iść na bitwę. Jak ci się poszczęści, to może wrócisz cały i zdrow.

Uśmiechając się, skinęła mu głową i już chciała się odwrócić i odejść, gdy Robert zerwał się z krzesła, złapał ją za nadgarstek, pociągnął do siebie. Jego oczy miały błyskawice, ale nagle pochylił się nad nią, zaczął ją obwąchiwać. Na jego nalanej twarzy pojawił się wredny uśmieszek.

— Aha! Wypachniłaś się! — powiedział cicho i z wyraźną złośliwością w głosie. — Taka jesteś pewna, że mnie przekabacisz? Że od razu na ciebie wleżę?

Zarechotał, a Marga poczuła, jak rumieniec wstydu oblewa jej twarz. Wiedziała, że straciła przewagę, jej pozycja osłabła, a cały nacisk na Roberta diabli wzięli. Ze wstydu najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Robert chwycił ją w tali, przyciągnął do siebie, dmuchnął jej lekko w policzek, a potem odepchnął tak mocno, że aż zatoczyła się na ścianę.

— Potrzebuję czasu do namysłu — powiedział od niechcenia. — Może powiem ci jutro, co postanowiłem, a może pojutrze. Albo w następnym tygodniu. Zgłoszę się, bez obawy.

Przesłał jej pocałunek ręką, zaśmiał się, po czym, kręcąc głową, podszedł do drzwi i wybiegł, zatraskując je za sobą.

Marga stała ze zwieszonymi ramionami i twarzą płonąca wstydem. Dobrze by jej zrobił płacz, lecz łzy nie

chciały płynąć. Gdyby mogła coś roztrzaskać — ale czuła się taka słaba, nie miała siły unieść ręki. Chciała o tym wszystkim zapomnieć. Chciała umrzeć.

Powoli, szurając nogami jak stara kobieta, powlokła się do kuchni. Otworzyła spiżarnię, chwyciła wielką flaszę wina, złamała lakową pieczęć, zębami wyciągnęła korek. Ostatkiem sił uniosła ciężką butelkę, przyłożyła do ust, zaczęła pić. Wino sphywało jej do gardła i po brodzie. Paliło w nosie, ciekło po szyi. Piła i piła, zrobiło jej się niedobrze, ale piła dalej, wlewała w siebie wino, aż omal nie pękła, aż ręce nie mogły dłużej utrzymać butelki, a nogi — ciała. Marga jak kłoda padła na podłogę. Obok niej butelka rozprysnęła się na tysiąc kawałków.

*

Lila obudziła się w obcym łóżku. Najpierw przypomniała sobie swój zdemolowany dom i że jej mąż jest na wojnie. Potem zobaczyła, że przy łóżku siedzi Judith.

— Gdzie... gdzie są moje dzieci? — wyjąkała Lila.

— Są tutaj. Zdrowe i wesole jak rybki w Menie. Nic nie wiedzą o tym, co się wczoraj stało. — J u d i t h delikatnie pogładziła Lilę po ręce. — Zostaniecie u mnie jeszcze jakiś czas — dodała z miłym uśmiechem — przygotowałam już izby dla Tytusa i Damaris. Dzieciom nic nie jest. Nic a nic nie wiedzą o tym... tym zdarzeniu wczoraj... Damaris była u zakonnic, a Tytus w szkole.

Judith chętnie pogawędziłaby jeszcze trochę, taka była rada, że Lila wreszcie otworzyła oczy. Ale widziała przecież, że Lila jest wyczerpana — jej skóra była woskowo blada, oczy bez blasku, wargi sine. Mimo to zapytała:

— Co się stało w twoim domu? — I ścisnęła lekko rękę Lili. — Powiedz mi, co się wczoraj wydarzyło?

Lecz Lila zamknęła tylko oczy i lekko pokręciła głową.

Judith posiedziała przy niej jeszcze chwilę, lecz kiedy stwierdziła, że Lila rzeczywiście znowu zasnęła, wstała cicho i wyszła z domu.

*

Poszła do domu Rieke. Co prawda, nie oczekiwała, że Rieke przyjmie ją z otwartymi ramionami, ale nie spodziewała się też, że będzie ją trzymać przed drzwiami, jak jakiegoś domokrażcę.

— Czego chcesz? — usłyszała na powitanie.

— Wiesz, co się stało Lili?

Rieke zaśmiała się.

— A co, uciekła z więzienia? Zaraz, zaraz... przecież była już na wolności... To co, znowu ją aresztowano? Siedzi teraz za długi?

Judith się skrzywiła. Nie lubiła uszczypliwości Rieke, nie znosiła jej wyniosłego zachowania. A kimże ona jest, że sobie tak pozwala? — pomyślała nie pierwszy raz.

— Lila została napadnięta w swoim domu — rzekła. — Wszystko jest zniszczone, cały dom spustoszony. Nic jej nie zostało. Tylko życie.

— Dla takiej jak ona to i tak za dużo — rzuciła Rieke arogancko.

— Nie wpuścisz mnie? Mam stać przed twoimi drzwiami jak żebraczka? — zapytała Judith.

— Cóż, o ile się nie mylę, to właśnie przysłaś żebrać, a może nie?

— Proszę o sukienkę dla Lili. Tylko jedną. Dla ciebie to nic. Twoje skrzynie pękają od sukien, koszul i futer.

Rieke ostro wciągnęła powietrze, ustąpiła na bok i wpuściła Judith do środka.

— Zaczekaj tu! — rzuciła. Zostawiła Judith w ciemnej sieni i poszła po schodach na górę.

Judith patrzyła za odchodzącą. Rieke minęła pierwszy podest, było widać już tylko szczupłą dłoń z wdziękiem sunącą po poręczy. Czekając, Judith przyglądała się kosztownej snycerce i starannie utoczonym filarom — te schody musiały kosztować majątek! Tak jak wszystko w tym domu, który kazała urządzić żona Andreasa Geisenheimera.

Rieke wróciła po chwili, podała Judith sukienkę, która nawet na drugi rzut oka nie wyglądała na nadającą się do noszenia. Mnóstwo dziur wygryzionych przez mole, sznurówki w staniku zerwane, wielkie plamy na bawecie, rąbek spódnicy w kilku miejscach ponadrywany.

— Masz! To wszystko, co mogę dać! Jest wojna. Każdy musi myśleć o sobie.

Judith wzięła sukienkę, spojrzała na nią, potem po prostu upuściła łańcuch na podłogę.

— Powinnaś się wstydzić! Przed Bogiem i ludźmi. Obyś nigdy nie była zdana na pomoc innych. Oby los nie odplacił ci tym samym.

Z tymi słowy Judith odwróciła się, by odejść.

Nie widziała twarzy Rieke, na której jednak odmalowało się zmieszanie. Posunęłam się za daleko — pomyślała Rieke. — Tym razem przeciągnęłam strunę.

Ale szybko się uspokoiła, podniosła sukienkę i rzuciła pod nogi kucharce.

— Weź, może ci się przyda.

Kucharka kiwnęła głową, wzięła suknię, strzepnęła, wygładziła.

— Chciałabym omówić z wami jadłospis, pani — powiedziała, ale Rieke, zła jak osa, wzięła się pod boki i fuknęła:

— A poradźże sobie sama! Choć raz! Spizarnia jest pełna. Już tam coś znajdziesz, żeby nas nakarmić. Ja mam inne troski na głowie!

Z tymi słowy wybiegła z kuchni.

To była prawda. Rieke miała inne troski. Tego dnia rano Andreas oświadczył, że ostatecznie wyrzuci pierwszego ładowacza. Rieke poczuła zimny dreszcz na karku, gdy o tym usłyszała. Potrzebowała jeszcze Trajana. Dopóki nie miała pewności, że jest brzemienna, nie mógł tak po prostu zniknąć, musiała go mieć pod ręką. Ale chociaż ze wszystkich sił myślała nad jakimś wyjściem, nic nie przychodziło jej do głowy.

*

Lila była jeszcze bardzo osłabiona, przy każdym kroku oblewał ją pot. Nie minęła nawet trzech domów przy ulicy, a suknia już kleiła jej się do ciała. Raz po raz przystawała, nasłuchując. Wydawało jej się, że z daleka słyszy odgłos armat. Ale nie — potrzęsnęła głową — to przecież niemożliwe, Höchst leży zbyt daleko — doszła do wniosku. Gdy jednak spojrzała w niebo, ujrzała obłoki dymu, które podnosiły się na wschodzie i z pewnością napływały znad pola bitwy. Ludzie opowiadali, że większość domów w Höchst strawił pożar. Najnowsze, straszne wieści przyniosła Judith z targowiska. Wprawdzie Chrystianowi Brunzwickiemu nie udało się od razu wziąć niewielkiego miasta u ujścia Menu i Niddy, jego mieszkańcy stawili dzielny opór. Ale teraz wojska oblegały miasto, a mieszkańcy Höchst cierpieli głód. Tymczasem Lila nie miała żadnych wiadomości od Arna. Ani słowa. Żadnego listu, nic.

Nagle wszystko zamgliło jej się przed oczami i Lila musiała oprzeć się o mur domu, żeby nie upaść.

Lepiej było posłuchać Judith i zostać w łóżku — przemknęło jej przez głowę. Tylko że nie mogła już wytrzymać, wiedziała, że nie uspokoi się, póki nie pójdzie do swojego domu. Musi sama, na własne oczy zobaczyć, co zostało z wyposażenia i rzeczy, może da się coś

uratować. W każdym razie tak powiedziała szwagierce. Ale naprawdę nie chodziło jej o żadne rzeczy. Chodziło jej wyłącznie o szkatułkę ukrytą na strychu. Może zresztą będzie miała szczęście i w domu znajdzie jeszcze coś cennego, co da się sprzedać. Od owego dnia, gdy udała się do obozu wojsk protestanckich, jej życie było w niebezpieczeństwie. Nie, nie od tego dnia, a od chwili gdy wtedy przy stacji pocztowej pozdrowił ją ten człowiek. Niebezpieczeństwo zawisło nad całą jej rodziną. W dodatku wojna zbliżyła się do miasta. A przedwczoraj napad. Napad na jej dom. To było dla Lili najstraszniejsze, przerażające. Wzdrygnęła się na wspomnienie niedawnego koszmaru. Bo w swoim domu Lila czuła się bezpieczna, chroniona. Tu, właśnie tu, nic nie mogło jej się stać. Była tego pewna, w tym przeświadczeniu żyła aż do przedwczoraj. A przedwczoraj jej pewność i ufność legły w gruzach. Nie będą mogła tam dłużej mieszkać — pomyślała. — To jest tak, jakby mój dom mnie zdradził. Wiedziała, że to niedorzeczność, ale nie potrafiła zwalczyć tej myśli.

Doszła do domu. Z odrazą popatrzyła na rozbite drzwi. Lękała się wejść, wahała się przez chwilę, to postępując krok do przodu, to krok w tył, w końcu przełamała się, wzięła głęboki oddech i weszła do sieni. Od razu zwróciła uwagę na zmieniony zapach domu. Zwykle czuło się tu delikatny aromat ziół, które wisiały w kuchni na belce pod stropem. W pomieszczeniach na górze unosiła się woń olejku różanego z wody kwiatowej, której używała. A nade wszystko czuć było zapach wody lawendowej, którą dziewczka służebna spryskiwała świeżą bielizną, i każdego ranka także pościel. Teraz czuć było kurz, zapach gliny, drewna. Woń zniszczenia. Wydawało jej się także, że w domu jest zimniej niż zwykle, a nawet poczuła lodowaty powiew, który przeleciał przez pokoje, by po krzepić się ciepłem jej ciała — zimny dreszcz przebiegł

jej od karku aż po krzyż. Pomyślała o mężu i była rada, że Arno nie musi oglądać zniszczenia swojego domu. Ja jestem temu winna. To wszystko moja wina — oskarżała się w myślach. — I ja muszę to naprawić. Ale nasamprzód trzeba mi wysłać dzieci z miasta. Niech znikną w jakimś klasztorze, aż tu się wszystko uspokoi. Objęła się ramionami i kołysała lekko.

— Wszystko będzie dobrze — szeptała do siebie. — Wszystko będzie dobrze.

Z wolna strach z niej opadał, uspokoiła się, opanowała. Teraz mogła przyjrzeć się zniszczeniom, nie bała się już, że serce jej pęknie. Powoli przechodziła z pomieszczenia do pomieszczenia, z izby do izby i żegnała się z rzeczami, które jeszcze niedawno należały do niej. Muskała palcami jedwabne zasłony wiszące w strzepakach; przesuwała ręką po rozprutych poduszkach wyściełanych krzeseł; potem zatrzymała się na chwilę w bawialni.

Arno kazał tu powiesić wschodni kilim. Teraz w tym miejscu zwisały tylko postrzępione kawałki materii. Resztę intruzi pocięli i, wyjął z uciechy, użyli do podtarcia tyłków po tym, jak załatwili się do kominka.

Pod ścianą stała skrzynia, w której przechowywano obrusy używane na co dzień. I tu Lila znalazła coś jednak pod zniszczonymi rzeczami: mały skórzany mieszek, pełen frankfurckich marek.

— Nie są warte metalu, w którym je wybito — mruknęła do siebie, lecz wzięła mieszek. Potem obeszła pozostałe pokoje. Nie zajrzała tylko do sypialni. Zbyt była w niej kiedyś szczęśliwa.

Na koniec weszła na strych i od razu pobiegła do izdebki w najdalszym kącie, do izdebki ze skrytką w podłodze. Uniosła deszczułkę, wzięła kasetkę, przycisnęła do piersi i przez chwilę kołysała jak niemowlę. Chociaż zameczek był wyłamany, na pierwszy rzut oka wydawało

się, że nic nie zginęło. Lila zobaczyła blond kosmyk, łańcuszek z wisiorkiem w kształcie gwiazdy. Ale zniknął sygnet! Strach zmroził jej członki, nie mogła utrzymać się na nogach i jak sparaliżowana padła na kolana, palcami kurczowo ściskając szkatułkę. Przez chwilę trwała tak, jak skamieniała. Tylko jej pierś unosiła się i opadała gwałtownie.

Do tej chwili tylko przeczuwała, że napad miał coś wspólnego z jej przeszłością. Teraz nabrała pewności. Sama była winna temu, że jej dom został zniszczony.

*

Judith była rada, że w tym niespokojnym czasie nie musi mieszkać sama. Każdego ranka przybysze przynosili do miasta nowe wieści, a tych pocieszających prawie wśród nich nie było.

Mówiono, że Chrystian Brunszwicki chce zmusić Höchst do kapitulacji i zamierza rzucić swoje wojska do ataku na miasto. Wielu z Höchst ratowało się ucieczką. Nie dalej jak przed południem Judith widziała kobiety, które na wózkach ciągnęły cały swój nędzny dobytek, prowadząc za rękę usmarkane dzieciaki i niosąc wrzeszczące niemowlęta. Chociaż uciekinierzy i groźne wieści rodziły strach, to frankfurczycy czuli się w swoim mieście dość bezpiecznie. Bo co by też miało im się stać? Co prawda, większość była ewangelikami, ale w samej radzie miejskiej zasiadało dość katolików. Od czasu reformacji zachowano ostrożność w kwestiach religijnych i miasto unikało ostatecznego opowiedzenia się po stronie jednego kierunku religijnego. Frankfurt miał zbyt wiele do stracenia: status wolnego miasta Rzeszy, podległego tylko cesarzowi, przywilej targowy i jeszcze parę innych. Miasto zachowywało neutralność. Nie zawsze było to z pożytkiem, ale w tej wojnie do tej pory okazało się korzystne. Żadne

wojska, ani katolickie, ani protestanckie, jak dotąd nie zbliżyły się zανάdo do bram Frankfurtu.

Jednak kosztowało to miasto bąjońskie sumy. Do tego doszła powszechna drożyzna. I bez wrogów za bramami życie we Frankfurcie nie było łatwe. A tymczasem nie dalej jak wczoraj pewien handlarz z Kelsterbach opowiadał, że w nocy Men był aż czerwony od krwi. Bitwa szalała, a rzeką trupy płynęły jeden obok drugiego niczym spławiane drewno.

Strach było tego słuchać i Judith z ulgą wracała do domu, gdzie czekała na nią Lila. Judith rada była gościć Lilę i jej dzieci, lecz wiązało się to z pewną niedogodnością — musiała teraz częściej chodzić na targ. Zwykle sprawnki załatwiała dziewczka kuchenna, ale odkąd w domu mieszkała Lila z dziećmi, służąca ledwo dawała sobie radę z robotą. Ponadto, gdy szło o zakupy, Judith była bardzo drobiazgowa. Mięso musiało być z Wetterau, ryby z Niddy, masło z mleka krów z Taunusu, jaja od niektórych tylko chłopów z okolic Vilbel. Judith nie lubiła kupować. Przede wszystkim nie znosiła się targować. Wydawało jej się, że to nie jest uczciwe. Była przecież majątniejsza niż kramarze na rynku. To jakże się z nimi targować? Najchętniej płaciłaby określoną cenę, i już. Ale tego nie wolno jej było robić. Bo nie minąłby nawet dzień, a wszyscy przekupnie by wiedzieli, że jest jedną z tych, co to się dają oszachrować jak ostatnie kpy. Dlatego unikała chodzenia na targ.

Teraz zaś markotnie laziła wśród straganów. Były przerażająco puste.

— Gdzie chleb, piekarzowo? — zapytała.

Straganiarka wzruszyła ramionami.

— Nie ma. Wojsko bierze wszystko, co tylko upieczemy. Mam tu jeszcze kawałek chleba z otrębami. Weźcie szybko, zanim kto wam sprzątnie sprzed nosa.

Judith potrząsnęła głową. Chleb z otrębami! Też coś! Chleb z otrębami! Taki chleb dostają więźniowie w ciemnicy, trędowaci w przytułku. Ale ona! Nawet żołnierze w wojsku jedzą przynajmniej komiśniak.

Judith spojrzała na straganiarkę oburzona i bez słowa poszła dalej. Ale nigdzie nie znalazła chleba. Przy wszystkich kramach słyszała to samo:

— Musimy zaopatrywać wojsko.

Na całym targu prawie wcale nie było żywności. Ani mięsa, ani jaj, ani mleka.

— Dwadzieścia tysięcy mieszkańców liczy Frankfurt. I dwadzieścia tysięcy zalega za bramami. I chcą jeść. Ja i bez wojska pracuję po szesnaście godzin na dzień — skarżył się jakiś mleczarz. — A moje krowy dają tylko tyle mleka, ile mogą. Im wszystko jedno, czy jest wojna, czy nie.

W jatkach straszliwie śmierdziało. Wszędzie wałęsały się bezpieńskie psy, zakradały do jatek, a odpędzone kopniakiem, uciekały ze skowytami, by po chwili powrócić.

Judith popatrzyła na oblepione muchami gołe kości, które leżały na jednym ze straganów.

— Chcecie na zupę? — zagadnęła ją przekupka bezbarwnym głosem. — Weźcie, może coś się jeszcze wygotuje.

Judith pokręciła przecząco głową.

Spędziła chwilę przy straganie mydlarki, podnosząc do nosa podsuwane jej kawałki mydła. Chętnie kupiłaby dla Lili sztukę pachnącego mydła, ale to tutaj to nie było dobre mydło, tylko jakaś nędza, sam popiół.

Zastanawiając się, co wybrać, stała przed marnym towarem. Nagle wyczuła za sobą czyjąś obecność. Rynek był pełen ludzi, ale ona wyraźnie poczuła na karku czyjś wzrok, tak że aż zamrowiła ją skóra. Odłożyła mydło i olejek do kąpieli i odwróciła się. Przed nią stał Lennart.

Judith z trudem przełknęła ślinę, przyłożyła rękę do gardła. Potem sucho pozdrowiła iglarza i chciała go wyminąć, by pójść dalej, ale on chwycił ją za nadgarstek i przytrzymał.

— Judith, proszę. Zaczekaj. Chciałbym z tobą porozmawiać.

— Niby o czym! — rzuciła cierpko i chciała się wyswobodzić. Piekące łzy napłynęły jej do oczu i dosłownie poczuła, jak jej twarz i szyja pokrywają się czerwonymi plamami. Odwróciła głowę, żeby Lennart nie zobaczył łez. Ale on wyciągnął rękę, wziął ją pod brodę i delikatnie odwrócił jej twarz.

— Co się dzieje? Czemu mnie unikasz?

Judith westchnęła głęboko. Z chęcią zajrzała by Lennartowi w oczy, żeby zobaczyć, czy sobie z niej kpi. Ale obawiała się, że zatopi się w jego spojrzeniu.

— Nie unikam cię. Tak ci się tylko wydaje — odrzekła cicho.

Lennart znowu ujął ją pod brodę, zmuszając, żeby na niego spojrzała.

— Czy nic dla ciebie nie znaczę? — zapytał.

Wyrwała mu się.

— Jeszcze pytasz?! A kto sprowadził sobie do domu kobietę, która opowiada wszystkim, że biega nago po twoich izbach! I o której wszyscy wiedzą, że jest twoją potajemną kochanką?!

Odwróciła się gwałtownie, by odejść, ale w tym momencie zaplątała się w suknię. Materiał owinał się wokół jej nóg jak pęta, nie mogła zrobić kroku ani nawet postawić nogi na ziemi. Spojrzała na Lennarta, który dzielnie powstrzymał się od śmiechu.

— Pozwolisz, że pomogę?

Z zaciśniętymi zębami kiwnęła głową. Lennart rozplątał spódnice, a potem po prostu wziął Judith w ramiona i zaczął całować, otwarcie, na ulicy.

Judith poczuła, że ma miękkie kolana. Osunęła się w ramiona Lennarta. Tylko ten pocałunek — myślała — tylko ten jeden... A potem przestała myśleć. Po chwili usłyszała, jak Lennart szepce jej do ucha:

— Ty głuptasie. Ja przecież jestem ojcem chrzestnym najstarszej córki Kathi, i byłem najlepszym przyjacielem jej zmarłego męża. Musiałem ją przyjąć do siebie, inaczej byłbym nikczemnikiem. Ale ty jesteś jedyną, którą kocham, ty, Judith Geisenheimer.

Ten woreczek pieniędzy to wszystko, co mi zostało — powiedziała spokojnie Lila.

Judith siedziała naprzeciwko niej przy stole w izbie bawialnej. Słońce wpadało przez żółtawo zabarwione gomółkowe szyby, spowijało wszystko w złociste światło. Lila źle wygląda — pomyślała Judith, patrząc na bladą, wychudzoną twarz szwagierki, na jej podkrążone i pozbawione blasku oczy, bezkrwiste, wąskie wargi. Nawet wspaniałe długie, rude włosy Lili nie lśniły jak zwykle, tylko splątane i matowe opadały na ramiona.

— Dopóki jesteś u mnie, nie potrzebujesz pieniędzy, ja mam ich dość, wystarczy też dla ciebie i twoich dzieci.

Lila uśmiechnęła się słabo.

— Dziękuję, bardzo jesteś dla mnie łaskawa. Ale sama wiesz, że nie mogłabym tak żyć.

— A co z Andreasem? Przecież możesz do niego pójść, poprosić o pieniądze. Masz do tego prawo. W końcu twój mąż razem z nim prowadzi dom handlowy.

Lila potrząsnęła głową.

— Nie, nie chcę go obarczać moimi troskami. Jemu jest już wystarczająco ciężko — ma dość kłopotów z ap-

rowizacją armii. Andreas na pewno nie wie, w co ręce włożyć.

Uśmiechnęła się do Judith. Jakże gładko ta wymówka spłynęła jej z ust! Ale w duchu Lila myślała co innego: nie może tak po prostu iść do Andreasa, nawet gdyby chciała. Bo Andreas nalegałby, żeby zgłosiła napad. Była tego pewna. A sędzia zacząłby zadawać pytania, podjąłby śledztwo. Na koniec wyszłoby na jaw wszystko, co od lat ukrywa. Nie, do tego nie dopuści. Nigdy!

Utkwiła wzrok w przestrzeni.

— Boże, ale co powie Arno, jak wróci...? — jęknęła. — Że jestem złą żoną, że nie potrafiłam przypilnować domu.

I Lila rozplakała się, oparła głowę na stole, a rozpaczliwy szloch wstrząsnął jej ramionami.

Judith spojrzała na połyskujące monety i westchnęła.

— Lilu, kochana moja, nie wiem, jak ci pomóc. Naprawdę nie wiem.

Wzięła do ręki monetę i upuściła na stół. Wtedy Lila nagle podniosła głowę, szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w pieniądź.

Na jej zalanej łzami twarzy pojawił się cień uśmiechu.

— Już wiem, co zrobię — oznajmiła, poderwała się z krzesła i zakręciła się wokół stołu.

Judith spojrzała na nią z ulgą i zaskoczeniem.

— Co zamierzasz?

Lila znowu usiadła, obie ręce położyła przed sobą na stole.

— Wiesz, kto to kipperzy i wipperzy?

Judith kiwnęła głową.

— Masz na myśli fałszerzy pieniędzy, prawda? Tych, co psują monetę?

— Tak, mam na myśli tych, co topią stare pieniądze i mieszają srebro z miedzią. Gdy potem biją z tego nowe monety, to z dziesięciu guldenów nagle robi się piętnaście.

To są wipperzy, ci co nie doważają pieniędzy. A sąjeszcze i tacy, co obrzynają brzegi starych monet, i w ten sposób zmniejszają ich wartość. Tych nazywa się kipperami.

— Tak — Judith skinęła głową — słyszałam i o tym. Ale co to ma wspólnego z tobą?

Lila się wyprostowała. Judith patrzyła zdumiona, jak jej włosy nagle zaczęły błyszczeć, cienie pod oczyma zniknęły, a do bladych warg napłynęła krew.

— Tu mam wszystko, czego potrzebuje — powiedziała. — Przejadę się po wsiach i od zacnych chłopów wyciągnę stare monety w zamian za nowe, błyszczące.

— Ale to przecież oszustwo! — wtrąciła Judith. — To się nazywa łapichłopstwo! Nie możesz tym ludziom w zamian za dobry pieniądz dawać złej monety!

— Tak — odparła Lila. — Wiem. To oszustwo. I nie myśl, że mi to obojętne. Ale nie mam innego wyjścia. Muszę wyprawić na wieś Damaris i Tytusa. Jest wojna.

Muszę, muszę wysłać dzieci w bezpiecznie miejsce! — myślała jednocześnie gorączkowo. — Teraz wiem, że nie tylko moje, ale i ich życie jest w niebezpieczeństwie.

— Przecież mówię, że mogą zostać u mnie — powtórzyła Judith — j a k o ś damy sobie radę.

Lila energicznie potrząsnęła głową.

— Nie, nie! Dzieci, twoja Julia też, muszą na wieś. U ciebie z czasem zrobi się za ciasno. Nie możemy ci ciągle siedzieć na głowie. Tak, jestem oszustką. Możesz mnie nawet nazwać złodziejką... i będziesz miała rację. Ale nie wiem, co począć. Tylko tym sposobem mogę coś zdziałać. Bo nie idzie jedynie o mój zniszczony dom, Judith. Idzie o całe moje życie.

*

Marga ocknęła się gwałtownie, z przestraczem, jęknęła, przycisnęła rękę do serca, które głośno i boleśnie tłukło się w piersiach.

— No, oprzytomniałaś wreszcie, ty stara pijaczko?!

Marga, oszołomiona, rozejrzała się wokoło i ze zdumieniem stwierdziła, że leży w kuchni na podłodze, w ogromnej kałuży, a obok niej roztrzaskana butelka po winie. Lodowata woda spływała jej z włosów po twarzy, suknie miała przemoczone. Nad nią stał syn i trzymał w ręce opróżniony kubek.

Jeszcze niezupełnie przytomna otarła z twarzy wodę.

— Co... co się stało? — zapytała obcym, schrypniętym głosem.

— Schlana jesteś jak stara ulicznica, to się stało! — fuknął syn i splunął przed nią na posadzkę. — Baba, co się tak zachowuje jak ty, zasługuje na cięgi.

Marga uniosła rękę, przyłożyła do czoła, czaszkę rozsadzał nieznośny, tępy ból, wyschnięte gardło paliło, miała wrażenie, że język nabrzmiał i ledwie mieści się w ustach, w których czuła smak starej szmaty.

Nie miała siły, by odpowiedzieć coś synowi. Jedyne, czego pragnęła, to leżeć, tu, na podłodze, zapaść w sen podobny do śmierci.

— Zostaw mnie — wyszeptwała. — Zostaw mnie w spokoju...

— Pewnie, chciałabyś, ty kocmołuchu! — syknął Konstantin, szarpiąc ją za rękę. — Wstawaj, no, wstawaj! Co sobie pomyślą ludzie, gdy przyjdą do drukarni! Już teraz pewnie gadają, bo w biały dzień okiennice nie-poodmykane!

— Nie wrzeszcz tak! — poprosiła Marga. Podniosła się powoli. Ale natychmiast zakręciło jej się w głowie, musiała na chwilę zamknąć oczy. Gdy je otworzyła, przestraszyła się — spojrzenie Konstantina! Syn patrzył na nią z nieskrywaną odrazą.

— Co tak na mnie patrzysz? — zapytała. — Twój ojciec upija się co najmniej raz w tygodniu. Ale nigdy nie patrzyłeś na niego z taką pogardą.

— To co innego — warknął Konstantin. — To, co mężczyznę czyni męskim, kobietę czyni żalosną. Tylko nierządne kobiety, tylko ulicznice, nałożnice i wagantki się upijają. Szumowina.

Podszedł blisko do matki, tak blisko, że Marga czuła jego oddech.

— Ty jesteś szumowina — wysyczał. — Jesteś gorsza niż najgorsza ulicznica! Skaranie boskie! Żaden mężczyzna nie zasłużył na taką żonę jak ty!

Oczy Konstantina ciskały błyskawice. Usta wygiął w grymasie obrzydzenia. Marga najchętniej uderzyłaby go w tę dufną twarz. Jej syn już ze sto razy pijany, zarzygany leżał w rowie ulicznym lub przychodził do domu cuchnący. Wytrząsać go po tej gębie — pomyślała — tej zarzucałej gębie, co ośmiela się osądzać, jakby był Bogiem.

Już podniosła rękę, ale zaraz ją opuściła. Nie mogła uderzyć syna — oddałby jej. Za każdy cios odpłaciłby po dwa- albo po trzykroć. Była za słaba, by to znieść.

Upiła się. Tak. Jeden jedyny raz. Tylko po to, żeby choć na parę godzin zapomnieć, przestać myśleć, nie czuć tej udręki. Odpocząć — pomyślała. — Chciałam tylko odpocząć.

Bez słowa wyminęła syna i zataczając się, powlokła po schodach na górę. Ledwie zdążyła się umyć, ledwie otworzyła drewniane okiennice warsztatu, a przyszedł jej mąż. Poplamiona koszula wyszła mu ze spodni, peleryna była rozdarta, włosy zmierzwione. Zabierał się do śpiewania, ale Marga wybiegła pędem i zaciągnęła go do domu, zanim zdążył się wydrzeć. W kącie stał Konstantin, uśmiechał się, poklepał ojca z uznaniem po ramieniu i poszedł do swojej roboty, do warsztatu mistrza.

Ledwie wyszedł, a Robert zatoczył się na Margę, żartobliwie stuknął ją palcem w pierś.

— Nie dam się zastraszyć. Nie... yyp... — czknął —... nie tobie, ty durna, stara kłepo... — Z a s m i a ł się i odepchnął ją.

Marga skrzyżowała ręce na piersi.

— Co to ma znaczyć? — zapytała.

— Że nie rozstanę się z moją słodką lubą. Żadna nie ma tak miękkich piersi, żadna tak gorącego łona.

— Jest brzemienna. Zapomniałeś?

Robert machnął ręką, stracił przy tym równowagę i potykając się, zatoczył między prasy.

— No i co? Bachor, jak się tylko urodzi, pójdzie do mamki na wieś. — Robert zachichotał, wymachując palcem wskazującym przed swoim nosem. — Na wieś. A jakże.

Marga nabrała powietrza. Bardzo głęboko. Tak głęboko, że aż warsztat zakolysał się jej przed oczami. Potem wyciągnęła rękę i powiedziała głosem, który zadziwił ją samą:

— Won!

— Co?

— Zabieraj swoje rzeczy i wynoś się. Nie chcę cię tu więcej widzieć.

*

Rieke stała przy oknie i wyglądała na studnię, przy której dzisiaj nie było nikogo. Ale oczami duszy widziała Trajana. Trajana z torsem błyszczącym od wody, z mięśniami grającymi pod skórą, Trajana tryskającego siłą i życiem jak pąki drzew w maju. Dreszcz przebiegł ją po plecach. Westchnęła głęboko, przesunęła ręką po szyi. Była niespokojna, zniecierpliwiona, wszystko ją drażniło, nie mogła usiedzieć w miejscu, zupełnie jakby coś ją gnało. Trajan pokazał jej, co to rozkosz, obudził w niej kobietę. Rozpalił pożądanie, którego nijak nie mogła ugasić. Nie mogła myśleć o niczym innym. Znowu westchnęła, musnęła dłonią piersi, poczuła, jak budzi się jej łono. Gwałtownie odwróciła się od okna, niespokojnie jak schwywane zwierzę zaczęła krążyć po pokoju, wreszcie

chwyciła narzutkę i wybiegła z domu. Poszła w głąb miasta, błądziła po uliczkach i zaułkach, śpiesznie przechodząc przez nieznane kwartały. W końcu, niby przypadkiem, znalazła się w najnudniejszej części miasta, w dzielnicy rozciągającej się zaraz za Bramą Friedbergską. Ulice nie były tu brukowane, delikatne skórzane buciki Rieke zapadały się w błocie. Domy nie były zbudowane z kamienia, tylko z gliny, okna nie miały szklanych szybek — zastępowały je natłuszczone błony zwierzęce, wiele domów miało jedynie drewniane okiennice. W zaułkach i na uliczkach bawili się wychudłe dzieciaki z rozczochranymi włosami, w brudnych ubraniach. Rieke zobaczyła małego chłopczyka z twarzą całą w krostach i niewiele starszą dziewczynkę owiniętą w podarte łachmany. Kilka chudych kur gdakało na skraju drogi, jednooki kot łypnął na przechodzącą Rieke.

„Jak pachnie bieda?” — zapytała kiedyś Lila. Tu znalazłaby odpowiedź. Śmierdziało zawilgłym węglem, wszelkimi odchodami i nieczystościami, gnijącymi odpadkami, uryną, kałem i gliną. Nawet słońce nie świeciło tu tak jasno jak gdzie indziej w mieście. Lepianki stały tak blisko, że promienie słoneczne ledwie dochodziły do zaułków. Rieke zamrugła, z niesmakiem zmarszczyła nos. W pierwszym odruchu chciała od razu zawrócić, ale przemogła się i powoli poszła dalej ulicą, obojętna na ciekawskie spojrzenia ludzi, którzy nigdy jeszcze nie widzieli tu tak dobrze i bogato ubranej kobiety.

— Psst! — usłyszała nagle tuż obok siebie. Silne ramiona złapały ją, wciągnęły w kąt między dwiema chatami, tuż przy dole na odpadki. To Trajan przyciągnął ją do piersi, objął tak mocno, że prawie nie mogła złapać tchu. Mocno przycisnął wargi do jej ust, aż pożądanie ogarnęło jej ciało płomieniem. Wtedy odepchnął ją od siebie.

— Co tu robisz?! Czego tu szukasz?! — huknął.

Rieke zachnęła się.

— Spaceruję. To jest wolne miasto.

Trajan chwycił ją za nadgarstek, ścisnął tak mocno, że aż krzyknęła.

— Czego tu chcesz? — rzucił ostro. — Gadaj, tylko bez kręcenia!

Rieke próbowała uwolnić rękę, oczy miała spuszczone, czubkiem bucika grzebała w błocie. Policzki paliły ją ze wstydu, w łonie poczuła znowu narastające pożądanie.

— Ja... ja... ehem... ja... ee... przyszłam... chciałam cię zobaczyć — wyjąkała wreszcie.

— Ale nie tu! — fuknął znowu Trajan. — To mój rewir, moja droga. Nie masz tu czego szukać. Idź stąd! No, już! Wynos się! — Popchnął ją tak mocno, że omal nie wpadła do dołu z odpadkami.

— Dlaczego? — zapytała Rieke żalonym głosem. Stała po kostki w błocie. Rąbek sukni był sztywny od brudu. Czowała się tak nędznie jak jeszcze nigdy w życiu. — Dlaczego? — powtórzyła.

W głowie zaświtała jej niewyraźna myśl: Dotąd to ja decydowałam. Teraz on dyktuje warunki. Jak to się mogło stać? Ale nim zdążyła się nad tym zastanowić, Trajan powiedział:

— Nic nie zrobiłaś, żeby twój mąż mnie nie wyrzucił. Nie pracuję już u niego. Tobie też nie muszę się wysługiwać.

— Trajan, ja... ja nie mogłam, uwierz mi. Próbowałam wszystkiego, ale on powtarzał, że ostatnimi czasy za często nie stawiałeś się do roboty. Co mogłam na to powiedzieć?

Trajan roześmiał się gorzko.

— Mogłaś mu powiedzieć, gdzie byłem w tym czasie. W twoim przeklętym łóżku!

Rieke zdrętwiała.

— Przekłete łóżko? Nie podobało ci się u mnie?

Trajan roześmiał się złym, pogardliwym śmiechem.

— Czy mi się podobało? Zmusiłaś mnie. Zapomniałaś? Twoja zapinka. Teraz nie możesz już na mnie donieść. Nikt by ci nie uwierzył. Przecież zostałem zwolniony.

— A ja? Nie tęsknisz za mną choć trochę?

Trajan potrząsnął głową, podszedł do Rieke bardzo blisko.

— Nie wiesz, ile masz lat? Jesteś trzy lata starsza ode mnie. Twoja skóra jest tłusta i rozlazła od nadmiaru białego chleba i frykasów, którymi się opychasz. Jesteś gnuśna i słaba, a twoje ciało zwiotczałe. Spójrz na siebie! Te twoje włosy! I te zawsze wilgotne oczy. Twoje głodne usta, które wyglądają jak rana, gdy je posmarujesz tą czerwoną pastą. Nie, Rieke. Nie podobasz mi się — i nigdy się nie podobałaś.

Rieke zaszłochała, chciała czym prędzej odejść, ale w tym momencie stanęło przed nią dziecko. Mały chłopiec z burzą loków na głowie, o jasnej twarzy małego aniolka.

— Tato, kto to jest ta pani?

— Nikt ważny. Idź do mamy. Powiedz jej, że zaraz przyjdę. No, idź!

Dziecko usłuchało i odeszło. Rieke oczarowana popatrzyła za chłopcem.

— Śliczne dziecko — wyszeptwała.

— Ma ładnych rodziców — odparł Trajan spokojnie.

Rieke odwróciła się do niego. Błagalnym gestem złożyła na jego piersi obie dłonie.

— Chcę mieć dziecko, Trajan. Dziecko. Proszę cię, śpij ze mną. Proszę!

— A co ja z tego będę miał? Zrobisz tak, żebym znowu dostał pracę?

Rieke kiwnęła głową.

— Tak, tak, tak. Wszystko, co chcesz. Tylko zrób mi dziecko.

— Przyjdź dzisiaj wieczorem nad rzekę. I pamiętaj, żeby wziąć ze sobą pięć srebrnych talarów.

Z tymi słowami odwrócił się i odszedł.

*

Posłańcy rzadko zatrzymywali się przed drzwiami Judith. Nigdy nie otrzymywała poczty. Bo i kto miałby do niej pisać? Ale tego dnia pod jej dom przybył posłaniec, zsiadł z konia, pogrzebał w torbie przytroczonej do siodła i wyjął zapieczętowany list. Zakołatał do drzwi.

Judith otworzyła.

— List dla patrycjuszki Geisenheimerowej. Podobno mieszka u was?

Judith wzięła list, zobaczyła wypisane imię Lili.

— Zgadza się, mieszka u mnie. Przekażę jej list.

Dała posłańcowi monetę i skinęła głową na pożegnanie. Ten dosiadł konia, pozdrowił ją i odjechał. Judith przez chwilę stała w drzwiach, rozkoszując się czerwonym dniem. Świeciło słońce, a niebo tu i ówdzie zdobiły jasne obłoki. Lekki wiatr muskał jej twarz. Ale na horyzoncie gromadziły się czarne chmury. A kucharka już od rana narzekała na rwanie w kościach i przepowiadała burzę. Judith westchnęła i mruknęła do siebie:

— Muszę pozamykać okiennice na górze.

Weszła do domu i po schodach na piętro. Zastukała do drzwi pokoju Lili.

Lila właśnie szczotkowała włosy córce.

— Co się stało? — zapytała.

— Przyszedł list.

Judith wyciągnęła rękę i podała jej zalakowany list. Lila wzięła papier, spojrzała na pismo. Zaczęła drżeć. Najpierw nerwowo poruszyły się nozdrza, potem zaczęły

drząc jej ręce, wreszcie dygot ogarnął całe ciało i Lila musiała usiąść — ciężko opadła na zydeł. Wielkimi oczyma patrzyła na Judith.

— Od Arna.

— To dobrze. Cieszę się razem z tobą — odparła Judith, ale Lila potrząsnęła głową.

— Boję się. Rozstaliśmy się w gniewie.

Jej twarz była blada, niespokojnie przygryzła dolną wargę, zdzierając z niej drobne płatki naskórka.

Judith założyła ręce na piersi, uśmiechnęła się po macierzyńsku.

— Arno cię miłuje. Przeczytaj, śmiało. Zobaczysz, że niepotrzebnie się boisz.

— Tak myślisz?

Judith kiwnęła głową.

Lila powoli przełamała pieczęć, rozłożyła papier i przeczytała:

Lilu, najmilsza moja! To niedobrze, że tak się z tobą rozstałem. Tutaj, na polu bitwy, widzę, jak kruchy jest człowiek, jak szybko może zgasnąć życie. Codziennie obok mnie umierają żołnierze, markietanki i inni z obozu. Czasem także dzieci.

Chciałbym cię prosić o wybaczenie, najmilsza. Wiesz, jak bardzo Cię kocham. Dotknęło mnie boleśnie, że nie okazałaś mi zaufania, ale ja, Lilu, ja Tobie ufam i powiadam sobie, że wszystko, co robisz i co zrobiłaś, musi być dla Ciebie ważne. Modłę się za Ciebie, Lilu. I modłę się, bym już wkrótce znowu mógł być z Tobą. Ucałuj dzieci, ściskam Cię serdecznie.

Twój Arno

Marga spodziewała się, że będzie umierać z tęsknoty za Robertem. Kochała go przecież, ciągle go kochała, chociaż on nie odwzajemniał jej uczucia. To dla niego wstawała rano, otwierała warsztat, dla niego szykowała się co wieczór. Teraz, gdy to wszystko rozważała, musiała uczciwie przyznać, że ostatnimi laty zupełnie zapomniała o sobie! Nie myślała o tym, czego potrzeba jej. Robert to, Robert tamto — i nigdy nie udawało się go zadowolić. Ciągle jej coś wytykał, ciągle kręcił nosem. Lekcewał ją. A ona nie ustawała w wysiłkach, by zwrócić na siebie jego uwagę. Bo chociaż przed laty straciła nadzieję, że będzie ją kochał, to przynajmniej powinien jej okazywać poważanie. Starania o to stały się dla niej ważniejsze nad wszystko inne. Miała przyjaciółki. Dawniej. Teraz nie zostało żadnej. Dawniej odwiedzali ją krewni. Teraz i w niedzielę nikt do niej nie zaglądał.

Lecz oto Robert odszedł. A ona zamiast wielkiej tęsknoty czuje wielką ulgę. Zeszła do warsztatu, pootwierała wszystkie drzwi i okna, by świeże powietrze owiało każdy kąt. Było jej radośnie na duszy, chciało jej się śpiewać i tańczyć, ale do głowy przyszła jej tylko jakaś smętna

piosenka o miłości, która zupełnie nie pasowała do jej nastroju. Przeto, nucąc coś jedynie pod nosem, tanecznym krokiem przechadzała się po warsztacie, przy każdym ruchu turkoczając spódnicą jak młoda dziewczyna.

Z góry zszedł Konstantin i z impetem otworzył drzwi do warsztatu.

— Gdzie śniadanie?! — ryknął.

— Głodny jesteś? To sobie zrób. Ręce masz zdrowe, wiesz, gdzie leży masło i chleb. W garnku na piecu jest kasza gryczana.

Przy tych słowach Marga po prostu się odwróciła, by nie widzieć wykrzywionej wściekłością twarzy syna. Gdy usłyszała, jak zatraskują się drzwi do kuchni, z niedowierzaniem potrząsnęła głową. Konstantin jej usłuchał!

Była tak zaskoczona, że aż pośpieszyła za nim do kuchni, usiadła i przyglądała się, jak chłopak, z łokciami na stole, zajada z glinianej miski jeszcze ciepłą kaszę.

— Usiądź porządnie — poleciła. — I zdejmij łokcie ze stołu. Nie jesteś prostakiem.

Syn spojrział na nią spode łba.

— Ojciec też tak je.

— Ano, je! — przyznała Marga — Ale teraz go tu nie ma. Chłopak opuścił łyżkę.

— A gdzie jest?

Marga wzruszyła ramionami.

— Nie mógł się rozstać ze swoją lubą. Nie zapłaciłam więc podatku wojennego, tak że musiał iść na wojnę.

— Co?! — Konstantin zerwał się na równe nogi, dzierżąc łyżkę przed sobą, jakby to była broń.

— Dobrze usłyszałeś. Twój ojciec mógł wybrać. Wystarczyłoby, żeby rozstał się z tą dziewczyną. Niczego więcej od niego nie żądałam.

Marga bez najmniejszego wzruszenia obserwowała, jak zmienia się wyraz twarzy syna. Na czole nabrzmiała

mu niebieska żyła, usta zrobiły się czerwone, zbielała broda wysunęła się do przodu. Oczy chłopaka skrzyły się gniewem, a nozdrza rozdymały jak chrapy rozwścieczonego byka.

— Ty! Ty! Ty! — wydyszał, jakby nagle zabrakło mu tchu. — Ty nędzne babsko! Ty wiedźmo! Posłałaś mojego ojca na wojnę, na śmierć! Jak mu włos z głowy spadnie, zabiję cię!

Marga znowu wzruszyła ramionami. Potem powiedziała z naciskiem i bardzo spokojnie:

— Wojsko pochłania krocie! Jestem pewna, że zaraz znowu wyznaczą kolejny podatek. Daj Boże, synu, bym miała z czego zapłacić.

Wstała, przez krótką chwilę miała chęć pogłaskać chłopaka po czuprynie, ale uznała, że może lepiej nie, i poszła do warsztatu.

Wyjęła właśnie kilka czcionek z kaszty, gdy rozległo się stukanie kołatki i po chwili do warsztatu niespiesznie wszedł Hermann Schein.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, piękna pani drukarzowo! — rzekł na przywitanie i uchylił kapelusza, na którym zawadiacko kołysało się ptasie pióro. — Jak szacowne zdrowie?

— Och, znakomicie, co dnia lepiej! — odparła Marga ze śmiechem.

— Widzę — odparł kantor od św. Tomasza. — Czyżbyście wpadli do krynicy młodości, piękna pani? Czyż wam błyszczą jak słońce o poranku, policzki pałają rumieńcem zorzy porannej, włosy spływają na wasze ramiona niby strugi wody!

Marga śmiała się serdecznie.

— Poniechajcie już, przestańcie, kantorze! Jeszcze chwila, a zaczniecie cytować z Salomonowej *Pieśni nad Pieśniami!*

— Och, nie! — zaprzeczył kantor i dodał skromnie: — Dla was wymyśliłbym nową pieśń.

Marga się uśmiechnęła.

— Przyszliście odebrać zamówienie?

— Tak, tak, zamówienie. Odebrać zamówienie... — Kantor kiwnął głową, lecz z dziwnie niepewną miną miętosił w rękę kapelusza.

Kołysał się w przód i w tył, przenosząc ciężar ciała z pięt na palce, i jakoś nie kwapił, by wziąć przygotowany stos druków, i wyjść z warsztatu.

— Mogę wam w czymś jeszcze pomóc? — zapytała Marga, odebrawszy z rąk Scheina skromną zapłatę za papier i farbę.

Kantor pokręcił głową.

— Nie, nie, dziękuję — odparł. Potem sięgnął do rękawa i wyciągnął rulon papieru. — Proszę! — powiedział i podał Mardze. — Napisałem tę pieśń dla was. Umyśliłem sobie, żeby następnej niedzieli moi chłopcy zaśpiewali ją u św. Tomasza.

Spojrzał na nią w oczekiwaniu słów uznania, ale Marga gwałtownie zaprotestowała:

— Co też wy, kantorze! Co w was wstąpiło! Ja jestem zamezną kobietą!

— W tej chwili nie. W tej chwili jesteście słomianą wdową. A każdego następnego dnia tej przekłetej wojny możecie zostać prawdziwą wdową. Ja w każdym razie będę się o to modlił.

— Panie kantorze! Jak możecie coś takiego mówić! — oburzyła się Marga.

Ale kompozytor wcale nie wyglądał na zawstydzonego czy skonfundowanego.

— Wypowiadam tylko to — odparł — co myśli większość w mieście. Wszyscy wiedzą, że wasz to pijanica i wszetecznik. Co prawda nie jedyny w Lipsku, ale zalicza się do najgorszych.

— Idźcie już, kantorze Schein! — poprosiła Marga.

Kantor uklonił się, wetknął stos zadrukowanych kart pod pachę i wyszedł z warsztatu. Marga patrzyła za nim przez dłuższą chwilę. Na stole leżała pieśń. Na karcie tytułowej cienkie pióro wypisało śmiało literami: „Czarującej”.

*

Kiedy Lila wyszła za Bramę Eschenheimską, zdało jej się, że oto znalazła się w Hadesie. Pola wokoło były zryte i wypalone, las zrabany. Na skraju drogi leżał martwy koń. Klęczał przy nim mężczyzna i nożem wycinał z padliny kawałki mięsa, a nad jego głową z głośnym krakaniem krążyły kruki i wrony. W przydrożnym rowie tuż obok stara kobieta próbowała wyrąbać tępym toporkiem trochę drewna z wywróconego, połamanego wozu. Widać było, jaki to dla niej wysiłek. Drogą z naprzeciwka szła cała grupa uciekinierów. Zapłakane niewiasty z niemowlętami przyciśniętymi do piersi, z tobołkami na plecach, w których niosły cały swój dobytek.

Wielkie współczucie zdjęło Lilę.

— Skąd idziecie? — zapytała kobiety.

— Z Höchst — żalnym głosem odparła jedna z nich. — Miasto jest obleżone, uciekłyśmy w ostatniej chwili. — Kobieta ledwie trzymała się na nogach z wyczerpania. — Może macie dla nas jakie miejsce do spania? Nie wiemy, gdzie się podziać. Mój najmłodszy ma ledwie osiem tygodni, jest cały rozpalony od gorączki.

Lila potrząsnęła głową.

— Sama schroniłam się u krewnej.

Szła dalej, ale z każdym krokiem jej nogi robiły się coraz cięższe. Zobaczyła mężczyznę bez nóg, z kikutami obwiązanymi krwawymi szmatami. Mężczyzna wisiał między dwiema kulami i mozolnie posuwał się naprzód.

Za nim szła młodziutka dziewczyna w podartej sukience. Miała wytrzeszczone oczy i nieruchome spojrzenie. Jedna pierś całkiem wystawała na wierzch, ale ona zdawała się tego nie zauważać — j a k b y była nie z tego świata. Nuciała cichutko pod nosem, wciąż tę samą melodię.

— Co z nią? — zapytała Lila kalekę.

— Lancknechci ją gwałcili. Przez całą noc. Dwunastu ich było. Albo więcej. W głowie jej się od tego pomieszało.

Zanim Lila zdołała coś powiedzieć, mężczyzna z wysiłkiem ruszył dalej. A ona przez dobrą chwilę patrzyła za obojgiem przerażonymi oczami, walcząc z napływającymi łzami.

Wreszcie dotarła do stajni spory kawałek za bramami miasta, gdzie można było najać konia. Wzięła starego karego wałacha i skierowała się w stronę Wetterau. Po godzinie dotarła do wioski Vilbel. Zsiadła z konia i prowadząc go za uzdę, szła powoli wiejską drogą. Uważnie przyglądała się domom. Nie zatrzymując się, mijała ubogie chaty i lepianki, ale przy pierwszym domu z kamienia przystanąła, uwiązała konia do drzewa, zastukała do drzwi. Otworzyła jej kobieta w średnim wieku o skrzywionej, niezadowolonej twarzy.

— Niczego nie potrzebujemy! — wrzasnęła i chciała zatrzaskać drzwi, ale Lila przywołała swój najpiękniejszy uśmiech.

— Czy wyglądam jak domokrażna handlarka? — zapytała miękko.

Kobieta wyszła przed próg, skrzyżowała ręce na chudej piersi.

— Może i nie. Ale w dzisiejszych czasach! Kto to może wiedzieć...

Lila cały czas miała na twarzy swój zniewalający uśmiech — zupełnie jakby to była maska, którą można dowolnie nakładać albo zdejmować.

— Z miasta jestem. Żona kupca. Słyszałam, co tu u was wyprawiali żołnierze. Musieliście wiele wycierpieć...

— Oj tak, pani! Oj tak! Zniszczyli nam pola. Wieś musiała oddać trzydzieści fur ziarna i czterdzieści beczek wina. Co mamy teraz pić, pytam ja was?!

Lila pokiwała głową ze zrozumieniem.

— To wielka niegodziwość. Krzywda wam się stała. Dlatego czas, żeby ktoś przyszedł do was z dobrymi wieściami.

I Lila z mieszka, który miała przywieszony u paska, wyciągnęła błyszczącą monetę, położyła na dłoni i podsunęła kobiecie pod nos.

— Patrzcie tylko, nowy pieniądz. Świeżo bity. Zgodnie z teraźniejszym kursem. Sami wiecie, że wszystko podrożało, odkąd jest wojna. Ale pieniądz to pieniądz. Gulden to gulden. Pytanie tylko, jak długo będą jeszcze ważne guldeny sprzed wojny. Wszyscy mówią o nowych pieniądzach. W zależności od tego, kto będzie nad nami potem panował.

— Oj, prawdę rzekliście — zgodziła się gospodyni. — Nikt nie wie, co będzie. Mój też już biada nad swoimi guldenami.

— Ja tu mam świeżo bity pieniądz — powtórzyła Lila — taka moneta jeszcze długo będzie w obiegu. W końcu to prawdziwa marka frankfurcka. A Frankfurt jest wolnym miastem Rzeszy. I bez względu na wojenne sprawy zawsze pozostanie wolny, a jego pieniądz — stały.

— Trafiliście w sedno — przyznała kobieta, ale nadal niepewnie przestępowała z nogi na nogę.

Lila ciągle jeszcze się uśmiechała.

— Ale rozumiecie, za guldeny nie mogę wam dać więcej niż dziesięć frankfurckich marek, prawda? Inni też chcą ratować choć część swojego dobra.

Kobieta podejrzliwie zmrużyła oczy.

— A wy co będziecie z tego mieli? Co na tym zyskacie?

— zapytała.

Lila miała przygotowaną odpowiedź i na takie pytanie, toteż bez wahania odrzekła:

— Pewnie wiecie, że wojna bardzo spustoszyła czeskie krainy? Pozamykano wiele kopalń srebra. Braknie kruszcu na monety. Dlatego potrzebuję waszych starych pieniędzy. Żeby bić z nich nowe.

— To ja mam wam dać stare pieniądze, które pewnie niedługo i tak nic nie będą warte? A wy mi dacie za nie nowe frankfurckie marki? Przeliczone po kursie? I gwarantujecie, że jeszcze długo będą w obiegu? Tak?

Lila potwierdziła, ciągle z uśmiechem na twarzy.

— Na tym interesie zyskacie i wy, i ja. Ale pamiętajcie, mogę wziąć od was tylko dziesięć guldenów.

Kobieta kiwnęła głową, niby przekonana, ale Lila dostrzegła w jej oczach resztki podejrzliwości. Skinęła ręką. Gospodyni podeszła bliżej, a wtedy Lila zaszepotała jej do ucha:

— Mój mąż jest rajcą i patrycjuszem. Teraz jest przy wojsku w Höchst. Wszystkie nowiny mam z pierwszej ręki.

Kobieta spojrzała na Lilę porozumiewawczo, potem powiedziała:

— Zaczekajcie tu, zaraz wrócę.

Gdy zniknęła w głębi domu, Lila rozejrzała się dokoła. Dom nie wydawał się biedny, ale też nie sprawiał wrażenia bardzo dostatniego. Kobieta była odziana czysto, lecz skromnie. To nie w porządku — pomyślała Lila — że ich oszukuję. Lecz zaraz wyprostowała ramiona, podniosła głowę. Ale robię to, by ochronić moją rodzinę. Chcę, żeby dzieci były bezpieczne, nie mogę ich narażać na następny napad. Za to nie pójde chyba do piekła?

Po niedługim czasie wróciła gospodyni, ukradkiem rozejrzała się dokoła, wciągnęła Lilę do ciemnej sieni.

— Bierzcie — rzuciła śpiesznie — macie tu guldeny! Dajcie wasze marki.

Lila odliczyła kobiecie pieniądze do ręki. Ta wzięła jedną monetę, obejrzała dokładnie ze wszystkich stron, potem włożyła między zęby, w skupieniu nagryzała wokoło.

— I jak? Dobrze? — zapytała Lila.

Kobieta skinęła głową.

— Teraz idźcie już. Nie chcę, żeby mnie we wsi wzięli na języki. Żeby gadali, że robię interesy z miastowymi.

Lila ze zdziwieniem uniosła brwi.

— A dlaczego nie?

Kobieta wzruszyła ramionami.

— My tu za bardzo nie lubimy miastowych. Zawsze próbują wystrychnąć nas na dudka. Ale i tak chłop prędzej wywiedzie w pole miastowego.

Lila pokiwała tylko głową.

— Niech wam Bóg błogosławi — pożegnała się i czym prędzej wyszła. Dosiadłszy karego, pojechała do przysiółka Dottenfeld, stamtąd do Dortelweil, a dalej przez Peterweil i Karben do Wöllstadt. Pod koniec dnia wszystkie nowe pieniądze były wymienione na stare guldeny. Nazajutrz Lila część z nich zaniósła na żydowską uliczkę i dostała za nie większy woreczek nowo wybitych monet. Następnego dnia znowu wymieniła nowe pieniądze na stare guldeny, a w kolejnym tygodniu — j e s z c z e trzy razy.

Potem wysłała Tytusa i Damaris w towarzystwie Julii do benedyktynek w klasztorze Engeltal w Wetterau. Była pewna, że ani wojna, ani inne niebezpieczeństwa nie mogą tam zagrozić dzieciom: klasztor leżał na uboczu, z dala od wszelkich szlaków, i dobrze ukryty w lesie. Teraz mogła spokojnie zabrać się do szukania rzemieślników, którzy naprawiliby zniszczenia w domu.

*

Rieke jeszcze nie przeboleła upokorzenia, jakiego doznała ze strony Trajana. Była na niego wściekła, nienawidziła go, ale nie mogła bez niego żyć. W jej łonie płonął ogień pożądania i nie dawał się ugasić ani zimnymi obmywaniami, ani ziołowymi naparami. To zaś wzmagalo jeszcze jej furię. Ona, piękna, dumna rycerska córka, która przed nikim dotąd nie chyliła czoła, zadurzyła się w ładowaczu, w przegnanym precz ze służby pospolitym, najemnym robotniku! I musiała sama przed sobą przyznać, że była mu powolna.

„Patrzaj tylko, żeby twój mąż znowu mnie zatrudnił” — powiedział Trajan i Rieke wiedziała, że nie żartował. Inaczej ją zostawi. Ona go potrzebowała. On jej nie. Dla niego ważna była praca, wszystkiego innego miał, zdaje się, nawet w nadmiarze.

Kiedy Andreas wieczorem przyszedł do domu, Rieke była przymilna i słodka jak dawniej, jak wtedy gdy się poznali. Na stole pojawiła się jego ulubiona potrawa, w karafce stało wyborne wino. Na krześle, na którym Andreas siadywał przy kominku, Rieke położyła poduszkę pod plecy, pod nogi podstawiła mężowi zydelek. Od czasu do czasu miękko przesuwiała dłonią po włosach i karku męża.

— Coś się stało? — zapytał Andreas zdziwiony.

— A co miałyby się stać? Cieszę się, że mój mąż jest w domu.

Andreas spojrział na żonę uważnie, ale nic nie odpowiedział. Przyniósł z kantoru księgę rachunkową i teraz przeglądał wpisy, przewracając kartę po karcie. Rieke z robótką w rękę siedziała naprzeciwko męża na wygodnym krześle z oparciami, przy kominku, w którym tego dnia nie napalono, gdyż dzień był ciepły, czerwcowy.

— Czasem stoję sobie przy oknie i wyglądam na podwórzec — zaczęła.

— Yhy — mruknał Andreas i dalej przewracał karty.

— Patrzę, jak pracują robotnicy. Miło spojrzeć, że tak pomnażają nasze bogactwo. Ale ostatnimi czasy zauważyłam, że coś się lenią. Ładowacze często stoją z rozdziawionymi gębami i gapią się bezmyślnie. Ajak wreszcie zabiorą się do roboty, to ruszają się jak muchy w smole. Kiedy był jeszcze ten pierwszy ładowacz, chyba Trajan mu było, wszystko wyglądało inaczej.

— Moje wrażenie jest inne — odparł Andreas krótko. — Nie wiem, co on tu tak naprawdę robił, bo o robotę ledwo się troszczył.

— Ale teraz jest jeszcze gorzej — narzekala dalej Rieke. — Może powinienes okazać mu łaskawość i zatrudnić go z powrotem.

— Co ty znowu z tym człowiekiem! — niespodziewanie wybuchnął Andreas. — Ciagle mnie nękasz, ciagle o nim gadasz. Zupelnie jakbyś miała w tym swój interes!

— Nie, nie — pośpiesznie zaprzeczyła Rieke, unosząc ręce. — Nawet go nie znam. Ale mam oczy i widzę, że teraz wszystko idzie gorzej niż przedtem. Już nawet gadają, że...

Andreas uderzył dłonią w stół. Rieke aż drgnęła z przestachu — takiego swego męża nie znała.

— Lepiej troszcz się o dom i swój tamborek, a interesy zostaw mnie! — syknął.

Rieke skuliła się w sobie, potulnie kiwnęła głową.

Jej serce boleśnie tłukło się w piersi. Zżerała ją tęsknota za Trajanem. Tak bardzo chciała się do niego przytulić. Ciało przy ciele. Serce przy sercu.

*

Kiedy wstała następnego dnia, było jej niedobrze i zaraz musiała się położyć z powrotem. Zwróciła śniadanie, nie mogła zatrzymać w żołądku nawet ciepłego mleka. Bolały

ją piersi, były nabrzmięte i pełne jak dobrze wypchane puchowe poduszki. Rieke wiedziała, co mogą oznaczać te objawy. Ale pewności nabrała dopiero wówczas, gdy poranne mdłości utrzymały się przez cały tydzień i nie wystąpiło jej comiesięczne krwawienie.

Była brzemienna.

I nagle wszystko się zmieniło. Jej łono już nie płonęło pożądaniem, było spokojne, miękkie i ciepłe. Jej piersi nie pały już tęsknotą do rąk Trajana, tylko jak córki tuliły się do jej ciała, niestęsknione już pieszczoty. Cera Rieke stała się świetlista, policzki nabrały różanego odcienia, oczy błyszcząły. Jeśli Rieke do tej pory była ładna — to teraz stała się piękna. Jej kształty lekko się zaokrągliły, rysy nabrały delikatnej miękkości — stała się bardziej kobieca, ciepła, macierzyńska. Mężczyźni oglądali się za nią na ulicy. I dotąd tak było, a gdy Rieke przechodziła obok portu, zdarzało się, że któryś za nią zagwizdał! Teraz obdarzano ją spojrzeciami należnymi bogini. I Rieke pławiła się w tych hołdach. Rozkoszowała się swoim stanem.

A Trajan? Któż to taki?! Nie do wiary, że tak go pragnęła, że umierała z tęsknoty za nim! Teraz przerażała ją myśl, że Trajan znowu mógłby zacząć pracować u Andreeasa. Rieke była brzemienna i swojej brzemienności nie chciała dzielić z nikim. Miała tylko jedną zgryzotę: od wieków nie spała z mężem. A jak Andreas zauważył jej stan — wtedy wszystko skończone! Musiała jakimś sposobem nakłonić męża, by z nią spał. Natychmiast, już tego wieczoru.

Przez cały dzień zastanawiała się, jak to zrobić. Ale choć łamała sobie głowę, żadną miarą nie mogła niczego wymyślić. Zgnębiona wyszła przejść się po mieście i bez celu przechadzała się po ulicach, oglądając towary wystawione w rzemieślniczych warsztatach i sklepach. Przy

smażalni, którą postawiono na Rossmarkt, Końskim Targu, stał pijany mężczyzna. Zaśmiał się do niej.

— Hej, śśślicznotko! — zawołał i przesłał jej całusa. — Sama jesteś? Dotrzymać ci towarzystwa? Mam słabość do takich jak ty! Dziewczyna jak rzepa! Elixir życia...

Zatoczył się raz i drugi, aż Rieke się przestraszyła, że upadnie jej pod nogi, ale jakoś się pozbierał, chwycił swój dzban z winem, przytknął do ust i wypił do ostatniej kropli.

— Hee, franfurcka dziiiewczyno, jesteś eliksir życia jak ten tu! — Uśmiechnął się od ucha do ucha, a potem zwalił na ziemię jak długi.

W tym momencie Rieke olśniło, wiedziała już, co ma robić, i czym prędzej pobiegła do domu.

Wykąpała się, ufryzowała włosy, kazała służebnej świeżo powlec łóżka, jeszcze raz posłała kucharkę na targ, żeby zdobyła selera. Potem sama poszła do kuchni i uwarzyła napój z ziołami od znachorki z przedmieścia, nie zapominając dodać nasion lulka, a przede wszystkim — wilczej jagody.

Potem usiadła w jadalni i zaczęła, aż przyjdzie Andreas. Przez cały wieczór była małomówna, uważała, by go czym nie rozdrażnić, a przede wszystkim pilnie baczyła, aby kieliszek męża był ciągle pełny.

Długo trwało, zanim dostrzegła u Andreasa pierwsze oznaki upojenia. Wtedy rozluźniła sznurówkę gorsetu, tak by ukazała się nasada jej pełnych teraz piersi. Usiadła mężowi na kolanach.

Przytuliła policzek do jego twarzy; poczuła, że cały napina się kurczowo i niechętnie, ale nie przestała go głaskać, całować i pieścić. Jednocześnie raz po raz dolewała mu przyprawionego korzeniami wina. Czowała, że Andreas jej nie chce — nie chce, żeby mu siedziała na kolanach; że to dla niego przykre i dokuczliwe, ale nie mogła się tym przejmować.

Wodziła ręką po jego udach i szeptała mu do ucha słowa, których nigdy nie odważyłaby się wypowiedzieć za dnia. Świeca na kominku dopalała się z wolna. Andreas ciągle jeszcze siedział sztywno jak posąg, ręce zwisały mu wzdłuż ciała i nawet nie próbował objąć żony. Rieke, balansując na jego kolanach, podała mu świeżo napełniony kieliszek, który Andreas natychmiast opróżnił. W końcu głowa opadła mu bezwładnie do tyłu, oczy się zamknęły i zaraz też zaczął chrapać.

Rieke uśmiechnęła się, wstała z kolan męża. Potem rozpięła mu spodnie, ściągnęła z pośladków i opuściła aż do kostek. Tak samo kalesony. Kiedy zobaczyła jego przyrodzenie, nieosłonięte i podobne do tłustej, białej larwy, poczuła współczucie. Przez ułamek sekundy pomyślała o Trajanie, którego twarda, prężna męskość tak bardzo różniła się od tego miękkiego, bezsilnego, pozbawionego ikry członka. Potem poszła do kuchni i przyniosła odrobinę zsiadłego mleka. Delikatnie posmarowała nim koniuszek męzowskiego przyrodzenia. Kilka kropli wylądowało też na bladym brzuchu Andreasa. Rieke oszczędziła tylko gacie. Potem z zadowoleniem popatrzyła na swoje dzieło i poszła do łóżka.

*

Kiedy nazajutrz rano wstała i wyszła z alkierza, Andreas był już na nogach. Siedział w izbie bawialnej i jadł kaszę, przygotowaną przez dziewczkę na śniadanie.

— Już wstałeś, mężusiu? — zaszcebiotała Rieke, wchodząc do izby. Podeszła do Andreasa, od tyłu objęła jego szyję ramionami, pocałowała męża w policzek.

— Ta noc była piękna. Jak najprawdziwsza noc poślubna. Zgotowałeś mi wiele radości — zaszepiała mu czule do ucha.

Potem, niby mimochodem, musnęła go ręką po przyrodzeniu i usiadła naprzeciwko.

— A co było ostatniej nocy? — zapytał Andreas. Nie mógł powstrzymać rumieńca wstydu, który oblał mu twarz.

— Oooh. — Rieke westchnęła i rzuciła mu z ukosa filuterne spojrzenie. — Poczynaleś sobie ze mną jak prawdziwy ogier ze swoją kłaczą.

Spuściła skromnie wzrok i uśmiechnęła się pod nosem.

*

Już od kilku dni Judith, otwierając rano okiennice, wychylała się daleko i z obawą spoglądała w niebo. Dopiero gdy pewnego dnia nie dostrzegła ani jednej chmurki, która zaćmiewałaby czysty błękit, odetchnęła z ulgą. Bardziej niż czegokolwiek innego życzyła sobie, by w niedzielę, po kościele słońce świeciło tak jak teraz. W niedzielę! Jak ślamazarnie potrafi się wlec taki tydzień!

Jakby to było w mojej mocy — pomyślała — j u ż byłaby sobota wieczór! A tu dopiero wtorek... Do niedzieli godzin a godzin... Westchnęła ciężko. Święty Piotrze, proszę, spraw, żeby nie padało! — powtarzała błagalnie w myślach. — Ześlij piękną pogodę, łagodne powietrze. Spraw, żeby moja skóra jaśniała, a suknia leżała zgrabnie. Święty Piotrze, wszyscy święci aniołowie, bądźcie ze mną w niedzielę! Bo w niedzielę mam się spotkać z Lennartem i pójdziemy na spacer nad rzekę — jeśli pogoda będzie ładna. Słyszycie?

Judith robiła wszystko, co w jej mocy, żeby powiodło się ze spacerem. Co wieczór chodziła na mszę, ofiarowywała co dzień grubą świecę, dawała jałmużnę żebrakom i cherlawym, była miła i uprzejma dla wszystkich — i miała nadzieję, że dobry Bóg wynagrodzi jej to w niedzielę. Rozważała nawet, czyby nie kazać uszyć sobie nowej sukni — ale szybko porzuciła tę myśl, gdyż uznała, że to za duży sprawunek jak na ciągle dość niepewną

znajomość; no i nie byłoby to ładnie wobec Lili, której przecież brakowało dosłownie wszystkiego.

Kiedy wreszcie nadeszła niedziela, ciężkie chmury wisiały nad miastem jak pełne mleka piersi młodej mamki, lecz pośród nich od czasu do czasu przebłyskiwał jednak kawałek lazuru.

Judith była przejęta i rozgorączkowana, wydawało jej się, że dygoce na całym ciele — ale to tylko drżała jej dusza. Długo szcztokowała włosy, aż w końcu błyszczwały olśniewająco. Namaściła ciało oliwką, nałożyła na twarz bielidło, policzki i usta ukraśniała barwiczką. Potem wybrała suknię ze śmiałym wycięciem, a dekolot ozdobiła rubinowym wisiorkiem na pięknym złotym łańcuszku.

Wreszcie zdjęła z haka lekką narzutkę i rzuciwszy w głąb domu pożegnanie, poszła do katedry św. Bartłomieja.

Na niedzielne nabożeństwo Judith chodziła zazwyczaj do kościoła Św. Mikołaja na Römerplatz, gdyż była ewangeliczką — lecz dzisiaj umówiła się z Lennartem w katedrze, w kościele, do którego on uczęszczał co niedziela.

Lennart czekał na nią przed wielkim portalem. Judith poczuła, jak ogarniają niepokój. Co prawda nadal szła pewnie, ale głowa zaczęła jej się chybotać jak u starej kobiety. Rumieniec zawstydzienia oblał jej twarz. Znowu to samo! Jakby się coś na mnie uwzięło! — pomyślała gniewnie. — Wreszcie się umówiliśmy, a jakja wyglądam? Czerwona jak burak, z trzęsącą się głową. Mam tego dość!

Ale potem wszystko okazało się o wiele łatwiejsze, niż się spodziewała. Lennart nachylił się do niej, delikatnie ucałował ją w policzek. Podał jej ramię i wprowadził do katedry. Ludzie patrzyli na nich, a Judith kłaniała się na prawo i lewo z uśmiechem zadowolonej kobiety, o którą zabiega mężczyzna.

— Po mszy całe miasto będzie o nas gadać — szepnęła do Lennarta.

— Mam nadzieję — odparł. — Bo cały Frankfurt powinien się dowiedzieć, jaka to piękna kobieta zaszczycała mnie dzisiaj swoim towarzystwem.

Judith cichutko parsknęła śmiechem, ale, widząc oburzone spojrzenia kilku starszych niewiast, zawstydzona przyłożyła rękę do ust i umilkła. Przez całe kazanie serce waliło jej młotem, była przekonana, że ksiądz musi to słyszeć. Lennart trzymał ją za rękę, od czasu do czasu delikatnie muskał jej dłoń kciukiem. Judith nie mogła się doczekać zakończenia mszy — wreszcie rozległy się słowa końcowego błogosławieństwa.

Niedługo potem szli spacerem wzdłuż brzegu Menu, przy Bramie Wszystkich Świętych skręcili i przez łąki powędrowali dalej do „wesołej wioski” Bornheim — wioski uciech oddalonej od Frankfurtu o pół godziny drogi. Słońce ciągle jeszcze nie przebiło się przez chmury, ale było ciepło.

Szli zapyłoną dróżką przez wrzosowisko. Judith wsunęła rękę pod ramię Lennarta.

— Jaka ona była? — zapytała.

— Kto?

— Twoja żona. Kochałeś ją bardzo, prawda? Umarła w pogoju i zabrała ze sobą maleństwo?

Twarcz Lennarta, dopiero co pogodna i otwarta, zachmurzyła się.

— Tak, kochałem Lydię. Bardzo.

Zamilkł, utkwiał wzrok nieruchomo w przestrzeni.

— Nie chcesz o niej rozmawiać? — zapytała Judith cicho.

Lennart spojrział na nią.

— Lepiej ty mi opowiedz do swoim mężu. Jakim był człowiekiem?

Judith poczuła wewnętrzny opór, i dla niej to nie było łatwe, nie miała ochoty rozmawiać o Matthiasie. Ale

widać nie mogło być inaczej — musieli sobie opowiedzieć o dawnych miłościach, o swoich towarzyszach życia, zanim zaczną razem coś nowego.

— Nie był złym człowiekiem, ale i nie był dobry... — zaczęła w końcu Judith cichym głosem. — Czasem, gdy haftowałam, siadywał obok mnie i śpiewał mi piosenki. A czasem mnie zdradzał. W wieczory, gdy była pełnia, często szcztokował mi włosy. W bezksiężycowe noce zdarzało mu się niekiedy mnie uderzyć. Swoją córkę kochał, a jednocześnie nie krył się z tym, że wolałby, aby była synem. Bywał głośny i hałaśliwy, a potem znów milczący, aż robiło się strasznie. Potrafił się dąsać, mieć pretensje o wszystko, a innym razem był czuły i poświęcał mi wiele uwagi. Krótko mówiąc, był mężczyzną, który za wszelką cenę chciał być męski — nawet za cenę śmieszności i nikczemności. Matthias był potomkiem wielkiego Bertrama Geisenheimera, co prawda synem jego córki. I, niestety, szybko przekonał się o tym, że potomkowie córek mniej się liczą niż dzieci synów.

Judith urwała i westchnęła. Spojrzała na Lennarta, jakby musiała się upewnić, że faktycznie idzie obok niego. Jego twarz nie była już tak nieprzenikniona i nieprzystępna, wyrażała uwagę i zainteresowanie. Posłał jej uśmiech, zwykły ciepły uśmiech, całkiem wolny od współczucia.

— Rad jestem, że nie jesteś już zamężna. — T y l k o tyle powiedział.

I to proste zdanie uszczęśliwiło Judith. Mogę zaczekać — pomyślała. — Skoro nie masz ochoty opowiadać o swojej żonie... to nic... mogę poczekać.

Lecz po chwili Lennart sam zaczął mówić:

— Lydia była dużo młodsza ode mnie. I bardzo urodziwa. Była dorodną, bujną pięknoscia. Może nawet odrobinę zbyt bujną. Czasem wydawało mi się, że wszystko w niej jest odrobinę przesadzone: oczy o ton za

niebieskie, wargi troszeczkę za pełne i nazbyt czerwone. Piersi nieco za wydatne, włosy o palec za długie. Nawet zębów miała o dwa więcej niż inni ludzie. Wszystkiego w niej była obfitość. Była hoża i dorodna. Dorodna jak falujące pole pszenicy w lipcu, pełna jak faska świeżo ubitego masła, jak miseczka słodkiej śmietany w niedzielę. I też tak pachniała. Słodką śmietanką i niedzielą. Czasem obserwowałem ją, gdy spała. Leżała zwinięta jak kotka, która zaraz zacznie mruczeć.

Ona nie żyje — myślała Judith, gdy Lennart opowiadał. — Nie ma powodu do zazdrości. Ona nie żyje. Ale nie mogła się obronić przed osobliwym uczuciem, które ją ogarnęło: przestań! Przestań o niej marzyć! — miała ochotę krzyknąć.

Lecz zamiast tego ścisnęła tylko mocno jak najmocniej rękę Lennarta.

— Ajaka była jako gospodyni, pani domu? — zapytała, aby nadać rozmowie nieco bardziej rzeczowy charakter.

— Gotowała wybornie. Nigdy nie jadłem tak delikatnego, tak smakowitego mięsiwa jak to, które własnoręcznie przyrządzała. Bardzo dobrze prała — w żadnym razie nie powierzyłaby naszej bielizny komuś obcemu! Moje koszule były białe jak śnieg i pachnące, prześcieradła czyściutkie i świeże, podobnie obrusy. Lydia potrafiła też rządzić się pieniędzmi. Co niedziela dawałem jej guldena, który wystarczał na sprawunki na cały tydzień. Roztropna była jak mało kto — przychodzili do nas wszyscy sąsiedzi, żeby zasięgnąć jej rady. A nasz ogródek ziołowy znany był na całej ulicy! Lydia była też życzliwa i szczodra. Kiedyś usłyszała, że dziecko sąsiadki kaszle — od razu pobiegła nzbierać tymianku, przyrządziła napar, zmieszała z miodem i zaniósła matce chorego dziecka. Innym znów razem było tak, że zastukała do nas żebraczka, młoda jeszcze kobieta. Suknię miała rozdartą, akurat na

piersi. Zasłaniała się ręką, ale niewiele to dawało. Wtedy Lydia zaszyła jej sukienkę — i dała jeszcze koszulę.

— Prawdziwa święta — rzuciła Judith trochę z przekąsem. Oczekiwała, że Lennart się roześmieje, że może nawet ją pocałuje, powie coś miłego. Chciała, bardzo chciała, żeby rzucił jej jakieś słodkie słówko, żeby nie musiała się już czuć tak podle, taka zwykła, niedoskonała. Ale Lennart milczał.

— Była próżna? — zapytała więc Judith, z cichą nadzieją, że może chociaż to, że przynajmniej musiała być próżna.

Lennart przecząco potrząsnął głową.

— Nie bardziej niż inne — odparł. — Miała dryg do strojów, umiała się wyszykować. Z byle łąszka potrafiła zrobić cudo. Tu paseczek, a tu złota borta — i już mogła się mierzyć z największymi modniami. A chód miała lekki i nadobny, głowę trzymała prosto niby królowa.

W chwili gdy Lennart wypowiadał te słowa, Judith potknęła się i upadła — pacnęła stanikiem prosto w błotnistą kałużę. Błoto prysnęło jej w twarz, zapiekło w oczach. Ale jeszcze mocniej palił wstyd. Nie patrząc na Lennarta, podniosła się szybko, otarła twarz rąbkiem spódnicy i uciekła ile sił w nogach.

10

Rieke obnosiła się ze swoim brzuchem, jakby była pierwszą brzemienną niewiastą na świecie — dosłownie pękała z dumy. Już nie chodziła, a przemieszczała się: z rękami złożonymi na brzuchu, ostrożnie stawiała krok za krokiem, jakby szła po cienkim lodzie, chociaż była szczupła i gibka, i nikt jeszcze nie zauważył, że jest brzemienna. Ale Rieke celebrowała swój odmienny stan i swoje ciało, które nagle wydało jej się niezmiernie kruche i delikatnie. Większość dnia spędzała, leżąc na wyścielanym szezlongu i oddając się marzeniom. Medyk przychodził co tydzień, gdyż tak sobie zażyczyła. Akuszerka, która także zaglądała raz w tygodniu, radziła jej, żeby zażywała więcej ruchu, ale Rieke uważała, że to nie byłoby dobrze. Chciała zdrowo wydać na świat to dziecko. I nic więcej. Na wszelki wypadek wolała je chronić — a gdyby tak przewróciła się na ulicy?! Strach pomyśleć! Nie, Rieke nie chciała ryzykować. Przecież i tak nie lubiła spacerów. Ale być w odmiennym stanie — tak, to lubiła. Rozkoszowała się tym. Poczuciem więzi, bliskości z dzieckiem, chociaż dziecka jeszcze przecież nie czuła. Bliżej być nie można. Nikt nie będzie tak bliski dziecku jak ona. Ani Andreas, ani jej szwagierki, nikt. To jej dziecko. I tylko jej.

Andreas siadał niekiedy obok niej, pytał, czy może położyć rękę na jej brzuchu, ale Rieke pozwalała mu najwyżej na króciutką chwilę. Czasem nachodził ją lęk, że mógłby poczuć, że to nie jego dziecko. Ale zwykle była pewna swego: to nienarodzone dziecko ma tylko matkę. Ojca — nie. Najchętniej by je także sama wychowała. Tylko ona i niemowlę. Związani ze sobą na zawsze.

Rzadko myślała o Trajanie. Była zbyt zajęta, jej ciało było zbyt zajęte, by odczuwać tęsknotę za czymkolwiek innym jak tylko za dzieckiem. Ledwie mogła sobie przypomnieć, jak to było zażywać miłości z Trajanem. To wprost niemożliwe, że kiedyś jej łono rozpałało się na samą myśl o nim! Rieke z niedowierzaniem potrząsała głową, gdy to wspominała.

Leżała na szezlongu, z jedną ręką na brzuchu, z drugą podłożoną pod głowę — śniła z otwartymi oczyma. Do pokoju wszedł Andreas.

— Jest niedziela, świeci słońce. Nie byłeś w kościele. Nie wydaje ci się, że czas pokazać się między ludźmi?

Rieke uśmiechnęła się, z westchnieniem uniosła nieco łokciu.

— Tak myślisz...? Żeby zobaczyli, jacy jesteśmy szczęśliwi? — zapytała.

Andreas wzruszył ramionami.

— Skoro tak mówisz...

Nie — pomyślała Rieke. — Wcale tego nie chcę. To moje dziecko. Tylko moje. I jeśli ktoś się ma pokazywać — to tylko ja.

— Czuję się dzisiaj trochę osłabiona — oświadczyła. — Poza tym kucharka dopiero co mówiła, że idzie burza. Mówi, że czuje to w kolanach.

Andreas tylko kiwnął głową i poszedł. Rieke znowu wyciągnęła się wygodnie, z uśmiechem pomyślała o tym, jak chytrze wmówiła Andreasowi to dziecko. Przynajmniej

wino zrobiło swoje — myślała — chociaż seler zawiódł po raz drugi. Wino, tak, to najlepszy sposób. No i te zioła. Andreas nie miał najmniejszej ochoty na czułości. Jak zwykle. Ale dzięki winu następnego ranka nic nie pamiętał... i mogłam mu wmówić wszystko, wraz z tym, że uczynił mnie brzemienną. Czy naprawdę mi wierzy? Nie wiem. Ale to obojętne. Najważniejsze, że zachowuje się jak ojciec. A jakże! Obstałował już nawet u stolarza kołyskę... Najchętniej już by się rozejrzył za mamką... Ale tu mnie nie zna. To ja będę karmić. Sama. Ja będę się zajmować moim dzieckiem. Nie obchodzi mnie, że żony patrycjuszki tego nie robią. To moje dziecko. Moje. Tylko moje.

W domu Andreasa i Rieke od lat mieszkała Amalia, jego matka. Rieke zadbała o to, by świekra dostała izbę z dala od małżeńskich pokojów. Nie lubiła swojej świekry i miała jej za złe, że i tamta najwyraźniej za nią nie przepada. Tylko kiedy przychodzili goście, Rieke odgrywała rolę oddanej synowej i prosiła starszą panią do stołu. Pewnego poranka świekra znienacka zaskoczyła ją na schodach, gdy Rieke schodziła ostrożnie, podtrzymując ręką brzuch.

— Czyjego bękarta chcesz podsunąć mojemu synowi? — rzuciła zjadliwie.

— Zapytaj twojego syna, czy jest ojcem — wyniośle odparła Rieke. — Zapytaj go, a potem mnie oskarżaj!

Z tymi słowy zostawiła starą kobietę i odeszła, a dziewczynie służebnej poleciła, żeby postarała się zająć czymś Amalię w jej pokoju.

— Wszystko mi jedno, jak to zrobisz. Wymyśl coś. Trzymaj starą z dala ode mnie.

*

Następnego dnia Rieke poskarżyła się swojemu medykowi na bóle w krzyżu. Doktor van Aaken pomasaował jej

trochę okolicę łądźwi, ale potem stanowczo zalecił spacerować.

— Leżycie za dużo. To nie robi dobrze ani wam, ani dziecku — orzekł.

Andreas stał obok. I chociaż Rieke nie miała najmniejszej ochoty pałętać się po dworze, jak się wyrażała, to jednak zebrała się do wyjścia, gdyż nie chciała, by mąż pomyślał, że lekceważy rady lekarza i nie daj Bóg zaszkodzi jeszcze dziecku.

Szła powolutku, krok za krokiem, najpierw ulicą do rynku, potem drogą w stronę błoni nad Menem. Może by i poszła dalej, ale co miałyby tam robić? Przecież wie, jak wygląda rzeka i co robią rybacy i praczki. Nic ciekawego. Nie interesowało jej też to, co działo się w porcie. Od zapachu ryb i raków rzecznych dostawała mdłości, a widok portowych uliczników był taki deprymujący! Zawróciła więc i przechadzała się po uliczkach wokół Romera, oglądała wystawy kupców i rzemieślników, rozkoszując się łagodną pogodą.

Nagle drogę zastąpił jej Trajan. Rieke się przestraszyła — obronnym gestem uniosła ręce, jakby chciała osłonić brzuch. Ale Trajan już dawno słyszał o jej brzemienności.

— To moje dziecko nosisz pod sercem — stwierdził.

Rieke potrząsnęła głową.

— Mylisz się, mój drogi. To dziecko mojego męża. Bo i czyje miałoby być?

Jej twarz przybrała wyraz wyniosłości, patrzyła na Trajana jak na obmierzłego robaka.

Trajan chciał ją wziąć za rękę, ale Rieke szarpnęła się, odtrąciła jego dłoń.

— Chcę, żebyś ze mną spała — powiedział Trajan. — Śpij ze mną — poprosił, napał na nią, podszedł tak blisko, że poczuła jego oddech.

Odepchnęła go.

— A tobie co?! — fuknęła zdziwiona. — Czemu miałabym z tobą spać? Czy to nie ty nie tak dawno oświadczyłeś, że nie jestem dla ciebie ponętna? — Rieke była tak zdumiona żądaniem Trajana, jakby byli sobie zupełnie obcy. Była zbyt zdumiona, by okazać oburzenie.

— Śpij ze mną — powtórzył Trajan. — Inaczej powiem twojemu mężowi, czyje naprawdę jest dziecko.

Rieke z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

— Dlaczego mam z tobą spać?! — wykrzyknęła. — Mylisz, że dzięki temu dostaniesz z powrotem robotę? Wybij to sobie z głowy. No więc: dlaczego miałabym?

Trajan skurczył się w sobie, przygarbił. Inaczej to sobie wyobrażał. Niepewnie przestępował z nogi na nogę.

— Dlaczego? — powtórzyła Rieke. Dostrzegła, że układ sił całkiem się zmienił. Teraz to nie ona jest tą proszącą. Teraz to znowu ona ma władzę. A Trajan? Przecież nie jest już nawet u nich zatrudniony! Co on sobie wyobraża! Jak śmie czegokolwiek od niej oczekiwać! — No więc, czekam: powiedz, dlaczego?

— Ponieważ cię pokochałem.

Trajan wypowiedział to z zawstydzaniem, cicho, niepewnie.

Rieke się roześmiała.

— Głupstwo i błazenada! — skwitowała. — Nie jesteś we mnie zakochany, a ja już ciebie nie potrzebuję. Wypełniłeś swoje zadanie.

Z kieszeni spodniej sukni wyciągnęła sakiewkę z pieniędzmi, pogrzebała w niej i podała Trajanowi srebrnego guldena.

— Masz, weź. To dużo pieniędzy. Nawet teraz, gdy pół bochenka chleba kosztuje tyle, co przed rokiem połowa świniaka.

Trajan potrząsnął głową. Rieke zobaczyła, jak zacisnął zęby. Wetknęła mu pieniądz do kieszeni kaftana i chciała odejść, ale on nie dał się tak łatwo zbyć.

— Powiem twojemu mężowi, że to moje dziecko — zagroził.

Rieke wybuchnęła śmiechem.

— Nie uwierzy ci.

— Może nie od razu — odparł. — Ale jak całe miasto zacznie gadać o tym, że ładowacz zrobił dzieciaka Rieke Geisenheimer, to i twój mąż w końcu przestanie udawać głuchego.

Rieke na krótką chwilę zajrzała Trajănowi głęboko w oczy. Zobaczyła, że nie udaje. Naprawdę jej pragnie. I zrobi wszystko, by ją zdobyć.

— A co z twoją żoną? — rzuciła wyzywającym tonem. — Z twoimi dziećmi?

— Nic — odparł. — Nic z nimi. Są ode mnie zależni. Jesteśmy związani na wieczność. Będą siedzieć cicho, a moja żona zadowolony się tym, co ode mnie dostanie.

Rieke wzruszyła ramionami i najzwyczajniej odwróciła się, by odejść.

— Zastanowię się — rzuciła na odchodnym, zupełnie jakby Trajan był drobnym kramarzem, którego marny towar nie zasługuje na kupno. I po prostu zostawiła go na ulicy.

*

Lila od kilku tygodni jeździła po wsiach — została też stałą klientką frankfurckich kantorów walutowych. Wreszcie zgromadziła dość pieniędzy, by opłacić rzemieślników, którzy mieli doprowadzić do porządku jej zdewastowany dom. Tego dnia przemierzała rynek, żeby zobaczyć, czy jest jeszcze cokolwiek do kupienia. Na targu drzewnym handlarze stali przy pustych furach. Stel-

machowie, bednarze, stolarze, cieśle i inni rzemieślnicy wykupili wszelkie zapasy drewna! Resztę, i Lila o tym wiedziała, pochłaniała armia. Dzień w dzień całe tabory fur wozily drewno budowlane do obozu pod H6chst. W promieniu półtorej mili nie został nawet sążeń suchego drewna. Nawet z las6w Taunusu do miasta przybywały tylko nieliczne wozy. Armia była jak 6w potw6r, smok z baśni, kt6rego żarłoczne gardło pochłaniało wszystko wokoło.

— Pilnie potrzebuję p6ł sążnia drewna budowlanego — zwr6ciła się Lila do handlarza, kt6ry przybył zza Menu, z Rumpenheimu.

Handlarz rozł6żył ręce.

— Nic nie poradzę, dobra kobieto, nie mam nawet p6ł deski. Z pustego i Salomon nie naleje...

Lila westchnęła.

— M6j mąż to rajca Geisenheimer. Jest przy armii, robi, co w jego mocy, żeby miasto Frankfurt zostało oszczędnione. Jest tam także po to, by chronić wasz tyłek.

Mężczyzna znowu rozł6żył ręce.

— B6g mu wynagrodzi, dobra kobieto. Každy ma swoje zadanie. Jeden sprzedaje drewno, drugi ratuje miasta. Gdyby było na odwrot, wasz stałby tutaj, a m6j tyłek byłby w obozie wojskowym.

Každy inna niewiasta uznałaby swoją porażkę i odeszła. Ale nie Lila. W oczach mężczyzny dostrzegła błysk, kt6ry zasygnalizował jej, że handlarz jest got6w podjąć pertraktacje — jeśli uda się go przekonać, na pewno zdobędzie tyle drewna, ile jej potrzeba. Lila posłała mężczyźnie swój najbardziej czarujący uśmiech, odgarnęła włosy z czoła i rzekła:

— Ale gdyby m6j mąż nie był przy armii i gdyby nie powstrzymał tej hordy przed zaatakowaniem miasta, to was by tu teraz nie było.

Mężczyzna się roześmiał.

— Słusznie prawicie, zacna pani. Ale co z tego wynika?

— A to, że w takim razie mojemu mężowi przysługuje część waszego drewna!

— Hmm... nie przypominam sobie, żeby wasz umówił się ze mną na taką prowizję...

— Tego rodzaju prowizja nie wymaga wyraźnego ustalenia. To kwestia przyzwoitości, coś jak prowizja moralna, i winien ją zapłacić każdy, kto uważa się za człowieka honoru.

— Ja tam wolę, by ludzie uważali mnie raczej za dobrego i mądrego kupca niż za człowieka honoru. Samym honorem się człek nie naje.

Lila się roześmiała, a mężczyzna zawtórował jej gromkim głosem. No to sprawa załatwiona — pomyślała. — Ubijemy interes. Teraz trzeba tylko ustalić szczegóły. Poszło szybciej, niż się spodziewałam. Spojrzała w roześmianą twarz handlarza, a kątem oka zauważyła, że z boku ktoś podchodzi i staje koło niej. Z rozdrażnieniem odwróciła głowę. Mężczyzna, który właśnie podszedł, popatrzył na nią, uchylił kapelusza i powiedział, akcentując każde słowo:

— Szczęść Boże, Lilith. Miło cię znowu widzieć.

Lila zdrętwiała. Jej twarz okryła się kredową bledością, oczy zapłonęły niby zielone ognie. Przez moment patrzyła na mężczyznę, jakby był samym diabłem. Potem zebrała spódnicę i uciekła. Biegła, ile sił w nogach. Potknęła się, pośliznęła na liściu kapusty i omal nie upadła. Ale złapała równowagę i biegła dalej, potracając i roztrącając przechodniów, niechcący kopnęła w bok jakiegoś kota; i biegła, biegła, biegła...

Marga nie była w niedzielę w kościele. Tak bardzo chciała pójść, usłyszeć, jak chłopcy od św. Tomasza śpiewają pieśń, którą ułożył dla niej Hermann Schein —

ale została w domu. Ludzie już i tak gadali. Że mąż od niej uciekł. Tak mówiono na mieście. Nawet jej rodzony syn brał udział w rozgłaszaniu tych kalumnii. Jedna z sąsiadek opowiedziała jej, jak Konstantin wszystkim wokoło rozpowiada, że jego matka to stara megiera z wyschniętym łonem, że ojciec uciekł od jej wiecznego jazgotu. Marga tylko wzruszyła ramionami. Bo i co miała by zrobić? Niczego innego nie mogła się spodziewać, a już najmniej — współczucia. Gdy mężczyzna zostawia dom, to winna jest kobieta — prawda znana wszem wobec i każdemu z osobna. A jeśli nawet było inaczej, to i tak nie ma znaczenia. Marga rozmyślała czasem nad prawdą: że jest wiele prawd i że mają one różną wagę. Jest prawda Boża, która stoi ponad wszystkim, strzeżona przez prałatów jak Święty Graal. Zaraz po niej następuje prawda mężczyzn. Ta często tak zasadniczo różni się od prawdy kobiet, że z góry przyjmuje się właśnie ją: tę prawdziwszą prawdę — prawdę mężczyzn. Bo kobiety nie mają pojęcia o prawdzie. Bóg odmówił im oświecenia w tej materii. Dlatego to, co one uznają za prawdę, uważa się za urojenie, imaginację — j e ś l i napomykają o tym po cichutku. A jeśli kobieta głośno i dobitnie wyraża swoją prawdę, to i tak ocena pozostaje taka sama, a ją uznaje się za złą, kłótniwą babę, co ma diabła za skórą, czy wręcz za czarownicę. Marga wiedziała o tym od dawna. I wiedziała też, że nic na to nie poradzi, nijak nie może temu przeciwdziałać. Starala się więc jak najmniej zwracać na siebie uwagę, żeby nie dostarczać złym językom dodatkowej pożywki do plotek i obmowy. Właśnie dlatego zrezygnowała z kościoła i wysłuchania pieśni. Ale dzisiaj, w piątek, kiedy u św. Tomasza na nieszpórach śpiewa się motety, o tak, dzisiaj tam pójdzie! Usiądzie sobie całkiem z tyłu, ukryje się za filarem i będzie słuchać śpiewu chłopców.

Zamknęła warsztat i ruszyła w stronę kościoła. Powolnym krokiem szła Katharinenstrasse — z naprzeciwka nadchodziła właśnie piekarczowa. Marga ją pozdrowiła, na co tamta najpierw bez słowa spojrzała w bok, potem jednak odwróciła głowę i szybko skinęła w odpowiedzi. Kilka kroków dalej przystały trzy dziewczki. Ciężkie kosze z wiktuałami z targu postawiły na ziemi i założywszy ręce, rozprawiły żywo, stojąc w kółeczku z pochylonymi ku sobie głowami. Jedna z nich właśnie coś powiedziała, a pozostałe dwie roześmiały się w głos, odrzucając do tyłu głowy. Marga wyminęła je pośpiesznie, ale i tak doleciało do jej uszu, jak jedna z dziewczyńskich zaszeptów:

— Patrzcie! To jest ta drukarzowa, co to mąż od niej uciekł!

Jak najprędzej poszła Marga dalej, lecz i odpowiedź drugiej dziewczki nie została jej oszczędzona.

— Sucha jak szczapa! Drzazgę można sobie wbić! A jaka musi być twarda! A chłopcy lubią leżeć miękko i mieć co w garść wziąć. Trochę ciała, żeby się przytulić. A najbardziej to lubią leżeć między jędrnymi udami. Nic dziwnego, że ją rzucił, chuda taka, że ledwo ją widać, trzeba dwa razy spojrzeć.

Margaomal nie wybuchnęła płaczem. Czemu wszyscy mnie obwiniają? — ciągle zadawała sobie to pytanie, lecz nie znajdowała na nie odpowiedzi. Tymczasem doszła do rynku. Właśnie ściągano przy ratuszu flagę zezwalającą na handel. Ratusz. Ratusz Lottera. Marga uśmiechnęła się mimowolnie. Hieronimus Lotter był przed pięćdziesięciu laty mistrzem budów miasta i właśnie on zawiadywał stawianiem ratusza. Z postacią Lottera wiązały się liczne anegdoty: kierował on także pracami przy odbudowie twierdzy Pleissenburg. Ale przeprowadził je tak pośpiesznie, że już niedługo po ich ukończeniu wszystko

zaczęło się sypać. Odtąd nieporządnie wykonaną, niechlujną pracę zaczęto w Lipsku nazywać „robotą Lottera”.

Na rynku przekupnie rozbierali kramy, majster targowy chodził po zaułkach między budami i pilnował, żeby już nikt niczego nie sprzedawał. Na skraju placu stało jeszcze tylko kilku kuglarzy. Jeden zonglował szmacianymi piłeczkami, drugi grał na lutni, a kobieta w suchych, kolorowych spódnicach i z brzęczącymi bransoletami tańczyła w rytm muzyki.

Gdy Marga przechodziła obok nich, chwyciła ją za ramię bezzębna stara niewiasta.

— Daj rękę, kochaneczko, daj, powróż!

Marga zrazu potrząsnęła głową, ale po chwili pomyślała: czemu nie? I podała starej rękę. Lewą, tę od serca.

Stara wpatrzyła się w jej dłoń, potem przywołała jakąś młodą kobietę, wskazała jedną z linii i wypowiedziała kilka zdań w obcej mowie. Młoda z ciekawością popatrzyła na Margę, potem się do niej uśmiechnęła.

— I co? Co tam wyczytaliście? — dopytywała się Marga.

— Wasza ręka opowiada osobliwą historię. Z mężczyznami dotąd szczęścia nie mieliście, a i wasza linia rodziny nie bardzo jest wyraźna. Ale jednak jest wam pisane, że to wy utrzymacie ród.

Marga potrząsnęła głową.

— To niemożliwe. Ja nic nie znaczę. I na pewno nikt ode mnie tego nie oczekuje. — Spojrzała w bok i mruknęła pod nosem: — A i tych innych rzeczy też nie...

— Ale to jest zapisane tu, na waszej ręce — upierała się stara. — Jeszcze nigdy się nie omyliłam.

— A co jeszcze wyczytaliście?

— Będziecie mieli wnuki, ale nieprędko, upłynie jeszcze sporo czasu. Spadnie na was ciężka choroba,

ale ją przeżyjecie. Lecz umrze przy tym wasz ukochany... będziecie strasznie cierpieć, jakby wam żywcem wyrwano serce.

Marga spojrzała na kobietę.

— Prawdę mówicie?

Stara kiwnęła głową.

Marga wyciągnęła monetę, chciała dać ją starej, ale ta odmówiła.

— Jesteście dzieckiem gwiazd — powiedziała. — W chwili waszych narodzin na ziemię spadła gwiazda i rozprysnęła się na tysiąc kawałków. Świadczą o tym te brązowe plamki na waszym nosie. Niewtajemniczeni mówią, że to piegi. Ale naprawdę to gwiazdny pył. Gwiazdne dzieci, kochaneczko, rozpoznają się, gdy się spotkają. I dlatego nie jesteś mi nic winna.

To były piękne, pocieszające słowa. Marga poczuła się pokrzepiona, w jej serce wstąpiła otucha. Nie jest po prostu opuszczoną kobietą — j e s t gwiazdnym dzieckiem.

Poszła dalej. Już nie dotykały jej spojrzenia mijanych ludzi — ani te pełne litości, ani te złośliwe, nic jej to nie obchodziło. Doszła do kościoła akurat w chwili, gdy rozbrzmiały pierwsze dźwięki motetu. Wśliznęła się przez wielkie, okute żelazem drzwi i tak jak to sobie umyśliła, usiadła w ostatnim rzędzie ławek, ukryta za filarem. Niewinne anielskie głosy chłopców wypełniały wysoką nawę. Dreszcz zachwytu przeniknął ciało Margi. A potem, kiedy chłopcy zaśpiewali jeszcze pieśń, którą Hermann Schein napisał dla niej, lzy trysnęły jej z oczu. To było tak, jakby coś w niej pękło. Skorupa, która przez ostatnie lata narosła wokół jej serca i duszy, nagle się rozpadła, i Marga otworzyła się na to, co piękne, co dotyka serca i co je wzrusza. Przycisnęła dłoń do piersi, z trudem powstrzymywała szloch. Była smutna i szczęśliwa zarazem, pieśń sprawiła, że było jej i lekko, i ciężko na duszy;

czuła, że jest kobietą i matką, kobietą opuszczoną i kochającą — ale przede wszystkim kobietą, w którą znowu wstąpiła nadzieja.

*

Nad dachami Frankfurtu wisiały ciężkie chmury. Ludzie poruszali się po mieście powoli, jakby dźwigali te chmury na własnych barkach. Tu i tam na skraju ulicy leżał leniwie jakiś pies albo kot, zwierzęta nie ruszały się nawet wtedy, gdy wielkie, zielonkawe połyskujące muchy siadały im na otwartych oczach. Kury, które zwykle z głośnym gdakaniem płątały się przechodniom między nogami, poukrywały się gdzieś między domami. Jakiś jeździec próbował batem zmusić konia do kłusu, ale zwierzęciu już nawet przy chodzie stępa toczyła się z pyska biała piana.

Judith też szła powoli, bardzo powoli. Często przystawała. Suknie kleiły jej się do ciała, włosy na karku były mokre od potu, na czole i na górnej wardze perlily się drobne kropelki, które ocierała adamaszkową chusteczką. Z trudem chwytała oddech, miała wrażenie, że wciąga do płuc nie powietrze, ale gęstą miazgę, która zakleja jej krtań i wypełnia usta. Spojrzała w górę, na skrzynkę z roślinami na pierwszym piętrze, i zobaczyła, że nawet kwiaty zwiesiły swoje główki. Całe miasto było jak tknięte paralizem. Z daleka dobiegał huk i grzmienie ciężkich dział. Judith wiedziała, że bitwa pod Höchst jest w pełnym toku, ale była zbyt zmęczona, zbyt wyczerpana, by poświęcić jej chociaż jedną myśl. Jakaś kobieta przeszła, pozdrowiwszy Judith niewyraźnym, cichym głosem, a ona odpowiedziała jej równie flegmatycznie. Jeszcze trzysta kroków do domu. Fraszka dla kogoś w jej wieku. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj ta odległość wydawała jej się dziesięć razy większa. Każdy krok okupiony był ogromnym wysiłkiem.

Przesuwając ręką po ścianie domu, wlokła się powoli, patrząc w ziemię, tylko raz na moment podniosła wzrok, gdy w dali rozległ się grzmot i huk, które nie brzmiały jak odgłosy bitwy.

Jednocześnie przez ulice i zaułki przebiegł wiatr, ale wcale nie przegnał dusznego powietrza, tylko poruszył je na chwilę i przemieścił. U stóp Judith zakotłowały się zwiędłe liście. Jakiś parchaty uliczny kundel kłapał zębami, gdy przefruwały obok niego, ale nie ruszył się z miejsca.

Wreszcie dotarła do domu. Już nie tylko jej spodnia, lecz także wierzchnia suknia była przesiąknięta potem. Skóra się kleiła. Judith czuła się brudna, ale była zbyt słaba, by się umyć i przebrać. Tak jak stała, osunęła się na łóżko.

Spod frankfurckiego ratusza w cztery strony miasta rozjechali się konni posłańcy. Ich głowy i twarze okrywały kaptury z wąskimi tylko szparami na oczy. Na nosie i ustach mieli przytwierdzone jakby długie dzioby wypełnione ziołami. Ręce posłańców mimo upału tkwiły w mocnych, skórzanych rękawicach, spodnie były głęboko wpuszczone w buty z cholewami. Gdzie tylko krzyżowały się dwie ulice, konni przystawali, potrząsali mosiężnymi dzwoneczkami i z wysokości strzemion ogłaszali przerażającą wieść: „Zaraza wybuchła! Mór jest w mieście!”.

Na te słowa przechodnie stawali jak wryci. Mężczyźni zrywali z głów kapelusze i żegnali się znakiem krzyża. Kobiety padały na kolana, ze złożonymi rękami spoglądały w niebo. Matki mocniej ścisnęły za ręce wrzeszczące dzieci i przyśpieszały kroku, a stare kobiety kiwały głowami, jakby na potwierdzenie, że nie spodziewały się niczego innego. Na rogu przed ulicą Judith jakiś mnich żebrak głosił przed licznymi słuchaczami, że zaraza to kara boska za wojnę. Ludzie kiwali głowami, wysupływali ostatnie miedziaki na świece.

Dzień później miasto było jak wymarłe. Nikogo na ulicach, bramy zawarte, barki meńskie przepływały obok Frankfurtu, podróżujący omijali go szerokim łukiem. Tylko ośmiu miejskich medyków, odzianych w długie peleryny i z wielkimi dziobami osłaniającymi twarze, krążyło po mieście, śpiesząc od domu do domu. Ludzie stali za oknami i spoglądali za nimi. Gdy tylko któryś wyciągnął z torby kawałek kredy i namalował na czyichś drzwiach krzyż, znak, że dom dotknięty jest zarazą, wzdychali ciężko, a strach o własny żywot zaciskał im krtanie. Nawet prałaci, co nigdy nie mogli się dość nachwalić niebios, zaczęli nagle drżeć o swoje doczesne życie, zupełnie jakby nie istniała wieczna szczęśliwość.

I tylko wojna szalała dalej, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Dwa dni później na ulicach Frankfurtu pojawiły się pierwsze wozy z trupami. Zmarli leżeli ciasno jeden obok drugiego, dla bezpieczeństwa zwłoki posypywano wapnem. Na cmentarzach grabarze pracowali niemal dzień i noc, także oni osłaniali twarze wielkimi dziobami. Adwokaci zabarykadowali się w swoich domach, żaden nie był skłonny spisywać testamentów tych, których dosięgła zaraza. Kapłani odmawiali udzielania umierającym ostatnich sakramentów. Mężczyźni porzucali w potrzebie chore żony. Jakiegoś starego człowieka rodzina po prostu wyrzuciła z domu, gdy wystąpiły u niego pierwsze oznaki zarazy.

— Musimy się stąd wynieść — oświadczyła Rieke; stanęła przed Andreasem, wyginając kręgosłup, tak że jej dopiero lekko zaokrąglony brzuch stał się bardziej widoczny. — I to jak najprędzej.

Andreas potrząsnął głową, unikał wzroku żony. Odkąd była przy nadziei, troszczył się o nią serdecznie, ale nie mógł już patrzeć jej w oczy.

— Nie mogę wyjechać — odparł. — Arno jest na wojnie, ktoś musi prowadzić interesy.

— Głupstwo i błazenada! Masz prokurentów. Niech oni pilnują interesów. W końcu za to im płacisz. A zresztą i tak w tej chwili niewiele się dzieje. Miasto zamarło i handel też.

— Mimo to nie zostawia się firmy samej. Zaraza mija zwykle równie szybko, jak przychodzi. Zobaczysz, za kilka tygodni będzie po strachu.

— Chcesz ryzykować życie twojego dziecka?! — rzuciła się na niego Rieke.

— Możesz siedzieć w domu — próbował ją mitygować Andreas. — Nie musisz mieć styczności z chorymi.

— A jak będę potrzebowała medyka?! To ma przyjść taki, co dopiero otwierał wrzody chorym? Tego właśnie chcesz?

— Przecież możesz pojechać na wieś sama — wykręcał się Andreas. — Weź sobie dwoje służby do towarzystwa. Zostań przez jakiś czas. Spokój i świeże powietrze dobrze ci zrobią. Myślę, że w Taunusie będzie ci dobrze.

Rieke dusiła wściekłość, fuknęła głośno, wypięła brzuch jeszcze mocniej, tak że jej postać wyglądała teraz jak sierp księżycy.

— Przecież wiesz, ile trwało, zanim wreszcie poczęłam! A teraz nie najlepiej znoszę mój stan. A co, jak umrę? Pozwolisz, żebym tak po prostu odeszła, bez twojego ostatniego słowa, bez ciepłego uścisku dłoni?

Andreas przewrócił oczami.

— Ależ nie umrzesz, Rieke, na pewno nie! Sama zdecyduj: chcesz zostać tutaj czy dla dobra dziecka pojechać na wieś? Możesz zrobić, co zechcesz, zgadzam się na wszystko, ale towarzyszyć ci nie mogę.

Rieke spojrzała na męża z niechęcią. Nagle przyszedł jej do głowy Trajan. Dla niej najlepiej by było, gdyby padł

ofiara zarazy, ale zapewne nie wyświadczy jej tej uprzejmości. W takim razie dobrze będzie, jeśli ona na jakiś czas zniknie z miasta. Gdyby jeszcze zechciał jej towarzyszyć Andreas! Jednak najwyraźniej nie ma co na to liczyć.

— Dobrze — powiedziała wreszcie, podeszła do męża i położyła mu rękę na piersi. — Ogromnie mi żal, że nie możesz jechać ze mną. Ale ja pojedę. Już jutro.

Zrobiła smutną minę i nawet udało jej się wydusić z oczu dwie łzy, które z wolna potoczyły się po policzkach.

— Miałam nadzieję — wyszeptala — że moja brzemienność pomoże nam się znowu zbliżyć do siebie. Jak widać, omyliłam się.

Przez kilka sekund czekała w napięciu na odpowiedź Andreeasa, lecz mąż tylko lekko pogłaskał ją po plecach.

*

Judith czuła obezwładniające zmęczenie. Nie miała nawet siły, by unieść się na poduszce i sięgnąć po wodę. A tak strasznie chciało jej się pić! Już dawno nie czuła takiego pragnienia. Kubek stał tuż przy łóżku, wystarczyło wyciągnąć rękę. Ale nie miała siły. Leżała tylko z zamkniętymi oczyma, czuła się tak, jakby miała za chwilę umrzeć. Usłyszała, jak otwierają się drzwi, lecz była zbyt słaba, by unieść powieki.

Przy jej łóżku stanęła Lila.

— Dzień dobry — powiedziała cicho. — Jak się dzisiaj czujesz?

Judith mruknęła coś niewyraźnie. Potem uniosła rękę i położyła na zamkniętych oczach.

— Nie, proszę, nie — wyszeptala.

Lila zrozumiała i natychmiast z powrotem zaciągnęła zasłony, tak by słońce nie wpadało bezpośrednio do środka. Bruk pod oknem Lila kazała wysypać słomą, by stłumić loskot wózków, który przeszkadzał chorej.

— Światło sprawia ci ból, tak?

Judith ledwie dostrzegalnie kiwnęła głową.

Usłyszała kroki Lili, poczuła jej rękę pod głową, a zaraz potem kubek przy ustach. Wypiła łączywie, potem jej głowa bezwładnie opadła na poduszkę, z ust dobyło się ciche westchnienie.

— Jak ci dzisiaj? — zapytała Lila ponownie.

Judith z trudem przełknęła ślinę, z wysiłkiem pokręciła głową.

Lila uniosła koldrę, obejrzała ciało Judith. Zobaczyła guzowate obrzmienia pod pachami, na szyi, w pachwinach. Już zabarwiły się na ciemny kolor. Lila się przeraziła, ale nie dała nic po sobie poznać.

— Chcesz coś zjeść? Kaszy na mleku? — zapytała.

Spojrzała przy tym jeszcze raz na grube węzły na szyi chorej, wiedziała, że każdy łyk będzie strasznie bolał, ale Judith nie jadła nic od trzech dni. Teraz także odmownie pokręciła głową.

Lila przyniosła miskę z letnią wodą, trochę obmyła przyjaciółkę, pogłaskała ją po twarzy. W końcu powiedziała cicho:

— Nawet jeśli nie chcesz, sprowadzę medyka.

Judith otworzyła usta.

— Medyk nic tu nie pomoże — wychrypiała.

Potem zamknęła oczy, a Lila po cichu wyszła z pokoju chorej i poszła po doktora van Aakena.

Jak dobrze, że Tytus i Damaris są w klasztorze Engelthal — myślała, idąc opustoszałymi ulicami. — W Wetterau jest bezpiecznie. Daleko od wojny i mojej przeszłości... a i zaraza najpewniej nie dosięgnie klasztoru... I dobrze, że Julia tam jest. Nie powinna widzieć matki w takim stanie.

Ulice miasta były co prawdajeszcze nadal przeraźliwie puste, a na drzwiach wielu domów widniały wyrysowane

kredą znaki zarazy morowej, lecz mimo to Lila poczuła jakby tchnienie nadziei. Czy to dlatego, że ulicą z naprzeciwka szła, uśmiechając się, młoda matka z niemowlęciem na ręku? Czy sprawił to widok starej kobiety, która na rogu sprzedawała kwiaty? Także Lila uśmiechnęła się pogodnie. Uważnie wciągała powietrze, by poczuć woń zarazy, o której wszyscy mówili. Ale czuła tylko zapach miasta oczyszczonego nocnym deszczem.

Kiedy skręciła za następny róg, nieomal zderzyła się z Lennartem Leutholdem.

— Co z Judith? — zapytał zdyszany, zapomniawszy nawet o powitaniu.

Uśmiech znikł z twarzy Lili.

— Żle z nią. Nie wiem, co robić. Właśnie idę po doktora van Aakena.

— Chcę ją zobaczyć — powiedział Lennart błagalnym tonem. — Muszę ją zobaczyć. Uciekła ode mnie podczas ostatniego spotkania. Chciałbym... chciałbym... gdyby miała umrzeć... oby Bóg na to nie pozwolił... chciałbym jej jeszcze raz powiedzieć, że ją kocham. — I dodał cicho: — Wiem, dlaczego uciekła. Za dużo mówiłem o mojej żonie Lydii.

Lila lekko wzruszyła ramionami — Judith nic jej nie powiedziała o nieszczęsnym niedzielnym spacerze. Potrząsnęła głową.

— Odwiedzanie Judith teraz to nie jest dobra myśl. Jak do niej przyjdziecie, tylko niepotrzebnie zasmucicie jej serce. Jestem pewna, że byłaby przeciwna odwiedzinom, bo nie chciałaby was zarazić. Ale przekażę jej wszystko, co powiedzieliście. Każde słowo.

Uścisnęła Lennartowi rękę i szybko poszła dalej. Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby mu rzec. Trudno tu było o pociechę. Zresztą musiała szybko do medyka. Jeśli ktoś tu mógł pomóc prócz Boga, to tylko on. Musiała do

niego iść. Nawet jeśli wizyta u doktora dla niej samej oznaczała śmiertelne niebezpieczeństwo.

Śpiesznie przemierzała ulice. W pewnej chwili uskoczyła przed jakimś powozem, woźnica okładał konie batem, tak że pędziły, jakby je sam diabeł gonił. Na krótką chwilę uchwyciła spojrzeniem boczne okienko. Czy to naprawdę Rieke siedzi w powozie? Lila uniosła rękę w geście pozdrowienia, ale Rieke odwróciła głowę. Zaraz potem woźnica ściągnął lejce, zatrzymał konie, zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki powozu. Wychyliła się z nich Rieke.

— Lila, podejdź tu! — zawołała rozkazującym tonem. Jakby wydawała polecenia służbie — pomyślała Lila i przez chwilę wahała się, czy podejść. Nagle z daleka dobiegł ją głos dzwonu pogrzebowego. Kto wie, czy się jeszcze kiedy zobaczymy — przemknęło jej przez głowę. — Nie byłoby dobrze, gdybyśmy na tamtym świecie spotkały się zwaśnione.

Spokojnym krokiem podeszła do powozu.

— Jak się miewasz? — zapytała, pozdrowiwszy Rieke uprzejmie.

Ta obrzuciła ją spojrzeniem od stóp do głów, pokręciła nosem.

— Ja? Wyśmienicie! A zaraz zrobi mi się jeszcze lepiej, jak ci powiem, że jestem przy nadziei i że spadek po Geronie nie dostanie się już w całości w twoje ręce!

— O, winszuję z całego serca — odparła Lila i wyciągnęła rękę, lecz Rieke nie podała jej swojej, tylko spojrzała tak, jakby ręka Lili była cała unurzana w błocie.

Dzwon żałobny rozległ się znowu, tym razem całkiem blisko.

— Może zawarłybyśmy pokój? — zapytała Lila. — Teraz, gdy każdej godziny śmierć może zapukać do naszych drzwi...

Rieke wyprostowała się dumnie.

— Cóż, do moich drzwi na pewno nie zapuka. Porządni chrześcijanie nie muszą się obawiać zarazy. Powiem ci coś: na twoim miejscu czym prędzej wróciłabym pod własny dach. — I Rieke zaśmiała się uraglawie, po czym gwałtownie zatrzasnęła drzwiczki powozu i dała woźnicy znak, by ruszał.

Lila stała ze zwieszonymi ramionami. Spod kół powozu trysnęło uliczne błoto, które ochlapało jej suknie. Czowała się zbrukana, obrażona słowami Rieke. Sama nie wiedziała, dlaczego to właśnie jej szwagierce udaje się zawsze ją obrazić. Coś musi być na rzeczy — myślała nieraz. — To musi coś znaczyć. Inaczej by mnie tak nie dotykało... Raz nawet rozmawiała o tym z Arnem.

— Coś jej zabrałaś — powiedział wtedy. — Przedtem była najpiękniejsza w rodzinie Geisenheimerów.

— Ależ nadal jest! — odparła zdziwiona.

— I owszem — potwierdził mąż — zewnętrznie tak. Ale liczy się także to, co w środku.

Lila powoli szła dalej, otarła z twarzy drobną grudkę błota. Chciało jej się płakać, ale powstrzymała się od łez — szła przecież do doktora van Aakena, musiała pomóc Judith.

*

W Lipsku i okolicach było jeszcze spokojnie, gdy gdzie indziej szalała wojna. Wojska hiszpańskie zajęły tereny Palatynatu. Liga Katolicka razem z wojskami cesarskimi pokonała ewangelickiego przeciwnika. Bitwy stoczono pod Wimpfen i Höchst; potem miała przyjść kolej na Fleurus i Stadtlohn. Heidelberg został zdobyty przez generała Tilly'ego i zamknięto uniwersytet, Gbhor Bethlen zrezygnował z tronu węgierskiego, cesarz wydzierżawił prawo do bicia monety nowo utworzonemu Konsorcjum

Monetarnemu, kompozytor Heinrich Schutz stworzył *Oratorium na Zmartwychwstanie*, a Paryż został biskupstwem.

W czerwcu 1622 roku lipszczanie cierpieli natomiast z powodu upalnego lata z gwałtownymi burzami.

Mówiono, że w Schleussig urodziło się ciele z sześcioma nogami. Żona garbarza z przedmieścia za Bramą Hallską wydała na świat trojaczki — wszystkie zmarły zaraz po urodzeniu. Na Grimmaische Strasse spłonął skład, a u pewnego złotnika było włamanie, ale niczego nie ukradziono. W zaułku Barfussgasschen obchodzono osiemdziesiąte urodziny pewnego mężczyzny, który już od dwudziestu lat nie opuszczał domu, a pewna mleczarka została postawiona pod pręgierzem, gdyż sprzedawała chrzczone mleko. Marga o tym wszystkim dowiadywała się nie tylko wtedy, gdy wychodziła na miasto — nowiny przynosili jej także klienci, wielu z nich chętnie opowiadało o swoich przeżyciach. Niektóre historie obiegały miasto lotem błyskawicy, a na koniec okazywało się, że są już zupełnie innymi historiami — każdy, kto przekazywał wieści dalej, dodawał własne szczegóły, dorzucał coś nowego.

Marga odnosiła niekiedy wrażenie, że nic nie wie o mieście, w którym mieszka. Nie ma pojęcia, co się dzieje tu, gdzie żyje. Wojna wojną, ale ona chciałaby wiedzieć o wydarzeniach w najbliższym otoczeniu, wokół niej. A działo się wystarczająco dużo! Do tego te wszystkie nowe zarządzenia! Zalew nowin i wieści, które przywozili do miasta przybysze z całego świata! Co z tego było naprawdę nowe, a co już dawno przebrzmiało albo straciło ważność, gdy ona się o tym dowiadywała? Marga wiedziała, że nie jest odosobniona, że nie tylko ona odczuwa głód wiarygodnych wiadomości.

Wprawdzie od jakiegoś czasu działał w Lipsku gaziarz, który w każdy dzień targowy sprzedawał pisma

ulotne. Stawał na starej beczce, na całe gardło wykrzykiwał wiadomości i wymachiwał zadrukowanymi kartkami — rozchodziły się w okamgnieniu, ludzie dosłownie je sobie wyrwali.

Podczas wielkich targów dwa razy w roku pojawiały się dodatkowo *Relationes semestrales*, wiadomości półroczne — ale wszystko to nie wystarczyło, by zaspokoić zapotrzebowanie lipszczan na świeże wieści. Tu trzeba było czegoś nowego!

Drukarnia miała się lepiej, lecz Marga jeszcze nie stanęła na nogi po poprzednim fatalnym roku, kiedy to znalazła się na skraju bankructwa — także dlatego, że jej mąż wydawał zbyt dużo pieniędzy, więcej niż ona mogła uzyskać z drukarni. Ale teraz było inaczej. Stała się wolną kobietą i wreszcie mogła postępować wedle własnego uznania. Co prawda, oficjalnie to nadal Robert prowadził drukarnię. Tyle że z powodu wojny nie mógł teraz wykonywać codziennej roboty. To wystarczyło cechowi — przynajmniej na razie.

Tymczasem Marga przemyśliwała nad tym, jak by tu założyć gazetę. Ale nie gazetę w formie luźnych ulotek rozprowadzanych w dni targowe, lecz taką, która miałaby co najmniej dwie strony. Na pierwszej stałyby wiadomości z wojny, druga byłaby zastrzeżona dla nowin z Lipska.

Kiedy ta myśl po raz pierwszy przyszła jej do głowy, Marga aż się przestraszyła. Stopniowo oswajała się jednak z tym pomysłem, był jej coraz bliższy, nabierał konkretnych kształtów.

— Co byście powiedzieli o gazecie, która ukazywałaby się codziennie? — zapytała pewnego dnia Hermanna Scheina, który regularnie zaglądał do drukarni, nawet jeśli nie przynosił niczego do wydrukowania dla swoich śpiewaków.

— Pomyśl jest dobry, tak uważam, i pewnie mielibyście nabywców. Ale skąd, powiedzcie, czerpalibyście te wszystkie wiadomości, żeby zapełnić strony gazety?

Marga nie musiała się długo zastanawiać.

— Dowiadywałabym się na stacji pocztowej — odparła. — Tam trafiają nowiny ze wszystkich stron.

— Hmm... — mruknął kantor — ale nie możecie mieć pewności, że to, czego się tam dowiecie, odpowiada prawdzie.

Marga potwierdziła. Ale zastanowiła się i nad tym.

— Może wcale nie idzie o to, by pisać prawdę — powiedziała cicho. — Może raczej ważniejsze jest, by pisać o tym, o czym ludzie chcą czytać. Bo co im da, że dowiedzą się, ilu dokładnie padło podczas bitwy pod Wimpfen czy pod Höchst? Co im powiedzą liczby? Większość i tak nie rozumie różnicy między setką a tysiącem. Pisanie o tym to byłoby marnotrawstwo czasu. Ale jakby w gazecie opisać, co przeżył żołnierz pod Höchst, jak to jest, gdy komuś kula rozpruje plecy... tak, wtedy ludzie byłiby zadowoleni. O tym chcieliby czytać. Bo w sumie to każdy interesuje się tylko własnym losem. To, co się dzieje na świecie, jest ważne dla kogoś tylko o tyle, o ile wpływa na jego własne życie. Może Bóg tego nie chciał, ale tak właśnie jest. Jaka będzie pogoda? Na co wskazuje układ gwiazd? Czy można liczyć na dobre zbiory? To chcą wiedzieć ludzie. Czy już pojawiły się pierwsze grzyby polne? Co nowego na przedmieściu? Kiedy odbędzie się najbliższe stracenie? To są rzeczy, które interesują lepszych. I ja chciałabym im to właśnie dać.

Marga mówiła z zapalem, widać było, że rzecz ją naprawdę zafrapowała. Policzki jej się zarumieniły, oczy błyszczwały. Spod czepeczka wymsknął się kosmyk włosów i opadł na lewy policzek, Marga zdmuchnęła go i z szerokim uśmiechem spojrzała na kantora.

— Nigdy jeszcze nie widziałem was tak radosnej — zauważył Hermann Schein i objął ją spojrzeniem pełnym podziwu.

Marga się stropiła. Przesunęła ręką po twarzy, spuściła wzrok.

— Ja wiem, wiem... nie przystoi mi takie zachowanie — powiedziała cicho i z zakłopotaniem.

— Jak to? Co chcecie przez to powiedzieć? — zapytał kantor, a na jego twarzy widać było zdziwienie.

— Przecież jestem kobietą opuszczoną przez męża. Powinam cicho siedzieć, ukryć się w mysiej dziurze, wstydić się... wszak nie udało mi się utrzymać chłopca przy sobie. Powinam wieść wdowi żywot, zrezygnować z przyjemności, zadowolić się miejscem na uboczu, niczego nie żądać od życia.

Podniosła oczy, napotkała spojrzenie mężczyzny, które spoczywało na jej twarzy spokojne i tkliwe.

— Ale nie mogę, kantorze — mówiła dalej. — Czuję się tak lekko, tak młodo, jak nie czułam się nawet wtedy, gdy miałam szesnaście lat. To jest tak, jakby z moich barków spadł ogromny ciężar. Nigdy bym nie pomyślała, że życie bez męża może być tak lekkie, takie bez troskie. Powiada się, że kobieta bez mężczyzny nic nie jest warta. A mąż, który odbiera swojej żonie wszelką wartość, nie zważa na jej godność?... Nie, nie o tym jest w Biblii.

Kantor się uśmiechnął.

— Macie rację. A ja rad jestem, że dobrze wam się wiedzie. I rad też jestem temu waszemu pomysłowi z gazetą. Myślę, że wam się uda. Ale jak chcecie finansować gazetę?

— Bardzo prosto! — odparła Marga i roześmiała się. — Od każdego wezmę po groszu. To nie jest dużo, każdy może sobie na to pozwolić.

— A kto będzie sprzedawał?

— Hmm... — zadumała się Marga — o tym nie pomyślałam...

— Ha! — wykrzyknął kantor. — Chyba będę mógł wam pomóc! Mam w mojej szkole św. Tomasza kilku biednych chłopców. Na pewno chętnie zarobią sobie na sprzedaży gazety kilka fenigów.

Twarz Margi rozjaśnił szczęśliwy uśmiech.

Kiedy Hermann Schein podniósł się do wyjścia, ona także wstała. Podeszła do niego blisko, a wtedy on uniósł obie ręce, delikatnie położył dłonie na jej policzkach i powiedział cicho:

— Jeszcze nigdy nie byliście tak urodziwa jak dzisiaj, Margo.

*

Kiedy czarna śmierć zabrała żonę i dzieci Trajana, w mieście już dawno nie było ani jednej obwoływaczki zmarłych. Trajan musiał długo szukać, nim znalazł kapłana, który udzielał ostatnich sakramentów. Ale nigdzie nie dostał drewna na trumny, stolarze tylko bezradnie rozkładali ręce, patrzyli na niego współczująco, lecz pomoc mu nie mogli.

— Zaszycie waszych zmarłych w worki — doradził jeden. — Wtedy nie będą leżeć w ziemi całkiem bez osłony.

Trajan kiwnął głową. Ale skąd wziąć worki? Port stał, nikt nie pracował, sklepy i stragany pozamykane. W końcu pojawiła się myśl: pójdzie do składu Geisenheimerów! Wszystko w nim się przed tym wzdragało, szedł z lękiem, ale zdecydowanie. Lecz im bardziej zbliżał się miejsca, gdzie dawniej pracował, tym powolniejsze stawały się jego kroki. Andreas Geisenheimer wyrzucił go z pracy. Nie, gorzej, przepędził jak parszywego psa! Zarzucił mu,

że ciągle opuszcza robotę, nie wywiązuje się z poleceń. Miał słuszność! Tak! Lecz — Boże Przenajświętszy! — dlaczego on, Trajan, nie robił tego, co powinien?! Gdyż Rieke wzywała go do siebie! Trajan zrobił dla przedsiębiorstwa więcej, niż Andreas Geisenheimer mógł sobie wyobrazić!

Wielka drewniana brama, która prowadziła na podwórzec i do pomieszczeń składowych, była nieco uchylona. Dobiegały zza niej dźwięki i hałasy: ktoś toczył po bruku beczkę, jakiś mężczyzna kłął, inny gwizdał. Trajan pchnął wierzeje i wszedł. Trzymał się w cieniu przy bramie i obserwował, co się dzieje wokół. Dostrzegł starego Jakoba, który wtedy, gdy Rieke oskarżyła go o kradzież zapinki, nie miał odwagi na prawdę go bronić.

Kilku mężczyzn zabierało się do rozładowywania fury, na której leżały dobrze wysuszone pnie drzew.

Bóg jeden raczy wiedzieć, skąd Geisenheimer ma drewno — pomyślał Trajan. Ale oto sam Andreas pojawił się na dziedzińcu. — Łaskawie zamknijcie bramę! — ryknął. — Nie potrzeba mi tu gapiów! No już, leć no który i zarygluj!

Jeden z ładowaczy, bardzo młody chłopak, z którym Trajan zawsze dobrze się rozumiał, pobiegł do bramy i zasunął ciężki żelazny rygiel. Trajan przycisnął się mocno do ściany, jeszcze głębiej wsunął w cień. Miał szczęście — nikt go nie zauważył. Wszyscy zajmowali się swoją robotą, a on dalej się rozglądał. W pewnej chwili pomyślał, czyby nie poprosić Andreeasa o drewno na trumny dla rodziny, ale zaraz porzucił tę myśl. Geisenheimer prędzej przepędziłby go znowu, niż dał mu chociaż najmniejszą szczapę.

O dwadzieścia kroków od niego leżał stos grubych worków. Trajanowi wyszło w gardle, poruszył grdyką.

Od chwili gdy znalazł się na podwórku, wiedział, że musi ukraść te worki, że nie ma innego sposobu. Ciągłe przytulony do muru, ostrożnie, krok za krokiem zaczął się posuwać w stronę worków. Dzwon wybił południe i podwórzec opustoszał. Jeszcze tylko kilka kroków. Jeszcze tylko szybko rozejrzeć się dokoła! Złapał sześć worków i pognał do bramy. Z całej siły pociągnął za rygiel i wypadł na ulicę — prosto w ramiona Andreasa Geisenheimera!

12

Judith polepszało się bardzo powoli. Lila godzinami siedziała przy jej łóżku. Doktor van Aaken naciął wrzody dymieniczne, Lila zebrała wyciekającą ropę starymi szmatami, które następnie spaliła w piecu kuchennym. Poszła nad rzekę i na brzegu nazbierała lepiężnika. W domu ugotowała wywar z korzeni i lodyg — miał smak gorzki jak żółć, a jego odrażający zapach wypełnił cały dom. Liście utłukła na miazgę; przygotowała papkę, posmarowała nią cieniutkie płótno utkane z włókien pokrzywy i przyłożyła Judith do naciętych wrzodów na szyi, pod pachami i w pachwinach.

Kiedy cała ropa wyciekła i guzy się obkurczyły, Lila z pomocą dziewczki służebnej umyła chora, nałożyła jej świeżą bieliznę. Stara pościel i brudna bielizna nocna poszły do ognia.

Na koniec Lila wezwała do domu babkę zielarkę, a ta okadziła wszystkie izby kadzidłem i wonnymi roślinami, potem przyszedł kapłan i pobłogosławił dom.

Judith spoczywała na poduszkach, blada i szczuplutka jak dziecko, ale już bez gorączki i bez bólu.

— Jak się teraz czujesz, kochana? — zapytała Lila.

Judith uśmiechnęła się słabo.

— Tak dobrze, jak to tylko możliwe — odparła. Ujęła rękę Lili i uścisnęła serdecznie. — Lilu, nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłaś. Pielęgnowałaś mnie z narażeniem własnego życia. Nikt nie wziąłby ci za złe, gdybyś mnie tu zostawiła samą na śmierć. Ale ty zostałaś, i nie okazywałaś ani lęku, ani odrazy. Mogłam godnie wyzdrowieć pod twoją opieką. Uratowałaś mi życie, Lilu. Za to nie ma dość słów podziękii.

— Ach, przesadzasz — zaprzeczyła Lila. — I zapominasz o doktorze van Aakenie.

— Tak — szepnęła Judith. — Omal o nim nie zapomniałam.

Przy tych słowach jej policzki nieco się zarumieniły, od razu zdradzając, że nie mówi prawdy.

Doktor van Aaken przychodził do Judith codziennie. Siedział przy łóżku, ocierał jej pot z czoła, poił wodą i rozcieńczonym winem, trzymał za rękę, gdy w gorączce dręczyły ją majaki, pocieszał, gdy płakała i z bólu rzucała się na łóżku.

Lennart przez cały ten czas nie pokazał się ani razu. Po tym, jak Lila spotkała go owego dnia na ulicy, przysłał nazajutrz kwiaty z najlepszymi życzeniami szybkiego wyzdrowienia. I to wszystko. Lila obawiała się, że i on mógł paść ofiarą czarnej śmierci, ale gdy odwiedziła jego warsztat iglarski, znalazła go w dobrym zdrowiu, rześkiego i w humorze. Nie od razu zauważył, że weszła, tak był zatopiony w rozmowie z jakąś kobietą, Lila rozpoznała w niej Kathi Weyrauch. W pewnej chwili Lennart położył nawet sąsiadce poufale rękę na ramieniu, razem się z czegoś roześmieli. Lila nie pisnęła o tym Judith ani słowa. I chociaż jej strach przed doktorem van Aakenem był ogromny, to z drugiej strony była też rada, że tak wzruszająco troszczy się o jej szwagierkę.

— Powiedział, kiedy dziś przyjdzie? — zapytała Judith pośpiesznie.

Lila potrząsnęła przecząco głową.

— Musi najpierw zajrzeć do chorych, tak powiedział. Potem przyjdzie do ciebie.

Judith z wysiłkiem podparła się na łokciu.

— Chciałabym ładnie wyglądać, jak przyjdzie — rzekła. — Pomożesz mi umyć włosy? I jeszcze brwi — jak byś mogła je trochę poprawić... i trochę posmarować barwiczką policzki...

Lila uśmiechnęła się, skinęła głową, a potem umyła szwagierce włosy, uczesała ją i uszmknowała najlepiej, jak potrafiła.

*

Trajan się spodziewał, że Andreas Geisenheimer od razu zaciągnie go z ukradzionymi workami do ratusza i przekaze strażnikom. Że postawią go przed sądem. Ale nic takiego się nie stało. Geisenheimer tylko cofnął się o krok, ręką strzepnął i potarł rękaw w miejscu, które dotknęło ubrania Trajana.

— Czego tu szukasz? — zapytał, nie patrząc Trajanowi w oczy.

— Moja rodzina nie żyje. Wszyscy. Chciałem ich pogrzebać w trumnach, jak się należy. Ale nigdzie nie ma drewna, wszystko idzie dla wojska. Dlatego ukradłem worki. Zaszyję ich, żeby nie leżeli goło w ziemi.

Andreas kiwnął głową, machnął ręką, jakby się oganiał od natrętnych much.

Trajan był tak zaskoczony, że nie ruszył się z miejsca.

— Nie... nie oskarżycie mnie? — wyjąkał.

Andreas się skrzywił.

— Idź już. No, idź! Szybko! — rzucił tylko i znowu zamachał ręką.

Trajan czym prędzej odszedł.

Szybciej, niżby sobie życzył, znalazł się z powrotem u siebie. Dreszcz przerażenia spłynął mu po plecach, gdy stanął przed drzwiami domu. Tam, w środku, leży pięcioro zmarłych. Pięcioro ludzi, których kochał najbardziej na świecie. Tak przynajmniej było jeszcze do niedawna.

— To moja wina, moja... — wymamrotał, otworzył drzwi i padł za nimi na kolana. Straszliwy szloch wstrząsnął jego ciałem. Opuścił głowę na piersi i płakał tak, jak może płakać tylko mężczyzna w najgłębszej rozpacz. — To moja wina — powtarzał raz po raz. Długo trwało, nim się uspokoił. Potem wziął największą igłę, jaką mógł znaleźć w pudełku do robótek żony, przyniósł szpulkę grubych nici. Najpierw zaszył niemowlę. Dziecko miało ledwie kilka dni. Urodziło się, gdy matka już była ob-sypana wrzodami dymienicznymi. Chłopiec. Nikt nie miał czasu, by go ochrzcić. Pójdzie od razu do piekła...? — zastanawiał się Trajan. Musnął ręką czoło chłopczyka, nakreślił znak krzyża. — Wybacz mi, mój synu — powiedział. — Nie ty, tylko ja powinienem się smażyć w piekle.

Trajan płakał bez przerwy, zaszywając trójkę starszych dzieci. Ale dopiero gdy podszedł do żony, całkiem stracił panowanie nad sobą.

— Ja tego nie chciałem! — krzyczał. — Nie chciałem! Musisz mi uwierzyć! Ta kobieta rzuciła na mnie zły czar. To Rieke Geisenheimer jest winna. — Uspokajał się z wolna, ukląkł obok zmarłej. — Wiem, ukochana, Bóg ukarał mnie za niewierność, to dlatego zesłał na was zarazę. Gdybym tylko mógł to naprawić, zrobiłbym to. Wierz mi. Ale Rieke Geisenheimer rzuciła na mnie czar. Jeszcze teraz jestem w jego mocy. Nic nie mogę zrobić. Nic. Proszę, wybacz mi.

Pochylił się nad żoną, ucałował jej zamknięte powieki, potem naciągnął na ciało worek i zaszył. Gdy wózek

grabarza zatrzymał się przed drzwiami, Trajan był gotów. Załadował ciała bliskich i samotnie poszedł za wózkiem. Po kolei złożono zmarłych do wielkiego dołu — Trajan stał obok i kreślił znak krzyża. Potem wrócił do domu. Spakował tobolek, pootwierał wszystkie drzwi i okna i wyszedł — opuścił miasto, nie obejrawszy się za siebie ani razu.

*

Marga przez dwa dni z rzędu wyjeżdżała do obozów wojskowych. Jeździła w stronę Łaby, gdyż tam zbierały się nowe oddziały. Ernst von Mansfeld stracił pod Dessau tysiące żołnierzy. Gdy resztki armii odpoczywały po bitwie w obozach na terenie Starej Marchii, werbownicy zabiegali o nowego rekruta. Pod każdym większym miastem utworzyły się obozy zbiórek.

Po całym kraju lotem błyskawicy rozchodziły się najróżniejsze pogłoski.

Mówiono, że Ernst von Mansfeld, do tej pory wódz na usługach Fryderyka V Palatynackiego, chce porzucić służbę u niego. On i Chrystian Brunszwicki reprezentowali sprawę ewangelików. Teraz — szeptano — chcą oddać swe usługi Zjednoczonym Prowincjom, by u boku Niderlandczyków walczyć przeciwko katolickiej Hiszpanii.

W obozie zbiorczym za bramami Lipska, który znajdował się w okolicach Schkeuditz, Marga uzyskała potwierdzenie tych pogłosek. Nie było jej miło krążyć między namiotami. Najemni żołnierze byli dzikusami, część z nich to zwykle zbiry, hołota, rzucali za nią sprośne żarty i ordynarne odzywki, próbowali obłąpać, klepać po pośladkach, łapali ją za kostki, zadzierali spódnice, szarpali czepek, ciągnęli za bawet i stanik. Wrzeszczeli i ryczeli, smarkali, pluli, ślinili się, charczeli, przeklinali, chlali, pierdzieli i rzygali, gdzie popadło. Niektórzy jak martwi leżeli przy wygasłych ogniskach i tylko unoszące

się nad nimi opary gorzałki świadczyły o tym, że jeszcze żyją. Inni tłoczyli się przy kramarkach i paszteciarkach, brudnymi łapskami gmerali pod sukniami kobiet, które kwiczały jak prosiaki. Nad obozem unosiła się nuda, która budziła w mężczyznach agresję. Wszędzie kłócono się przy grze w karty, nie było ogniska, gdzie by się nie bito i nie wyzywano. Apropozycja także pozostawiała wiele do życzenia. Żołnierze wyprawiali się do lasów, strzelali do wszystkiego, co im się nawinęło pod flintę. Nad ogniskami piekły się na roznach dziki, zające, króliki, w jednym miejscu nawet sarna. Zaciężni plądrowali też zagrody chłopów, włączli do komór i spichlerzy, zabierali, co popadło — faski masła, całe szynki i półtusze; objuczeni wracali do obozu. Nieliczne obozowe straże już dawno zrezygnowały z tego, by kogokolwiek karać za przestępstwa. Jeśli jakaś kobieta chciała oskarżyć gwałcicieli, strażnicy wzruszali ramionami i radzili, żeby na przyszłość zachowywała się mniej wyzywająco. Jeśli chłop poskarżył się, że ukradziono mu krowę, radzono mu, żeby lepiej zamykał oborę. Gdy zgłosił się dziedzic, któremu zaginął parobek, mówiono mu, żeby sam go poszukał. Porządek i rygor były tak odległe od obozu jak niebo od piekła.

Nie, obóz wojskowy to nie jest miejsce dla przyzwoitej niewiasty. Ale dla swojej gazety Marga musiała odwiedzać obozy przynajmniej raz na tydzień, nawet jeśli ją to odstręczało. Przysiadła się do ognisk markietanek i wypytywała o nowiny. Rozmawiała z młodymi żołnierzami, wielu było jeszcze prawie dziećmi, które w nocy płakały za matkami. Czasem udawało jej się nawet porozmawiać z jakimś porucznikiem i wypytać go o sprawy wojny. Te wszystkie spotkania i rozmowy służyły celom jej nowej gazety: „Wiadomości lipskie”, lecz w głębi serca Marga wiedziała, że tak naprawdę szuka Roberta. W każdym pijanym knechcie, który rycząc i bełkocząc, zatoczył się

przed nią, widziała swojego męża. Każdy żołnierz, który grzebał jakiejś kobiecie pod spódnicą, to mógł być jej Robert. Każdy mężczyzna, który przeklinając głośno, tłukł się z innym, przypominał jej małżonka.

Marga nie rozumiała samej siebie: przecież odczuła ulgę, gdy wreszcie sobie poszedł. Przez wszystkie minione lata spała źle, a rano była jak połamana. Teraz, odkąd nie było Roberta, codziennie budziła się rześka i wypoczęta. Cienie pod oczami zbladły i wygładziła się bruzda goryczy wokół ust. Także jej włosy stopniowo odzyskały dawny blask. I jeszcze śmiech: śmiała się już dwa razy! Tak prawdziwie, z całego serca, z odrzuconą do tyłu głową! A jednak brakowało jej Roberta. Bez mężczyzny czuła się bezbronna. Każdy, kto chciał, mógł się na nią gapić, obłapiać ją — i to bezkarnie! Za zamężną kobietą nie rzucano sprośności, żaden nie odważyłby się pociągnąć za jej bawet. A jak nie miała męża, to owszem! No a co dopiero klienci drukarni! Tylko niewielu odważyłoby się oszukać dobrego rzemieślnika na sprawiedliwej zapłacie. Kobietę każdy próbował kantować. I jeszcze był Konstantin. Tęsknił za ojcem. Marga wiedziała o tym, chociaż syn nic nie mówił.

Dlatego brakowało jej Roberta — ale o wiele bardziej odczuwała brak obecności mężczyzny. Marga westchnęła. Dość się już napatrzyła na obóz i powoli jechała z powrotem do miasta. Było gorąco. Pot wystąpił jej na czoło. Najchętniej zatrzymałaby się i wykapała w jakimś jeziorze, ale musiała się śpieszyć. Nowiny z obozu trzeba było jeszcze ująć w zdania i wydrukować, żeby chłopak sąsiadów mógł wczesnym rankiem odebrać „Wiadomości lipskie” i sprzedać zaraz, gdy zacznie się targ. Żołądek skręcał jej się z głodu, wyjechała przecież bladym świtem, zaraz po otwarciu bram, bez śniadania. I bez picia. Marzyła o kubku świeżej, zimnej wody ze studni i o kawał-

ku chleba. I o tym, żeby przejechać mokrą szmatką po twarzy i szyi. Tyle czasu będzie miała. Ale zaraz potem musi iść do warsztatu, zlecenia czekają. Marga westchnęła, to będzie ciężki, pracowity dzień. Lecz myśl o tym nie przytłaczała jej, było jej lekko na duszy, czuła się wolna i swobodna.

Nareszcie dotarła do Bramy Hallskiej. Już niedaleko, tylko kilka ulic: Gerberstrasse, Am Brühl, potem skręciła w Katharinenstrasse. Już z daleka zobaczyła, że drewniane okiennice domu i warsztatu są otwarte. Aż zadrzała z radości: odetchnęła z ulgą i uśmiech rozjaśnił jej twarz. Wybaczyl mi — pomyślała. — Konstantin nareszcie mi wybaczyl. Ale zaraz przypomniały jej się ostatnie dni, wstrząsnęła się na to wspomnienie, zimny dreszcz spłynął jej po plecach.

— Jesteś morderczynią! — oskarżył ją Konstantin. — Wyrzuciłaś mojego ojca z domu, wygnałaś go na wojnę! Jesteś morderczynią! — krzyczał.

— Nie! — odpowiedziała mu spokojnie. — Nie jestem morderczynią. Twój ojciec sam zdecydował.

— Nieprawda! Ty go posłałaś! Sam słyszałem!

— Twój ojciec mógł wybrać. Miał tylko zostawić inne kobiety. Nic więcej. To za dużo?

— Tak! — wrzasnął Konstantin. — Prawdziwy mężczyzna nie zadowolony się tylko jedną kobietą!

— A ja? A moja godność? Myślisz, że jak czuje się kobieta, którą mąż zdradza przez całe lata? Zdradza, oszukuje, wyszydza?

Wtedy Konstantin zamilkł. Patrzył na matkę jak nigdy dotąd, jakby po raz pierwszy dostrzegł w niej człowieka. Ona tylko pokiwała głową.

— Tak, przyjrzyj mi się uważnie. Jestem kobietą. Tak jak kobietą była Maryja Dziewica. Jestem człowiekiem stworzonym przez Boga i na podobieństwo Boże.

Ale Konstantin już się otrząsnął.

— Nie, matko — odparł. — Nie jesteś takim człowiekiem, jakim jest mężczyzna. Jesteś tylko niewiastą. I nikiem więcej. A niewiasta nie jest warta nawet połowy tego, co mężczyzna. Sam pastor tak naucza z ambony. I dlatego jest sprawiedliwie, gdy zdrowy mężczyzna ma więcej niż jedną kobietę.

Wtedy zamilkła Marga. Bo co miała mu na to powiedzieć? Zamilkła i posmutniała, i ze współczuciem pomyślała o kobiecie, którą jej syn pojmie kiedyś za żonę.

Ale teraz wszystko się zmieniło. Te okiennice to znak: syn jej wybaczył, zrozumiał, że nie miała innego wyjścia, jak tylko pokazać drzwi jego ojcu, a swojemu mężowi. Było jej coraz radośniej na duszy, z szerokim uśmiechem pozdrawiała znajomych na ulicy, oddawała ukłony na prawo i lewo. Ruch i ścisk był coraz większy, cała Katharinenstrasse była zapchana wozami i wózkami handlarzy zdążających na rynek. Chudy chłopak gnał przed sobą parę kóz, trochę starsza dziewczyna daremnie próbowała ciągnąć za sobą niemilosiernie obładowanego osła. Marga zsiadła z konia. To był jej koń — teraz, gdy Robert nie wyciągał już pieniędzy na karcznię, mogła sobie pozwolić na trzymanie wierzchowca.

Łokciem torowała sobie drogę aż do samego domu. Pchnęła skrzydła bramy prowadzącej do stajni obok warsztatu. Rozsiodła konia, nasypała mu owsa do żłobu, naląła wody. Była zadowolona i dobrej myśli. Podeszła do drzwi warsztatu, chciała je otworzyć, wejść do środka. Ale co to? Drzwi stawily opór — były zaryglowane od wewnątrz.

Marga cofnęła się o krok, ściągnęła brwi. Spróbowała zajrzeć do warsztatu przez okno — w głębi dostrzegła syna, który z założonymi rękami opierał się o prasę.

— Hej, Konstantin! To ja! Otwórz! — zawołała, ale chłopak się nie ruszył.

Wtedy zaczęła walić w drzwi pięściami, aż wreszcie syn się pofatygował i otworzył. Stał w drzwiach na szeroko rozstawionych nogach, zastawiając wejście.

— Nie wejdiesz tu — powiedział.

W jego oczach płonął gniew. Marga wiedziała już, że się omyliła: Konstantin jej nie wybaczył. Nigdy nie wybaczy — i nigdy też nawet nie spróbuje zrozumieć swojej matki.

— Nie wejdiesz tu — powtórzył.

— Bredzisz — stwierdziła Marga zimno i chciała odsunąć syna na bok. Ale ten zamierzył się i tak mocno uderzył ją pięścią w pierś, że aż zatoczyła się do tyłu.

— Dlaczego? — zapytała Marga, kiedy już odzyskała równowagę.

— Ośmieszylaś mojego ojca, wyrzucając go z domu. Wydałaś go na śmierć, zbrukałaś jego godność. Nie jesteś już moją matką. Byłem w cechu. Pozwolono mi prowadzić warsztat w czasie nieobecności ojca.

Wargi mu drżały, gdy to mówił. I Marga to widziała. Najchętniej wzięłaby w ramiona swojego chłopca — ale nie, to już nie był jej chłopiec, jej syn. To był jej wróg.

— Konstantin! — Błagalnie wyciągnęła ręce.

Jednak chłopak potrząsnął głową.

— Wynoś się stąd, bo inaczej przepędzę jak psa. Teraz ja jestem panem warsztatu i domu. Ja tu rządzę! I ja decyduję, kogo przyjąć, a kogo nie!

Marga tylko na niego spojrzała. Wiedziała, że miał do tego prawo. Był spadkobiercą swojego ojca. Ona mogła przeforsować jedynie, żebyłożył na jej utrzymanie, aby nie obciążała kasy ubogich. Może wnieść skargę na syna. Ale co teraz? Gdzie się podzieje? Z czego będzie żyć?

Ze zwieszonymi ramionami, powłóczę nogami, wyszła z podwórza. Nieznośny ciężar uciskał jej kark, już ledwie mogła unieść głowę. Zalała ją fala smutku, to uczucie

było tak gwałtowne, że zaczęły jej drżeć kolana, ledwie mogła się utrzymać na nogach. Ale po kilku krokach poczuła coś dziwnego — nowe, nieznanne uczucie, tak silne, że omal nie odjęło jej tchu. Poczwała namacalnie, jak rośnie, jak prostują się jej plecy, krok staje się dłuższy, pewniejszy. Odwróciła się, podniosła pięść i zawołała najgłośniejszym głosem, jak mogła:

— Chcesz mojej zguby? Niedoczekanie twoje, mój synu! Ani ty, ani twój ojciec, ani żaden inny mężczyzna na świecie nie doczekacie mojej zguby!

*

Rieke przeraźliwie się nudziła. Nuda była tak obojętnia, że już nieomal życzyła sobie, by dopadła ją zaraza. Wtedy przynajmniej miałyby się o co martwić. A tak... Dzień w dzień to samo. W tej zapadłej dziurze w Taunusie nic się nie działo. Nic a nic! Rano piał kogut, w południe ryczała krowa, wieczorem śpiewał słowik. To wszystko. Nie było po co wychodzić z domu. Spacerów i tak nie lubiła. Nigdy nie chodziła na spacer, nie widziała sensu w „człapaniu po okolicy”, jak to nazywała w duchu. Ale tu, z tej nudy, już kilka razy wybrała się na przechadzkę. Tak jak teraz: sto kroków wioskową ulicą w lewo, a potem sto kroków w prawo. Lecz i to już po chwili ją nużyło. Jej dni były tak puste i jałowe, że zaczęła nawet rozmawiać ze świekrą. Bo Amalia przyjechała tu razem z nią — tak zarządził Andreas. Rieke nie miała wyboru, podporządkowała się, zgrzytając zębami.

Amalia Geisenheimer była kobietą wybredną i rozpieszczoną. Jako córka najznaczniejszego frankfurckiego jubilera i żona jednego z najbogatszych kupców przywykła do tego, że przez całe życie spełniano jej życzenia, zanim jeszcze zdążyła je wypowiedzieć. To jeszcze nie przeszkadzało jej Rieke. Lecz że Amalia była dość mądra

i przenikliwa, by przejrzeć swoją synową, tak, to było w najwyższym stopniu irytujące. Toteż Rieke unikała kontaktów ze świekrą. We Frankfurcie jadały razem tylko w dni świąteczne — na co dzień Amalia przebywała w swoich pokojach, tam przyjmowała przyjaciółki, haftowała, czytała. Sama chodziła do kościoła.

Na początku Amalia zajmowała się synową — trzeba było oduczyć ją tych straszliwych siermiężnych manier. Rieke dużo się nauczyła od matki swojego męża: umiała się zachować w każdym towarzystwie, wiedziała, jak bez taniej kokieterii i narzucania się oczarować mężczyzn. Odziana była zawsze wytwornie, choć może odrobinę zbyt efektownie; przy stole zachowywała się z gracją, umiała elegancko jeść i potrafiła prowadzić rozmowę. Gdy jednak Amalia uznała, że jej synowa już się niczego więcej nie nauczy, wycofała się i tym sposobem dała do zrozumienia, kim w istocie jest dla niej Rieke: mianowicie nikim.

— Dla twojej matki znaczę nie więcej niż dziewczka kuchenna — gorzko skarżyła się Rieke mężowi. — Nie przedstawia mnie swoim przyjaciółkom, nigdy nie zabiera do swojej krawcowej ani kapeluszniczki. I nigdy nie przychodzi, żeby ze mną porozmawiać.

Andreas tylko wzruszał ramionami.

— Postępuje według własnego uważania. Zawsze taka była. Nie zmienisz jej.

Wprawdzie Rieke była żoną znanego frankfurckiego kupca i rajcy Andreasa Geisenheimera, lecz tak naprawdę nie do końca należała do rodziny. Od chwili, gdy jasno pojęła, że Amalia nigdy nie będzie jej przyjaciółką, zaczęła w matce męża widzieć swojego wroga. Ale tu, w tej pustelni, tak bardzo tęskniła za jakąś odmianą, że gotowa była rozmawiać nawet z Amalią — i właśnie do niej się wybierała.

Jeszcze raz wychyliła się z okna niewielkiego zajazdu, w którym obie stanęły i... nie mogła uwierzyć własnym oczom! Przed domem zatrzymał się chłopski wóz załadowany beczkami wina i z kozła zeskokczył... Trajan! Podziękował chłopu i pozdrowił go na pożegnanie, potem spojrział w górę na piętro zajazdu. Rieke odskoczyła od okna, przycisnęła rękę do głośno bijącego serca: nie wiedziała, czy ma błagać Boga, żeby Trajan jej nie znalazł — czy dziękować za to, że przyjechał, by wyrwać ją z tej nudy.

Przez chwilę stała, drżąc, serce waliło jej jak oszalale. Potem znowu podeszła do okna i wyjrzała. Ulica była pusta, nikogo. Rzeczywiście widziała Trajana czy tylko to sobie uroiła?

Westchnęła smętnie — i w tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi jej izby.

Rieke przestraszyła się i ucieszyła zarazem. Podbiegła do drzwi, otworzyła i zanim Trajan zdołał wypowiedzieć choć słowo, wciągnęła go do środka.

Trajan przyciągnął ją do siebie, przycisnął swoje twarde wargi do jej miękkich ust, wpił się w nie, jakby oddychać mógł tylko przez nią. Zakręcił się z Rieke w objęciach, pociągnął ją do drewnianego łóża, leciutko popchnął i razem z nią osunął się na prześcieradła.

*

Judith bardzo powoli wracała do sił. Bo i jak, skoro na targu nie można było dostać niczego pożywnego, niczego, co by się nadawało do wzmocnienia sił ozdrowieńca. Chociaż krwawą bitwę pod Höchst stoczono przed miesiącem i lipiec miał się ku końcowi, zaopatrzenie nie poprawiło się w widoczny sposób. Lila wstawała co rano z pierwszym pianiem koguta i śpieszyła na targ, żeby zdobyć chociaż ze dwa jajka, odrobinę masła albo skra-

wek chudego mięsa. Zwykle próżne były jej nadzieje. Wojsko pociągnęło wprawdzie dalej, na Niderlandy, ale okoliczni chłopci jeszcze się nie pozbiali po szkodach wyrządzonych przez armię. Krowy, świnie, owce zostały skonfiskowane i zaszlachtowane, lasy ogołoczone przez kłusowników, w rzekach nie było ryb. Pola leżały odłogiem — spalone i zryte. Skąd chłopci mieli brać ziarno? Co miały mleć młyny? Z czego piekarze mieli piec chleb? Skąd wziąć bydło, które daje mięso, mleko, skórę, wełnę, ser i masło?

Lila markotnie przechodziła z pustym koszem obok równie pustych kramów. Myślała o mężu, o tym, że Arno powinien niedługo wrócić do domu. Pierwsi frankfurczycy dawno już powrócili. Obszarpani, brudni, głodni. Kiedy wróci Arno? Tak naprawdę Lila obawiała się jego powrotu. Ich dom ciągle jeszcze wymagał pracy: wprawdzie rzemieślnicy dużo już zdziałali, ale dom nie wyglądał tak jak wtedy, gdy Arno wyjeżdżał. Jednak nie to było jej największą zgrzyotą. Lila zawsze myślała, że poczuje, jeśli ktoś, kogo kocha, będzie cierpiał, dozna jakiejś krzywdy czy szkody. Ale nie czuła nic. Jeśli miała wierzyć swojemu uczuciu — to Arno był zdrow i cały. W takim razie dlaczego nie wraca? Czemu go jeszcze nie ma? Westchnęła ciężko, poczuła bolesny skurcz w żołądku. Nie, nie może teraz o tym myśleć, musi załatwić sprawy, zdobyć coś pożywnego, żeby Judith wreszcie stanęła na nogi. Lecz chociaż schodziła rynek wzdłuż i wszerz — kramy z żywnością były puste. Szczotek do wyboru, do koloru, góry igieł, mnogość dzbanków na mleko, ale żywności ledwie, ledwie. Żeby chociaż kość — myślała — kawałek dobrej kości wołowej na zupę. Odrobinę masła i jajko do zaciągnięcia zupy. I kwaterka dobrego czerwonego wina... Ale targ był jak wymieciony. Lila zniechęcona szła uliczką. Nagle wpadł jej do głowy

pewien pomysł. Okręciła się na pięcie i pośpieszyła prościutko do kantoru domu handlowego Geisenheimerów. W kantorze, mimo wojny i niedawnej zarazy, atmosfera była ożywiona, panował ruch i krzątanina. Wszystkie pulpity zajęto. Kupcy z odległych okolic oferowali swoje towary, oczywiście po mocno zawyżonych cenach, w końcu była wojna i niedostatek. Chłopi z okolicy prosili o przesunięcie terminów płatności. Wózki i fury wjeżdżały z turkotem na podwórzec, natychmiast podbiegali do nich ładowacze. Pisarze biegali zaaferowani tam i z powrotem, ważono monety na wadze złotniczej, krótko mówiąc, panowała atmosfera dobrze prosperującego przedsiębiorstwa handlowego. Lila zagubiona stała pośród tego zgiełku i rejewachu, który jeszcze do niedawna był dla niej codziennością. Wreszcie spostrzegł ją Andreas. Wstał z krzesła za wielkim kantorowym stołem, podszedł do niej, objął ją za ramiona i pocałował w policzek.

— Witam cię, bratowo. Masz jakieś wieści od Arna?

Lila pokręciła głową.

— Martwię się — odparła. — Najchętniej sama pojechałabym do Höchst.

— Nie, nie! — energicznie zaprotestował Andreas. — Dla ciebie to zbyt niebezpieczne, pošlę tam kogoś. A jak ty się miewasz? Jak sobie radzisz?

Lila uśmiechnęła się delikatnie.

— W domu coraz lepiej. Prace się posuwają, rzemieślnicy są pilni. Ale pewnych rzeczy po prostu nie można dostać.

— Powiedz, czego potrzebujesz. Przecież wiesz, że w każdej chwili służę pomocą tobie i twoim dzieciom.

— Dziękuję, Andreas. Może dam radę sama. Wolalabym. Ty masz dość roboty tutaj; odkąd nie ma Arna, pracujesz za dwóch. Nie chciałabym cię obarczać moimi kłopotami.

— Ach, co też! Jesteśmy rodziną. Do kogo miałabyś się zwrócić? Zatem czego ci brakuje? Potrzebujesz drewna?

Lila potwierdziła. Andreas odwrócił się, skinął ręką i przywołał jednego z pisarzy.

— Zanutuj, ile drewna potrzebuje pani Geisenheimowa i każ dostarczyć do jej domu — zarządził krótko. Potem zwrócił się do Lili: — Co jeszcze? Czego ci jeszcze potrzeba? Nie przysłaś chyba z powodu drewna?

— Nie. Chodzi o Judith. Chyba wiesz, że ozdrowiała, cudem przeżyła zarazę. Lecz ciągle jest słaba, nie może stanąć na nogi. Bo nie ma co jeść. Potrzeba jej masła, jaj, mleka. Ale na targu pustki, nic nie dostałam.

— Chodź ze mną — rzucił Andreas krótko.

Opuścili kantor i przeszli przez podwórzec do domu. Andreas polecił dziewczę kuchennej, żeby zapakowała do koszyka Lili jajek, masła, śmietany, tłustego kurczaka, białej mąki i trochę warzyw.

— I przyjdź, jak znowu będziesz czegoś potrzebować — powiedział. — Nie rób ceregieli. Judith też należy do rodziny. Nie chcę, żeby wam czego brakowało.

Lila serdecznie mu podziękowała, a potem zapytała o Rieke.

— Jest na wsi — odparł krótko Andreas.

— Co porabia? Jak się miewa? — dopytywała się dalej Lila.

Andreas spojrział na nią badawczo i wzruszył ramionami.

— Zapewne dobrze. Ma to, czego zawsze pragnęła. Czemu miałoby się jej źle wieść?

Pożegnał się z nią krótko, ale serdecznie, i zostawił obładowaną ciężkim koszem.

Lila przez chwilę spoglądała za nim w zadumie, jednak gdy spojrziała na skarby w koszyku, uśmiech rozjaśnił

jej twarz. Szparko pomaszerowała do domu Judith, który ciągle jeszcze był również jej domem. Nagle opadło z niej wszelkie zatroskanie, poczuła się lekka i radosna. Wszystko się jakoś ułoży, tego była pewna. Andreas pośle kogoś do Hóchst, by wywiedzieć się o Arna. Judith dostanie pożywną strawę, no i będzie też drewno do domu. Nie ma czym się trapić.

Skręciwszy w ulicę Judith, ujrzała z daleka jakiegoś mężczyznę. Przystanął, popatrzył w jej stronę. Lila stanęła jak wryta, przycisnęła rękę do nagle rozszalałego serca. Jak ścigane zwierzę szybko spojrzała za siebie, chciała zawrócić, ale mężczyzna już ją zobaczył. Powoli, krok za krokiem szła dalej, prosto na niego. On nie ruszał się z miejsca, patrzył na nią. A ona była coraz bliżej, coraz bliżej. Zrównała się z nim dokładnie przed domem Judith.

— Witaj, Lilith — powiedział mężczyzna i lekko pochylił głowę. — A może raczej: szalom, Lilith?

13

Jeszcze ciągle gniewna, ale z trzeźwym umysłem, Marga szła przez miasto. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio miała w głowie taką chłodną jasność.

Nie wiedziała, dokąd ma iść ani co robić. Stawiała po prostu krok za krokiem. W końcu znalazła się przed kościołem św. Tomasza. Powoli odemknęła ciężkie podwoje, weszła do chłodnego wnętrza. Spokój świątyni spłynął na nią kojąco. Usiadła w ławie, wyciągnęła nogi przed siebie, dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest wyczerpana. W żołądku burczało jej z głodu, wargi miała spękane z pragnienia. Oczyją piekły. Miała wielką ochotę skulić się tutaj, na twardej ławce, i zasnąć. Ale nie zrobiła tego, tylko szeroko otwartymi oczyma patrzyła przed siebie na krzyż nad ołtarzem, wpatrywała się w twarz Umęczonego i cicho modliła. Modliła się bez słów, nie formułowała myśli w zdania, pozwoliła tylko, by jej dusza się otworzyła i wszystko z niej wypłynęło, i uleciało wzwyż do Boga, który może zechce zesłać jej pomoc. Siedziała tak długo, bardzo długo. W końcu zaczęło jej się robić zimno. Właściwie powinna wstać i wyjść. Ale dokąd ma iść? Marga patrzyła na figurę

Chrystusa na krzyżu i czekała na pomoc. Ręce splotła na podolku i czekała, pokładając ufność w Bogu. W pewnej chwili ciszę przerwało głośnie skrzypienie drzwi. Rozległy się czyjeś kroki. Marga siedziała bez ruchu, nie odwróciła się. I nagle obok niej stanął Hermann Schein.

— Marga! — zawołał. — Co, na miłość boską, robicie w kościele w biały dzień? Czemu nie jesteście w warsztacie?

Marga uśmiechnęła się niewyraźnie, z zaciśniętymi ustami.

— Czekam na znak od Boga — odparła spokojnie.

Kantor usiadł obok niej, ujął jej zmarzniętą rękę, wziął między swoje ciepłe dłonie.

— Co się stało? — zapytał.

— Mój syn Konstantin wyrzucił mnie z domu — powiedziała po prostu.

Hermann Schein krótko kiwnął głową.

— To się musiało stać — rzekł.

Potem siedzieli tylko obok siebie w milczeniu, trzymając się za ręce.

Marga nie wiedziała, ile czasu upłynęło do chwili, gdy Hermann Schein podniósł się wreszcie z ławy i rzekł:

— Chodźmy.

Wstała i wyszła za nim z kościoła, podążyła za kantorem aż na Burgstrasse, weszła za nim do dwupiętrowej kamienicy ze szczytem, a potem po drewnianych schodach na górę. Szła za Hermannem Scheinem ciemnym korytarzem, zatrzymała się, kiedy otworzył wreszcie jakieś drzwi.

— Tu możecie spokojnie mieszkać. Tak długo, jak będziecie chcieli, jak będzie wam trzeba — powiedział kantor. — Ta izba i tak stoi pusta. Zaraz powiem służebnej, żeby powlekła łóżko. Przyniesie wam wszystko, czego potrzebujecie. Jeśli chcecie, chętnie pójde zaraz do was,

do domu i zażadam od syna wydania waszego przyodziewku.

Marga skinęła głową. Odwróciła się i spojrzała kantorowi w oczy. Ujrzała w nich współczucie i dobroć, troskę i poważanie. Ujęła jego prawą dłoń, na chwilę wtuliła w nią twarz.

— Dziękuję wam — powiedziała cicho.

Potem pozwoliła płynąć łzom, płakała, a łzy kapwały na rękaw koszuli kantora; w końcu Hermann Schein wziął ją w ramiona, przytulił i raz po raz delikatnie głaskał po plecach.

*

Rieke tarzała się w prześcieradłach, tuliła do Trajana, przywierała do jego ciała, przyciskała łono do jego brzucha, szukała jego warg, wiła się pod jego rękami, wdychała, jęczała, krzyczała. Kiedy wreszcie wyczerpani leżeli obok siebie, wiedziała już, czego jej tak brakowało, że wszystko inne musiało ją nudzić.

Wstała z łóżka i podeszła do niewielkiego stolika, na którym stało zwierciadło. Powolnymi ruchami czesała swoje długie włosy, zachowując się tak, jakby była sama.

Trajan leżał nago na łóżku, z rękami podłożonymi pod głowę.

— Chcesz, żebym się wyniósł?

Rieke się zaśmiała.

— Przeciwnie! Umieram z nudów. Jak dla mnie, mógłbyś tu siedzieć dzień i noc. Ale nie jestem tu sama, w zajeździe mieszka też moja świekra. Byłoby niebezpiecznie, gdybyś został.

Trajan pogardliwie wygiął usta.

— A co ta stara może nam zrobić?

Rieke nie odpowiedziała, jednak wyraz jej twarzy mówił, że nie zmieni zdania.

— Ach, chodź, Rieke, chodź — zamruczał kusząco Trajan i wyciągnął do niej ramiona. — Chodź do mnie. Z nikim nie jest w łóżku tak słodko jak z tobą.

Rieke potrząsnęła głową.

— Ale co ty tu właściwie robisz? — zapytała, jakby akurat teraz przyszło jej to do głowy. — Czy nie powinie-
neś być we Frankfurcie? I skąd się dowiedziałeś, że tu
jestem?

Twarz Trajana spochmurniała.

— Moja żona nie żyje. Dzieci też. Bóg pokarał mnie za
zdradę. Mnie, Rieke, nie ciebie.

Rieke wzruszyła ramionami.

— To nie moje troski — rzuciła lekko. — Lepiej mi
powiedz, jak mnie tu znalazłeś?

Trajan uniósł się na łóżku.

— Tak, to nie są twoje troski. Ale już wkrótce będą
twoje. Oprócz ciebie nie mam już nikogo na świecie.
I pokochałem cię. Dlatego Bóg zesłał zarazę na moich.
Proszę cię, Rieke, ucieknijmy razem. Zaczniemy razem
nowe życie. Gdzieś. Daleko stąd. Najmiemy powóz i po-
jedziemy. To przecież nie musi być ten woźnica, który
przywiózł cię tutaj. Jak chcesz w tajemnicy, to nie z tym.
Ten od razu gadał, gdzie cię znaleźć.

Rieke znieruchomiała, lecz po chwili wybuchnęła
głośnym śmiechem. Śmiała się tak serdecznie, że aż
musiała się złapać za brzuch, a lzy pociekły jej po
policzkach.

— Co ty sobie myślisz, Trajan?! — zawołała i znowu
zatrzęsa się ze śmiechu. — Co ty sobie myślisz! Że będę
się włóczyć po świecie z jakimś ładowaczem? Jak dziewczka
z przedmieścia? Że będę spać na sianie i jeść resztki,
które mi zostawią inni? Nigdy, Trajan. Jestem szlach-
cianką. Zapomniałeś?

Dumnie uniosła głowę, spojrzała na niego z góry.

— Moja rodzina nie żyje — powtórzył Trajan. — Moja żona, moje dzieci. Umarli, bo z tobą dopuściłem się zdrady.

— Ach, co znowu! — krzyknęła na niego Rieke. — Byłeś przecież najemnym u mojego męża. Kiedy Abraham chciał mieć dziecko, a Sara nie mogła począć, wtedy on zapłodnił Hagar, służebną. A gdy ta miała rodzić, Sara wzięła ją między uda swoje. I to już był jej syn, ten, który przyszedł na świat. Jej syn, rozumiesz? Hagar była tylko służącą. A ty byłeś pacholkiem. Więc gdzie tu zdrada, skoro chodziło tylko o to, by spłodzić dziecko? Pytam cię! Sam Bóg tak chciał. Gdyby tak nie było, to byłabym brzemienna z Andreasem. I przestań już jęczeć o śmierci twoich, nie chcę tego słuchać, mam dość własnych trosk.

Trajan nic nie odpowiedział. Ale wstał, złapał Rieke za biodra, rzucił na łóżko.

— Tylko nie tak! — wydyszał nad nią. — Nie tak! Nie mogłaś się mną dość nasycić! Latałaś za mną jak kotka w rui! Nie możesz mnie teraz tak po prostu odprawić.

Znowu przycisnął gwałtownie swoje usta do jej miękkich warg. Rieke chciała się wyrwać, zaczęła się szarpać, ale Trajan tak mocno trzymał ją krzepkimi ramionami, tak silnie przycisnął swój brzuch do jej łona, że nie mogła się wyswobodzić. Kolanem rozepchnął jej uda, wszedł w nią gwałtownie. Rieke mocno zacisnęła powieki, po policzkach popłynęły jej łzy. Ale jednocześnie poruszała się z Trajanem w tym samym rytmie, folgując swoim żądom. Nie słyszała, jak skrzypnęły drzwi, nie widziała, jak się uchylily. Lecz gdy na moment otworzyła oczy — spojrzała prosto w twarz świekry. Ale oto drzwi zamknęły się znowu, a Rieke pożeglowała na najwyższych falach rozkoszy i nie wiedziała już, czy oblicze Amalii to była rzeczywistość, czy mara.

Godzinę później zeszła na dół, do izby biesiadnej gospody, by spożyć wieczerzę.

Podeszła do stołu, gdzie siedziała już Amalia. Zawałała się tylko przez krótką chwilę, potem śmiało spojrzała świekrze w oczy — patrzyły na nią z całkowitym spokojem.

Zdawało mi się — pomyślała Rieke — nie widziała mnie z Trajanem.

— Jak spędziłaś dzisiejszy dzień? — zagadnęła ją Amalia, jednocześnie spoglądając w okno.

Po co pyta, skoro nie chce wiedzieć...? — pomyślała Rieke, ale odrzekła:

— Dużo leżałam, akuszerka mówi, że powinnam się oszczędzać.

— Tak? — zapytała Amalia uszczypliwym tonem. — Zatem oszczędzaj się!

Rieke spojrzała na nią wyniośle.

— Chyba też byś chciała, żeby twój wnuk urodził się zdrowy?

Amalia zaśmiała się krótko i ostro.

— Mój wnuk — tak. I owszem. Ale mój wnuk. Mój.

Karczmarz przyniósł strawę: dziczyznę z kapustą i chlebem. Do tego rozcieńczone piwo.

Jadły w milczeniu. Dopiero gdy wieczerza miała się ku końcowi, Amalia rzuciła od niechcienia:

— Ach, zanim zapomnę! Jutro przyjeżdża Andreas. Mówię ci o tym nie przez wzgląd na ciebie, lecz na niego.

Rieke spojrzała na nią z niekłamanym zdumieniem.

— Co masz na myśli? Nie rozumiem.

— To się zastanów.

I Amalia kiwnęła głową gospodarzowi na pożegnanie, po czym udała się do swojej izby.

Rieke straciła ochotę najedzenie. Ogarnął ją niepokój. Amalia była jakaś inna. Nie tylko obojętna, tak jak zwykle, nie! Właściwie to zachowywała się wrogo! A co ma znaczyć to, co powiedziała na ostatku? Rieke zerwała się od stołu,

śpiesznie wybiegła z izby jadalnej, popędziła po schodach do swojego pokoju. Trajan leżał na łóżku i spał. Szarpnęła go za ramię.

— Wstawaj, wstawaj! No, rusz się! Musisz stąd iść!

Trajan mruknął coś niewyraźnie, przekręcił się na drugi bok, ale Rieke nie przestała go szarpać.

— Obudź się, wstawaj! No już!

— Co tak krzyczysz? — Trajan usiadł zaspany na łóżku, przeczesał palcami czuprynę i ziewnął.

Rieke ściągnęła z niego koldrę, zebrała jego przyodziewek z podłogi, rzuciła mu.

— Masz! Ubieraj się! I zmykaj. Jutro przyjeżdża mój mąż. Nie chcę, żeby cię tu kto zobaczył.

Trajan opadł z powrotem na poduszki.

— Skoro przyjeżdża jutro, to dlaczego mam iść już teraz? — Sięgnął po koldrę, naciągnął ją na siebie. — Zresztą nie czuję się dobrze. Chyba się przedtem za bardzo wysiliłem. — Uśmiechnął się krzywo, ale jego blada twarz i błyszczące gorączką oczy zdradzały wszystko.

Rieke przestała go szarpać.

— Pokaż mi pachwiny — zakomenderowała szorstko. Trajan z westchnieniem ściągnął koldrę. Rieke pochyliła się nad nim, pomacała.

— Jeszcze nic nie widać... — mruknęła pod nosem — jednak obrzmienie już czuję... — Nabrała głęboko powietrza: — No, wynoś się stąd. Już! — rzuciła.

Złapała go za nogę i zaczęła ściągać z łóżka, ciągnęła z całej siły. W końcu Trajan wyswobodził się, wstał.

— Ubieraj się! Ale już! — komenderowała Rieke.

Stał przed nią nagi i dygocący, z koszulą w rękę.

— Gdzie mam iść?

Wzruszyła ramionami.

— A bo ja wiem? Ja cię nie prosiłam, żebyś tu przyjeżdżał!

— Zaraz się ściemni. Gdzie ja teraz dostanę jaki nocleg?

— Nie wiem, ale na pewno coś znajdziesz.

— Rieke, nieswój jestem. Może nawet chory.

— A co ja na to poradzę? Jutro przyjeżdża mój mąż. Jak się nie wyniesiesz, zabije cię. Sam widzisz, nie masz wyboru. Po coś ty tu przyjechał! Umyśliłeś to sobie chyba w pijanym widzie.

Trajan zaczął się odziewać, mozolnie naciągnął spodnie, wsunął nogi w buty. Nałożył koszulę i wams. Zbladł jeszcze bardziej, nad górną wargą wystąpiły kropelki potu.

— Nie odprawiaj mnie — poprosił i chciał wziąć Rieke za rękę.

Odrzuciła jego dłoń. Złapała go za ramiona i wrzasnęła:

— Wynoś się! Słyszysz?! Nie chcę cię więcej widzieć. Masz czelność prosić mnie o schronienie? Zmysły postradałeś?! Jesteś chory, jeszcze mnie zarazisz, narażasz mnie i dziecko! Chcesz nas zamordować? Wynoś się, bo zawołam parobka, już on cię pogoni!

Trajan wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami, jakby miał diabła przed sobą. Potem zmrużył oczy w wąskie szparki.

— Pożałujesz tego — wyjąkał i wyszedł.

Rieke z westchnieniem usiadła na łóżku, głęboko wciągnęła powietrze. Ale zaraz zerwała się miejsca, zakrzętała się żywo, kazała gospodarzowi zmienić pościel, osobiście przetarła podłogę w izbie, zapaliła woskową świecę, uklękła do długiej modlitwy. Modlitwają ukoїła — Rieke już dawno nie czuła takiego spokoju. Rozebrała się, wśliznęła do świeżo powleczonej pościeli i wkrótce potem zasnęła, ukołysana słodkimi marzeniami.

*

Marga rozkoszowała się świeżym powietrzem, które przez otwarte okno napływało do jej nowej izby. Było jeszcze wcześniej rano, ale ona już się umyła i ubrała, uczesała włosy i starannie schowała pod czepkiem. Z rękami splecionymi na podołku siedziała na zydłu, wsłuchując się w odgłosy ulicy.

Latacz kociołków głośno zachwalał swoje usługi, wózki z łoskotem toczyły się po bruku, słychać było bicie dzwonów kościelnych.

Ulicą nadchodziły, trajkocząc, jakieś dwie kobiety. Przystanęły akurat pod oknem Margi.

— A ja ci mówię, że ją wyrzucił! — usłyszała. — Zamknął drzwi przed własną matką. Pomyśl tylko!

— Słyszałam, że sama sobie winna. Mówią, że sprzedała męża werbownikom.

— Ale! Co też ty! Jakby można było tak po prostu sprzedać chłopca! Durne gadanie! Znasz jakiegoś lepszczanina, co dał się sprzedać żonie?

— Słusznie prawisz, ale to pewne, że jej mąż zniknął, a syn wyrzucił ją na ulicę. Słyszałam, że mówi o niej jak o ostatniej. Że ojca wysłała na śmierć, że kłótniwa z niej jędza, że ma wyschnięte łono.

Druga kobieta roześmiała się głośno.

— A skąd syn może to wiedzieć?

Zaśmiały się obie i poszły dalej.

Marga słuchała, wstrzymując oddech. I tylko łzy płynęły jej po policzkach. Siedziała cicho, cichutko, nie szlochała, usta miała zaciśnięte. Siedziała tak długo, wydawało jej się, że razem z tymi łzami wypływa też z niej cała radość życia, cała jej odwaga. Zegar na wieży kościelnej wybił już dwa kwadranse, kiedy wreszcie wysiadła nos w rąbek spódnicy, otarła rękawem łzy, i wzdychając boleśnie, podniosła się z zydła.

Ale po chwili się otrząsnęła i już chciała zejść na dół do kuchni, gdy nagle zakreśliło jej się w głowie. Musiała

się oprzeć o ścianę. Oblał ją zimny pot. Zdołała jeszcze dowlec się do łóżka, położyła się, zamknęła oczy. Była taka zmęczona, śmiertelnie zmęczona. Chciała umrzeć. Tak byłoby najlepiej. Wyobraziła sobie, że opuszcza dom, schodzi w dół, do Elstery, powolnie wijącej się pośród błoni. Że staje na brzegu, patrzy na wodę. W pewnej chwili zrzuca buty, unosi spódnice i powoli, powoli, krok za krokiem, wchodzi do rzeki. Czuje już chłód wody obmywającej kostki, suknia staje się coraz cięższa i cięższa i z każdym krokiem wciąga ją głębiej w odmęty. W pewnej chwili woda sięgnie do szyi. Potem wyżej... Marga poczuła jej smak w gardle, poczuła, jak woda wlewa się do nosa, odcina oddech... Potem zielona rzeka zamknie się nad nią. Przez chwilę będzie jeszcze widziała podwodny krajobraz, jakieś wodorosty, może kilka rzecznych raków. Później jej duch ujdzie z ciała, dusza wzniesie się do nieba, i w końcu, w końcu będzie szczęśliwa.

Nagle rzeczywiście poczuła coś mokrego na policzku, otworzyła oczy. Oślepiła ją jasność poranka. Potrzebowała chwili, by zrozumieć, gdzie się znajduje. Potem uświadomiła sobie, o czym marzyła przed chwilą, i zrobiło jej się wstyd. Jak mogła myśleć o śmierci? Hermann Schein przyjął ją do siebie. Jakże mogłaby go tak rozczarować?

Zerwała się z łóżka, poprawiła włosy, przetarła twarz, uładziła suknię, po czym zeszła do kuchni i bez zbędnych słów pomogła dziewczynie przygotować śniadanie.

*

Serce podskoczyło Lili do gardła. Wyminęła mężczyznę, udając, że go nie widzi, nie słyszy, ale w jej uszach huczało złowieszczo: Lilith. Szalom. Dwa słowa jak uderzenia młota.

Kurczowo chwytiała powietrze, ulica na chwilę rozmyła się jej przed oczami, ale Lila się nie zatrzymała, szła,

jakby ją kto ciągnął na sznurku, jeszcze dwa kroki i znalazła się przy drzwiach domu. Nareszcie! Jest uratowana! Chwyciła za klamkę, szarpnęła, otworzyła drzwi, wśliznęła się do środka i chciała zatrzaskać drzwi za sobą, lecz mężczyzna był szybszy, wsunął stopę w szparę między framugą a skrzydłem drzwi.

— Co się stało, moja mała Lilith? Żle się poczułaś? Przestraszyłem cię? Nie chciałem tego, przecież wiesz. Zawsze chciałem dla ciebie jak najlepiej, nieprawdaż? Już nie pamiętasz, Lilith? Myślisz jeszcze czasem o tej małej uliczce w Antwerpii, gdzie cię znalazłem?

Lila zasłoniła sobie uszy, stała ze spuszczoną głową.

— Nie — szeptała. — Nie, nie, nie. Nie chcę tego słuchać.

Gdyby mogła, zasłoniłaby sobie oczy.

— Nie możesz już dłużej zachowywać się tak, jakby się nic nie stało — powiedział mężczyzna. — Wkrótce wszystko wyjdzie najaw, moja mała Lilith, pomyśl o tym. I pomyśl też o tym, że nie możesz wyprzeć się swojego pochodzenia. Krew z krwi matki, kość z kości ojca, dusza od Boga. Przecież masz duszę, moja mała Lilith? A w twoich żyłach płynie krew Racheli, twojej matki, i to kości twojego ojca ben Levy'ego cię noszą.

Lila stała oparta o ścianę, twarz miała błądą jak całun śmiertelny, usta jej drżały, pierś unosiła się gwałtownie.

— Wiem — wyszeptała. — Wiem wszystko, nic nie zapomniałam, ani jednego dnia.

Potem zamknęła oczy i błagała Boga, żeby zesłał na nią omdlenie. Ale Bóg jej nie słyszał. Może spał? Może unosił się nad polem bitwy?

Gdy wreszcie uniosła powieki, ze zdumieniem rozejrzała się wokoło: mężczyzna zniknął. Dom był cichy, spokojny. Tylko z kuchni dolatywał dźwięk przesuwanych przez dziewczkę służebną kociołków. Lila przyłożyła rękę

do gardła, powoli osunęła się plecami po ścianie na deski podłogi. Wyciągnęła nogi przed siebie, a jej myśli umknęły w przeszłość, do czasu, gdy była kimś innym.

*

Lilith przyszła na świat w Antwerpii, w żydowski Nowy Rok — Rosz Haszana, pierwszego dnia miesiąca Tiszri roku 5270 według kalendarza żydowskiego. Była najmłodszą córką wówczas już prawie sześćdziesięcioletniego jubilera Aarona ben Levy'ego i jego o wiele młodszej żony Racheli. Wzrastała w rodzicielskim domu wśród czułości i pieśzcot. Wieczorem, kiedy ojciec wracał ze sklepu albo z synagogi, siadała mu na kolanach i zjeżdżała na stopy. Aaron zwykle przynosił jej cukierki albo drobne łakocie od piekarza. Starsze siostry bawiły się z Lilith, jakby była żywą lalką. Ubierały ją i przebierały, zaplatały jej warkocze, wplatały we włosy wstążki albo kwiaty. Czasami sadzały ją na małym drewnianym wózku i woziły dla zabawy po całej żydowskiej ulicy.

Lila z uśmiechem wspominała swoje dzieciństwo. Myślała o zapachu matki, o faszerowanej rybie, którą spożywali w piątki, gdy tylko ojciec wrócił do domu z synagogi, o cukrowym cieście na Rosz Haszana, o tych wszystkich garnkach i patelniach w kuchni, o dwóch rodzajach naczyń i sztućców — na potrawy mięsne i na te przygotowywane z mlekiem.

Myślała o swoich siostrach i braciach, a także o Izaaku, synu sąsiada, chłopcu starszym od niej dwa lata. Wszyscy na ulicy mówili, że ona i Izaak kiedyś się pobiorą. Lilith też tak uważała, rozmawiała o tym z Izaakiem, jakby to było najoczywistsze pod słońcem. A potem przyszły wojny religijne. Chrześcijanie podzielili się na tych, co trwali w dotychczasowej wierze, i nowowierców. W Antwerpii płonęły kościoły, uprowadzano mężczyzn, hańbiono ko-

biety, bito dzieci. A kiedy trzeba było *znaleźć* winnego tego cierpienia i przelewu krwi, jak zwykle kozłem ofiarnym zostali Żydzi: uznano, że to oni sprowadzili na miasto nieszczęście, wywołali waśnie i spory, gwałty i przelew krwi. Lilith miała szesnaście lat, kiedy pewnego dnia tłum rozbił kratę u wlotu Ulicy Żydowskiej i rozwścieczona tłuszcza wtargnęła z pałkami i pistoletami, z arkebuzami i łomami. Wyważali drzwi, wybijali okna, wywlekali mężczyzn na ulicę, młodych i starych, i bili ich. Wyciągali młode kobiety i naigrywali się z nich, starym kazali na klęczkach wyrzec się swojej wiary, jeśli im życie miłe. Wielu nie przeżyło pogromu, zmarło pod pałkami. Inni, pohańbieni i w poczuciu wstydu, woleli wybrać dogodną śmierć. A tych, którzy przeżyli, jak psy popędzono do bram miasta. Została tylko Lilith. Gdy rozwścieczeni mężczyźni wtargnęli do ich domu, schowała się w wielkiej szafie. Przycupnęła w rogu, oplotła kolana ramionami, zamknęła oczy, siedziała tak, kiwając się i cichutko nucąc piosenkę. Skupiła się tylko na tej piosence, nie dopuszczała do siebie krzyków i odgłosów bicia, przekleństw i wycia, jęków i kwilenia. Siedziała w tej szafie długo, bardzo długo. Z poranka zrobił się wieczór, potem nastąpiła noc, później znowu poranek, i znowu noc. Dopiero wtedy odważyła się wysunąć z szafy. Popatrzyła wokoło. I skamieniała. Wszystko w niej zamieniło się w lód. Zobaczyła plamy krwi na podłodze, obok fartuch matki. W innym miejscu znalazła kosmyk siwych włosów — to były włosy ojca. Jedną z sióstr zobaczyła potem w ogrodzie. Leżała z wykręconymi członkami, na głowie miała wielką ranę, którą obsiadły brzęczące muchy. Czerwona krew na białych stokrotkach. Jeszcze dzisiaj ten obraz czasami pojawiał się jej przed oczyma. Zobaczyła wtedy jeszcze inne rzeczy: straszliwe obrazy, których nie chciała pojąć, dopuścić do siebie, czuła, że wszystko w niej pęka.

Uciekła z powrotem do swojej szafy, wczółgała się do wewnątrz, ale obrazy ścigały ją i tam.

— Lila!

Wstrząsnęła się, głos przywołał ją do rzeczywistości. Była wdzięczna, że ktoś wyrwał ją ze wspomnień.

— Judith! — zawołała w odpowiedzi. — Już idę, Judith! Już idę!

Podniosła kosz, pomacała jajka, którym cudem nic się nie stało. W głowie kłębiło jej się od najróżniejszych uczuć i myśli. Tak, udało jej się, uciekła stamtąd. Była szczęśliwa. Ale stale towarzyszyła jej skrywana troska i niepokój. I ta tęsknota. I bała się też, czuła strach przed mężczyzną, który nazywał ją Lilith. Bezlitosny, okrutny strach.

*

Judith ciągle jeszcze pozostawała w łóżku, ciągle jeszcze była blada i słaba. Ale już nie chora. Tak przynajmniej twierdził doktor van Aaken. Lila natomiast uważała, że Judith daleko jeszcze było do wyzdrowienia — coś musiało jej dolegać. Powinna już się poderwać, uśmiechnąć do życia, ozdobić dom kwiatami, rzucić się Lennartowi w ramiona. A ona ciągle leżała w łóżku, w zaciemnionym pokoju, broniła się przed słońcem, twierdziła, że od zapachu kwiatów boli ją głowa.

— Co się dzieje, Judith? — zapytała Lila. Usiadła na brzegu łóżka i wzięła szwagierkę za rękę. — Powiedz mi, co cię tak gnębi?

Judith westchnęła ciężko, z głębi serca, ale zaraz potrząsnęła głową, przywołała na twarz słaby uśmiech.

— Ach, nic, nic, kochana moja.

Ale Lila zobaczyła, że do oczu napływają jej łzy.

— Nie ufasz mi?

— Nie o to chodzi, Liłu.

Judith znowu westchnęła, i znowu łzy stanęły jej w oczach.

— To dlatego... dlatego... wszystko jest takie inne niż przedtem — wyszeptała.

— Co jest inne?

— Życie. Całe życie. Nigdy nie myślałam, że jesteśmy tak blisko śmierci. Nie sądziłam, że mogę tak zachorować. Wydawało mi się, że coś takiego dotyka tylko innych. Biednych albo tych, co mają w sobie jakąś ciężką przewinę. Omal nie umarłam, Lilu. Ale nie znajduję przyczyny, dla której Bóg miałby mnie tak pokarać. Nie wiem, czym zawiniłam, co zrobiłam źle.

Spojrzała na szwagierkę.

— Przestraszyło cię to, nieprawdaż? — zapytała Lila.

— Nie. — Judith pokręciła przecząco głową. — Nie przestraszyłam się. Nie idzie o mnie, tylko o to, jak cenne, jak krucho jest to nasze jedyne życie. I jak bardzo krótkie. Tyle rzeczy można zrobić źle. Rozumiesz? Odpowiedzialność, jaką Bóg nakłada na nas wraz z życiem, to więcej, niż mogę unieść.

Lila pogładziła Judith po ręce, musnęła jej policzek.

— Ale czy rozumiesz? — j e s z c z e raz zapytała Judith.

— Nie całkiem — odparła Lila.

— Mamy tylko jedno życie, jedną szansę, i boję się, że coś zrobię źle. Chciałabym wykorzystać to moje życie jak najlepiej, bo drugiego już mieć nie będę.

— Aha, teraz rozumiem — odrzekła Lila. — Ale powiedz dokładnie, w czym rzecz? O co tak się boisz? Chodzi o Lennarta?

Judith spojrzała na nią przygnębiona.

— Nie odwiedził mnie w chorobie, prawda? Może i dobrze, bo mogłabym go zarazić. To by było zbyt niebezpieczne. Cóż, przysłał kwiaty. Ale tylko raz. Jeden mały bukiet.

— To dlatego jesteś smutna?

Judith popatrzyła Lili prosto w oczy.

— Nie wiem, Lilu, nie wiem. Naprawdę nie. Myślałam, że kocham Lennarta. Ale może to nieprawda. Pewnie nie chciałam już po prostu być dłużej bez mężczyzny. Chyba uroiłam sobie, że go kocham, bo moja tęsknota za byciem we dwoje była już tak wielka.

— A teraz nie jesteś pewna, czy tak? — dopytywała się Lila.

— Tak — przyznała Judith. — Nie tęskniłam za nim. Rozumiesz? Nie brakowało mi go. Rzadko o nim myślałam. Po prostu nie było mi go brak.

Lila uśmiechnęła się.

— To nie jest złe. Jak dobrze, że serce nie da się oszukać.

— A jest tak naprawdę, Lilu? Serce nie da się oszukać? Wiesz to na pewno?

Spojrzenie Lili umknęło w dal.

— Masz rację, nie wiem.

— Doktor van Aaken był przy mnie każdego dnia — mówiła dalej Judith cichym głosem. — Trzymał mnie za rękę, ocierał pot. Puszczal mi krew, nacinał wrzody. Widział mnie w najbardziej odrażającym stanie. A mimo to ciągle przychodził. Nawet wtedy, gdy już dawno nie było to konieczne.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała Lila, lecz nim Judith zdążyła odpowiedzieć, na dole ktoś mocno zakolatał do drzwi. Lila zeszła po schodach, otworzyła. Przed nią stał Lennart Leuthold, iglarz. W ręku trzymał bukiet kwiatów, znacznie większy niż ten poprzedni.

— Słyszałem, że Judith jest już zdrowa — powiedział i uśmiechnął się do Lili. — Przyszedłem z wizytą. Czy można?

— A gdzie byliście, jak była chora? — zapytała Lila. Lennart zrobił kwaśną minę.

— Leżała na morowe powietrze. Mogła mnie zarazić. Co by komu dała moja śmierć? Sama mi doradzaliście, żebym się trzymał z daleka, pamiętacie?

— Owszem — potwierdziła Lila.

Lennart zrobił krok do przodu, najwyraźniej zamierzając wejść do środka, ale Lila zagroziła mu drogę i nawet nie wzięła od niego kwiatów.

— Zaczekajcie tu. Muszę najpierw zapytać Judith, czy zechce was przyjąć.

Z tymi słowy pośpieszyła na górę. Po kilku chwilach była z powrotem.

— Przykro mi, iglarzu — powiedziała. — Nie chce was widzieć.

— Ach tak... — Lennart smętnie opuścił bukiet. — W takim razie jutro zajrzę znowu.

Lila potrząsnęła głową.

— Nie. Ona nie chce was teraz widzieć. Może za jakiś czas będziecie mieli więcej szczęścia.

— Ale dlaczego? Co się stało? — zapytał iglarz zdumiony. Lila nic mu na to nie odpowiedziała, popatrzyła tylko na niego współczująco, bezradnie rozkładając ręce, i życzyła mu powodzenia.

*

Bóg jeden wie, ile wysiłku kosztowało Margę, by pójść na Katharinenstrasse. Nogi miała jak z ołowiu, ledwie odrywała je od ziemi, plecy przygniatał olbrzymi ciężar. Najchętniej zostałaby w swojej izbie u kantora, leżałaby na łóżku, niech się dzieje, co chce. Ale Hermann Schein nie pozwolił jej na to: „Musisz walczyć — powiedział. — Nie możesz dać się tak po prostu wygnać. Idź, porozmawiaj z synem”.

Zaczęli sobie mówić „ty”, i ta forma była jeszcze czymś świeżym, Marga musiała się za każdym razem

przełamywać. Ale przecież Hermann Schein był teraz jej jedynym przyjacielem. I to właśnie ze względu na niego, aby go nie rozczarować, przełamała się i szła oto do drukarni. Sama nie wiedziała, czego tam chce. Bo co? Konstantin nie zechce z nią rozmawiać. Marga zbyt dobrze знаła swego syna, by o tym nie wiedzieć. Może wydałby jej rzeczy — ale ona go o to nie poprosi: już ją wystarczająco upokorzył. Bardziej, niż mogła znieść jej dusza. Jednak obiecała Hermannowi... Marga szła powoli, minęła budynek Starej Wagi przy placu rynkowym. A oto i dom cechowy drukarzy. Przez chwilę pomyślała, żeby tam pójść, u cechmistrza domagać się swoich praw. Ale szybko zdała sobie sprawę, że jej starania nic by nie dały. Może gdyby jej syn nie był drukarzem, może wtedy... Bo miasto ciągle odczuwało niedostatek warsztatów takich jak jej. Odkąd drukarze zaczęli pracować metodą Gutenberga, warsztaty miały coraz więcej zamówień. Ruchome czcionki mamy już od ponad stu pięćdziesięciu lat — pomyślała Marga — i fach drukarski rozkwitł. Zapotrzebowanie na druki ciągle rośnie, coraz więcej jest ksiąg do powielania. A w mieście uniwersyteckim i targowym jak Lipsk drukarze ledwie nadszają z zamówieniami. Mimo to prowadzić warsztat musi mężczyzna... — Marga westchnęła ciężko — ...dopiero gdy nie znajdzie się majster, dopuszczają kobietę... I to tylko dlatego, że jest tyle zamówień. Marga powoli, ze spuszczoną głową przeszła przez rynek.

Kiedy stanęła przed drukarnią i domem, który jeszcze przed kilku dniami był jej, serce skoczyło jej do gardła. Z ociąganiem, nieśmiało zastukała do drzwi warsztatu. Ale zaraz otrząsnęła się, zebrała w sobie. Nic dziwnego, że mój syn mnie upokarza — pomyślała. — Nic dziwnego, skoro sama zachowuję się tak pokornie.

Śmiało otworzyła drzwi, weszła do środka. W warsztacie było pusto, prasy stały.

— Szczęść Boże! —zawołała, ale nikt nie odpowiedział. Rozejrzała się po warsztacie, poszła do bocznych drzwi, które prowadziły do mieszkania. Wszędzie cisza. Dźwięki dobiegały tylko z kuchni.

— Szczęść Boże, Wilma! — pozdrowiła Marga służąca, która właśnie szorowała garnki.

Dziewka aż podskoczyła zaskoczona.

— Ach, to wy! Przestraszyłam się... — Przejechała przedramieniem po czole, żeby odgarnąć jakiś kosmyk. Potem nastawiła ucha, nasłuchując odgłosów z głębi domu.

— Kazał, żebym was nie wpuszczała, jak przyjdziecie — powiedziała cicho.

— Spodziewałam się tego — odparła Marga. — Ale gdzie on jest? Dlaczego nikt nie pracuje w warsztacie?

Dziewczyna spojrzała na nią niepewnie, z zakłopotaniem.

— Nie wstaje wcześniej niż w południe. — Westchnęła, opuszczając głowę.

— Aha — mruknęła Marga i uśmiechnęła się pod nosem. — Nie mów mu, że tu byłam — poprosiła jeszcze, a dziewczyna kiwnęła głową, że rozumie.

14

Kiedy Rieke wstała następnego dnia, słońce stało już wysoko na niebie. Samotnie spożywała śniadanie w izbie jadalnej — Amalia już dawno poszła do siebie. Rieke bez apetytu przelykała kaszę, którą podała jej dziewczyna, myślała o Trajanie. Co mu strzeliło do głowy! Jak mógł się spodziewać, że ona przywita go z otwartymi ramionami, że z nim ucieknie? Dobrze, że sobie poszedł — pomyślała. — Lepiej by było, gdyby tu się w ogóle nie pojawił. Ale na to już nic się nie poradzi.

Tymczasem dziewczki kuchenne trajkotały z szynkarką. Okienko do kuchni nie było zamknięte i Rieke, chcąc nie chcąc, wszystko słyszała.

— ...a potem poszedł ulicą, zataczał się jak pijany. Ale ja od razu zobaczyłam, że nie był urżnięty. Chory był. Pot lał się z niego strumieniami. To było straszne. Śmierdział, i to jak. Ale nie gorzałką. Zapytałam, dokąd idzie, a on na to, że do nieba, do żony i dzieci.

Rieke zdrętwiała, z łyżką w połowie drogi między miską a ustami. Usłyszała, jak druga dziewczka pyta:

— Co potem? Co było potem?

Dziewczyna kuchenna jeszcze podniosła głos.

— Nic. A co miało być? Miałam go może wziąć do domu? — Zachichotała głupawo. — Dałam mu jabłko. Miałam w kieszeni. I pokazałam, gdzie jest stodoła młynarza. Powiedziałam, że może się tam przespać i że jakby mu się pić zachciało, to do stawu młynnego tylko parę kroków.

— Jak myślisz, na co był chory? — zapytała szynkarka.

— A bo ja wiem? — odparła tamta. — T a k sobie myślę, jak on tu trafił, do naszej wsi, i czego tu chciał...

Rieke odsunęła od siebie miskę z kaszą, całkiem odechciało jej się jeść. Trajan — myślała gorączkowo. — Mówią o Trajanie. A to znaczy, że on tu jeszcze jest.

— Do diaska! — zaklęła cicho i uderzyła pięścią w stół. — Niech to lichy! Jak Andreas go tu zobaczy, to koniec. Bo w przypadek to na pewno nie uwierzy.

Nie namyślając się długo, wstała i wyszła z zajazdu. Najpierw poszła do wieży kościelnej, oddalonej ledwie o kilka kroków, spojrzała na zegar. Właśnie wybiła dziewiąta. Andreas mógł się zjawić najwcześniej o dziesiątej. Miała godzinę, by znaleźć Trajana.

Szybko doszła na skraj wsi — do młyna było stąd niedaleko. Nie zważała na całkiem już mocno przypiekające słońce, było jej obojętne, że niszczy swoje delikatne buciki z sarniej skórki. Wkrótce znalazła się przy młynie. Obok stawu młynnego stała stodoła, o której mówiła dziewczyna.

Koło młyńskie obracało się ze skrzypieniem, poza tym dookoła panowały spokój i cisza — żywego ducha. Nie spuszczać oka z młyna, czujnie rozglądając się wokoło, Rieke chyłkiem podbiegła do stodoły. Odsunęła drewniany rygiel i napała oburącz na wielkie, ciężkie wierzeje.

Wewnątrz było ciemno. Odrobina światła wpadała tylko przez szpary w dachu, w słonecznych smugach tańczyły drobiny kurzu.

Pachniało sianem i słońcem. Rieke rozejrzała się dokoła.

— Trajan! — zawołała cicho — Trajan! Gdzie jesteś?

Cisza. Weszła głębiej, zaglądała za słupy, obchodziła bele siana. Podrapała sobie ręce, jakieś ostre źdźbło drasnęło ją w policzek, zostawiając długą, czerwoną smugę. We włosach miała pełno siana, buciki pokryła gruba warstwa kurzu. Kichała i co chwila pociągała nosem. Ale nigdzie nie znalazła Trajana.

Już miała z ulgą opuścić stodołę, gdy z najdalszego kąta doleciał ją jakiś dźwięk. Odgłos jęku?

— Trajan, to ty?

Kierując się dźwiękiem, poszła w głąb stodoły — Trajan leżał na sianie, zlany potem, dygocąc z gorączki. Uklękła obok niego, położyła mu rękę na czole.

— Trajan, słyszysz mnie? — zapytała.

Nie odpowiedział, jęczał tylko głośno i oblizywał spękane wargi.

— Wody... — wykrztusił wreszcie — ..wody.

Rozejrzała się, ale nigdzie nie znalazła żadnego naczynia. W końcu tak jak stała pobiegła do stawu, mocno nasaczyła wodą skraj sukni, tak że aż kapało, i czym prędzej wróciła do stodoły. Wykreśliła materiał nad ustami Trajana, otarła mu czoło, zwilżyła policzki. Nawet w panującym tu półmroku rozpoznała grube morowe obrzmienia na szyi. Przestraszyła się, choć przecież już przedtem domyśliła się, że się zaraził.

Zdradził żonę — pomyślała. — Popelnił cudzołóstwo. Tak. Miał rację — Bóg pokarał go za to zarazą.

Rieke wstała, przez długą, bardzo długą chwilę patrzyła na kochanka. Potem nakreśliła znak krzyża i co rychlej wybiegła ze stodoły.

Judith wreszcie podniosła się z łoża. Jej twarz ciągle jeszcze była blada, oczy podkrążone. Jednak osłabienie stopniowo mijało, a i jej ruchy stały się jakby energiczniejsze. Ze świeżo umyтыми i splukanymi rumiankiem włosami siedziała teraz na wyściełanym krześle przy oknie, w rękę trzymała tamborek. Ale jej palce spoczywały nieruchomo, Judith patrzyła na wzór niewidzącym wzrokiem, uśmiechała się do siebie z lekką melancholią.

Nasłuchiwała odgłosów domu: plaskania bielizny w bali, pobrzękiwania garnków i kociołków, trzaskania ognia pod blachą na kuchni. Dziewka służebna, kucharka i praczka krzątały się przy swojej robocie, a Lila wyszła za swoimi sprawami.

Ktoś głośno zastukał mosiężną kołatką. Judith usłyszała, jak dziewczka otwiera drzwi, wypowiada kilka słów, i już po chwili na schodach rozległy się jej pośpieszne kroki.

— Pani — rzuciła szybko, wyraźnie rozgorączkowana. — To medyk miejski. Doktor van Aaken.

Judith ze zdziwieniem uniosła brwi.

— A cóżeś taka przejęta? Przecież przychodzi codziennie.

— Tak, ale dzisiaj to co innego. Ma sobie najlepszy wams i... i...

— Co?

— I ma kwiaty.

Przy tych słowach dziewczyna uśmiechnęła się od ucha do ucha, zupełnie jakby to jej doktor przyniósł te kwiaty. Judith także się uśmiechnęła.

— Proś go i przynieś nam karafkę dobrego reńskiego.

Dziewczyna dygnęła gorliwie i pędem wybiegła z izby. Judith także nagle zaczęła się śpieszyć. Wstała i obejrzała się w niewielkim ręcznym zwierciadelku, przyglądała włosy, parę razy zagryzła wargi, poszczypała się w policzki —

i już słyhać było kroki na schodach. Prędko ukryła lusterko pod poduszką i z powrotem usiadła na krześle.

Doktor zapukał grzecznie w otwarte drzwi, wszedł dopiero, gdy Judith go poprosiła.

— Jak się miewacie, moja droga? — zapytał od progu, podszedł do Judith i podał jej rękę. Jego spojrzenie spoczęło spokojnie, przyjaźnie i życzliwie na jej obliczu.

— Dobrze, doktorze van Aaken, dobrze. Jedyne, co mi dolega, to drobne chwile melancholii, poza tym wszystko jak najlepiej.

— Bardzom rad. W końcu zlegliście na morową zarazę. Nic dziwnego, że teraz potrzebujecie trochę czasu, by na dobre wrócić do życia. Pozwólcie, bym wam w tym pomógł, na ile potrafię.

Judith się uśmiechnęła, z wdziękiem przechyliła nieco głowę i wskazała krzesło, które stało naprzeciwko niej. Van Aaken usiadł. Zaraz też weszła dziewczyna z tacą, na której stała karafka czerwonego wina, kieliszki i wazon z kwiatami.

Doktor przepił do Judith. Potem spojrzał na nią z powagą. Wyglądał na zaambarasowanego, bawił się kwiatowym pędem, zwisającym z wazonu.

— Nie przyszedłem dziś jako medyk — rzekł w końcu i znacząco spojrzał na Judith.

— Jak sami mówicie, nie jestem już właściwie chora — odparła Judith.

Przypatrywała się lekarzowi, który niespokojnie ścisnął złożone teraz na kolanach dłonie. Van Aaken nie był szczególnie urodziwym mężczyzną. Wysoki i bardzo szczupły, a właściwe nawet chudy, po większej części nie miał już włosów na głowie, tak że jego fryzura przypominała mniszą tonsurę. Szaroniebieskie oczy potrafiły spoglądać i łagodnie, i ostro. Nos był nieco bulwiasty, a usta obrysowane ostrym konturem. Miał jeszcze wszystkie

zęby, całkiem niezwykła rzecz u mężczyzny w jego wieku. Ogólnie biorąc, doktor van Aaken wyglądał zdrowo. Nadto był godny zaufania, solidny, jego dochody były przyzwoite i mieszkał w domu, który co prawda nie należał do największych, ale na pewno do najpiękniejszych w mieście. Jego reputacja była nienaganna. Gdyby Luuk van Aaken nie był cudzoziemcem, z pewnością już dawno zajmowałby miejsce w radzie miasta.

— Zatem co, jeśli nie moje zdrowie, sprowadza was tu dzisiaj, doktorze? — zapytała Judith po chwili milczenia, pochyliła się lekko do przodu i na krótką chwilę położyła swoją ciepłą rękę na przedramieniu gościa.

Medyk głęboko wciągnął powietrze, potem przybrał uroczysty wyraz twarzy.

— Droga Judith Geisenheimer... — zaczął, ale musiał przerwać i odkaslnąć. Upił łyk wina, po czym zaczął znowu: — Droga Judith Geisenheimer! Podczas długich, bolesnych dni waszej choroby przywiązałem się do was całym sercem. Znaczący dla mnie więcej niż wszystkie inne kobiety w tym mieście. Dlatego pozwalam sobie zapytać was, czy zechcecie zostać moją żoną.

Judith wzdrygnęła się, przycisnęła obie ręce do piersi.

— Zaskakujecie mnie, doktorze. To jest... to dla mnie... nie spodziewałam się...

Medyk spuścił głowę.

— Wybaczcie, nie chciałem was w żaden sposób dotknąć — wy bąkał.

— Ależ nie, nie — wtrąciła Judith uspokajająco — nie o to chodzi! Ja tylko nie spodziewałam się z waszej strony oświadczeń.

— Rozumiem. — Van Aaken wstał, skłonił się. — Wybaczcie, jeśli wam w czym uchybiłem.

Teraz wstała także Judith.

— Źle mnie zrozumieliście, doktorze — powiedziała. — Pozwólcie mi się zastanowić. Dajcie mi po prostu kilka dni. Od wielu lat jestem wdową, przez długi czas żyłam sama. Ponadto dopiero co uciekłam śmierci spod kosy — dzięki waszej pomocy. Przyjdźcie znów za tydzień. Wtedy dostaniecie ode mnie odpowiedź.

Luuk van Aaken spojrział na nią.

— Chcecie powiedzieć, że jest jeszcze nadzieja? — zapytał.

Judith uśmiechnęła się, delikatnie pogłaskała go po ramieniu.

— Nadzieja istnieje zawsze. Jako medyk wiecie to najlepiej.

Ledwie van Aaken opuścił dom, a Judith natychmiast usiadła do swojego biureczka. Wzięła do ręki pióro. Przed nią leżała czysta karta papieru. Z prawej strony stał kałamarz i puszka z piaskiem do suszenia atramentu.

Przez kilka chwil Judith siedziała, patrząc w przestrzeń i w zadumie ssąc wargę. Potem otrząsnęła się, zanurzyła pióro w atramencie i zaczęła pisać.

Upłynął już pewien czas, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni. Przypominasz sobie? Poszliśmy na spacer do Bornheim, opowiadałeś mi o swojej żonie. Ja zawsze byłam rada twojemu towarzystwu. Jednak nie rozmawialiśmy o przyszłości. Jeśli chciałbyś uczynić to teraz, proszę Cię, przybądź do mnie jeszcze w tym tygodniu.

Tvoja Judith

Skończywszy pisać, przywołała służebną, wręczyła jej liścik, polecając, by zaniosiła go do iglarza. Dziewczyna spojrziała na nią pytająco.

— Wszystko na świecie ma swoją kolej, miejsce i czas — wyjaśniła Judith. — Będzie, jak Bóg zechce.

*

Marga przez cały dzień chodziła po nadrzecznych błoniach. Raz po raz zadawała sobie pytanie, gdzie pobłądziła, co takiego zrobiła, że wałęsa się tu, nie mając nic do roboty, opuszczona przez własnego męża, odtrącona przez krew z krwi swojej i kość z kości. Nic nie wskórawszy, potulnie odeszła z własnego domu. Nie wzięła nic, żadnej swojej rzeczy. Była zła na samą siebie i nie zważała na drogę, miejscami tak grząską i podmokłą, że po kostki zapadała się w błocie. Rąbek jej sukni zrobił się mokry i ciężki od błota, ale nawet tego nie zauważyła. Jednak chodząc tak po łąkach, stopniowo zaczęła się uspokajać. Pomyślała, że już i tak nie da się cofnąć tego, co się stało. Obojętne, kto zawinił. Nie mam już niczego — rozmyślała. — Straciłam bliskich, nie mam domu, warsztatu, pieniędzy. Przegapiła dziś okazję, by zabrać sakiewkę z guldenami Gerona Geisenheimera, a nie sądziła, by Konstantin zechciał wydać jej pieniądze dobrowolnie. Była na dnie — ale, co dziwne, odczuwała mniejszy smutek niż jeszcze niedawno, gdy chciała zatrzymać chociaż tę odrobinę, to, co jak mniemała, jeszcze jej pozostało. Co może mnie jeszcze spotkać? — pomyślała. Przygnębienie i smutek opadały z niej z wolna, ustępując nowemu uczuciu — nadziei. Tak, była jeszcze nadzieja.

Marga spojrzała w niebo, wystawiła twarz do słońca, przez dobrą chwilę rozkoszowała się przyjemnym ciepłem. Potem zawróciła i ruszyła z powrotem do miasta. Szła wyprostowana, ze ściągniętymi do tyłu ramionami, stąpała pewnym krokiem, głowę niosła wysoko. Posłała uśmiech strażnikowi przy bramie, pozdrowiła jedną

z byłych sąsiadek, dała grosz żebrakowi, co siedział na ziemi przed bramą kościoła św. Tomasza.

Hermann Schein przybiegł natychmiast, gdy tylko usłyszał, że otwierają się drzwi. Troskliwie objął Margę ramieniem, zaprowadził do kuchni. Czekał tam już przygotowany dla niej kubek wina z korzeniami.

— Chodź, usiądź, odpocznij — powiedział ciepło.

— Nic mi niejest, Hermann — odparła Marga z pogodną miną, której on nie potrafił sobie wytłumaczyć.

Opróżniła kubek duszkiem i otarła usta przedramieniem.

— Tego mi było trzeba — mruknęła z zadowoleniem.

— Jak było u syna? — zapytał Hermann Schein.

Marga wzruszyła ramionami.

— Chyba już nie mam syna — odparła po prostu. — Nie mam nic. Tylko to, co na sobie.

Uśmiechnęła się do kantora — j u ż od lat nie wyglądała tak pogodnie.

Hermann Schein z niedowierzaniem potrząsnął głową.

— Wyglądasz tak radośnie, jakbyś dopiero co przeżyła coś pięknego. Co cię tak cieszy?

Marga uniosła brwi zdziwiona.

— Sama nie wiem. Może pewność, że najgorsze już się stało?

— U mnie możesz zostać, jak długo zechcesz — powiedział kantor, zaczerwienił się i utkwiał wzrok w blacie stołu, wpatrywał się weń tak, jakby zobaczył go po raz pierwszy. — Jeśli idzie o mnie, to nawet na zawsze — dodał cicho.

Lecz Marga potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, nie, nie mogę tu siedzieć beczynn timer, muszę odszukać Roberta. Niech przemówi swojemu synowi do rozumu, każe mu oddać to, co do mnie należy. Potem już nie będę im się naprzykrzać, niech robią, co chcą, niech

się łajdaczą, chlają, gniją przez cały dzień w łóżku, wszystko mi jedno. Chcę tylko odebrać, co moje.

— Tak, rozumiem cię — odrzekł na to kantor — ale czy to nie jest zbyt niebezpieczne? Jak znajdziesz męża? Pierwsi żołnierze pociągnęli już do Starej Marchii. Gdy tylko Chrystian Brunszwicki i Ernst von Mansfeld zbiorą swoje wojska, ruszą do Niderlandów. Dziesięć tysięcy już jest w drodze. Doszło już podobno nawet do pierwszych potyczek.

— Ale przecież ktoś musi przywieść mojego syna do rozsądku! — zaoponowała Marga. — Nie idzie tylko o mnie, lecz i o niego. Jego dusza jest w niebezpieczeństwie. Jestem jego matką i muszę go chronić. Sama nie dam rady — Robert musi mi w tym pomóc.

Marga przycichła, spuściła wzrok.

— To wszystko, co jeszcze mogę zrobić dla mojego dziecka.

Kantor w zamyśleniu pokiwał głową.

— Tak, tak pewnie jest. I ja ci w tym pomogę. Lecz pomyśl też o sobie, o twoich zamiarach, marzeniach. Przez kilka tygodni drukowałaś gazetę. Ta praca cię uszczęśliwiała. Nie porzucaj marzeń, byś u kresu swoich dni nie musiała stać z próżnymi rękoma i wylewać łez, że zawiodłaś samą siebie.

— Lecz co mam robić, kantorze? Jak mam wydawać gazetę, skoro nie mam drukarni?

Hermann Schein uśmiechnął się.

— Na Nikolaistrasse, zaraz za kościołem, stoi pusty warsztat. Drukarz zmarł, a potomstwa nie miał żadnego. Cech też nie ma nikogo do obsadzenia warsztatu. Jak wiesz, dzieciak cechmistrza to mój chrześniak. Otóż wczoraj rozmawiałem z cechmistrzem — zgodził się, byś przejęła warsztat. Brakuje nam tu w mieście dobrych drukarzy. Uniwersytet skarży się na niedostatek ksiąg —

musiałabyś wziąć zlecenia od uniwersytetu. Wszystko, co zechcesz drukować ponad to, to twoja sprawa.

Kantor uśmiechnął się do niej szeroko, ale Marga spuściła głowę.

— To cudownie, że się za mną wstawileś — ale ja przecież nie mam pieniędzy, żeby kupić drukarnię. Powiedziałam ci przecież — moje pieniądze ma syn, i tylko jego ojciec jest w mocy odebrać mu te guldeny i przekazać mnie.

— Tym się nie kłopotcz. — Hermann Schein machnął ręką. — Czyż nie jesteśmy przyjaciółmi? I czyż przyjaciele nie są po to, by sobie pomagać? Ile to razy pomagałaś mi, gdy szło o moje pieśni! Mam teraz pieniądze. Niedawno odziedziczyłem spadek po dalekiej ciotce. Daję ci je. Otwórz warsztat. Oddasz, jak będziesz miała. Czas, żebym ci się odwdzieczył.

I uśmiechnął się do niej tak promiennie, jakby chciał iść w zawody ze słońcem.

Lecz Marga milczała. Dopiero po dłuższej chwili zapytała:

— Jakie są twoje warunki?

Hermann Schein ze zdumieniem potrząsnął głową.

— Warunki? Nie ma żadnych!

— Myślę, że powinnaś dać sobie czas, Judith. Nie śpiesz się, rozważ wszystko spokojnie.

Lila ujęła dłoń szwagierki, przez chwilę przytrzymała w swojej.

— Nad czym tu się zastanawiać? — odparła Judith. — Rozmyślałam o wszystkim wystarczająco długo. Lila, przecież wiesz, jak bardzo nie chcę już dłużej być sama. Od dawna nie chcę. Julia ma szesnaście lat. Tylko patrzeć, jak wyjdzie za mąż. A wtedy zostanę całkiem

sama. Czy mam skończyć jak te stare panny, co dzień i noc przesiadują w kościele i których jedyną radością jest piątkowa spowiedź i komunია w niedzielę?

Lila zaśmiała się, poklepała Judith po ręce.

— Ależ skąd! Możesz jeszcze być szczęśliwa, kochana i pożądana! Powinnaś się cieszyć każdym nowym dniem i chwalić Boga za jego dobroć. Ale może jednak daj sobie jeszcze trochę czasu.

Judith westchnęła głęboko raz i drugi, przez dłuższą chwilę w milczeniu patrzyła Lili w oczy, potem powiedziała cicho:

— Przed kilku dniami napisałam do Lennarta. Żeby przyszedł, jeśli ma w stosunku do mnie poważniejsze zamiary. Dziewczyna przekazała mu wiadomość. Opowiadała mi potem, że wziął od niej list i bez uśmiechu czy jakiegokolwiek innej oznaki radości położył na stole. Jakby to nie było nic ważnego. Nic się nie stanie, nawet jeśli o tym zapomni. Dwa dni później zastukała tu do mnie sąsiadka. Niby po to, żeby się dowiedzieć o moje zdrowie. Ale tak naprawdę tylko czekała na to, żeby mi opowiedzieć, że iglarz ma nową ukochaną. Widziano ich razem w kościele, ramię przy ramieniu. Kathi Weyrauch i Lennarta. A potem oboje wybrali się na spacer do wesołej wioski Bornheim. Sąsiadka nie była pewna, czy ci dwoje mają jakieś zamiary co do przyszłości. Ale Kathi, tak mówią, była już u krawca, zdjąć miarę na nową suknię. I co na to powiesz?

Lila wzruszyła ramionami.

— A co mam powiedzieć? Ludzie gadają różne rzeczy, jak im się dzień dłuży. Skąd wiadomo, że to prawda? Ja w każdym razie nie widzę nic osobliwego w tym, że jakaś kobieta każe sobie uszyć nową suknię. Każda tak robi od czasu do czasu, jeśli tylko ją stać.

— A co ty na to, że do dzisiaj się tu nie pokazał? Żadnego odzewu na mój list. A to, że tak mało obeszała go moja choroba?

Lila przez chwilę w milczeniu kołysała głową.

— Mężczyźni tacy są — rzekła wreszcie. — Ale to chyba zbyt pochopne z tego powodu odsądzać Lennarta od czci i wiary.

Judith potrząsnęła głową.

— Bardzo możliwe, że niektórzy mężczyźni są właśnie tacy. Ale ja nie chciałabym z takim żyć. Co znaczy tkwić w nieszczęśliwym małżeństwie, to już wiem, i drugi raz się na to nie zdecyduję, naprawdę nie. Potrzebuję mężczyzny, który będzie mnie kochał, który będzie przy mnie, zwłaszcza w ciężkich chwilach. Lennart chyba należy do innego rodzaju, a więc to nikt dla mnie.

— Bardzo to sobie upraszczasz — rzuciła Lila z żalem.

— Bo to jest proste — odparła Judith i spojrzała uważnie na Lilę. — Właściwie dlaczego tak mówisz? Czy Lennart cię prosił o wstawiennictwo? Dlaczego go bronisz?

— Nie bronię — oświadczyła Lila i westchnęła.

— To co? Powiedz, o co chodzi? Nie masz do mnie zaufania?

Lila nabrała powietrza, potem wyprostowała się i spojrzała Judith prosto w oczy.

— Nie podoba mi się, że doktor van Aaken tak ci nadskakuje.

Judith ściągnęła brwi.

— Dlaczego? — I już miała powiedzieć Lili o oświadczeniach lekarza, ale coś ją powstrzymało.

— Wydaje mi się, że on... że on... ehmm... nie wiem, jak to powiedzieć... że jest w jego zachowaniu coś, co źle wróży na przyszłość.

Judith przekrzywiła głowę i zmarszczyła czoło.

— Skąd to wnosisz?

— Ciągłe tu przychodzi. Nie ma dnia, żeby go nie było. To jest tak, jakby cię chciał pilnować, jakby był zazdrosny o każdą twoją godzinę, o każdą niezależną myśl.

Lila mówiła gorączkowo, niespokojnie. Na policzki wystąpił jej ceglasty rumieniec. Wzięła Judith za rękę, ścisnęła tak mocno, że Judith musiała ją zabrać.

— To niedorzeczne! — zaoponowała. — Odwiedziny Luuka dobrze mi robią. Jest medykiem, dogłądanie chorych to jego powinność.

— Luuk?

— Tak. Luuk. To jego imię.

— Mówisz mu po imieniu?

Judith przytaknęła. Lila zmieniła się na twarzy, na chwilę odwróciła głowę, potem otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale tylko głośno odetchnęła i podniosła się z krzesła. Otworzyła okno — letni wiatr wydał lekkie zasłony, do miejskiego mieszkania napłynął zapach siana i pól.

— Co masz przeciwko naszemu medykowi?

Lila westchnęła i odwróciła się do Judith.

— Przecież wiesz, że jakbym mogła, nieba bym ci przychyliła, prawda?

— Tak, wiem — odparła Judith.

— Życzę ci tego szczęścia z mężczyzną. Ale nie śpiesz się tak! Dopiero co uciekłaś śmierci spod kosy. Wtedy człowiek odczuwa wdzięczność, która przesłania wszystko inne. I jest bezbronny. Ochłoń trochę, poczekaj, aż w twoich uczuciach zapanuje spokój i dopiero potem zadecyduj.

— Nie rozumiem, Lila! Nie rozumiem cię! Co chcesz mi przez cały czas powiedzieć?

Lila spuściła głowę. Zrobiło jej się trochę wstyd, ale i tak musiała brnąć dalej, nie mogła inaczej.

— On nie jest odpowiedni dla ciebie, Judith. Trzymaj się od niego z daleka. Po prostu zapomnij o nim. Obiecay mi.

— Ale dlaczego, dlaczego?!

Na twarzy Judith malował się wyraz niezrozumienia.

— Po prostu mi zaufaj.

*

Andreas zjawił się około południa. Wyglądał na zmęczonego i rozdrażnionego.

— Jak stoją sprawy we Frankfurcie? — zapytała Rieke. Andreas wachlował się ręką.

— Niezbyt dobrze, choć już nieco lepiej. Zaraza ustąpiła, wojsko pociągnęło dalej. Ale pola leżą odłogiem i bardzo trudno o żywność. Na szczęście statki znowu do nas zawijają, a drogi są wolne, toteż do miasta zaczęły napływać towary. Należy się spodziewać drożyzny — jako kupcy zyskamy na tym. Ale stracimy jako nabywcy.

Rieke słuchała uważnie. Stała przy oknie, w rękach miała chusteczkę.

— Przyjechałeś, żeby nas zabrać?

— Tak — odparł Andreas. — Jestem tu powozem. Jutro z samego rana wyruszamy z powrotem do miasta.

Rieke poczuła się niepewnie, zaschło jej w gardle.

— Rozmawiałeś już z matką? — spytała, a w myślach ujrzała twarz Amalii Geisenheimer, zaglądalej do jej izby, gdy ona leżała w objęciach Trajana.

— Nie, jeszcze nie — odrzekł Andreas. — Zaraz do niej pójde.

Rieke niby obojętnie kiwnęła głową, lecz gdy Andreas podniósł się, by wyjść, złapała go za ramię.

— Zaczekaj!

— Co znowu? — rzucił obcesowo.

Spojrzał jej w twarz i Rieke dostrzegła w jego oczach niechęć graniczącą ze wstrętem.

— Ach, nic! — odparła, spuściwszy wzrok na czubki bucików. — Skoro idziesz do matki, pospaceruję po wsi.

Zdjęła z haka narzutkę i jeszcze przed mężem wyszła z izby.

Na dworze w nozdrza uderzyła ją intensywna woń świeżo skoszonych łąk, Rieke odetchnęła głęboko kilka razy. Zamglone słońce stało na zblakłym od upału lipcowym niebie. Już od dawna nie padało, drogi były suche jak pieprz i miejscami spękane, niewielki strumyk biegnący wzdłuż ulicy był prawie wyschnięty. Ale Rieke nie zwracała na to uwagi, z podkasanymi spódnicami biegła do stodoły przy młynie, wymachując małym glinianym dzbankiem, który chyłkiem zabrała z szynkwasu, gdy wychodziła z zajazdu.

Trajan leżał w tym samym miejscu co poprzedniego dnia. Wargi miał spękane, oczy błyszczały gorączką. Wzdychał i jęczał, otworzył usta, ale nie mógł wykrztusić słowa.

Rieke pobiegła do stawu, napełniła dzbanek, dała Trajānowi pić.

— Jak się czujesz? — zapytała, choć było widać, że bardzo z nim źle.

Odrobinę poruszył głową. Gule na jego szyi były nabrzmiałe na kciuk.

— Ja... — wyjąkał — j a . . . chcę się wypowiedzieć.

— Jak to sobie wyobrażasz?! Mam ci może przyprowadzić księdza?

Trajan ledwie dostrzegalnie kiwnął głową, jęknął.

— To niemożliwe — odparła Rieke. — Niby jak miałabym wyjaśnić, co tu robisz w tej stodole, i jak cię tu znalazłam? Przyjechał Andreas. Muszę zaraz wracać. Módl się, Trajan. Nasz Pan cię wysłucha i weźmie do siebie.

Chory znowu poruszył głową.

— Chcę się wypowiedzieć — wyszeptał. — Sprowadź księdza... błagam...

Rieke przygryzła dolną wargę, zaczęła ją niespokojnie ssać.

— Proszę, Rieke... błagam cię... nie każ mi umierać w grzechu.

Mówienie sprawiało Trajanowi tak wielki wysiłek, że aż poszarzała mu twarz, na czoło wystąpiły wielkie krople potu, d3'gotał na całym ciele.

— A co ja powiem Andreasowi? Że gdzie tak długo byłam? Nie, Trajan, to niemożliwe. Ale przez kilka dni będę w twojej intencji palić świece w kościele.

Pochyliła się nad nim, nakreśliła mu na czole znak krzyża.

— Bóg z tobą — szepnęła, potem wybiegła ze stodoły.

Pośpiesznie wracała zapyłoną drogą, nie zważając na suknię i buciki. Ścigało ją spojrzenie Trajana. Czowała je na sobie. Obowiązkiem chrześcijanina jest być przy drugim w godzinie śmierci. Rieke wiedziała, że Trajan pójdzie do piekła, jeśli nie zostaną mu odpuszczone grzechy. Ale jeśli on wyjawí swoje przewiny, to ujawnione zostaną także jej grzechy. Rieke nie była głupia, a jednak wierzyła, że to, co nie zostało wypowiedziane, nie istnieje. Wreszcie dotarła do wsi. Nagle stanęła jak wryta. Bo jeśli nie wysłucha błagania Trajana, jeśli nie sprowadzi kapłana, to czy nie zamknie przed własną duszą drogi do zbawienia? Czy Bóg ją za to ukarze? Może nawet śmiercią dziecka, które jest przecież też dzieckiem Trajana! Rieke przyłożyła dłoń do głośno walącego serca, potem odwróciła się i poszła na plebanię. Otworzyła jej służąca.

— Chciałabym do proboszcza — zażądała Rieke władczym tonem, ale służąca, gruba kobieta o czerwonych policzkach, spojrzała na nią z całkowitym spokojem i zapytała:

— O co chodzi?

— Powiem księdzu proboszczowi osobiście.

— No to musicie poczekać, aż skończy czytanie Biblii. Mogę mu przerwać tylko wtenczas, gdy sprawa jest pilna.

— Głupstwo! To jest pilna sprawa.

— A skąd ja to mogę wiedzieć?

— Możesz mi wierzyć, skoro ci mówię. — Przy tych słowach Rieke ostro spojrzała na kobietę, ale ta dalej stała z rękami założonymi na piersiach i ani myślała się ruszyć.

— Dobrze. Chodzi o umierającego. O ostatnie namaszczenie.

— Kto to taki?

— Nikt stąd. Ktoś z miasta.

— Aha, zaczekajcie tu.

— Zaraz! Nie chcecie wiedzieć, gdzie on jest?! — zawołała Rieke za odchodzącą, ale ta nie usłyszała.

Chwilę potem zjawił się proboszcz, gruby mężczyzna o czerwonych policzkach, wyglądał jak brat bliźniak swojej gospodyni.

— Umierający? — zapytał, przywitawszy się. — A gdzie on jest?

Rieke odchrząknęła.

— W stodole młynarza — powiedziała.

— A skąd się tam wziął?

Rieke wzruszyła ramionami.

— Co mnie pytacie? Czy nie wystarczy, że spełniam swój chrześcijański obowiązek i wołam was do niego?

Przy tych słowach odwróciła się i odeszła, nie reagując na wołania księdza.

Udało jej się wrócić na czas do zajazdu. Andreas ciągle jeszcze był u matki. Rieke wyszczotkowała włosy, otrzepała z kurzu suknię, a potem, z ręką na zaokrąglonym brzuchu, położyła się na łóżku, zamknęła oczy i zapadła w spokojny sen.

Następnego dnia, gdy tylko zjedli śniadanie, Andreas zaczął niecierpliwie przynaglać do wyjazdu. W nocy rozszalała się burza, straszliwa i gwałtowna jak rzadko. Błyskawica gonila błyskawicę. Grzmoty waliły z piekielnym łoskotem, wiatr wył w kominie, gałęziami młodej brzozy uderzał w drewniane okiennice. Z nieba lały się strumienie wody, zamieniając wysuszone drogi w koryta błota, napelniając wyschnięte potoki spienioną wodą. Koło młyńskie obracało się tak gwałtownie, aż młynarz bał się, że pęknie. Lecz ksiądz pośpieszył do kaplicy, gdzie na marach spoczywało ciało obcego zmarłego, którego imienia nikt nie znał. Zapalił cztery świece, potem usiadł obok zwłok na zydlu i modlił się. Gdy nawałnica minęła, popatrzył długo na martwego mężczyznę i zapytał cicho:

— Jaką to winą się obarczyłeś, człowieku, że rozniewały się na ciebie wszystkie anioły w niebiesiech?

Burza pociągnęła dalej. Drogi i łąki parowały w słońcu.

Przed gospodą stał powóz. Dwóch parobków ładowało skrzynie podróżne Rieke i jej świekry, a tymczasem obie kobiety, odziane w lekkie stroje podróżne i z wachlarzami w rękę, czekały w cieniu u wejścia do zajazdu.

Rieke zauważyła księdza dopiero wówczas, gdy stanął przed nią.

— Kim był ten mężczyzna? — zapytał kapłan.

Rieke wzruszyła ramionami, rozejrzała się za Andreasem. Amalia przyłożyła dłoń do lewego ucha, żeby lepiej słyszeć.

— Nie wiem, o czym mówicie — odparła Rieke opryskliwie, znacząco spoglądając na świekrę.

— Powiedzcie mi jego imię. Czy może chcecie, by został pogrzebany jak pies?

Rieke odwróciła głowę w drugą stronę, zaczęła się wachlować, nie zważając więcej na księdza.

Kapłan pokiwał głową, a potem rzekł cicho:

— Nie wiem, czy to wy pozbawiliście go życia i godności. Nie zabierajcie mu jeszcze i śmierci. Powiedzcież jego imię!

Ale Rieke Geisenheimer odwróciła się i w milczeniu wsiadła do powozu. Amalia przez cały czas bacznie przyglądała się synowej.

15

Arno! — Wołanie pobiegło w uliczki, wpadając przez otwarte okna, zadźwięczało radością we wszystkich domach. — Arno! Arno! Arno! Arno!

Lila właśnie wychodziła z domu, gdy zobaczyła męża nadchodzącego ulicą. Upuściła na ziemię wiklinowy kosz, który trzymała w ręku, i pobiegła do Arna, rzuciła się mężowi w ramiona.

Przypadła mu do piersi, okryła pocałunkami jego twarz, potem ujęła ją w dłonie i objęła długim spojrzeniem. Czule pogładziła pokryte szczecinią zarostu policzki męża.

— Arno... — wyszeptała. — Arno! Nareszcie jesteś...

— Tak — odparł Arno równie cicho. — Jestem. Znowu jestem z tobą.

Objął ją mocno, ukrył twarz w jej szyi, potarł zarostem o jej miękką skórę. Przez chwilę stali tak na ulicy, a przechodnie spoglądali na nich z ciekawością. Potem, trzymając się za ręce, poszli powoli do domu Judith, głowa Lili spoczywała na ramieniu Arna.

Nic nie mówili. O nic nie pytali. To nie było teraz ważne. Teraz chcieli tylko czuć siebie, swoją bliskość,

upewnić się, że oto naprawdę znowu są razem. Wrócił! — myślała Lila z radością. — Arno wrócił do domu! Powtarzała to zdanie w myślach niby słowa różańca. Ale poza radością było w niej jeszcze inne uczucie. Niechciane i trudne do zdefiniowania. Pojechała tam wtedy, do obozu, w tajemnicy, nic nie powiedziała mężowi. Aresztowano ją z pistoletem w ręku. Arno do dziś nie wie, czego tam szukała. I to dlatego — przez nią! — zgodził się zostać łącznikiem między radą miejską a armią. Ona była winna — a on zachował się dzielnie. Ach, i jakby tego nie było dość, podczas jego nieobecności jej obawy i strach przybrały rzeczywistą postać. Znaleziono ją, napadnięto, zniszczono ich dom! Ale oto Arno, dzielny Arno, wraca do niej, grzesznej i ułomnej. Czują ciężar winy na barkach. A przecież Arno nie powiedział jej ani słowa wyrzutu, nie posłał choćby jednego rozczarowanego spojrzenia! I to właśnie było takie nieznośne! On był doskonały, bez wady i skazy, ona — ułomna i słaba. I skrywała ponurą tajemnicę.

Wciąż milcząc, zdjęli w domu odzienie, położyli się ciało przy ciele, serce przy sercu.

Dopiero później zaczęli rozmawiać.

— Arno, marna ze mnie żona, źle pilnowałam naszego domu — powiedziała Lila. — Był napad, ktoś go zniszczył i splądrował. Nie wiem kto, pewnie jacyś głodni żołnierze. — Język zapiekł ją od tego kłamstwa.

Arno skinął głową i pogłaskał ją po twarzy. Potem rozmawiali o dzieciach, które ciągle jeszcze były w klasztorze Engelthal, o Judith, o znajomych i wszystkich możliwych błahostkach. Ale żadne nawet nie tknęło starej rany. Arno o nic nie pytał — Lila nie próbowała niczego wyjaśniać. To było tak, jakby wszystkie dawne sprawy zostały usunięte, a przed nimi stała tylko przyszłość, biała karta, gdzie wszystko jeszcze można

zapisać, wszystko dowolnie ukształtować. Palce Lili raz po raz gładziły twarz Arna, on raz za razem pieszczotliwie się o nią ocierał. Znowu byli razem, już nie musieli tęsknić za sobą jak dwie rozdzielone połowy całości.

Później, kiedy Arno siedział w kąpieli, a cyrulik obcinał mu włosy i brodę, Lila wybrała się na targ. Zaopatrzenie nieco się polepszyło, ale daleko było jeszcze do stanu sprzed wojny. Lili udało się kupić kości wołowych na zupę, trochę marchwi i raków. Bujając koszykiem, z radosnym uśmiechem na twarzy szła przez targowisko, pozdrawiając wszystkich promiennie. Nagle stanęła jak wryta. Wyraz szczęścia zniknął z jej twarzy.

— Szalom, moja piękna Lilith. Jak się miewasz? Słyszę, że twój mąż wrócił z pola bitwy, że wypełnił swoje zadanie jako poseł Rady Frankfurtu, wolnego miasta Rzeszy, które mieni się ewangelickim. Czy wiedziałaś, że tu, w mieście, jest najliczniejsza gmina żydowska? Mówi się o trzech tysiącach starozakonnych. Wyobraź to sobie: w całym Świętym Cesarstwie Rzymskim Narodu Niemieckiego jest tylko około dziesięciu tysięcy Żydów, i aż jedna trzecia w samym Frankfurcie! Co ty na to? Nie czujesz się dumna?

— Przepuście mnie! Czego ode mnie chcecie?! — zawołała Lila i chciała przejść dalej, ale mężczyzna zastąpił jej drogę.

— Twoja tajemnica, moja mała Lilith, jest u mnie bezpieczna. Ale czasy są ciężkie. I każdy musi patrzeć swego.

— Czego ode mnie chcecie? — powtórzyła Lila, jej twarz stała się nagle bardzo blada i jakby się skurczyła.

— Pieniądzy. A czegoż by! Przecież wiesz.

— Ile?

— Na początek sto guldenów. Zresztą znasz cenę. Ustaliliśmy ją w Antwerpii.

— Sto guldenów! Oszaleliście? To jest roczny dochód rzemieślnika. Nie mam tyle, nie dam rady tyle uzbierać.

— Ależ dasz! Jestem tego pewny. Robiłaś już nie takie rzeczy. Szalom, moja mała Lilith.

Mężczyzna leciutko poklepał ją po policzku i odszedł. Lila stała bez ruchu, struchlała ze strachu. Lekko zakręciło jej się w głowie, „szalom, Lilith” dudniło jej w uszach.

Właśnie minęło dziesięć lat od czasu, gdy we Frankfurcie za poduszczeniem Vinzenza Fettmilcha wybuchły rozruchy, które następnie skierowały się przeciwko Żydom. Lila doskonale pamiętała owe wydarzenia. A także strach, który nie opuszczał jej wtedy przez wiele miesięcy. To uczucie, że kiedyś już to wszystko przeżyła, poczucie bezsilności, bezradności, obezwładniający lęk, który kładł się cieniem na wszystko.

Zacząło się od tego, że cechmistrzowie z okazji wyboru nowego cesarza Macieja Habsburga zażądali od rady publicznego odczytania przywilejów dla miasta. Było w zwyczaju, że przy każdym wyborze nowego cesarza potwierdzane były ulgi podatkowe dla obywateli miasta, zagwarantowane przez cesarza na piśmie. Jednak tym razem rada miejska odmówiła ich odczytania i już wkrótce wszystkie plotkarki w mieście wiedziały dlaczego: rada chce utrzymać obywateli w niewiedzy — po to, by nie mogli zrobić użytku ze swoich praw. Gadały tak nie tylko dziewczki przy studniach i kramarki na targu, lecz także mistrzowie cechowi w Izbach. Od cechmistrzów dowiedzieli się mistrzowie w warsztatach i opowiedzieli o tym czeladnikom, czeladnicy — uczniom, a uczniowie, jak wróble na dachu, rozćwierkali tę wieść po całym mieście. Rada chce się dobrać do pieniędzy zwykłych obywateli! W mieście aż huczało. Vinzenz Fettmilch, piernikarz, został rzecznikiem zwykłych obywateli i zażądał wglądu

w księgi rachunkowe miasta. Także cechmistrzowie zasiadający w radzie chcieli wyjaśnienia sprawy.

Wyszło najaw, że miasto jest bardzo zadłużone. Potem okazało się, że kwota za ochronę, którą Żydzi mieli płacić miastu co roku, nie wpłynęła do kasy miejskiej — członkowie rady rozdzielili ją między siebie. Uznano, że patrycjusze i Żydzi dogadują się i robią interesy ze szkoda dla zwykłych obywateli. Wtedy nic już nie mogło powstrzymać dzielnych buntowników. Fettmilch nie posiadał się z wściekłości, wziął sprawy w swoje ręce i we Frankfurcie wybuchł bunt.

Wściekłość i gniew obywateli skierowały się jak zwykle przeciwko najsłabszemu ogniwu łańcucha. W sierpniu 1614 roku banda pijanych czeladników wpadła na Ulicę Żydowską. W walkach zginęło dwóch Żydów i jeden rzemieślnik. Żydzi schronili się na pobliskim cmentarzu, a tłuszcza tymczasem plądrowała domy. Do wieczora wyrządzono szkody na sto siedemdziesiąt tysięcy guldenów — więcej niż rocznie zarabiał razem tysiąc siedmiuset rzemieślników.

W następnych dniach Vinzenz Fettmilch wymusił wygnanie wszystkich Żydów z Frankfurtu. Większość schroniła się w sąsiednich miastach. We wrześniu cesarz uznał, że już dość tej samowoli. Skazał Fettmilcha i jego najbliższych zwolenników na banicję. Rok później piekarnik i jego poplecznicy stanęli przed sądem. Wydano cztery wyroki śmierci, cztery ścięte głowy zatknięto na wieży mostowej. Lila wiedziała, że tkwią tam do dzisiaj, mogła je oglądać, gdy tylko naszła ją ochota. I czasem rzeczywiście to robiła. Aby nigdy nie zapomnieć, skąd przybyła i co, takiej jak ona, może się zdarzyć, jeśli wyszłoby najaw, skąd pochodzi. Musiała chronić swoje dzieci. Arno nie miał nic przeciwko Żydom. Handlował z nimi, czasem z nimi pił, pożyczzał pieniądze, robił

interesy. Lila nigdy nie słyszała, aby wyrażał się o Żydach z lekceważeniem. Właściwie to wyglądało tak, jakby nie zauważał, że byli inni niż chrześcijanie.

Lila westchnęła. Radość z powrotu Arna uleciała. Skąd ma wziąć sto guldenów? Objęła ręką szyję, jakby musiała nią podeprzeć głowę. I w tej chwili przyszła jej do głowy pewna myśl. Lila wyprostowała się, odetchnęła głęboko i pośpieszyła na Ulicę Żydowską, która osiem lat po rozruchach była zamieszкана i pełna życia jak dawniej. Zatrzymała się przed domem pewnego jubilera i lombardzisty, jeszcze raz dotknęła ręką łańcuszka na szyi — potem weszła do środka.

*

— Zrobione! — Marga wierzchem dłoni otarła pot z czoła i rozejrzała się po izbie. Nowy warsztat nie dorównywał temu starymu na Katharinenstrasse, ale za to należał rzeczywiście do niej — nabyty za pieniądze od Hermanna Scheina, które Marga chciała jak najszybciej zwrócić. Podłoga tutaj nie była wyłożona dyłami jak tam, miast drewna — zwykle, gliniane klepisko. Prasa drukarska też nie była zamocowana na trwałe, tylko stała na grubych deskach dębowych. Szyby w oknach były mętne jak mleko i żadnym sposobem nie dało się ich doczyścić. Brakowało też jeszcze paru rzeczy z wyposażenia warsztatu, ale to wszystko nie było ważne.

— Będę mogła znowu drukować gazetę! — cieszyła się Marga. — Pojawi się już w następnym tygodniu.

— O czym będziesz pisać? — zapytał Hermann Schein.

— O tym, co poprzednio: wiadomości z wojny, nowinki z sąsiedztwa, ogłoszenia ratusza, zaręczyny, śluby, zgony. O wszystkim, co interesuje lipszczan. Zobaczysz, będą sobie z rąk wrywać moje „Wiadomości lipskie“!

Hermann Schein spuścił wzrok, nerwowo potarł dłonie.

— A może napisałabyś też o moich utworach? — zapytał nieśmiało.

Marga zastanowiła się przez moment.

— Nie teraz. To nie jest odpowiedni czas na pieśni. Poczekajmy, aż wojska pociągną dalej — wtedy napiszę o twoich utworach.

Kantor uśmiechnął się do niej z wdzięcznością. Niedługo potem się pożegnali i Marga udała się do najbliższej stajni, gdzie wynajmowano konie. Już wkrótce przez Bramę Hallską wyjechała w stronę Schkeuditz. Upłynęła połowa przedpołudnia, gdy przybyła do obozu zbiorczego żołnierzy ze świeżego zaciągu. Powierzyła swojego wierzchowca stajennemu i poszła się przejść po obozie. Prysłuchiwała się rozmowom, wypytywała o nowinki i ostatnie zdarzenia. Przebąkiwano coś, że całe wojsko Christiana Brunszwickiego i Mansfelda w drodze do Niderlandów natknęło się na armię hiszpańską, oblegając miasto Bergen op Zoom. Wojna między Niderlandami a Hiszpanią także miała charakter religijny — katolicka Hiszpania walczyła przeciwko protestanckim Niderlandom, teraz z pomocą wojsk niemieckich, które miały uwolnić miasto. Czy dojdzie do bitwy, zanim na miejsce dotrą oddziały, które jeszcze zbierają się na terenie Rzeszy? To najbardziej zajmowało ludzi w tych dniach.

Poza tym wszędzie mówiono o gwałtach, mordach, podpaleniach, rabunkach i grabieży. Potworności w końcu zaczynają nużyć — pomyślała Marga — je ż e l i zdarzają się dzień w dzień. Zastanawiała się, jak ma o tym wszystkim później napisać, jakich słów użyć. Ale nic jej nie przychodziło do głowy. Bo te wszystkie słowa, powtarzane od początku wojny, zużyły się, straciły swoją grozę. Krew. Pojęcie, które jeszcze do niedawna było sygnałem, budziło przerażenie — teraz stało się tylko zwykłym słowem. Straciło swoją bolesność, zapach, nawet kolor zbladł

w wyobrażeniach ludzi. Gdy tak szła, rozmyślając o tym, zauważyła mężczyznę, który siedział przy ogniu z głową spuszczoną na kolana. Jego ramiona drgały, widać było, że płacze.

Marga usiadła obok niego. Po chwili zapytała:

— Czemu płaczecie? Co się stało? Straciliście żonę? Brata? — Mężczyzna podniósł głowę, twarz miał zalaną łzami.

— Gorzej... — mruknął niewyraźnie. — O wiele gorzej.

— A co może być gorszego niż utrata kogoś, kogo się kocha? — zapytała Marga.

Mężczyzna spojrział na nią, wyciągnął z kieszeni brudną chusteczkę i wyczyścił nos.

— Kiedy tracimy kogoś, kogo kochamy, pozostaje przy nas jego miłość. Na zawsze. A czasem nawet lepiej, by ukochana osoba umarła, niż gdyby miała nas opuścić. W ten sposób unikamy bólu odrzucenia, rozumiecie, prawda?

Marga kiwnęła głową. Nigdy nie myślała o tym w ten sposób, ale teraz wydało jej się, że ten mężczyzna ma rację. Ona też pewnie lepiej by sobie poradziła, gdyby Robert zmarł. A tak pozostanie już tylko opuszczoną, odrzuconą kobietą. Na zawsze. Gdyby Robert zmarł — pozostałaby na zawsze ukochaną żoną.

— Powiedźcie, co się wam stało?—zapytała jeszcze raz.

— Jestem malarzem — zaczął mężczyzna. — Pochodzę z ziemi mansfeldzkiej. Ostatnio namalowałem tam obraz ołtarzowy, w kościele we wsi nad jeziorem Süsser See. Do kościoła wtargnęli ewangelicy i zniszczyli mój obraz. Zrzucili go na ziemię, skakali po nim, a nawet na niego nafiajali. To, pani, jest gorsze niż wszystko inne.

— Czy nie jesteście odrobinę próżni? — wtrąciła Marga łagodnym tonem.

Mężczyzna potrząsnął głową.

— Nie rozumiecie — odparł. — Bo i jak? Też jestem ewangelikiem. Ale to się nie godzi, że ewangelicy napadają na kościoły katolików i wszystko niszczą. Wprawdzie Bóg powiedział: nie będziesz sobie czynił obrazów, ale tu nie chodzi o wiarę i wojnę, tu chodzi o sztukę. Rozumiecie teraz?

Marga pokręciła głową.

— Wyjaśnijcie mi to dokładniej — poprosiła.

— Nie idzie o mnie. Idzie o coś ważniejszego nawet niż ludzkie życie.

Marga już otworzyła usta, by zaoponować, ale mężczyzna uniósł rękę i rzekł:

— Nie, nie, proszę, nic nie mówcie. Ja wiem, co mówię. Rozejrzyjcie się: widzicie tych wszystkich ludzi wokoło? Chlają, łajdaczą się, pierdzą, rzygają gdzie popadnie; przy wszystkim, co robią — klną i ryczą. Czy coś się stanie, jak jeden czy drugi sześcinnie? Czy świat przez to zubożeje? Nie. Może nawet stanie się odrobinę lepszy. Ale ołtarz! Ołtarz trwa dłużej niż mizerne życie człowieka. Ołtarz to coś budującego, pouczającego, pocieszającego. Sztuka jest budująca, pouczająca, pocieszająca. Tylko ona daje świadectwo tego, co było. I dlatego jest wielką tragedią, kiedy w kościołach są niszczone skarby sztuki. Pojmujecie teraz?

Marga spojrzała uważnie na mężczyznę. Widziała ból na jego obliczu. Powoli skinęła głową.

— Macie rację — powiedziała. — Życie ludzkie to nie wszystko. Są rzeczy wyższe.

Mężczyzna uśmiechnął się.

— Ale najbardziej osobliwe jest, że to właśnie człowiek tworzy owe rzeczy wyższe, sztukę. I że owa sztuka, owe wyższe rzeczy, istnieją jedynie dlatego, że zostały stworzone przez człowieka. Czyli nie sam człowiek jest tym, co najwyższe, lecz to, co tworzy. Dziwaczne, prawda?

Marga zaśmiała się.

— Nie jestem filozofem — rzekła. — Zajmuję się drukarstwem, a ponadto jako niewiasta nie zostałam stworzona do myślenia.

Uniosła rękę na pożegnanie, potem odwróciła się i odeszła, zostawiając smutnego mężczyznę sam na sam z jego rozmyślaniami. Poszła dalej w głąb obozu. Tu porozmawiała z dobozem, tam zagadała do chłopaka od koni. Jakaś markietanka pozdrowiła ją z daleka, wymachując kartką „Wiadomości lipskich”. Także obozowy kowal na jej widok puścił na chwilę kopyto dorodnego deresza i przywitał ją z szerokim uśmiechem.

Jak obóz długi i szeroki, wszędzie płonęły ogniska, a wokół nich leżeli mężczyźni. Marga zastanawiała się nad tym, co właśnie usłyszała od nieznanego malarza. Czy to prawda, że niszczą kościoły? Jeśli tak, to dlaczego Bóg nie wkracza, nie ingeruje? Jak Bóg może pozwolić, by hańbiono jego świątynie?

Zatopiona w myślach, nie zauważyła byle jak zwalonego stosu drewna na opał i zahaczyła o szczapy spódnicy. Kiedy się wreszcie wyplątała, jej spojrzenie pobiegło ku ognisku na skraju obozowej drogi. Siedziała przy nim jakaś tuląca się do siebie para. Marga zamarła, zabrakło jej powietrza. Utkwiła wzrok w postaci mężczyzny w rozpiętej kurcie i poplamionych nogawicach, który trzymał głowę na kolanach młodej kobiety w znoszonej sukni. Mężczyzna zdawał się spać. Kobieta zauważyła, że Marga im się przygląda.

— Co tak się gapisz?! — rzuciła schrypniętym głosem. Marga wskazała palcem na mężczyznę.

— To mój mąż, ten, co go tak czule piastujesz na łonie.

*

Dziecko w łonie Rieke rozwijało się pomyślnie — poranne mdłości ustąpiły, coraz wyraźniej zaznaczała się wypukłość brzucha.

Już od kilku dni wszyscy byli z powrotem we Frankfurcie, ale Andreas ciągle jeszcze nie zapytał, czego chciał od niej ksiądz, gdy wyjeżdżali ze wsi. Rieke czekała na to przy śniadaniu, przy obiedzie, przy wieczerzy. Lecz Andreas milczał, a i jego matka zachowywała się tak, jakby do tamtego zdarzenia w ogóle nie doszło. Mimo to Rieke była pewna, że Andreas coś wie.

A może Amalia nic nie powiedziała? Ale nie, to niemożliwe — z pewnością nie miała interesu w tym, by osłaniać Rieke. Bardziej prawdopodobne było to, że czeka na odpowiedni moment. Może nawet na narodziny dziecka. Czeką, by zobaczyć, do kogo będzie podobne? Tylko matka może powiedzieć, kto jest ojcem dziecka — pomyślała Rieke — a i to nie zawsze. Andreas potrzebuje dziedzica, spadkobiercy, i będzie go wkrótce miał. Tak. Ale co wtedy? Co będzie ze mną? — myślała w popłochu. — Wtedy już nie będę nikomu potrzebna.

Krażyła po pokoju jak więzień po celi. Zastanawiała się nad tym wszystkim, ale nie potrafiła znaleźć rozwiązania. Czuła tylko wyraźnie, że nad jej głową zbierają się chmury.

Rieke uniosła rękę, zacisnęła pięść, wbiła zęby w kostki... Przez dobry kwadrans wpatrywała się bez ruchu w jeden punkt. Potem zdecydowanym ruchem odrzuciła głowę do tyłu, zebrała spódnice i udała się do pokojów świekry. Zapukała, lecz nie poczekała, aż zostanie poproszona, tylko do razu weszła do środka.

Zauważyła, jak Amalia drgnęła przestraszona, ale natychmiast nad sobą zapanowała.

— Co cię sprowadza, moja droga? — zapytała lodowatym tonem i dodała: — Wprawdzie usłyszałam, jak pukasz, ale nie poprosiłam, byś weszła.

— Phy! — prychnęła Rieke. — Wolałabyś, żebym sobie poszła? Mogę sobie wyobrazić! Chyba nikt cię jeszcze

takiej nie widział! — rzuciła obcesowo i bezceremonialnie. Wymierzyła palcem w kruchą postać siedzącą w koszuli nocnej na zydłu przy łóżku.

Chude nogi Amalii były pokryte bolesnymi wrzodami, skóra ramion zwisała jak stare szmaty, cała postać była wychudzona, wyschnięta, wyglądała bardziej na martwą niż żywą. Na pokrytej zmarszczkami twarzy Amalii malował się wyraz zgryzoty, skóra była usiana ciemnymi plamami. Rieke czuła obrzydzenie do swojej świekry — Amalia nie miała w sobie nic pięknego, nic miłego.

Jakże inaczej wyglądała babcia Rieke! I ona była stara, gdy Rieke widziała ją po raz ostatni. Ale jej skóra nie była brzydka i odstręczająca, tylko delikatna i miękka jak kawałek drogocennej jedwabnej materii, którą czas poznał drobnymi zmarszczkami. Albo jak najcieńszy pergamin, miękki w dotyku, szlachetny dzięki pokrywającym go cieniutkim liniom. A skóra Amalii nie miała w sobie nic szlachetnego, nic godnego. Była po prostu stara, obwisła skóra, która przypuszczalnie nawet nie najlepiej pachniała, gdyby podejść bliżej. Skóra, która stała się zbyt duża dla tkwiącego w niej ciała. Skóra, w której z pewnością nie można było czuć się dobrze.

— Masz rację, moje dziecko, nie najlepiej ze mną. Mój czas ma się ku końcowi. I ja to czuję. A ty, zdaje się — to widzisz. — I Amalia Geisenheimer uśmiechnęła się krzywo. — Ale z pewnością nie przyszłaś tu po to, by rozmawiać ze mną o mojej przeszłości. Zatem czego chcesz?

Rieke usiadła na krześle z oparciami obok łóżka.

— Chcę wiedzieć, co zamierzasz? — rzekła.

— O jakie zamiary ci chodzi? — zapytała niewinnie Amalia.

Przez cały czas wpatrywała się w twarz Rieke z uporczywym uśmiechem. Teraz jej spojrzenie powędrowało

na lekko wystający brzuch synowej. Rieke poczuła, jak narasta w niej gniew. Jeszcze nigdy nie potraktowała mnie poważnie. Uważa mnie za darmożjadą, nigdy nie odnosi się do mnie z szacunkiem. A teraz jeszcze patrzy z góry na moje nienarodzone dziecko! Arogancka baba! Czy ona naprawdę nie rozumie, że jej czas minął? Że jest mi winna respekt jako żonie jej syna i kobiecie, która urodzi długo oczekiwanego wnuka?

Rieke pochyliła się do przodu, chwyciła chude ramię starej kobiety i ścisnęła tak mocno, że aż Amalia krzyknęła.

— Co zamierzasz? Obie wiemy, co się stało na wsi. Chcę wiedzieć, co zamierzasz z tym zrobić! — zażądała władczym tonem. — Powiedziałaś coś Andreasowi? Czy dopiero mu powiesz?

Amalia ciągle jeszcze się uśmiechała i tym razem nie usiłowała już kryć swojej pogardy.

— Sądzisz, że już czas ujawnić przed moim synem, że ma za żonę latawicę? A może raczej powinnam mu powiedzieć, że chcesz bezprawnie zagarnąć spadek? Jakie określenie jest właściwsze? Twoja próżność i pycha, twoja chciwość, zarozumiałość — to wszystko jest nam, mnie i mojemu synowi, wiadome od dawna. Ale że posuniesz się do tego, by podrzucić mojemu synowi kukułcze jajo! Bóg mi świadkiem, że tego się po tobie nie spodziewałam! A więc jak mam cię nazwać, gdy będę z moim synem rozmawiać o tobie? Wszeteczną? Kobieta bez skrupułów? Nienasyconą gardziela? Łowczynią spadków? — Amalia roześmiała się drwiąco.

Rieke jeszcze mocniej ścisnęła jej ramię.

— Śmiało, pofolguj sobie! — zachęciła ją Amalia kąpiącym tonem. — Wtedy będę mogła pokazać jutro mojemu synowi, i oczywiście medykowi, siniaki, których mi narobiłaś. Hmm... może powinnam jeszcze rzucić się ze

schodów i złamać sobie na przykład rękę...? Dla lepszego uwypuklenia tego, co mam do powiedzenia.

— Czemu milczałaś do tej pory? Przecież opowiedzenie wszystkiego Andreasowi sprawiłoby ci radość. No więc: dlaczego dotąd nic nie powiedziałaś?

— Bo kocham mojego syna. Potrafisz sobie wyobrazić, co to znaczy dla mężczyzny, gdy się dowiaduje, że został zdradzony i oszukany?

Przy tych prostych słowach Rieke poczuła się tak mała, tak nic nieznacząca, warta nie więcej niż dziewczka od najpodlejszych robót. Była tu, w tej rodzinie, tylko intruzem, Amalia wystarczająco często jej o tym przypominała. Nie, jej świekra naprawdę nie owijała w bawełnę, gdy już chciała wyrazić swoją opinię.

Rieke osłoniła brzuch rękami i spojrzała na Amalię.

— Urodzę dziedzica. Nie możesz mi nic zrobić. Moja pozycja jest pewna. Andreas chce dziecka, pogodzi się ze wszystkim.

Amalia skinęła głową.

— To prawda, pogodziłby się. Ale tylko wtedy, gdyby nikt poza tobą o tym nie wiedział. Niestety, jest jeszcze ktoś, kto wie: ja. A Andreas jest dumnym człowiekiem. Jedno moje słowo, a odtrąci cię. Wtedy wrócisz tam, skąd przyszłaś — je ś l i będziesz miała szczęście. Lecz Andreas mógłby też publicznie oskarżyć cię o cudzołóstwo. Wtedy sprawa będzie wyglądała dla ciebie o wiele gorzej.

Rieke zdrętwiała. Wiedziała, że zdrada małżeńska dla kobiety kończyła się śmiercią. W każdy boży piątek we Frankfurcie wykonywano wyroki sądowe. Kobiety, które dopuściły się cudzołóstwa, topiono. Po prostu wsadzano do beczek i wrzucano do Menu. Rieke przełknęła ślinę, zaschło jej w ustach. Spojrzała z ukosa na świekrę. Widziała jej starczą kruchość — i to pełne pychy spojrzenie. Ogarnęła ją wściekłość. Bezlitosna, okrutna, ślepa furia.

— Nie zniszczysz mojego życia! — syknęła.

Złapała świecę za ramiona, szarpnęła, ściągnęła z zydła, Amalia chciała krzyknąć, ale Rieke wymierzyła jej siarczasty policzek i pchnęła na łóżko. Stara kobieta już się otrząsnęła, już znowu otworzyła usta do krzyku, lecz w tej chwili Rieke uklękła nad nią okrakiem, złapała za wychudzone nadgarstki i zanim z ust świekry zdołał się wyrwać pierwszy krzyk, przydusiła jej twarz grubą puchową poduchą.

Amalia usiłowała się wyrwać, szarpała się, ale była zbyt słaba, by przeciwstawić się morderczej furii synowej. Rieke ze wszystkich sił przyciskała poduszkę. Szło o jej dziecko! Tylko to się liczyło. Nie pozwoli, żeby ta starucha weszła jej w paradę! O, nie!

Rieke nie wiedziała, jak długo to trwało, jak długo trzymała poduszkę, kiedy ustało słabe trzepotanie starej, kiedy zapach śmierci napłynął do pokoju. Długo patrzyła na powłoczkę poduszki, haftowaną w girlandy niezapominajek. Serce jej łomotało, pot spływał po karku, po plecach. Trwała tak w bezruchu przez jakiś czas, aż jej serce zaczęło bić spokojniej. Potem oderwała zdrętwiałe palce od poduszki, wyprostowała się. Dygotała na całym ciele. Jakże chętnie po prostu by uciekła, ale nie wolno jej było, nie mogła sobie na to pozwolić. Wreszcie zdjęła poduszkę z twarzy Amalii.

Musiała się przemóc, by na nią spojrzeć. Twarz zmarłej była sina, usta otwarte, oczy szeroko rozwarte przerażeniem. Rieke nie mogła znieść tego widoku. Zdażyła jeszcze dobiec do okna, otworzyć je — i zwymiotowała na ulicę.

Dopiero po chwili wróciła jej jasność myśli. Odwróciła się i podeszła do łóżka.

Ciało Amalii było jeszcze miękkie i giętkie, ciepłe. Rieke pochyliła się nad zmarłą, przez chwilę szarpała się z jej nogami i rękami, wreszcie się udało: Amalia Geisenheimer leżała tak, jakby spała.

Rieke znowu zrobiło się niedobrze. Szybko zeszła do kuchni, kazała kucharce przygotować napar przeciwko mdłościom. Zioła na tyle uspokoily jej nerwy, że służąca mogła ją ubrać. Bo za godzinę rozpoczynała się uroczystość zaręczyn Judith — a Rieke za nic w świecie nie chciała, by jej tam zabrakło.

*

Każdy gość otrzymał upominek — tego nie było w zwyczaj, ale Judith była tak szczęśliwa, że chciała się ze wszystkimi podzielić swoim szczęściem. A czy był lepszy sposób niż podarunki? Wszystko było takie inne, lepsze niż przedtem. Dzień także wstał piękny, słoneczny — uskarżała się na to tylko Rieke: w dniu jej zaręczyn lało jak z cebra.

Nawet dom był zmieniony. Zdawał się tchnąć radością i beztróską. Judith udekorowała kwiatami wszystkie stoły, gzymsy, stopnie i półki — kwietna woń unosiła się we wszystkich pomieszczeniach. W oknach wisiały nowe zasłony — ciemne, ciężkie materie wymieniono na jaśniejsze, które lekko wydymały się od podmuchów powietrza.

Judith promieniała. Wyglądała młodziej niż kiedykolwiek! Miała na sobie suknię w stylu angielskim, tak jak to było w modzie od czasu ostatnich targów. Koronkowy czepeczek zdobił jej włosy, a suknia miała wysoki, opadający kołnierz i cała była haftowana w kwiatki, głębokie wycięcie na piersiach przysłaniała cieniutka jak pajęczyna gaza, szeroka spódnica dotykała ziemi, jej rąbek był obszyty bordiurą. Na ręce Judith błyszczał pierścień zaręczynowy, który Luuk van Aaken uroczyście wsunął jej na palec. Był to pierścionek ślubny jego matki, jak powiedział, żółte złoto z topazem wielkości orzecha laskowego.

Także doktor van Aaken promieniał, jakby chciał iść w zawody ze słońcem. Odziany był również na angielską modłę. Zapięcie haftowanego wamsu sięgało do talii, mankiety były całe z koronki. Do tego miał pas wysadzany kamieniami ozdobnymi, pludry, podwiązki i buty na wysokich obcasach, ozdobione rozetami.

Judith i Luuk stali w drzwiach, witali gości, przyjmowali prezenty i sami wręczali upominki. W końcu zgromadzili się wszyscy goście i całe towarzystwo przeszło do bawialni, która na ten uroczysty dzień została opróżniona z mebli — tylko pośrodku stał ogromny stół, cały zastawiony rozmaitym jadłem i napitkiem.

Już wkrótce goście rzucili się na jedzenie, sięgali do mis i tac, nakładali sobie na talerze, chwyтали za kubki i kielichy, łamali chleb, kruszyli, żuli i połykali, przyskali, mlaskali i bekali, aż miło!

Tylko Lila siedziała cicho, prawie nie odrywając oczu od swojego srebrnego talerza. A jeśli już, to po to, by przelotnie spojrzeć na van Aakena, a czasem na Judith. Wtedy przypatrywała się im, obserwując każdy ich ruch. Wydawało się, że na coś czeka. Siedziała napięta, ze sztywnymi ramionami, cała nieco pochylona do przodu, tak że między jej plecami a oparciem krzesła było dość miejsca na dłoń. Z potraw nabierała tylko po łyżce, ledwo sączyła wino z kieliszka, wszystko robiła w takim napięciu i z taką uwagą, jakby w każdej chwili spodziewała się jakiegoś nieszczęścia.

— Co się z tobą dzieje? — zapytał ją Arno i pogłaskał po rękę. — Czemu nie podałaś doktorowi ręki podczas przywitania?

Twarcz Lili, na której dopiero co malował się sztywny uśmiech, stężała.

— Och, naprawdę? — zapytała.

— Naprawdę. I myślę, że doskonale o tym wiesz.

Arno odłożył na bok sztucę.

— Nie wiem, co przede mną ukrywasz — powiedział cicho. — Ale czuję, że coś ci jest. Proszę cię, porozmawiaj ze mną, powiedz, co się dzieje, zaufaj mi.

Lila westchnęła. Odkąd Arno wrócił, już kilka razy próbował coś od niej wyciągnąć, ale ona nie potrafiła się przełamać, nie mogła mu nic powiedzieć — była najgłębiej przeświadczona o tym, że jej życie zależy od jej milczenia. I teraz też tylko spojrzała na męża, leciutko pokręciła głową.

— Ach, mamy już wrzesień, ale ciągle jeszcze jest gorąco. Może to ta pogoda tak mnie rozstraja.

Rieke z ciekawością przyglądała się wszystkim ze swego miejsca. Wygodnie oparta na krześle, z nogami wysuniętymi przed siebie, zjedną ręką na stole, a druga na brzuchu, obserwowała zgromadzonych. Nie tylko z ciekawości, ale przede wszystkim dlatego, że Andreas z nią nie rozmawiał. Rieke nie wiedziała, czy mąż ją kiedykolwiek kochał. I wcale też jej to nie interesowało — przecież nie wiedziała nawet, czy ona sama go kochała i czy w ogóle istniało coś takiego jak miłość. Zresztą nie miało to najmniejszego znaczenia! Ważne było to, że ona, Rieke, była szanowaną damą frankfurckiego towarzystwa, poważaną przez wszystkich patrycjuszką, której niczego, ale to naprawdę niczego nie brakowało. Nie brakowało jej nawet Trajana. Bo i czemu miałyby? Przy tym odświętnym stole nie było miejsca dla prostego ładowacza — i nie było też dla niego miejsca w jej życiu — przecież była już brzemienna i Trajan nie był jej do niczego potrzebny. Właściwie — doszła do wniosku — to szczęście, a nawet znak od Boga, że Trajan umarł. Bóg chciał jej zapewne w ten sposób pokazać, że jej czyny były całkowicie usprawiedliwione. Bo co innego, jak nie to? Przecież usunął jej wroga z drogi. Tak, wroga, bo nim właśnie stał

się Trajan. Nigdy nie zostawiłby jej w spokoju. Rieke doskonale o tym wiedziała. Pewnie by się znowu przyczołgał, ciągle by przyłaził, żądał pracy, potem mieszka guldenów, nowego wamsu, a na koniec może znowu jej miłości — i syna, którego ona urodzi. Dobrze się stało, że Trajan umarł. A jeszcze lepiej, że ona nie miała z tym nic wspólnego. Był chory, dopadła go czarna śmierć. Tak było. Nikt nie mógł mu pomóc. Rieke uśmiechnęła się na tę myśl i wzięła jeszcze jedną glazurowaną babeczkę owocową ze stojącej przed nią patery.

Potem jej spojrzenie pobiegło ku stołowi przy kominku, na którym piętrzyły się podarunki. Szybko oszacowała ich liczbę — kiedy stwierdziła, że prezentów jest mniej, niż ona sama dostała na swoje zaręczyny, uśmiechnęła się z jeszcze większym zadowoleniem.

— Jak się czuje twoja świekra, moja droga? — usłyszała nagle pytanie Judith.

Rieke drgnęła przestraszona, uśmiech zniknął z jej twarzy jak cień pod jasnym światłem słonecznym.

— A jak ma się czuć? — odparła pytaniem.

— Jest już mocno starszą damą, Rieke. W tym wieku ma się rozmaite dolegliwości. Wszystko z nią dobrze? Nie choruje? Ją też zaprosiłam.

— Wiem, powiedziała mi, że do ciebie napisze.

— Owszem, napisała — przytaknęła Judith. — Napisała, że przyjęcie byłoby dla niej zbyt męczące. I że bym nie miała jej za złe, ale nie przyjdzie.

— I chyba nie masz jej za złe? — zapytała Rieke, która czuła, jak krew odpywa jej z twarzy.

— Ależ oczywiście, że nie. Przecież rozumiem, wiek robi swoje. Odwiedzę ją w najbliższych dniach.

— Koniecznie — rzekła Rieke. — Ucieszy się. Ostatnio naprawdę nie najlepiej się czuje. To pewnie przez ten upał.

Judith kiwnęła głową, lekko westchnęła, ale zaraz jej twarz znowu rozjaśniła się w promiennym uśmiechu.

— Masz rację, dzisiaj jest rzeczywiście bardzo gorąco. Ale okna są wszystkie otwarte, tak że jest lekki przewiew. Czy to nie wspaniały dzień?

Później, gdy już wszystkie półmiski i salaterki były puste, gdy na stole stały już tylko brudne talerze, leżały poplamione serwety, świece dopaliły się w lichtarzach, a kwiatowe dekoracje odrobinę przywiedły, Judith przywołała służących, którzy, stękając z wysiłku, zdjęli i wynieśli blat stołu razem z zastawą. Szybko usunięto kozły, na których spoczywał, ławy poprzesuwano pod ściany. Przyniesiono poduszki, przy ławach postawiono zydle i krzesła z oparciami.

Przed drzwiami czekali już muzykanci z fletami, fidelem, lutnią i tamburynem. Ledwie goście zajęli miejsca, a już muzykanci ustawili się przed kominkiem i zaczęli grać. Dobrze wiedzieli, czego się od nich oczekuje, i nie rozczarowali zebranych: wybrali tańce, które nadawały się najlepiej na uroczystość zaręczyn jak ta. Najpierw staromodny dostojny basse danse, potem szalony proportz, chłopski taniec z podskokami, recoupe, tourdion, pawana i galiarda, passamezzo i saltarello, i piva.

Judith знаła je wszystkie.

Patrzyła tylko na swojego narzeczonego. A wszyscy inni patrzyli tylko na nią. Lila obserwowała parę z zacisniętymi ustami, za każdym razem, gdy musnęło ją spojrzenie doktora van Aakena, spuszczała głowę. Unikała jego wzroku, natomiast on wyraźnie szukał jej spojrzenia.

Podczas choroby Judith Lila starała się nie pokazywać doktorowi na oczy. Tylko dwa razy musiała mu otworzyć drzwi — spuściła wtedy głowę i niewyraźnie wymamrotała przywitanie.

— Czy mi się zdaje, czy ty naprawdę unikasz narzeczonego Judith? — zagadnął ją Arno i leciutko dotknął palcem wskazującym jej brody.

— Tak? — Lila zmusiła się do wesołego uśmiechu. — Takie odnosisz wrażenie? Może dlatego, że ciągle tak mi się badawczo przyglądasz. To niedobrze być tak obserwowaną przez małżonka! Ale jeszcze gorzej, gdy w ten sposób patrzy na człowieka medyk. — Roześmiała się, a Arno zadowolił się jej odpowiedzią.

Przy dźwiękach saltarella przemknęli obok nich Andreas i jego żona. Rieke śmiała się przesadnie, odrzucała głowę do tyłu i posyłała mężowi czułe spojrzenia. Arno i Lila milcząco wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Jednak Rieke to zauważyła, jej usta zacisnęły się w wąziutką linię, zmarszczyła czoło, stuknęła Andreasa w bok.

— Zrób coś! — zasyczała. — Twój brat i jego czcigodna małżonka naśmiewają się z nas!

— Dziwi mnie, że ktoś dostrzega w nas coś zabawnego — odparł Andreas. — Mnie się wydaje, że przedstawiamy sobą smutny widok.

Rieke posłała mężowi spojrzenie, w którym nie było już ani krzty czułości. W jej oczach na moment zapłonęła nienawiść. Ale zaraz się opanowała i powiedziała ze śmiechem.

— Te twoje osobliwe żarty!

Uśmiechnęła się, znowu przesunęła się w tańcu obok Arna i Lili — tak blisko, że aż mogli poczuć ciepło ich rozgrzanych ciał. Potem Rieke skłoniła głowę i powiedziała ciepłym, serdecznym tonem:

— Jak widzę, Lila, nie masz żadnej biżuterii. Czyżby znowu cię okradziono?

Lila zdrewniała z przestrawu, odruchowo dotknęła nagiej szyi, a Rieke zaśmiała się i oddaliła w tańcu.

16

I znowu otworzyły się drzwi do patrycjuszowskiego domu Geisenheimerów. Ponownie wyszła z nich obwoływaczka zmarłych odziana w czarne suknie, z twarzą zakrytą czarnym welonem; uniosła zwiniętą w trąbkę dłoń do ust i zawołała tak głośno, że aż zadźwięczały szyby w oknach:

— Amalia Geisenheimer nie żyje!

I znowu ludzie zatrzymywali się na ulicy — mężczyźni zdejmowali nakrycia głowy, kobiety się żegnały. Sześciu mężczyzn wyniosło trumnę na ulicę i miarowym krokiem skierowało się w stronę kościoła. Za nimi postępował kondukt żałobny.

Rieke szła z Andreasem zaraz za trumną. Miała na sobie taki sam strój jak podczas pogrzebu Gerona Geisenheimera, tyle że suknia teraz bardziej się opinała. Czarny woal nie do końca skrywał jej zadowoloną minę. Andreas szedł bardzo przygnębiony. „Teraz już jesteśmy obaj całkiem sami” — tak powiedział do brata. Rieke dokładnie to usłyszała. „Nie, sami nie jesteśmy. Nie mamy tylko matki. Ale przecież mamy nasze żony” — odparł Arno.

Andreas wprawdzie kiwnął głową, ale Rieke doskonale wiedziała, że jako żona była mu o wiele mniejszą pociechą

niż Lila dla Arna. Nie bała się, że może wyjść na jaw, w jaki sposób Amalia Geisenheimer zeszła z tego świata. W końcu jej świekra była stara i już jakiś czas temu podupadła na zdrowiu. Bóg był z Rieke. Tak. Rieke była o tym przekonana. W Biblii też jest mowa o zabójstwach. Nawet gdy idzie o Dziesięcioro Przykazań, Pan jakby od czasu do czasu robił wyjątki. Rieke nie miała wyrzutów sumienia, przeciwnie. Zrobiłam to dla nas — myślała. — To było najlepsze dla Andreasa, dziecka i mnie. Ze starej nie było żadnego pożytku. Tak jak nikomu nie przyniosłaby pożytku jej wiedza. Jak natura się ociąga, to trzeba pomóc.

Idąc obok Andreasa, Rieke w regularnych odstępach czasu wybuchała głośnym szlochem i ocierała oczy. Ciężko wspierała się na ramieniu męża, nieomalże ślaniała, tak jakby to jej matkę niesiono do grobu.

— Opanuj się! — syknął Andreas do żony tak głośno, że wyraźnie usłyszeli to Lila i Arno, którzy szli za nimi.

Lila podeszła do przodu.

— Poprowadzić cię? — zapytała, ale Rieke posłała jej tylko wzgardliwe spojrzenie.

Kiedy stanęli nad grobem, Andreasowi łzy pociekły po policzkach. Puścił ramię żony, splótł ręce i patrząc na trumnę matki, szlochał jak mały chłopiec. Arno też płakał, Lila podtrzymywała go, głaskała po plecach, nie mówiła nic, po prostu była przy nim. Rieke szarpnęła męża za ramię, a gdy ten nie zareagował, zaszlochała tak głośno, że mogli to usłyszeć nawet ci, którzy stali całkiem z tyłu. Potem zaś po prostu osunęła się na ziemię przy grobie. Padając, spojrzała na męża, i nie było to spojrzenie pełne miłości. Judith natychmiast podbiegła do szwagierki, pochyliła się nad Rieke, wyciągnęła z mieszka sole trzeźwiące i podsunęła szwagierce pod nos. Natomiast Lila się roześmiała. Jedną ręką głaskała męża po plecach, drugą gładziła Andreasa, a jej usta naśmiewały się z Rieke.

— Choć raz sobie daruj! — zawołała. — Chowamy dzisiaj matkę twojego męża. Przynajmniej w tym dniu okaż trochę skromności. Pozwól mężowi w spokoju opłakiwać matkę.

Rieke wstała niezgrabnie, wspierając się przy tym ciężko na ramieniu Judith.

— Judith... — wyszeptała ledwie dosłyszalnym głosem — ...czy mogłabyś odprowadzić mnie do domu? Kpiny Lili to więcej niż mogę znieść w moim stanie.

Judith kiwnęła głową, posłała Lili karzące spojrzenie, objęła szwagierkę wpół i wyprowadziła. Rieke z ulgą zostawiła za sobą cmentarz, żałobników, Andreasa i swój zbrodniczy czyn.

Z każdym krokiem, który przybliżał ją do domowego zacisza, Rieke, dopiero co nieomal umierająca przy grobie Amalii, odzyskiwała wigor i dobre samopoczucie.

— Może jednak sprowadzę Luuka? — dopytywała się Judith co dwadzieścia kroków, ale Rieke za każdym razem kręciła przecząco głową.

— Nie, nie, to nic takiego, po prostu zrobiło mi się trochę słabo. Przecież wiesz, jak jestem wrażliwa. Trudno nie przeżywać śmierci bliskiej osoby. Gdyby chociaż Lila tak na mnie nie naskoczyła, to może bym dała radę pójść na stypę.

Judith ze zrozumieniem kiwnęła głową. Razem z dziewczką służebną zaprowadziła szwagierkę na górę, do izby sypialnej, obłożyła górą poduszek i piernatów. Dziewka pobiegła do kuchni przygotować wzmacniający napój z czerwonego wina, żółtka i miodu, a Judith tymczasem usiadła na zydlu przy łóżku.

— Naprawdę nie potrzebujesz medyka?

— Nie, do licha! — burknęła Rieke, ale natychmiast się zmiętygowała, ujęła rękę Judith, spojrzała przeproszająco. — Wybacz mi, kochana! Nie chciałam, żeby to tak

zabrzmiało. Ale sama widzisz, ile mnie to kosztuje, to takie bolesne... śmierć mojej świekry, no i to nieprzyjemne zachowanie Lili.

Zacisnęła powieki i naprawdę udało jej się wydusić kilka łez.

— Nie, proszę, tylko nie płacz — mruknęła Judith, wyciągnęła chusteczkę do nosa, otarła Rieke policzki.

— Czy ciebie też tak kiedyś potraktowała? — zapytała Rieke z cierpiącą miną.

Judith zawahała się przez moment.

— Nie — odparła w końcu. — I nie wydaje mi się, żeby tobie chciała wyrządzić jakąś krzywdę.

Rieke nieco uniosła się na łóżku, poczekała, aż Judith podeprze jej plecy poduszkami, potem napiła się wzmacniającego wina.

— Ale powiedz! Czy nigdy nie sprawiła ci przykrości?

Judith nabrała głęboko powietrza, niepewnie przełknęła ślinę.

— Nie wiem, czy powinnam o tym opowiadać... Bo pewnie ją źle zrozumiałam, pewnie się mylę... O niektórych rzeczach lepiej nie mówić.

Rieke robiła nadąsaną minę.

— Och, to ja ci zaufałam, powiedziałam ci, co mnie boli, a ty mnie tak po prostu zbywasz?

I Rieke znowu wycisnęła z oczu dwie łzy, które spływały po policzkach.

— No już dobrze, dobrze, tylko mi nie płacz — wtrąciła Judith pojednawczo. — Chodzi o to, że wydaje mi się, iż Lila nie lubi mojego narzeczonego. Tyle razy próbowała zniechęcić mnie do zaręczyn z Luukiem. Mówiła, że jeszcze nie doszłam do siebie po chorobie, że powinnam się oszczędzać, najpierw się upewnić co do moich uczuć. Ciągłe mi to powtarzała. Nawet w dniu zaręczyn przysłała jeszcze do mnie rano i radziła: „Pomyśl, Judith, jeszcze

możesz się wycofać. A jeśli miałyby z tego powodu wynikać jakieś przykrości, to będę cię wspierać, możesz na mnie liczyć". Pytałam ją o powód, ale nigdy nie wyjaśniła mi, dlaczego miałabym to zrobić.

Rieke poklepała ją po dłoni. Zachęcona tą pochwałą, Judith nachyliła się do Rieke i wyszeptała:

— Wydaje mi się, że ona ukrywa jakąś tajemnicę. Może ma to nawet jakiś związek z moim Luukiem...

Rieke szeroko otworzyła oczy.

— Co ty mówisz?! — zapytała z pożądliwą ciekawością — Tajemnicę?

Znowu pomyślała o testamencie Gerona. Tak bardzo faworyzował rodzinę Lili. Co prawda, teraz ona też będzie miała dziecko. Ale przecież tyle dzieci umiera! Jeśli jej dziecku stanie się coś przy porodzie albo jeśli nie przeżyje najbliższych kilku lat, wtedy ona, Rieke, zostanie z pustymi rękami — nic nie uszczknie ze spadku.

— Jaka tajemnicę? — powtórzyła, usiadła całkiem prosto na łóżku i ścisnęła rękę Judith.

Ta spojrzała niepewnie, zaczerwieniła się, Rieke zrozumiała, że świeżo zaręczona narzeczona już żałuje, że zaczęła o tym mówić.

— Jaka tajemnica? No mówże!

Judith potrząsnęła głową.

— Muszę iść. Dziewka się o ciebie zatroszczy. Pewnie i Andreas niebawem przyjdzie do domu. A jakby ci się pogorszyło, nie wahaj się posłać po mnie albo po Luuka. Wypocznij, żebyś szybko doszła do siebie.

Judith chciała wstać, ale Rieke nadal mocno trzymała ją za rękę, tak mocno, że aż bolało.

— Nie możesz mnie teraz zostawić samej, czuję się słabo, boję się o dziecko... — poskarżyła się. — W moim stanie gorzej się znosi pewne rzeczy, proszę, zostań!

Judith się zawahała, spojrzała na Rieke, potem przez chwilę nasłuchiwała odgłosów ulicy za oknem.

— Ja... ja... jeszcze dzisiaj nie byłam na targu... — wybąkała wreszcie.

— Ach, to nie kłopot! — wtrąciła natychmiast Rieke. — Powiedz tylko, czego potrzebujesz, a zaraz pošlę dziewczkę. Ale, na miłość boską, nie zostawiaj mnie tutaj samej! Skąd wiadomo, czy duch zmarłej już opuścił dom? A jeśli nie? A jeśli zaszkodzi mojemu dziecku? Czy to wiadomo?

Na ten argument Judith usiadła zdecydowanie z powrotem. Z kieszeni w spódnicy wyjęła mały, drewniany krzyżyk i trzymając go w ręce, powiedziała:

— Masz rację. Nie wiadomo. Może na koniec wśliznie się przez jeden z otworów twojego ciała i wejdzie w ciało dziecka.

Na to wyobrażenie Rieke skrzywiła się, wzięła krzyżyk z rąk Judith, ucałowała, przeżegnała się, a potem ujęła rękę Judith i delikatnie ją pogłaskała.

— Przecież widzę, moja droga, że tajemnica Lili ci ciąży. Czy nie dość już złego przeżyłaś? Okropne małżeństwo, straszna śmierć twojego męża, niedawno ta choroba... I jeszcze musisz się dręczyć jakąś tajemnicą! Jak się człowiek z kimś podzielił zmartwieniem, to jest mu lżej. Zaufaj mi. Czy nie jesteśmy jak przyjaciółki? Odprowadziłaś mnie dzisiaj do domu, siedzisz przy mnie, troszczysz się o mnie. Nie każdy by się tak zachował. Chcę ci się jakoś odwdziżyć — zawsze byłaś dla mnie dobra. Ulżyj swojemu sercu. Razem coś wymyślimy.

Judith nie była głupia, tylko prostoduszna. I ufna. Wierzyła w dobro w człowieku. I na nic się zdały wszelkie doświadczenia, które świadczyły o czymś innym. Judith była po prostu dobrym człowiekiem, szczerym, pozbawionym fałszu i podejrzliwości. A Rieke umiała ją podejść.

I Judith zaczęła opowiadać:

— Pamiętasz, jak włamano się do domu Lili? Jak ktoś wszystko tam zniszczył, splądrował go?

— Tak, pamiętam. — Rieke kiwnęła głową. — Przecież to było tak niedawno. Krótco przedtem Arno pojechał na pole walki pod Höchst.

— Zgadza się — potwierdziła Judith. — Pewnie też sobie przypominasz, że to ja ją wtedy znalazłam nieprzytomną...

— Tak. Zawdzięcza ci życie. Mam nadzieję, że potrafiła się odwdziczyć.

Judith nie zareagowała na uwagę Rieke, tylko ciągnęła:

— Wtedy szukałam jej po całym domu. Byłam nawet na strychu...

— I?

Judith przymknęła oczy, przypomniała sobie tamten dzień:

— Ależ tam było kurzu! Bałam się nietoperzy. Mówią, że mieszkają na strychach. Ale nie było ani nietoperzy, ani nikogo. Tylko ślady stóp. Wiedziałam, że nie doprowadzą mnie do Lili, ale liczyłam na jakąś wskazówkę, sama nie wiem... W każdym razie poszłam za tymi śladami, doprowadziły mnie do malutkiej izdebki i do skrytki pod deską w podłodze. Znalazłam w niej kasetkę.

— Co w niej było? No powiedzże, co było w tej kasetce? — niecierpliwiła się Rieke.

Judith uniosła rękę i Rieke zamilkła. Judith podjęła opowieść:

— Loczek, kosmyk włosów. Delikatny, jedwabisty — jak włosy dziecka. I łańcuszek z wisiorkiem. Z gwiazdą Dawida.

— Ze znakiem żydowskim? — zapytała Rieke zdumiona.

— Tak, z sześcioramienną gwiazdą.

— I co jeszcze?

— Sygnet — wyszeptła Judith ledwo słyszalnie.

— Sygnet? Z jakim herbem? Znasz ten herb?

— Nie. Ale zdaje się, że nie był to herb frankfurcki.

— Jaki był ten sygnet? Było w nim coś szczególnego? — dopytywała się Rieke. — Przypomnij sobie! — ponagliła. — Może jakieś zwierzę? Roślina, coś w tym rodzaju?

Judith potrząsnęła głową, otworzyła oczy.

— Nie. To był po prostu sygnet. I na pewno nie ma żadnego znaczenia.

Nagle Rieke zmieniła się, jakby właśnie wyszła z krynicy młodości. Oczy jej błyszczały, usta się zaróżowiły, zrobiły się pełne i jędrne. Wyprostowała się energicznie.

— Przypomnij sobie! — zażądała.

Judith wzruszyła ramionami.

— Czemu to cię aż tak interesuje?

Rieke się uśmiechnęła.

— O, bo mniemam, że się nie mylisz: Lila skrywa jakąś tajemnicę. A tajemnice diabła mnie interesują!

Judith zagryzła wargę, nagle bardzo się stropiła:

— Lila ma prawo skrywać tajemnicę. I powinnyśmy to uszanować.

Rieke położyła jej rękę na przedramieniu.

— Oczywiście, że powinnyśmy. Ale czy nie mamy też obowiązku chronić imienia Geisenheimer przed wszelką hańbą?

Judith niespokojnie wierciła się na swoim krześle. Nagle wstała.

— Czas na mnie — teraz już naprawdę muszę iść. Andreas pewnie zaraz przyjdzie.

— Dobrze — powiedziała Rieke. — Dziękuję, że przy mnie zostałam. — Uśmiechnęła się do Judith, znowu wyciągnęła do niej rękę, uścisnęła ją. — Nie każdy jest tak uczynny.

Judith także się uśmiechnęła, ale już nie tak szeroko. Później pożegnała się i opuściła pokoje Rieke tak szybko, jakby się rzeczywiście bardzo śpieszyła.

*

Marga wpatrywała się w brzuch markietanki i leżąca na nim głowę swojego męża. Robert otworzył oczy i spojrzął na nią, jakby była bydłciem pasącym się na łące. Nie pomoże mi — przemknęło jej przez głowę. — Nie on. A już na pewno nie w sprawie swojego syna i mego z nim zatargu.

— Czego chcesz? — warknął Robert.

Marga mimo wszystko próbowała:

— Konstantin wyrzucił mnie z warsztatu. Chcę, żebyś pojechał ze mną i przywołał go do porządku. Przypomniał mi o respekcie należnym matce. Zrób to dla niego samego.

— Co ty gadasz? — zapytał Robert. — Wyrzucił cię?

— Z warsztatu i z mego domu. To twój syn. Właśnie teraz potrzebuje silnej ręki. Chyba nie chcesz, żeby zszedł na złą drogę?

W tym momencie Robert ryknął śmiechem. Wstał niezdarne i waląc się po udach, ryczał z szeroko rozwartą gębą, tak że widać było jego zażółcone zęby. Z uciechy trącał w bok swoją towarzyszkę, która także śmiała się na całe gardło. Ludzie siedzący w pobliżu wstawali i podchodzili, pytając, co się stało, ale Robert tylko się śmiał i śmiał, a markietanka razem z nim. Pokazując palcem na Margę, rechotała skrzekliwie, nabierała powietrza i znowu wybuchała śmiechem.

Marga przez chwilę patrzyła na oboje, potem zebrała spódnice i odeszła, by poszukać namiotu oficerskiego. Trochę to trwało, zanim znalazła dowódcę, który zechciał jej wysłuchać. Pierwszy, oficer z wojska brunszwickiego,

tylko się roześmiał, gdy zażądała, by postawił jej męża przed sądem wojskowym z powodu cudzołóstwa. Drugi co prawda jej wysłuchał, lecz odesłał z kwitkiem. Dopiero trzeci przy każdym jej słowie kiwał ze zrozumieniem głową.

— Nienawidzę tego łajdactwa i rozpusty, które panują w obozach! — wybuchnął. — Nie można tego tak zostawić. Macie rację, niewiasto, słusność jest po waszej stronie. Wasz musi zostać ukarany. Kto się łajdaczy, nim jeszcze dotarł na pole bitwy, nie zasługuje na to, by walczyć w armii.

Oficer obciągnął wams, nałożył kapelusz z piórem i dał znak, by mu towarzyszyła. Marga obesła z nim obóz, lecz gdy dotarli do miejsca, gdzie przy ognisku zostawiła Roberta z markietanką, okazało się, że już ich tam nie ma. Zniknęli.

— Tu! Tu był. Tu oboje siedzieli! — wyjąkała Marga.

Oficer spojrział na nią ze zmarszczonymi brwiami.

— Nie mam czasu do stracenia, niewiasto. A więc gdzie jest wasz?

Marga rozejrzała się dokoła, spojrziała na mężczyzn, którzy siedzieli przy sąsiednim ognisku i wyglądali na całkowicie pochłoniętych grą w karty.

— Ja... ja nie wiem... nie wiem, gdzie on jest. Dopiero co... dopiero co tu był...

— Rozumiem, dopiero co był tutaj. — Oficer potrząsnął głową, okręcił się na pięcie i odszedł ciężkim krokiem.

Mężczyźni przy ognisku unieśli głowy. Jeden z nich powiedział:

— Jakby to była moja baba, dałbym jej pokosztować kija! Co ona tu robi w obozie? Przyszła na przespiegi?

Pozostali mruknęli potakująco, a Marga czym prędzej odeszła.

*

Byłojeszcze wcześniej, gdy Lila wyszła z domu. Niewiele światła wpadało na wąskie uliczki zabudowane kamienicami o schodkowych szczytach. Strażnicy dopiero co otworzyli bramy miejskie, ale ulice już pękały w szwach od ludzi i zwierząt. Lila szła śpiesznie, trzymała się blisko ścian domów — na głowie miała kaptur, który zasłaniał jej więcej niż połowę twarzy. Gdy doszła do klasztoru dominikanów, zatrzymała się, obejrzała — nikt nie zwracał na nią uwagi. Gospodynie i dziewczki biegly na targ, praczki targaly pełne kosze nad rzekę, stare kobiety śpieszyły na poranne nabożeństwo, a grupka mnichów miarowym krokiem zmierzała w stronę katedry; dwaj trędowaci poruszali swoimi dzwoneczkami, prosząc o łaskawy datek.

Lila przycisnęła dłoń do mocno bijącego serca i pośpieszyła dalej. Przy bramie oddzielającej Ulicę Żydowską od chrześcijańskiej części miasta stał wartownik, który właśnie czyścił sztyletem paznokcie i nawet na nią nie spojrział. Lila szybko wśliznęła się przez bramę, odechnęła głęboko i miarowym krokiem ruszyła dalej. Już nie oglądała się za siebie, tutaj czuła się bezpieczna. Dlatego nie widziała, że za nią przez bramę weszła jakaś kobieta, także z twarzą ukrytą pod kapturem — Rieke niezauważona podążała za Lilą. Przyśpieszyła kroku, już się z nią niemal zrównała, szła tuż za nią.

Z naprzeciwka nadchodził właśnie mężczyzna z długą białą brodą, w czarnym kapeluszu na głowie i w białej koszuli. Kiedy zobaczył Lilę, uchylił kapelusza, pozdrowił ją, przystanął.

— Czego chcesz w szteti*, dziewczyno — zapytał. — Chcesz zrobić geszeft? Oj, oj, czasy nie są dobre na geszeft.

* Dosł.: miasteczko, małe skupisko miejskie zachowujące obyczajowość żydowską.

Lila się uśmiechnęła.

— Człowiek ma zawsze więcej, niż potrzebuje, Abrahamie. Chcę do twojego syna, z nim zawsze chętnie robię interesy.

— Mazel tow* — życzył jej stary, a Lila podziękowała. Potem wymienili jeszcze kilka zdań w mowie, z której Rieke rozumiała tylko co drugie słowo.

Odczekała, aż Lila zniknęła w jednym z domów, potem poszła za mężczyzną.

— Wybaczcie, kim była kobieta, z którą właśnie rozmawialiście? — zapytała.

Stary Żyd zmrużył oczy i zmierzył Rieke spojrzeniem.

— Po co wam to wiedzieć?

— Rozmawialiście w dziwnej mowie, podobnej do niemieckiej, ale jednak różnej.

Mężczyzna się uśmiechnął.

— To jidysz, dziewczyno. Tak Żydzi rozmawiają między sobą.

— A więc ta kobieta to Żydówka?

Mina starego człowieka zmieniła się, stała się nieprzystępna, nieprzenikniona.

— Oj, oj, a co ja wiem? — odparł. — W tych złych czasach wielu mówi obcymi językami.

— Nie jest Żydówką?

— Sami ją zapytajcie.

Starzec chciał się odwrócić i odejść, ale Rieke mocno chwyciła go za ramię.

— Co ty sobie myślisz, ty śmierdzący, parszywy Żydzie! Nie odpowiesz mi na pytanie? Myślisz, że możesz mnie tak po prostu zostawić, mnie, chrześcijankę i szacowną obywatelkę miasta?! Chyba nie wiesz, co się należy! Nie

* Na szczęście — pozdrowienie używane przez Aszkenazyjczyków przy radosnych okazjach.

pamiętasz już, jak Vinzenz Fettmilch pokazał wam, gdzie wasze miejsce? Gadaj: kim jest ta kobieta?

Stary rozejrzał się niepewnie wokoło. Na ulicy panował ruch i większość tych, którzy przechodzili, to byli Żydzi.

— Słuchajcie, nie chcę kłopotów. Nie wiem, kim jest ta, o którą pytacie. Była tu kilka razy, sprzedała coś mojemu synowi. To wszystko.

— Jest Żydówką? — dociekała dalej Rieke.

Stary człowiek wzruszył ramionami.

— Nie mieszka na Ulicy Żydowskiej. To jak może być Żydówką?

Wyrwał się Rieke i szybko odszedł, dołączył do grupy równie brodatych mężczyzn i w końcu zniknął w domu oznaczonym napisem „Szul”^{*}.

Rieke popatrzyła za nim. Jak może być Żydówką, skoro nie mieszka na Ulicy Żydowskiej? — zastanawiała się nad słowami starego człowieka. Tak, słusznie. Gdyby Lila była Żydówką, nie byłaby Geisenheimerową. Rieke stała jeszcze przez chwilę, rozmyślając, podniosła rękę i poprawiła czepek. Właściwie nie wiedziała, skąd pochodzi Lila. Ale może zapytać o to Judith! Przecież musi być jakiś sposób, by dobrać się do tej tajemnicy! Rieke była absolutnie pewna, że bardzo na tym zyska.

Już zabierała się do odejścia, gdy zobaczyła Lilę wychodzącą z drzwi domu, do którego przedtem weszła. Na jej twarzy malował się wyraz smutku. Lila znowu rozejrzała się dokoła, potem ruszyła szybkim krokiem. Tym razem Rieke nie poszła za nią, lecz poczekała, aż Lila opuści dzielnicę żydowską. Dopiero potem weszła do domu, z którego dopiero co wyszła Lila.

— Czem mogę służyć, piękna pani? — usłyszała, ledwie przekroczyła próg. W pomieszczeniu za wielkim

* Dosł.: szkoła, potocznie określenie synagogi.

biurkiem siedział mężczyzna lat około czterdziestu i patrzył w stronę sieni.

Rieke pozdrowiła go, podeszła bliżej.

— Jaki rodzaj interesów prowadzicie? — zapytała.

— Wymianę pieniędzy.

— To robicie wszyscy. A co poza tym?

— Skupuję i sprzedaję przedmioty.

— Lombard?

Mężczyzna kiwnął głową.

— Co robiła u was kobieta, która dopiero co stąd wyszła?

Mężczyzna uśmiechnął się i uniósł obie ręce.

— Ubiliśmy interes. To moja praca.

— Co za interes?

— Wybaczcie, ale to nie wasza sprawa.

Rieke spojrzała w uśmiechniętą twarz mężczyzny. Najchętniej by mu przyłożyła w sam środek tej gęby. Zwaliłaby wszystkie rzeczy z biurka, złapałaby go obiema rękami za brodę i wrzasnęła: „Jak śmiesz tak mówić do chrześcijanki, ty nędzny Żydzie!”.

Ale powstrzymała się i ciągle z uśmiechem na twarzy powiedziała cicho, lecz z odcieniem groźby:

— Spodziewam się, że chcecie i w przyszłości robić dobre interesy, nieprawdaż?

Mężczyzna wyprostował się na krześle.

— Co macie na myśli?

— Chyba nie wiecie, kim jestem.

— To prawda.

— Jestem Rieke Geisenheimer, małżonka Andreeasa Geisenheimera, kupca i patrycjusza.

Mężczyzna spojrział na nią, jego wzrok wyrażał obojętność i niezrozumienie. Ale Rieke nie wyprowadziło to z równowagi, dodała spokojnie:

— Wystarczy, że szepnę słówko mojemu mężowi, a będziecie tu skończeni.

Mężczyzna uśmiechnął się krzywo, wstał, wyszedł z biurka. Wziął Rieke za ramię.

— Myślę, że będzie lepiej, jak już pójdziecie — powiedział, otworzył drzwi i po prostu wypchnął Rieke.

Ani się obejrzała, gdy znalazła się z powrotem na ulicy. Bezradna aż dyszała z wściekłości. Ale po chwili zadarła głowę wysoko i szybko odeszła.

*

— Na co czekasz! Donieś na niego! — ponaglał Hermann Schein.

Był do głębi oburzony tym, co Marga przeżyła w obozie wojskowym, i jako człowiek, i jako chrześcijanin.

— Zrób to zaraz, zanim rozwiążą obóz.

Marga kiwnęła głową.

Hermann wziął ją za ramię i delikatnie pociągnął.

— Chodź! — powiedział. — Załatwmy to od razu! Pójdę z tobą do rady miasta.

Marga cofnęła się o krok.

— Nie teraz, Hermann. Najpierw gazeta. Musi się ukazać o czasie, ludzie czekają, przecież wiesz. Teraz, w pierwszym okresie, jest bardzo ważne, by wychodziła regularnie, wtedy czytelnicy się przyzwyczajają i potem już nie będą się nawet zastanawiać, czy chcą kupić gazetę, czy nie — to będzie dla nich czymś oczywistym. Nie mogę sobie teraz, ot tak, wyjść i wszystkiego zostawić. A już na pewno nie z powodu Roberta.

Kantor przełknął ślinę.

— Rozumiem — rzekł cierpko, puścił jej ramię i odwrócił się, by wyjść z drukarni.

— Nie, nie rozumiesz! — zawołała za nim Marga, ale kantor już był przy drzwiach i nie czekając, wyszedł. Marga bezradnie uniosła ręce, westchnęła i smutno potrząsnęła głową.

Jednak już kwadrans później Hermann Schein był z powrotem w warsztacie, w rękę trzymał koszyk z obiadem.

— Moja dziewczka ci to przysłała — wyjaśnił. — Powiada, że inaczej znowu nic nie będziesz jadła przez cały dzień i jeszcze nam zemrzesz z głodu.

Marga roześmiała się serdecznie, wskazała Hermanowi miejsce na ławie, potem nakryła stół na dwoje.

Gdy jedli, w pewnej chwili wskazała palcem w górę, na pomieszczenia mieszkalne na piętrze.

— Dom był porządnie zapuszczony, ale dzięki twoim chłopcom z chóru jest już całkiem, całkiem! Wyporządzili obie izby i pobielili kuchnię. Właściwie mogę się już wprowadzić. Może wtedy Konstantin odda też moje rzeczy.

Hermann Schein nic na to nie powiedział, sprawiał wrażenie, jakby mu było przykro, na jego twarzy odmalowało się też niezadowolenie. Chociaż jeszcze nie opróżnił miski, wstał od stołu i zabierał się do wyjścia.

— Muszę już iść — oświadczył. — Zaraz zbiorą się chłopcy, mamy próbę.

— Ależ Hermann, próba jest dopiero za godzinę! — zaprotestowała łagodnie Marga. — A ty już chcesz iść? Czemu? Proszę, usiądź, porozmawiajmy. Za nic w świecie nie chciałabym, żeby były między nami jakieś nieporozumienia.

Kantor usiadł i westchnął, widać było, że jest mu smutno.

— A więc naprawdę chcesz się wyprowadzić?

— Myślę, że tak będzie lepiej.

— Lepiej dla kogo?

— Dla ciebie, bo znowu będziesz miał cały dom do dyspozycji. I dla mnie, bo znowu będę miała własne królestwo, własny dom.

— Au mnie nie masz?

Marga uśmiechnęła się ciepło i pokręciła głową.

— U ciebie, mój drogi, jestem gościem. I muszę przyznać, że czuję się w twoim domu bardzo, bardzo dobrze. Ale wiesz, jak to jest: gość i ryba po trzech dniach śmierdzą. I dotyczy to wszystkich gości, nawet tych najmiłszych. A ja u ciebie jestem już prawie trzy tygodnie. Pewnie się cieszysz, że wreszcie się ode mnie uwolniesz.

— Nie, naprawdę nie! — zaprotestował Hermann, energicznie potrząsając głową. — Bardzo jestem rad, że mogę cię gościć. Będzie mi ciebie brak, gdy się wyprowadzisz...

Spojrzał na Margę, ale ona milczała. Spuściła oczy, utkwivszy wzrok w płycie stołu, wodziła palcem po mazerunku.

— Co się stało? Dotknąłem cię czymś? — dopytywał się kantor.

Marga zaprzeczyła ruchem głowy, nadal milczała. Siedzieli tak naprzeciwko siebie, nic nie mówiąc przez długą, nieskończenie długą, chwilę. W końcu Hermann Schein nie wytrzymał.

— Proszę, powiedz coś! — wykrzyknął stłumionym głosem. — Proszę cię!

Marga podniosła oczy, spojrzała na niego, wyciągnęła rękę i położyła na jego przedramieniu.

— Jestem mężatka, Hermann — powiedziała. — Ciągle jeszcze jestem, chociaż mój mąż oszukuje mnie i zdradza na wszystkie strony i niejedną raz powiedział, że nie chce już ze mną żyć. — Marga głęboko nabrała powietrza. — Kochałam Roberta, Hermann. Nawet jeśli na to nie zasługiwał. Lecz ja kochałam go długo i z całego serca. A ile miłości może człowiek mieć w życiu? Pytałam o to naszego pastora. Pewnie wiesz, co mi odpowiedział: poza miłością do Boga i do dzieci jest jeszcze tylko jedna miłość, i ona trwa przez całe życie — to miłość do żony

albo do męża. To znaczy, Hermann, że jest tylko jedna miłość. I ona jeszcze tkwi w mojej głowie. Albo nie, inaczej: tkwi w moim sercu.

— Rozumiem cię, Marga — odparł Hermann Schein łagodnie. — Ale pastor się myli. Bóg nie przewidział tylko jednej, jedynej miłości dla każdego z nas. Można kochać dwa, trzy, wiele razy... Że twoje serce nie jest jeszcze gotowe na nową miłość, to rozumiem, ale ja zaczekam. Będę czekać. Nawet długo. Lecz proszę, daj mi szansę! I zostań w moim domu, mieszkaj dalej u mnie, Marga, proszę cię!

Marga popatrzyła na niego niepewnie, w napięciu, nabrała powietrza, odetchnęła głośno. Spojrzała w górę, na sufit, pomyślała o izbach, które mogłyby być jej mieszkaniem.

— Rozważę to, Hermann — powiedziała w końcu.

*

Nie minęło wiele czasu od wyjścia Hermanna, a drzwi otworzyły się z hukiem i do warsztatu jak burza wpadł Konstantin.

Marga, starając się przynajmniej na zewnątrz udawać spokój, usiadła na zydlu, tak by ukryć lekkie drżenie kolan. Skrzyżowała ramiona na piersi i spojrzała na syna.

— Czego tu chcesz, Konstantin?

— To prawda, że ta drukarnia należy do ciebie? — burknął syn.

— Prowadzę ją, lecz właścicielem jest kantor kościoła Świętego Tomasza.

Chłopak uderzył dłonią w stół.

— A więc to prawda, co ludzie gadają! — Konstantin z pogardą wygiął usta i warknął: — Moja matka to ladacznica. Sprzedała tyłek i cycki za warsztat. Tfu!

I splunął przed nią na podłogę.

Marga nadal siedziała spokojnie, w milczeniu patrząc na syna.

— Co jest! — wrzasnął w końcu Konstantin. — Czemu nic nie mówisz?

— A po co? I tak nie zmienisz mniemania o mnie. Cokolwiek bym powiedziała, nie ma to najmniejszego znaczenia wobec twojej arogancji i buty.

Opanowanym ruchem sięgnęła po dzbanek z wodą, napełniła kubek, napiła się. Jej spokój jeszcze podsycił furję syna, który aż dyszał z wściekłości.

— Mam ładacznicę za matkę! — ryknął. — Kalasz nasze imię! Wiesz, jak przez to trudno prowadzić interes?! —

— Nie wiem. Mój idzie znakomicie. Zatem nie może to zależeć od prowadzenia się twojej matki.

Konstantin podszedł do Margi i stanął tuż przed nią.

— Co to za kłamstwa opowiadasz o mnie na mieście, coo?! — wysyczał.

Marga poczuła jego kwaśny oddech i odór starego potu z niepranego odzienia.

Na moment zamknęła oczy, a potem rzekła:

— Odpowiadam tylko na pytania. Mówię samą prawdę: że wyrzuciłeś mnie z własnego domu. Z niczym, tak jak stałam.

Konstantin gapił się na nią z otwartymi ustami. Nie rzekł ni słowa.

— To mówię, synu. Twierdzisz, że kłamię?

Konstantin przełknął ślinę.

— I dlatego klienci przychodzą do ciebie, a nie do mnie?

Marga wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Nie pytałam ich.

Przyglądała się synowi, gdy tak stał przed nią: w poplamionym wamsie o zatłuszczonym kołnierzu, w modnych butach przydeptanych i brudnych. Cerę miał bladą,

głębokie cienie pod zapuchniętymi oczyma. Ogarnęło ją współczucie.

— Zdaje mi się, mój synu, że nie najlepiej ci się wie-
dzie. — Najchętniej wstałaby i wzięła w ramiona tego
niezdarnego, bezradnego chłopaka, któremu jeszcze na-
wet na dobre nie puścił się wąs. Jednak powstrzymała
ją od tego nie tylko jego harda mina.

— Jakoś to idzie — mruknął Konstantin — Nie jest źle.

— Czy mogę ci w czymś pomóc?

Syn hardo potrząsnął głową, odrobinę wysunął dolną
wargę.

Zupełnie jak Robert... — pomyślała — ...jak Robert
wtedy, gdy jeszcze o mnie zabiegał. Jak coś przeszkrobał,
to też tak wyglądał, stał z taką miną. Jakbym widziała
Roberta...

Marga omal się nie uśmiechnęła, ale w tej chwili
zobaczyła, że Konstantin wziął się w garść, jego twarz
znowu wykrzywiła się w pogardliwym grymasie.

— Nie! — wysyczał przez zaciśnięte zęby. — Niczego
od ciebie nie chcę. Zupełnie niczego. Nie jest ze mną aż
tak źle, żebym musiał prosić o pomoc kobietę, która ma
na sumieniu mojego ojca! Jego morderczynię! Prędzej
odgryzę sobie język!

— Słusznie — odparła Marga mocnym głosem. —
A o ojca nie musisz się martwić. Żyje. Widziałam go nie
dalej jak wczoraj rano. Leżał z głową na kolanach jakiejś
kobiety...

Marga wstała i przyglądziła suknię.

— Mam robotę — oświadczyła i wskazała synowi
drzwi.

Konstantin osłupiał. Czy to wiadomość o ojcu, czy
spokój, z jakim matka nakazała mu wyjść z warsztatu,
sprawiły, że nie wiedział, co powiedzieć? Patrzył tylko na
nią kompletnie zbaraniały, kilka razy otworzył usta,

chwytając powietrze jak ryba wyjęta z wody, w końcu poszedł jak zmyty. Drzwi za nim zatrzasnęły się z hukiem.

Ledwie wyszedł, a Marga z powrotem opadła na zydeł — nie mogła utrzymać się na nogach, serce dusiło ją w gardle, ręce jej drżały. Po policzkach niepowstrzymanym strumieniem potoczyły się łzy. Płakała nad swoim synem, nad mężem. Płakała nad sobą. Nad swoją miłością, dla której nie było już najmniejszej nadziei, nad utraconymi marzeniami, nad Hermannem Scheinem, którego uczucia nie potrafiła odwzajemnić tak, jakby sobie życzyła. Płakała nad całym swoim życiem, które potoczyło się zupełnie odmiennie od tego, co wyobrażała sobie jako młoda dziewczyna.

*

Judith niespokojnie krążyła po domu Luuka, raz po raz nerwowo przygryzała dolną wargę — dręczyły ją wyrzuty sumienia. Co chwila przystawała i załamując dłonie, zastanawiała się, czy w jakiś sposób mogła zaszkodzić Lili przez to, co opowiedziała Rieke. Ale właściwie co takiego powiedziała? Tylko że Lila mającą tajemnicę. Przecież ona, Judith, sama nie wie jaką.

Łańcuszek z gwiazdą Dawida. No dobrze, z pewnością nie w każdym chrześcijańskim domu natrafi się na coś takiego. Ale ostatecznie ta ozdoba mogła być podarunkiem od jakiegoś Żyda albo choćby formą wyrównania długu. Sygnet. Mój Boże! Przecież dzisiaj wszyscy każą sobie sporządzać herby — to taka sama moda jak pudry i ozdobione rozetami buty na wysokich obcasach. Nie, z pewnością to wszystko nie ma żadnego znaczenia!

Mimo to Judith czuła się nieswojo. Najchętniej poszła by do Lili i opowiedziała jej o swojej rozmowie z Rieke.

Lecz Lila i Arno w minionym tygodniu wyprowadzili się od niej — znowu zamieszkali w swoim domu.

Właściwie wszystko było tak jak dawniej. Andreas i Arno prowadzili interes, kobiety robiły to, co wypadło niewiastom ich stanu. Dzieci jeszcze nie wróciły z klasztoru Engelthal. Nie miało znaczenia, czy Lila coś ukrywa, czy nie. I tak wszystko potoczy się zgodnie z wolą boską. Tak naprawdę to nie mam sobie czego wyrzucać. Gdyby Bóg chciał, bym milczała, to zamknąłby mi usta — pocieszała się w duchu Judith.

Lecz i ta myśl nie uspokoiła jej — wyraźnie czuła, że popełniła błąd. Mogła tylko mieć nadzieję, że nic złego z tego nie wyniknie. Jakże chętnie poszłyby teraz do Lili! Usiadłyby sobie w kuchni, jak zwykle, popijałyby moszcz i gadały o nowinkach. Judith opowiedziałyby Lili o swojej sukni ślubnej, zapytałyby, jakie pasują do niej buty. Mogłyby omówić napoje i potrawy na jej ucztę weselną, a gdyby Lila była w dobrym humorze — to nawet i usadzenie gości przy stole! Ale Judith nie miała śmiałości iść do Lili, nie mogłyby jej spojrzeć w oczy, czuła to wyraźnie.

Wzdychając ciężko, wyszła z domu, usiadła na ławeczce w niewielkim przydomowym ogródku. Właściwie to Luuk powinien być już z powrotem... — pomyślała — ...ale pewnie znowu zatrzymał go jakiś chory.

Dzień miał się ku końcowi, nad Judith gałęzie czereśni wyciągały się ku wczesnowieczornemu niebu. Woń utrudzonego, znużonego miasta niby wielka chusta kładła się na dachach. Czuć było kurz i pot, zapach ciał ludzi i zwierząt, woń życia i śmierci.

W domach zapalano pierwsze światła. Nawet tu, w ogrodzie, Judith słyszała strażnika miejskiego, który roznosił smolne szczapy do oświetlania ulic. Z pobliskiego szynku dobiegły głośnie hałasy: przekleństwa jakiegoś mężczyzny, płacz kobiety. Judith spojrzała w okna domu: zobaczyła dziewczkę służebną krzątającą się w bawialni —

właśnie płonąca świecą zapalała lampki oliwne. Niedługo potem w oknie mignął cień męskiej postaci. Judith uśmiechnęła się do siebie. To Luuk — pomyślała — j a k dobrze, że już jest. Wstała, przyglądała suknię i już chciała biec do ukochanego, opowiedzieć mu o swojej zgryzocie, gdy zobaczyła w oknie drugą męską sylwetkę.

Podeszła bliżej, stanęła tuż pod oknem.

— Tu macie to, czego chcieliście, doktor — usłyszała. Głos miał osobliwy akcent.

— Jest wszystko? — zapytał Luuk.

— Wszystko. Aj, aj, ciężko było. Konkurencja nie śpi. Trudny geszeft. Kosztował mnie duży wysiłek.

— Dziękuję wam. Wiem, że można na was polegać.

Judith zmarszczyła czoło. Co tu się dzieje? Z kim Luuk robi interesy?

— Ile się należy za tę biżuterię? — usłyszała głos Luuka.

— Aj, aj, czasy są ciężkie. Ale jak dla was, dajcie pięćdziesiąt guldenów, i jesteśmy kwita.

Luuk van Aaaken głośno się roześmiał.

— Pięćdziesiąt guldenów? Człowieku, czyście rozum postradali?

Ten drugi milczał. Judith poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Luuk właśnie kupuje dla niej prezent ślubny! Na pewno! Stąd te tajemnice. Dostanie od niego klejnoty! Uśmiechnęła się szeroko, przycisnęła dłoń do mocno bijącego serca.

— Pięćdziesiąt guldenów, doktor. To moje ostatnie słowo.

— Dobrze. Poczekajcie, przyniosę pieniądze. I ani słowa nikomu!

— Aj waj! Możecie być pewni. Milczenie to podstawa mój geszeft.

Judith ciągle jeszcze stała pod oknem. Serce jej waliło. Nie mogła teraz wejść do domu i zaskoczyć Luuka przy

tym, jak kupuje dla niej prezent. Czekala, az sprawa zostanie zakończona, az ten obcy mężczyzna o dziwnym akcencie opuści dom. Dopiero potem wróciła z ogrodu, podeszła do narzeczonego, wtuliła się w jego ramiona i pocałowała go czule. Nawet podczas kolacji brała Luuka za rękę, głaskała ją delikatnie, wtulała w nią twarz.

— Coś się stało? Jesteś taka czuła... — zapytał Luuk zdziwiony.

— Niece, nic — odparła Judith. — Kocham cię, po prostu.

Po wieczerzy Luuk nieoczekiwanie wstał, zbierając się do wyjścia.

— Muszę jeszcze zajrzeć do jednego pacjenta — oznajmił. — Nie za dobrze z nim było po południu.

Judith kiwnęła głową ze zrozumieniem. Nieczęsto się zdarzało, by Luuk musiał wychodzić po wieczerzy, ale jeśli już, to zawsze z ważnych powodów.

— Pośpiesz się, jeśli możesz — poprosiła tylko.

Luuk ucałował narzeczoną, potem wziął swoją torbę i wyszedł z domu.

Ledwie poszedł, a myśli Judith pobiegły do prezentu, który kupił dla niej Luuk. Co to może być? — zastanawiała się. — Naszyjnik? Broszka? Zapinka do włosów? Bransoletka? A może nawet pierścień? — Na jej ustach pojawił się uśmiech. — Tak, pierścionek... — rozmarzyła się — najbardziej chciałabym pierścionek... Albo naszyjnik. Taki, żeby każdy mnie o niego pytał. Naszyjnik z zielonym jadem, kamieniem miłości. Ciągle bym go nosiła, a gdyby mnie ktoś zapytał, mówiłabym, że ten naszyjnik ofiarował mi Luuk jako symbol naszej miłości.

Judith aż zrobiło się gorąco na tę myśl.

I nagle ogarnęła ją nieprzeparła ciekawość. Czy rzeczywiście Luuk kupił naszyjnik? Właściwie tego nie chcąc, wstała i poszła do skrzyni w gabinecie narzeczo-

nego — nogi same ją tam zaprowadziły. Skrzynia zwykle była zamknięta — ale dzisiaj w zamku tkwił klucz.

Także ręce Judith robiły, co chciały, niezależnie od jej woli, nie miała na nie wpływu. Prawa sięgnęła do klucza, przekreśliła go, lewa uniosła wieko skrzyni. Judith na moment zamarła, nasłuchując odgłosów domu. Słyszała, jak dziewczka w kuchni układa szczapy na opał, poza tym panowała cisza. Także z ulicy nie dolatywał żaden dźwięk. Judith popatrzyła na swoje ręce jak na coś obcego. A one już znowu ożyły, wsunęły się do skrzyni, wyjęły z niej aksamitny woreczek. Palce odruchowo rozwiązały tasiemkę, rozciągnęły woreczek, Judith przymknęła oczy. To mój ślubny podarunek — pomyślała. — To, co robię, jest dziecinne i nie powinnam tego robić. Psuje przyjemność i Luukowi, i sobie.

Ale jej palce nie miały uszu i nie chciały też niczego słuchać. Wsunęły się do środka, dotykały chłodnych ogniwek łańcuszka. Judith z napięciem wstrzymała oddech. Nie omyliła się! Luuk chce jej na zaślubiny ofiarować naszyjnik! Mogę z powrotem zawiązać woreczek — przemknęło jej przez głowę — wtedy część niespodzianki zostanie zachowana. I będę mogła zgadywać, czy wisiorek jest rzeczywiście z jadeitu. Judith czuła, że tak właśnie powinna postąpić, i tego też chciała — ale palce nie podporządkowały się jej woli, wygrzebały naszyjnik z woreczka, podniosły go do światła. Judith uniosła powieki, spojrzała na klejnot. Jej oczy rozszerzyły się ze zgrozy, jakby to była diabelska sprawka: trzymała w ręku naszyjnik Lili, sześcioramienne gwiazda łagodnie kołysała się na łańcuszku. Ręka Judith drżała.

Rieke po całych dniach oddawała się bolesnym rozmyślaniom: nad swoim mężem, nad małżeństwem. Myślała o dziecku, zastanawiała się nad sobą. Ale były to jałowe medytacje, nie dochodziła do żadnych wniosków.

Tak naprawdę nie jestem złym człowiekiem, złą, podstępna kobieta — powtarzała sobie. — Chcę tylko, żeby mnie kochano. Czy to zbyt wiele? Gdyby tylko Andreas miał dla mnie czasem jakie dobre słowo! Wtedy moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej.

Lecz Andreas milczał. Nigdy nie był serdecznym i czułym mężem, jednak od śmierci matki stał się jeszcze bardziej milczący, jeszcze bardziej zamknął się w sobie.

— Rozmawiaj ze mną! — błagała go poprzedniego dnia wieczorem. — Przecież to nie może być tak, że mieszkamy tu razem, ale ze sobą nie rozmawiamy! Przecież jestem twoją żoną, a ty moim mężem.

Andreas siedział w fotelu, czytał pisma ulotne. Od niedawna ulotki z nowinami sprzedawano na każdym rogu.

— O czym chcesz rozmawiać? — odparł, przerywając czytanie. Obojętność tonu męża i jego nieobecny wzrok sprawiły Rieke przykrość.

— Nie wiem... O wszystkim. O tym, co dzisiaj robiłeś. Co piszą w ulotkach. Co się działo w kantorze, z kim się spotkałeś. Taka zwykła rozmowa.

— Robiłem to, co każdego dnia. W ulotkach same plotki. Na pewno dziewczka przyniosła ci te nowiny z targu już z samego rana. Spotkałem się z jednym kupcem ze Strasburga i jednym z Bazylei. Coś jeszcze?

Rieke spuściła głowę, walcząc ze łzami.

— Czy ja w ogóle jeszcze cokolwiek dla ciebie znaczę? — zapytała cicho.

— Co? Co powiedziałaś? — dopytywał się Andreas.

Rieke podniosła wzrok, spojrzała prosto w obojętną twarz męża.

— Czy coś dla ciebie jeszcze znaczę? — powtórzyła. Andreas wzruszył ramionami.

— Czego chcesz? Jesteś moją żoną. Niczego ci nie brakuje.

I znowu pochylił się nad zadrukowanymi kartkami.

Rieke z trudem przełknęła ślinę. Nie chciała od razu kapitulować.

— A jednak. Brakuje. I ty wiesz czego.

Wyciągnęła do niego rękę, patrzyła na niego niemal błagalnie, ale on nawet nie podniósł wzroku.

— Nie wiem, o czym mówisz. Daję ci wszystko, co mogę. A teraz chciałbym w spokoju poczytać.

Rieke zamilkła, przełknęła łzy. Gładząc brzuch, oddała się smętnym rozmyślaniom. Pomyślała o Judith, która jest taka szczęśliwa ze swoim Luukiem. A co dopiero Lila z Arnem! Cudowna para, nieustannie zakochani od pierwszego dnia. I nie tylko zakochani. Oboje mieli coś, czego Rieke brakowało nawet bardziej niż pieśzcot i czułości. Arno i Lila byli nie tylko mężem i żoną — byli także przyjaciółmi, mogli sobie mówić o wszystkim, nie mieli przed sobą tajemnic.

Naprawdę żadnych? — Rieke zatrzymała się przy tej myśli. Czy Arno zna tajemnicę Lili? Czy może jest ona tak straszna, że szwagierka nie powierzyła jej nawet mężowi? Rieke w zamyśleniu bawiła się długim kosmykiem włosów, owijała go wokół palca, gryzła końce włosów. A co by się stało, gdyby ona rozwikłała tę tajemnicę? Czy zyskałaby przez to szacunek Andreasa, czy może by ją potępił? Lecz gdyby dowiedziała się o czymś, co mogłoby zagrażać przedsiębiorstwu Geisenheimerów? Gdyby mówiąc o tym mężowi, uchroniła dom handlowy, to może wtedy znowu stałaby się pociągająca dla Andreasa? A jeśli nie — mogłaby przecież porozmawiać z Lilą! Opowiedzieć jej, czego się o niej dowiedziała. I może, może... gdyby zachowała tę tajemnicę dla siebie, to wtedy... — Rieke prawie nie śmiała dokończyć tej myśli — wtedy może zyskałaby przyjaciółkę?

Ona i Lila?

Rieke nigdy nie miała przyjaciółki. Żadnej. Bo przecież nie była nią Judith. Judith miała dobre serce. Była uprzejma, miła, uczynna. Nigdy nie odmawiała, gdy ktoś potrzebował pomocy. Ale czy kiedykolwiek odwiedziła Rieke bez powodu? Tak zwyczajnie: jak przyjaciółka przyjaciółkę? Nigdy! Ani razu! Za to z Lilą przesiadywały razem godzinami. Gadały i opowiadały sobie różności, plotkowały, śmiały się, chichotały, żartowały. Rieke domyślała się, że nieraz była przedmiotem ich rozmów. Ale z kim miałyby o tym wszystkim porozmawiać? Na pewno nie z Andreasem! Także tego wieczoru pożegnał się szybko i aż nazbyt uprzejmie, by pójść do własnej sypialni.

Rieke w swoim łóżku jeszcze długo przewracała się, bo sen nie chciał nadejść. W końcu zasnęła i śniła o Trajanie.

Widziała przed sobą jego szerokie bary, płaski, umięśniony brzuch. Widziała go takjak owego dnia przy studni.

We śnie czuła na sobie dotyk jego rąk. I jego warg, sunących po jej ciele, smakujących jej skórę.

Rano obudziła się ze snu z trudem, niespokojnie. Ale mimo to czuła się pocieszona. Lecz gdy całkiem oprzytomniała, przypomniała sobie, że przecież Trajan nie żyje. Dotarło do niej, że już nigdy nie poczuje dotyku jego rąk, ciepła jego warg. Zaczęła płakać. Czuła się tak samotna jak jeszcze nigdy w życiu, wydało jej się, że utraciła wszystko, co kiedykolwiek miało dla niej znaczenie. Usiadła przy stole w bawialni, złożyła na nim ręce, na rękach oparła głowę. Tak bardzo chciała płakać, ale łzy, które dopiero co płynęły strumieniem z jej oczu, już nie chciały przyjść. Rieke czuła, jakby w żołądku leżał jej kamień, jakże chętnie by go z siebie wyrzuciła! Lecz nie odważyła się tego zrobić. W końcu wstała od stołu, z opuszczonymi ramionami chodziła tam i z powrotem po izbie i nie miała żadnego pomysłu, jak spędzić ten długi dzień aż do wieczora.

Lecz oto przyszła jej do głowy Lila! I nagle Rieke wiedziała już, co ma robić. Jeśli dopisze jej szczęście, jeśli Bóg dalej będzie trzymał nad nią opiekuńczą dłoń, wtedy na koniec może jeszcze udajej się zdobyć szacunek Geisenheimerów.

Rieke odziała się i wybrała do domu Lili. Upłynęło sporo czasu, nim szwagierka pojawiła się w drzwiach. Chociaż dzień był bardzo ciepły, miała na sobie pelerynę z wielkim kapturem. W ręku trzymała wiklinowy koszyk. Kryjąc się w podcieniach domów, Rieke ruszyła za szwagierką. Lila udała się na targ. Najpierw zatrzymała się przed kramem z bordiurami, obejrzała dwie czy trzy, odłożyła z powrotem i ruszyła dalej. W kramie ze szczotkami i grzebieniami nabyła szczotkę z borsuczego włosia, włożyła do kosza. Co chwila rozglądała się wokoło i Rieke musiała uważać, by Lila jej nie zobaczyła. Ale ponieważ

już kilka razy śledziła szwagierkę, wiedziała, że ta nigdy całkiem się nie odwraca.

Lila przechadzała się po targu, dała monetę jakiemuś żebrakowi, obejrzała materiały sukienne, kupiła zapas wosku na świece i poleciła chłopakowi kramarza, by zaniósł do jej domu. Potem zatrzymała się przy straganie z przyprawami, kazała sobie nasypać na dłoń odrobinę pieprzu, powąchała, spróbowała listka świeżej mięty, kupiła kilka uncji cynamonu i nieco imbiru. Kiedy dzwon katedry św. Bartłomieja wybił jedenastą, Lila zawróciła i poszła z powrotem. Rieke szła za nią, dopóki szwagierka nie zniknęła w drzwiach swojego domu. Jeszcze dobrą chwilę czekała na ulicy, ale potem i ona musiała iść — czas było wracać, Andreas przychodził na posiłek zawsze punktualnie o dwunastej.

Ledwie minęła pora obiadu, a Rieke już znowu była pod domem Lili. Czekala długo, dzwony wybiły na nie-szpory, lecz Lila nawet wtedy nie wyszła na ulicę — Rieke wróciła do domu z kwitkiem. Następnego ranka punktualnie o godzinie rozpoczęcia targu znowu stała na rogu ulicy, z którego mogła bezpiecznie obserwować dom Lili. Zrobiło się chłodno — gorący wrzesień ustąpił miejsca kapryśnemu październikowi. Mżyło i Rieke mocno otuliła się w pelerynę, ale już po chwili była przemoczona do suchej nitki. Kiedy jeszcze zerwał się wiatr, przewiał ulicami, podrywając mokre liście, zaczęła marznąć. W końcu nie wytrzymała i wróciła do domu.

Wreszcie trzeciego dnia dopisało jej szczęście. Była środa, dzień, w którym Lila zawsze chodziła do szpitala św. Ducha. Tak jak inne patrycjuszki zajmowała się ciężko chorymi, pocieszając ich chrześcijańskim słowem, a także podając pokrzepiające napoje i potrawy. Raz Rieke nawet jej tam towarzyszyła, lecz widok tylu chorych za bardzo ją przygnębił.

Szwagierka już prawie dochodziła do szpitala, gdy Rieke zobaczyła, że podchodzi do niej jakiś mężczyzna. Lila z przestrawu tak się szarpnęła do tyłu, że aż zderzyła się z jakąś kobietą, która szła za nią ulicą. Rieke szybko podkradła się bliżej i skryła się w niszy muru tuż obok.

— No, moja mała Lilith — zaczął mężczyzna — jak ci się wiedzie?

— Proszę, nie nazywajcie mnie tak — odparła Lila.

— Ale, ale, moja mała Lilith, córko Aarona ben Levy'ego. To jest przecież twoje imię, nieprawdaż? Dlaczego miałbym cię nazywać inaczej?

— Teraz nazywam się Lila Geisenheimer! — upierała się Lila, ale jej głos brzmiał cicho, niepewnie.

Mężczyzna zaśmiał się, wyciągnął rękę, chciał pogłaskać Lilę po policzku, ale ona szarpnęła się do tyłu.

— Nie dotykaj mnie! — syknęła.

— Nie bądź dla mnie niemila, moje dziecko, nie zapominaj, że wiem o tobie wszystko. No a ile dla ciebie zrobiłem! Twoje życie jest w moich rękach, serce moje!

Lila opuściła głowę.

— Wybaczcie, nie chciałam was urazić.

— Aha, w takim razie wszystko dobrze, i na koniec może jeszcze zostaniemy przyjaciółmi. Ale przedtem musimy załatwić sprawy finansowe. Z pewnością masz dla mnie jakiś upominek, prawda?

Lila kiwnęła głową. Jej twarz była trupio biała — Rieke dokładnie to widziała ze swojej kryjówki. Szwagierka wyciągnęła z kieszeni spódnicy niewielki skórzany woreczek i podała obcemu. Rieke usłyszała, jak pyta:

— Dacie mi teraz spokój?

— Moja mała Lilith, być może rzeczywiście dam ci teraz spokój. Chociaż wiesz, że jeszcze mi się nie wypłaciłaś, prawda? Tak czy owak sumienie nigdy nie da ci spokoju.

Mężczyzna schował sakiewkę, przytknął palce do kapelusza i odszedł. Lila zaś, bardziej się zataczając, niż idąc, zawróciła do domu.

Rieke najchętniej rozdzieliłaby się na dwie połowy, by podążyć za obojgiem, za Lilą i za owym mężczyzną. Zastanowiwszy się krótko, poszła jednak za obcym. Pobiegła za nim ulicą, nie zważała już na to, by się chować, i w końcu zobaczyła, jak mężczyzna znika w drzwiach zajazdu. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wejść tam za nim, ale rozmyśliła się i poszła z powrotem do domu. Szła z uśmiechem na twarzy, uśmiechem, który przyprawiał o dreszcz każdego, kto na nią spojrział.

*

Judith po znalezieniu wisiorka od razu opuściła dom Luuka. Nie mogłaby mu teraz spojrzeć w oczy. Jednak nie tylko wstyd sprawił, że uciekła w popłochu. Luuk miał biżuterię Lili! Co zamierzał z nią zrobić? I skąd ją miał? Judith porzuciła naturalnie myśl, że łańcuszek to prezent ślubny dla niej. Ale skoro nie, to co? I dlaczego Lila sprzedała ten wisiorek? Potrzebowała pieniędzy? Nie! — Judith nieomal się roześmiała na to przypuszczenie. Arno i Andreas Geisenheimerowie zaliczali się do najbogatszych ludzi w mieście. Byli patrycjuszami, zasiadali w radzie. Niemożliwe, by Lila musiała sprzedawać swoje kosztowności!

Ale co Luuk zamierza zrobić z tym wisiorkiem?

Judith raz po raz zadawała sobie to pytanie. Myślała też o tym, jak Lila usiłowała ją odwieść od zaręczyn z medykiem. Nie powiedziała dlaczego, nie podała przyczyn, odradzała jej tylko i tłumaczyła niejasno: „Powinnaś najpierw całkiem dojść do siebie po chorobie”. I tylko jeden jedyny raz i to bardzo cicho powiedziała, że nie ufa

Lukowi van Aakenowi. Czyżby znała go lepiej, niż przyznawała? Luuk pochodził z Brugii, ale studiował w Antwerpii. W mieście, w którym Lila spędziła dzieciństwo i młodość. Czy to możliwe, że ci dwoje się znali? Cóż, to niewykluczone. Ale czy było tak w istocie? Czy to prawdopodobne?

Wielki Frankfurt, wolne miasto Rzeszy z przywilejem targowym, to była wioska w porównaniu z Antwerpią. Judith doskonale o tym wiedziała. Krótko oszacowała, ilu zna frankfurtczyków — niemal wszyscy pochodzili z patrycjatu jak ona. Dobrze, do tego dochodzi jeszcze służba, rzemieślnicy, kramarze. Ale czy ja ich rzeczywiście znam? — zastanawiała się. — Nie, oczywiście, że nie. To dlaczego miałoby być inaczej z Lilą w Antwerpii? Czy nie opowiadała kiedyś, że jej ojciec był kupcem bławatnym? To raczej nieprawdopodobne, by przedstawiono jej studenta medycyny z Brugii. No i jeszcze ta różnica wieku! Lila musiała być dzieckiem, kiedy Luuk studiował w Antwerpii. Nie, nie mogli się spotkać. Na pewno nie.

Ale dlaczego Luuk kupił naszyjnik Lili? I kim był ten mężczyzna, który go przyniósł?

*

Mardze było przykro, że musi rozczarować Hermanna Scheina, ale nie chciała już nigdy robić dla żadnego mężczyzny rzeczy, co do których sama nie byłaby przekonana całą duszą i sercem. Dlatego wyprowadziła się od kantora i objęła dwie izby nad drukarnią. Sprawilo jej wielką przyjemność szukanie na targu lekkich tkanin na zasłony. Kupiła także dwie skrzynie, w jednej przechowywała tych parę sztuk przyodziewku, które miała, w drugiej — skromny zapas bielizny. Obie skrzynie były przykryte skórą baraniami i służyły też jako siedziska. Między nimi stał zydeł, który od biedy mógł zastąpić stół.

Wąskie drewniane łóżko dostała od sąsiadki, materac i narzutę odkupiła od pewnego mężczyzny, który niedawno owdowiał.

Teraz, po zakończeniu pracy, Marga siedziała w swoim małym mieszkaniu i czytała świeżo wydrukowaną gazetę, którą jutro dwaj chłopcy bladym świtem mieli sprzedawać na rynku i przed bramami miasta.

Dzwon pobliskiego kościoła św. Tomasza wybił właśnie na nieszpory i Marga przyniosła sobie z kuchni kromkę razowego chleba ze słoniną. Właśnie podnosiła ją do ust, gdy rozległo się głośnie walenie w drzwi warsztatu. Dyskretnie wyjrzała przez okno — zobaczyła jakiegoś mężczyznę z wózkiem, stojącego przed drzwiami na dole.

Odetchnęła z ulgą. Myślała już, że to kantor przyszedł z wizytą. Choć bardzo go lubiła, to z trudem zносиła jego cierpiącą minę, z którą tak chętnie się obnosił, od kiedy się od niego wyprowadziła.

Hermann Schein obwiniął ją o swoje nieszczęście — a tymczasem Marga wiedziała już, że każdy musi szukać przyczyny własnego szczęścia czy też nieszczęścia w sobie samym. Miała dość poczucia winy. Przez ostatnie piętnaście lat dzień w dzień rozmyślała nad swoją niedoskonałością, zносиła wyrzuty i pretensje Roberta, wątpiła w siebie pod każdym względem. Była przekonana, że zawiodła jako kobieta. Nie umiała utrzymać Roberta przy sobie. A dlaczego? Bo była stara, brzydka, nieznośna. Nic dziwnego, że odszedł. Na krótko przed śmiercią Gerona Geisenheimera warsztat był bliski plajty. To też była jej wina! Nie szło tylko o to, że Robert przepijał pieniądze w szynku — klienci zniechęcali się, gdyż Marga nie nadażała z wykonywaniem zleceń.

No, a jako matka to już naprawdę była do niczego! Konstantin ciągle jej to powtarzał. Ale i bez tego mogła zwątpić w swoje macierzyńskie umiejętności. No bo czyja

to była wina, że syn jej nie szanował? Że nie czuł przed nią najmniejszego respektu? Że wyrzucił ją z domu i miał chęć wyzywać od najgorszych!? Jej, oczywiście! A kogóż by!? Ona go wychowywała, to była jej robota, wszystko poszło nie tak — teraz zbierała plon.

Tak myślała jeszcze przed kilkoma tygodniami. A nawet i teraz niemal codziennie przeżywała nawroty tego poczucia winy, musiała ciągle przypominać samej sobie o tym, że i ona jest stworzeniem boskim, że Bóg kocha i ją.

Westchnęła. Może przynajmniej dzisiaj zostaną jej oszczędzone nieme wyrzuty Hermanna Scheina, jego rzewne, cierpiące spojrzenia. Ktokolwiek stoi tam, pod drzwiami, na pewno nie chce, by się do niego sprowadziła.

Szeroko otworzyła okno, wychyliła się, zawołała:

— Już idę!

I zbiegła po schodach. Przeszła przez warsztat, pchnęła i odemknęła okiennice, wreszcie wyszła na ulicę. Gdy zobaczyła, co jest w wózku przed domem, uśmiech zastygł jej na twarzy. Zamarła, nie mogła się ruszyć. Tylko oczy rozwarły się przerażeniem i Marga przycisnęła do ust rękę, by zdusić krzyk.

— Wyjścieście Marga Mahlich, żona żołnierza Roberta Mahlicha, zaprzysiężonego w wojsku Chrystiana Brunszwickiego? — zapytał ją żandarm stojący przy wózku.

Marga kiwnęła głową, niezdolna nawet do odjęcia ręki od ust. Mężczyzna wyjął z kieszeni kurty papier urzędowy, podsunął go Mardze.

— Umiecie czytać? — zapytał.

— Tak, prowadzę drukarnię — powiedziała ochryple.

— To przeczytajcie sama.

Podał jej dokument, a Marga bez czytania wetknęła go do kieszeni spódnicy i dalej wpatrywała się w wózek.

— Musicie mi podpisać! — nalegał mężczyzna.

Ale Marga stała dalej jak skamieniała i nie reagowała na jego słowa. Mężczyzna postąpił chwilę, potem przyłożył palce do kapelusza i odszedł szybkim krokiem. Wózek zostawił przed domem.

Dał się słyszeć jęk, rzęzenie, skamlenie — j a k zwierzęce. Marga zbladła, z trudem wciągała powietrze przez zaciśniętą krtani. Lecz po chwili opanowała się trochę, pochyliła nad wózkiem, popatrzyła na tego, kto w nim leżał. Twarz mężczyzny była szara z bólu, ręce miał konwulsyjnie zaciśnięte, oczy zamknięte. Chociaż był nieprzytomny, rzęził i charczał przeraźliwie. Marga dwoma palcami chwyciła sztywną od brudu derkę, którą był przykryty, i uniosła ją. Zobaczyła krwawy kikut, roilo się w nim od larw! Teraz już nie mogła powstrzymać krzyku.

Spojrzała na twarz rannego. I ogarnęło ją ogromne współczucie. Uniosła rękę, delikatnie pogłaskała mężczyznę po policzku.

— Robert, biedaku... — powiedziała cicho. — Cokolwiek mi zrobiłeś, nie zasłużyłeś na coś takiego.

Gdy tak patrzyła na męża, bezradnego, brudnego, okrwawionego i opadniętego przez robactwo, nagle uleciała cała jej wściekłość, cała złość na niego. Ale razem z nią zniknęły też inne uczucia. Marga patrzyła na nieszczęśnika przed sobą, na tę żalosalną kupkę bolącego, cierpiącego, skamlącego ciała. Poprawiła derkę, odechnęła głęboko kilka razy, potem przywołała jakiegoś chłopaka, który beczynn timerwał się po ulicy.

— Chcesz zarobić parę groszy? — zapytała.

Chłopak kiwnął głową, spoglądając przy tym ciekawie na wózek.

— To jest Robert Mahlich, drukarz z Katharinenstrasse. Może już o nim słyszałeś. Zawieź go do domu, przypilnuj, żeby przyjął go jego syn, Konstantin. Zrozumiałeś?

Chłopak znowu kiwnął głową, potem wyciągnął rękę po pieniądze:

— A jak syna nie będzie? — zapytał jeszcze.

— To znajdziesz go w domu cechowym przy piwie — powiedziała Marga, odwróciła się i weszła do swojego nowego domu.

*

Minęły całe lata, odkąd Judith była młoda i zakochana. Wtedy jeszcze uczucie szczęścia nie mieszało się z obawą. Ale teraz tak było: Judith odczuwała lęk. Czyżby pomyliła się co do Luuka? Nie zna go wcale tak dobrze, jak mniemała? Bo właściwie to co ona o nim wie? Tylko to, co sam jej opowiedział. Iść do Lili i porozmawiać z nią? — zastanawiała się. — Ale czy ja w ogóle chcę znać prawdę?

Prawda nie zawsze była dla niej najważniejsza. Niekoniecznie musiała ją poznać — a już na pewno nie wtedy, gdy przez to mogłyby ucierpieć sprawy co najmniej równej wagi. Tajemnica Lili nie była tak ważna jak ich przyjaźń. Judith była nie mniej ciekawa niż inne kobiety, lecz wcale nie pałała chęcią, by odkryć jakiś rys charakteru Lili, jakieś nieznanne oblicze przyjaciółki, które nie pasowałoby do wyobrażenia, jakie o niej miała. I to samo dotyczyło Luuka. Niech pozostanie takim, jakiego ja znam — myślała. — Przyjaznym, życzliwym człowiekiem, oddanym i lubianym medykiem miejskim...

Ale w głowie ciągle brzmiały jej słowa owego mężczyzny o obcym akcencie, czuła chłód łańcuszka prześlizgującego się między palcami. Jeszcze nie jest za późno. Nawet jeśli trudno mi będzie przeżyć rozczarowanie, to jeszcze nie jestem jego żoną! — doszła wreszcie do wniosku. Wyprostowała się, powzięła decyzję.

Jej myśli pobiegły ku córce. Julia jeszcze przez jakiś czas pozostanie w klasztorze, otrzyma tam stosowne

wychowanie. Potem wyjdzie za mąż. W domu będzie się pojawiać tylko z wizytą. Judith wiedziała, że jeśli teraz nie wyjdzie za Luuka, zapewne jeszcze długo pozostanie bardzo samotna. Mimo to czuła, że musi zyskać pewność — jeszcze przed ślubem. Na dworze się ściemniło, Luuk na pewno jest już z powrotem w domu. Był tu dzisiaj trzy razy i trzy razy dziewczka go odprawiła. Ale teraz ja muszę do niego iść, muszę z nim porozmawiać. Judith ubrała się, nałożyła buty, płaszcz i wyszła.

*

Doktor Luuk van Aaken przejął dom po starym medyku miejskim i mieszkał daleko za Romerem, tam gdzie osiedlali się także mistrzowie cechowi i adwokaci. Mimo że okolica nie była tak wytworna jak dzielnica patrycjuszki, Judith chętnie tam bywała — lubiła dom Luuka.

Miał dwa piętra i stał tu już od stu pięćdziesięciu lat. Belki szachulcowej konstrukcji budynku były pomalowane na brązowo, ściany z gliny i szezki — pobielone wapnem. Latem uwijały się w nich pszczoły i trzmiele, było ich tyle, że cały dom zdawał się brzęczeć.

Judith stanęła przed pomalowanymi na brązowo drzwiami, ujęła mosiężną kołatkę w formie węża i zastukała energicznie.

Otworzyła jej starsza niewiasta, chuda, z zaciśniętymi ustami i twarzą usianą mnóstwem drobnych zmarszczek. Bez słowa powitania uczyniła ręką zapraszający gest.

— Dobry wieczór, Christiane — przywitała ją Judith. Zdjęła płaszcz i wcisnęła go w rękę służącej, która stała bez ruchu i z kwaśną miną. — Zaanonsuj mnie u doktora! — poleciała krótko.

Christiane kiwnęła głową bez słowa i wreszcie ruszyła po wąskich schodach na piętro, ale zanim dotarła na górę, w drzwiach gabinetu ukazał się Luuk.

— Judith! — wy krzyknął i rzucił się na dół, wymijając służącą, która musiała przytulić się do ściany. — J u d i t h !
Jak miło cię widzieć!

Rozłożył szeroko ramiona, ale, podchodząc do Judith, opuścił je, ujął jej dłoń i ucałował.

— Mogę ci zaproponować coś do picia? Wina?

— Tak, poproszę. — Judith skinęła głową. — Kubek wina z korzeniami, rozcieńczonego wodą.

Doktor spojrział na gospodynię.

— Tak, tak, już idę — mruknęła Christiane, zwlokła się ze schodów i zniknęła w kuchni.

— Co ona do mnie ma? — zapytała Judith. Luuk popatrzył za kobietą i Judith dostrzegła w jego spojrzeniu życzliwość i przywiązanie.

— Co ona ma przeciwko mnie? — powtórzyła.

— Ależ nic. Kiedy zobaczy, jak bardzo cię kocham, wtedy i ona serdecznie cię polubi.

Judith poczuła, jak jej obawy pierzchają, teraz była już tylko szczęśliwa, nie czuła lęku. Bo czy to nie wszystko jedno, co Luuk zamierza zrobić z tym wisiorkiem, skoro ją kocha? Czy powinna się mieszać do spraw, które jej nie dotyczą, i przez to na koniec samą siebie uczynić nieszczęśliwą?

Luuk ujął ją pod ramię, łagodnie poprowadził po schodach na górę i do bawialni. Podłożył jej pod plecy poduszkę, podsunął zydelek, na którym mogła wygodnie położyć nogi.

— Nie za chłodno ci? Nie za gorąco? Potrzebujesz jeszcze czegoś? Wygodnie ci?

— Tak, tak, Luuk, dobrze mi, jestem przecież z tobą.

Wyciągnęła do niego rękę, a on ją ujął, wtulił w nią twarz. Dopiero po chwili zapytał:

— Gdzie byłaś dzisiaj cały dzień? Zaglądałem do ciebie trzy razy i trzy razy dziewczka mnie nie wpuściła. Nie podała mi powodu.

Judith spojrzała na niego i poprosiła, by zajął miejsce w fotelu naprzeciwko. Potem odparła:

— To ja jej poleciłam, żeby cię nie wpuszczała.

— Ale dlaczego?! Co się stało?! Nie chciałaś mnie widzieć? Już masz mnie dość?

— Nie, nie o to chodzi. To co innego, Luuk. I muszę z tobą o tym porozmawiać, choć nie mam na to najmniejszej ochoty.

— O czym chcesz rozmawiać?

— O kim, Luuk. O Lili Geisenheimer.

Judith obserwowała wyraz twarzy siedzącego naprzeciwko narzeczonego. Zobaczyła, jak Luuk marszczy czoło, jak jego broda wysuwa się do przodu, a usta zaciskają w wąziutkie kreseczki. I zobaczyła też, jak kurczowo splótł dłonie, tak mocno, że aż pobielewały mu kostki palców.

— Co się dzieje? — zapytała przestraszona, przesunęła się na brzeg fotela i położyła rękę na kolanie Luuka. Ale on zdawał się tego nie zauważać. Jego spojrzenie pobiegło w przestrzeń. Dopiero gdy weszła Christiane z winem, głośno postawiła karafkę na stole, a potem sobie poszła, nie zatroszczywszy się zgoła o napełnienie kieliszków, dopiero wtedy Luuk powrócił do rzeczywistości, do swego pokoju.

— Lila Geisenheimer... — wypowiedział w zamyśleniu, po czym zamilkł. Ostrożnie wziął karafkę, nalał Judith i sobie czerwonego wina z Hesji Nadreńskiej.

Upił mały łyk, otarł kąciki ust.

— Lila Geisenheimer — rzekł po raz drugi i znowu zamilkł.

Judith wsłuchiwała się w brzmienie jego głosu i wydało jej się, że usłyszała w nim żal, tęsknotę i ból.

— Co z Lilą? Co chcesz powiedzieć? — przynagliła go.

— Przypomina mi kogoś, kogo kiedyś znałem — odparł Luuk, a w jego głosie jeszcze drgała czułość.

— Kto to był? Powiedz! Opowiedz o swoim dawnym życiu. Co robiłeś po studiach medycznych? Dlaczego przyjechałeś do Frankfurtu?

Luuk milczał, sączył wino i spoglądał w dal. Judith przyglądała mu się przez cały czas. Nagle wydał jej się tak obcy, jakby go w ogóle nie znała. Chciała wyciągnąć rękę, dotknąć jego twarzy. Jednak on był tak zatopiony we wspomnieniach, w myślach o dawnych, i pewnie szczęśliwszych czasach, że nie odważyła się mu przeszkodzić.

— Czy byłeś już kiedyś szczęśliwy z inną? Byłeś żonaty? — zapytała po chwili z cicha.

Luuk spojrział na nią tak, jak się patrzy na obraz na ścianie. Jego wzrok prześliznął się po niej, nie widząc. W końcu z wahaniem kiwnął głową.

— Tak — powiedział — miałem szczęśliwe życie. Nawet bardzo szczęśliwe. Miałem wszystko, co można sobie wymarzyć. Byłem bogaty. Bogaty w miłość, w przyjaźń. Miałem dom, żonę, córkę...

Urwał, a Judith zobaczyła, jak z oczu popłynęły mu łzy.

Wargi mu drżały. Załamał ręce.

— Co to ma wspólnego z Lilą Geisenheimer? — zapytała.

Luuk przełknął ślinę, pochylił się do przodu, tak że włosy opadły mu na twarz i zakryły ją. Otworzył usta i coś wymamrotał.

— Co takiego? Co powiedziałeś? — spytała.

Luuk znowu mruknął niewyraźnie, ale tym razem Judith zrozumiała. Powiedział: „Ona jest temu winna”.

*

— No, gadaj! — Głos Rieke brzmiał ostro. — Kim jesteś?

Lila oparła się o ścianę pokoju, jakby w nadziei, że znajdzie tu podporę. Wlepiała w Rieke przerażone oczy.

Na dworze zbierało się na pierwszą jesienną burzę, ciemne chmury na niebie piętrzyły się jak góry. Wiatr bił w okiennice, wyl w kominku, targał gałęziami drzew, tłukąc nimi o okna. Zupełnie jakby zbliżał się koniec świata. I w domu też tak było — to był koniec świata. A przynajmniej tak odczuwała to Lila.

— Ogłuchłaś? Zadałam ci pytanie!

Lila otworzyła usta, ale nie wydobyła z siebie ani słowa.

— Nie chcesz gadać? To nie. W takim razie ja ci powiem.

Rieke obserwowała Lilę zmrużonymi oczami. Ta stała nadal oparta o ścianę, blada jak trup, milcząca.

— Naprawdę nie jesteś Lila Geisenheimer, z domu Lila de Bruy, tylko Lilith, córka Aarona ben Levy'ego.

Rieke spodziewała się jakiejś reakcji, lecz Lila po prostu dalej stała bez ruchu, z pobladłą twarzą, patrząc w przestrzeń, i nic nie mówiła.

— No, jak ci się to podoba?

Lila musnęła Rieke krótkim spojrzeniem, które było całkowicie pozbawione wyrazu.

— A milcz sobie, ale to ci i tak nie pomoże! A co, jak opowiem twojemu mężowi tę śliczną historyjkę? Co ty na to? Bo on z pewnością nie wie, że jego żona jest Żydówką.

Tym razem Lili udało się otworzyć usta, lecz gardło miała całkiem wysuszone i wydało jej się, że słowa zetrą się w nim się na pył. Sięgnęła po karafkę stojącą na stoliku obok i od razu przytknęła ją do ust, nie zadając sobie trudu, by nalać wody do kubka.

— Proszę, proszę! Nawet jakby człowiek nie wiedział, to po twoich manierach pozna, że nie jesteś jedną z nas.

Lila przełknęła wodę i rzekła:

— To, co mówisz, to nieprawda. Brednie opowiadasz.

Rieke roześmiała się, oparła ręce na biodrach jak kramarka na rynku, której zarzucają, że sprzedaje zjełczałe masło.

— Ach, co ty powiesz! Pewnie się zdziwisz, moja droga, ale są w mieście ludzie, którzy mogą potwierdzić, że jesteś Lilith, córka Aarona ben Levy'go.

Lila oderwała się od ściany, ale nie mogła się utrzymać na nogach, zachwiała się i znowu opadła na ścianę. Przesunęła rękami po sukni w górę i w dół. Lewa powieka zaczęła jej drgać zdradziecko.

— Za pieniądze niektórzy powiedzą wszystko, czego się od nich zażąda — odparła. Jej głos był zduszony, ale to i tak było lepsze, niż dać Rieke poznać, jak bardzo wewnętrznie dygoce.

— A jeśli ten człowiek zeznałby przed sądem i pod przysięgą?

Lila z wysiłkiem wykrzywiła twarz w uśmiechu.

— A po co miałyby to robić? Kogo to interesuje?

Starala się ze wszystkich sił wyglądać jak najbardziej obojętnie, ale czuła, że jej się to nie udaje. Kolana miała tak miękkie, że nawet przy ścianie ledwie mogła ustać na nogach. Pokój rozplynał się jej przed oczami, tylko twarz Rieke była wyraźna, przeraźliwie wyraźna, i robiła się coraz większa. Usta Rieke były otwarte, Lila poczuła nieomal jej oddech na skórze. Zęby Rieke zbliżały się do jej twarzy — i nagle zrobiło się ich dwa razy więcej! Krzyk wybuchnął we wnętrzu ciała Lili, podchodził coraz wyżej, do gardła, do ust. Szybko zamknęła oczy, odetchnęła głęboko, zdusiła krzyk, który zbił się w ciężką grudę w jej żołądku.

— Pytasz, kogo interesuje twoje życie? — fuknęła jej Rieke prosto w twarz. — W zasadzie masz rację. Nikogo nie obchodzi, kim jesteś, skąd pochodzisz, a tym bardziej — jak ci się powodzi. Nikogo, możesz mi wierzyć. Jedyną interesującą rzeczą w tobie są twoje dzieci. Gero Geisenheimer wyznaczył je na spadkobierców. Ale jeśli ty jesteś, dajmy na to, Żydówką, to i twoje dzieci są

Żydami. A jeśli bezprawnie i przez kłamstwo wśliznęłaś się do rodziny chrześcijańskiej, to już jesteś martwa, a twoje szczeniaki nie mogą dziedziczyć. Gdyż Żydom jest zabronione dziedziczenie po chrześcijanach. Rozumiesz już, dlaczego mnie to interesuje?

Lili zrobiło się czarno przed oczyma. Jej największy strach przybrał konkretną postać, jego imię brzmi: Rieke. Poczowała, jak ogarniają straszliwa rozpacz, jeszcze chwila i na zawsze pociągnie ją na samo dno. Jak z oddali usłyszała śmiech Rieke. Nie możesz teraz zemdleć — pomyślała. — Nie wolno ci. To sprawa życia i śmierci. Idzie o twoje życie. O życie twoich dzieci. O życie Arna. Ostatkiem sił podniosła rękę i mocno uszczypnęła się w udo, ból jak strzała przemknął przez ciało. Potem otworzyła oczy i popatrzyła triumfującej Rieke prosto w twarz. Z całym spokojem, na jaki było ją stać, rzekła:

— Mylisz się. Nigdy nie nazywałam się Lilith Levy. Jestem Lila Geisenheimer, z domu de Bruy. Skoro twierdzisz, że jest inaczej, musisz to udowodnić. Jednak potrzeba na to więcej niż tylko jednego przekupionego świadka. Chyba znasz prawo? Kodeks spraw gardłowych wymaga, by w tego typu sprawach przedstawić co najmniej dwóch świadków.

Rieke znowu się zaśmiała, zamachała sobie ręką przed twarzą.

— Myślisz, że mnie w ten sposób przestraszysz? Nie widzisz, jaka jesteś śmieszna? To prawo obowiązuje także ciebie! A jeśli brakuje świadków, to zawsze są jeszcze tortury, które pomagają prawdzie wyjść na światło dzienne. — I Rieke znowu roześmiała się złym, podstępny śmiechem. Potem poprawiła sobie czepek. — Muszę już iść — rzuciła lekko, zupełnie jakby właśnie złożyła Lili przyjacielską wizytę. — Pewnie zaraz rozszałeje się burza, chcę wcześniej wrócić do domu. Podobno podczas burzy

swawolą złe duchy. Moje nienarodzone dziecko nie powinno mieć z nimi styczności, nie daj Bóg, jeszcze mu to zaszkodzi! W żadnym wypadku nie dopuszczę do tego, tym bardziej teraz, gdy przed dzieckiem otwiera się tak wspaniała przyszłość i czeka na nie pokaźny spadek. Życzę ci przyjemnego wieczoru.

Z tymi słowy Rieke otworzyła drzwi i zniknęła. Lila usłyszała jej kroki cichnące na schodach, a potem trzask zamykanych drzwi. Osunęła się po ścianie na podłogę.

— Boże Wszchemogący! — modliła się. — Boże Wszchemogący, błagam Cię, pomóż mi!

Następny ranek po raz pierwszy w tym roku przyniósł zapowiedź śniegu. Mgła snuła się po zaułkach jak lepki klej. Drobną mżawka mieszała się z błockiem i nieczystościami, zamieniając drogi w czarne, brudne ślizgawki. Wiatr nieco zelżał, lecz ciągle jeszcze targał spódnicami kobiet, mężczyznom zrywał z głów kapelusze. Chociaż zbliżało się południe, jasność dnia nie chciała zagościć na dobre. Strażnicy miejscy zapalali na rogach ulic pochodnie, które i tak gasły co chwila. Terminatorzy oświetlali żonom swoich mistrzów drogę na targ, idąc przed nimi z latarniami, a dziewczki służebne czym prędzej wracały z wodą od studzien, nie zatrzymując się na zwykłe pogaduszki.

Lila wyszła z domu nieodpowiednio ubrana na taką pogodę: na suknie narzuciła tylko lekką pelerynę, czepek niedbale zawiązała pod brodą. Jednak prawie nie czuła zimna. Wiatr przewiewał jej rzeczy, pokrywając ciało gęsią skórką, ale i tego nie czuła. Skórzane buciki zapadały się w błoto, Lila nie pomyślała o tym, by zawiązać na nich patynki, w których większość kobiet kroczyła przez błoto i kałuże. Nie starała się nawet iść po dylach,

poukładanych przez strażników w co bardziej błotnistych miejscach na lepszych ulicach po to, by patrycjusze nie pobrudzili sobie szat. Czepek Lili już wkrótce był cały przemoczony, woda spływała jej po twarzy, wnikała w odzienie. Lila szła coraz szybciej, biegła po ulicach, jakby gonił ją sam zły. Potrafiła jakąś starą kobietę, usłyszała, jak tamta posyła za nią przekleństwo, ale nie odwróciła się, nie przeprosiła, tylko pobiegła dalej, odsunęła z drogi małą dziewczynkę, która żuła słodkiego precla; omal nie wpadła pod konia — jeździec zdołał w ostatniej chwili ściągnąć cugle. Dalej, byle dalej! W końcu Lila znalazła się u celu. Bez tchu zastukała kołatką w drzwi i była wdzięczna, że otworzyła jej sama Judith.

— Lila! — wykrzyknęła na widok szwagierki. — Co się stało? Szybko, wejdz do środka! Ściągnij te mokre rzeczy, biedy sobie napytasz!

Wciągnęła Lilę do domu, przyniosła ręczniki, wytarła jej włosy i twarz, pomogła zdjąć buty, pelerynę i wierzchnią suknię. Tymczasem dziewczka warzyła rozgrzewający napar ziołowy.

Obie kobiety przeszły do bawialni, gdzie na kominku wesoło trzaskał ogień, promieniując miłym ciepłem. Judith okryła nogi Lili kocem i usiadła naprzeciwko niej.

— Mów! — powiedziała, spoglądając na przyjaciółkę pytająco.

Lila nabrała powietrza, westchnęła, rozejrzała się wokół.

— Jesteś sama?

— Naturalnie. A kto by tu mógł być?

Lila wzruszyła ramionami.

— Doktor van Aaken... albo może Rieke...

— Luuk jest u chorych, przecież wiesz. A Rieke nie było tu od wieków. — Judith uśmiechnęła się, potem

oparła wygodnie w fotelu i spokojnie położyła ręce na kolanach. Znowu posłała Lili zachęcający uśmiech.

Lila powoli zaczęła się uspokajać. Odgarnęła z twarzy mokry kosmyk.

— Pewnie myślisz, że zwariowałam... — powiedziała cicho.

— Nie! Sądzę, że coś musiało cię bardzo przestraszyć — odparła Judith.

— Rozmawiałaś z Rieke? Przysłała po ciebie? Judith potrząsnęła głową.

— Nie, nikogo tu nie przysyłała. A miała? I co ty tak ciągle o Rieke? Co się z tobą dzieje?

Lila się skrzywiła.

— Jest całkiem możliwe, że przyśle po ciebie i że naopowiada ci kłamstw.

— Kłamstw o tobie?

Lila kiwnęła głową.

— Jakich kłamstw?

— Ona... ona będzie twierdzić, że ja... że ja nie jestem tą, za którą się podaje.

— Nie rozumiem. Nie wiem, o co chodzi! Wyjaśnij mi! — poprosiła Judith. Ale twarz Lili nagle się zmieniła. Wyras paniki zniknął, Lila zrobiła się nieprzystępna, zamknęła się jak drzwi domu przed nocą.

Oburącz wsparła się na poręczach fotela i dźwignęła się ciężko, jakby była starą kobietą.

— Muszę iść — powiedziała. — Dziękuję ci.

— Za co? — zdziwiła się Judith, ujęła jej rękę. — Może chociaż poczekasz, aż wyschną twoje rzeczy? Nie chcesz mi powiedzieć, co cię gnębi?

Lila zacisnęła usta i potrząsnęła głową.

— Jak uważasz — powiedziała Judith z rezygnacją. — Dziewka służebna zaraz przyniesie ci rzeczy.

Lila włożyła suknie, a Judith odprowadziła ją do drzwi.

— Gdybyś potrzebowała pomocy, przyjdź albo przyślij po mnie — powiedziała. — Pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć. Zawsze.

Lila tylko kiwnęła głową, potem pobiegła z powrotem, równie mało zważając na deszcz i błoto, jak przedtem.

Judith została sama. Zamyśliła się. Wyczuła strach Lili. Lubiała ją, darzyła serdeczną przyjaźnią i nie chciała, żeby Lila musiała się czegoś obawiać. A tym bardziej ze strony Rieke. Jednak teraz zyskała już całkowitą pewność, że Lila faktycznie skrywajakaś tajemnicę i że Rieke jest bliska jej odkrycia. Lecz Luuk także miał swoją tajemnicę i Judith mogłaby przysiąc, że owe dwie tajemnice w jakiś sposób się łączą. Nie czekała na wieczór, tylko poszła po pelerynę, przywiązała do butów patynki i wybrała się do Luuka.

Christiane i dzisiaj nie była usposobiona zbyt uprzecznie, ale przynajmniej ją wpuściła i nawet podała jej ciepłe mleko, gdy Judith czekała na narzeczonego.

Wreszcie przyszedł do domu. Nie zdążył jeszcze nawet odstawić swojej sakwy, a Judith już go ponaglała:

— Muszę z tobą porozmawiać, Luuk. Natychmiast. To bardzo ważne.

Doktor van Aaken kiwnął głową, ściągnął płaszcz i zabrał Judith do swojego gabinetu, który przypominał laboratorium. Podsunął jej krzesło z wysokim oparciem i poręczami, które stało za dużym biurkiem, a sam usiadł na brzegu biurka i skrzyżował ramiona na piersiach.

— Co się stało, moja droga, że wybrałaś się do mnie w taką pogodę?

— Co wiesz o Lili Geisenheimer? — zapytała Judith wprost. Luuk nabrał powietrza, ale Judith nie dała mu nic powiedzieć, tylko rzuciła: — Nie chcę żadnych historyjek, żadnych wykrętów, niedomówień. Chcę prawdy. Bez owijania w bawełnę. Lila jest w niebezpieczeństwie i ja jej pomogę.

Luuk van Aaken głośno wypuścił powietrze.

— Za jaką cenę? — zapytał.

Judith nie zrozumiała.

— Co masz na myśli?

— Jeśli ci opowiem, co wiem, stracisz jedno z nas — albo Lilę, albo mnie. Jesteś gotowa zapłacić taką cenę? Czy może wolisz pozostać w niewiedzy?

Teraz Judith głęboko wciągnęła powietrze. Spojrzała Luukowi prosto w oczy.

— Prawda jest warta każdej ceny. Mów!

*

Marga wyjrzała przez okno: śnieg padał wielkimi płatkami. Chodnik wyglądał jak posypany mąką, konary drzew też przykrywały białe baranki. Z dachów domów naprzeciwko zwisały sople. Nad niewielkim placem przed kościołem św. Tomasza przeleciały kruki. Jakaś stara żebraczka rozpalila małe ognisko w swojej niszy obok kościelnych drzwi i rozcierała sobie nad ogniem ręce. Marga pomyślała, że później zanieśie jej rozgrzewający napar ziołowy. Nagle w warsztacie pociemniało. Przed oknem zatrzymała się furka. Marga nawet nie musiała patrzeć, co na niej leży — od razu wiedziała. Westchnęła, narzuciła szal z owczej wełny i wyszła. Konstantin po prostu odstawił swojego ojca, który ciągle jeszcze leżał nieprzytomny, pod jej drzwi i sobie poszedł.

Marga zdusiła w sobie wszystkie myśli o zemście, winie, urazie. Szeroko otworzyła drzwi, wciągnęła wózek do warsztatu. Potem posłała jakiegoś ulicznego chłopaka po chirurga. Tymczasem nastawiła wodę, przyniosła czyste lniane chusty i spróbowała nieprzytomnemu mężowi wlać do ust trochę wody.

Chirurg zabrał się do sprawy bez zbędnych ceregieli: razem z chłopakiem wyciągnął Roberta Mahlicha z wózka

na stół kuchenny. Ze swojej sakwy wyjął ostry nóż i tasak, jakiego dziewczki używały zwykle do dzielenia mięsa.

— Przynieś gorzałki — nakazał dziewczce. — Za każdym razem, gdy tylko oprzytomnieje, będziesz wlewać mu do gęby tyle, ile tylko zdoła przełknąć. Nie znoszę wrzasków przy pracy.

Dziewka kiwnęła głową, poszła do spiżarni, po chwili wróciła z glinianą flaszą. Chirurg zębami wyciągnął korek, pociągnął tęgi lyk, potem wyjął z torby dwa szerokie, długie rzemienie i przywiązał Roberta do stołu. Ulicznik przyglądał się wszystkiemu z szeroko otwartymi oczami.

— Pomożesz mi! — rzucił chirurg.

Chłopak z zapalem kiwnął głową.

Chirurg podwinął rękawy koszuli, ostrym nożem rozciął nogawicę Roberta, tak że ukazała się cała okrwawiona, urwana noga.

— Paskudztwo, świńska robota — burknął chirurg i palcami usunął larwy z kikuta.

Marga stała z flaszą u szczytu stołu, wlepiając oczy w ranę. Odór, jaki wydzielala, był tak okropny, że aż zatkała sobie dłonią nos i usta.

— Tak, tak! — zaśmiał się chirurg. — Odór śmierci. To zgorzel. O, tutaj, to czarne, jest zgniłe. Muszę mu obciąć całą nogę, inaczej umrze.

Mardze zrobiło się niedobrze. Musiała się przytrzymać stołu.

— Podaj mi tasak — polecił chirurg chłopakowi, który natychmiast usłuchał.

Chirurg głęboko nabrał powietrza, uniósł tasak nad głowę, skupił wzrok na miejscu, w które chciał trafić, i z rozmachem opuścił tasak. Ostrze na trzy palce zagłębiło się w przeżarte gangreną ciało.

Robert Mahlich otworzył usta i zaryczał jak zwierzę. Chciał sięgnąć do kikuta, ale rzemienie mocno go

trzymały. Zaczął się szarpać, stół się zachybotał. Przerazliwy ryk niósł się po całym domu.

— Gorzałki! Wlejcie mu do gardła gorzałki, kobieto!

Chirurg wyszarpnął ostrze z ciała Roberta. Marga, która stała jak odurzona, ocknęła się, podniosła flaszkę, przytknęła mężowi do warg. Robert nie mógł tak szybko łykać, jak ona łała, połowa wyleciała mu z ust, zaczął się krztusić.

— Postaraj się, żeby stracił przytomność — burknął chirurg — bo będę mu musiał przyłożyć obuchem.

Marga kiwnęła głową, przyłożyła sobie flaszkę do ust i sama zdrowo pociągnęła. Potem dwoma palcami ścisnęła Robertowi nos, tak że otworzył usta. Wlewała mu wódkę, dopóki ta nie zaczęła wyciekać z jego ust jak z pękniętego bukłaka. Kiedy odstawiła flaszkę, nogi i ręce drżały jej tak mocno, że aż musiała usiąść. Chirurg znowu się zamachnął. Marga zamknęła oczy, zaczęła się modlić, uniosła powieki dopiero wtenczas, gdy tępy dźwięk wskazał jej, że noga została oddzielona od ciała i spadła na podłogę. Chirurg owinął resztę kikuta lnianym płótnem.

— Ja swoje zrobiłem. Jakby dostał gorączki, zawołajcie medyka. A jutro zróbcie mu na ranę okład z pokrzywy.

Mężczyzna umył sobie okrwawione ramiona, zażądał zapłaty i poszedł. Chłopak też zniknął. Marga usłyszała, jak w kuchni beczy dziewczka. Była teraz w warsztacie sama. Patrzyła na męża, który nieprzytomny, z krwawym kikutem obwiązany płótnem, leżał na kuchennym stole. Jej oczy omijały skrwawiony kawałek ciała pod stołem.

Ze zwieszonymi ramionami usiadła na zydlu obok prasy drukarskiej. Dopiero gdy jakiś wałęsający się pies, zwabiony zapachem krwi, wśliznął się chyłkiem do warsztatu i próbował się dostać do odrąbanej nogi, wstała, wzięła kij i przegnała zwierzę.

Rieke trzymała się dzielnie. Skurcze przebiegały przez jej ciało jak fale sztormowe, ale z jej ust nie wyrwał się ani jeden dźwięk czy skarga. Z wykrzywioną bólem twarzą krążyła po pokoju, przyciskając ręce do brzucha. Akuszerka tymczasem siedziała przy oknie i spokojnie robiła na drutach. Przy kolejnym skurczu Rieke wyjęczała:

— Zróbcie coś wreszcie!

Akuszerka zachowała spokój.

— Mój Boże, dziecko! Macie jeszcze mnóstwo czasu! Patrząc po waszym brzuchu, to pewnie będzie siódmy miesiąc.

— Co to za różnica: siódmy czy dziewiąty, skoro już teraz rozrywają mnie bóle!

— Nic nie poradzę, tak to już jest... jeszcze nawet nie odeszły wam wody. To naprawdę potrwa, zanim zlegniecie. Jeszcze parę ładnych godzin.

Babka wzięła swój kłębek wełny i zaczęła wywijać drutami. Rieke dalej krążyła wokół krzesła porodowego, wstawionego zawczasu do sypialni.

Nagle się zatrzymała.

— Babko! A jeśli jest tak, jak mówicie, jeśli to naprawdę dziecko siedmiomiesięczne, to czy przeżyje?

Akuszerka zakołysała głową.

— Trudno powiedzieć. Większości się nie udaje, ale są wyjątki. Musimy poczekać. Ale jesteście jeszcze młoda, jak się tym razem nie uda, to na pewno w przyszłym roku.

Rieke prychnęła z irytacją. Pomyślała o Trajanie: czy był jedynym mężczyzną, który ją kochał? Wszystko jedno. Teraz nie żyje, a ona nie wie, w jaki sposób miałyby bez niego znowu począć. Zagryzając wargę, gorączkowo zastanawiała się, co dalej. Ha! Skoro tak, skoro jej dziecko może nie przeżyć, to i dzieci Lili nic nie będą mieć ze spadku! Nic!

— Babko! — zawołała.

Kobieta opuściła robótkę na kolana.

— Czego sobie życzycie, pani?

— Pójdźcie do mojego szwagra, Arna Geisenheimera. Powiedzcie mu, że chcę go zobaczyć. Teraz, natychmiast. To ważne, idzie o jego żonę i dzieci.

Akuszerka westchnęła, wsunęła opuchnięte nogi w drewniaki, kołysząc się na boki jak kaczką, wytoczyła swoje opasłe ciało z pokoju. Pół godziny później do drzwi izby zapukał Arno.

— Dobrze, że tak szybko przyszedłeś — powiedziała Rieke i wskazała mu krzesło z wysokim oparciem. — Usiądź, nalej sobie wina. Przyda ci się! Będziesz się musiał pokrzepić!

Arno usiadł, ale wina odmówił.

— Gdybyśmy mogli od razu przejść do rzeczy... mam jeszcze posiedzenie w ratuszu.

Rieke lekceważąco wygięła usta.

— Jestem prawie pewna, że darujesz sobie dzisiaj to posiedzenie.

— Przeszkadza ci, że są dla mnie jeszcze inne ważne rzeczy na świecie? — odparł Arno, po raz pierwszy dając wyraz swojej niechęci do szwagierki.

Nadszedł skurcz, tak silny, że Rieke zadygotała, musiała się przytrzymać filaru łóżka. Arno zerwał się z miejsca i podtrzymał ją.

— Już dobrze — powiedziała, ale z wdzięcznością pozwoliła się poprowadzić do krzesła.

Arno usiadł na brzegu swojego i zapytał:

— Co jest zatem aż tak ważne, że wzywasz mnie do siebie w godzinie rozwiązania?

Rieke odchrząknęła.

— Idzie o Lilę. Jest coś, o czym nie wiesz.

— Ach tak? Czyżby moja żona ostatnio z tobą dzieliła tajemnice? — odrzekł Arno. Jego słowa zabrzmiały szyderczo. Rieke aż się skuliła, jakby to były razy.

— Nie — zaprzeczyła, kręcąc głową. — Ale ja wiem, po co pojechała wtedy do obozu. Wiem, po co jej był pistolet. I wiem nawet, że mężczyzna, którego tam szukała, jest teraz w mieście, i ją szantażuje.

Arno uniósł wysoko brwi.

— Ty to wszystko wiesz?

Rieke kiwnęła głową, zwijając się w silnym skurczu i przycisnęła ręce do łona.

— Tak, wiem — wydyszała z wykrzywioną bólem twarzą. — I wiem jeszcze więcej: twoja żona nie jest tą, za którą się podaje. W rzeczywistości nazywa się Lilith, jest córką Aarona ben Levy'ego. Żydówką. I wiem też, że małżeństwo między nieochrzczonej Żydówką a chrześcijaninem jest nieważne. A twoje dzieci jako dzieci żydowskiej matki nie mogą dziedziczyć.

Arno wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak głośno, że aż przyszła dziewczka, zapytać, czy się co nie stało.

Rieke zerwała się z krzesła, krzyknęła przeraźliwie. Jęcząc, złapała się za brzuch.

— Śmiej się, śmiej! — syknęła zduszonym głosem. — Ale ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. A to będę ja. Moje dziecko będzie jedynym spadkobiercą Geisenheimerów. Moje! A nie twoje bękarty!

Arno wstał, spojrzał na nią z pogardą pomieszana z litością.

— Nigdy bym nie pomyślał, że człowiek z zawiści jest zdolny do takiej nikczemności — powiedział, smutno pokręciwszy głową, i wyszedł. Rieke została sama.

*

Marga stała w kuchni i zastanawiała się, co ma zrobić z Robertem. Podniosła już z podłogi odciętą nogę — z obrzydzeniem wzięła w dwa palce i włożyła do worka. Nie chciała wrzucić worka do dołu na odpady z obawy,

by nie znalazły go wałęsające się psy. Myśl, że mogłyby się rzucić na ten kawałek ciała Roberta, przejmowała ją zgrozą. Spalić? Tak by było najlepiej. Ale nie tutaj, nie w domu, swąd spalonego ciała utrzymuje się potem tygodniami.

Robert ciągle jeszcze leżał na wielkim stole kuchennym. Co ona ma z nim zrobić? Gdzie przenieść? Ma przecież tylko jedno wąskie łóżko. Ale na stole nie mogła go zostawić — mógłby przecież spaść, odwracając się na bok; chirurg zabrał swoje rzemienie. Wzrok Margi padł na powróż wiszący na drzwiach do spiżarni. Może z powrotem go przywiązać? — pomyślała. — A może zawołać kogoś do pomocy, przenieść Roberta na łóżko, a samej spać na podłodze?

Biła się z myślami. Czy znowu ma siebie postawić na drugim miejscu, znowu ma się poświęcić? Dla Roberta? Czy tym razem on to doceni? Wątpiła w to. W końcu jednak zwyciężyła chrześcijańska miłość bliźniego. Marga zawołała dziewczkę, posłała ją po Hermanna Scheina, który wkrótce się zjawił.

Właśnie przygotowywała łóżko dla Roberta, tak by mógł leżeć, jak najmniej urażając ranę, gdy rozległo się gwałtowne walenie w drzwi wejściowe.

Marga pośpieszyła na dół, przez chwilę uskrzydłona nadzieją, że to może Konstantin, którego ogarnęła skrucha. Ale przed drzwiami stała jakaś kobieta, Marga niewyraźnie ją sobie przypominała. Kobieta trzymała w ręku papier z pieczęcią — dokument. Zapytała:

— Czy to prawda, że Robert Mahlich przebywa tu u was?

Marga kiwnęła głową, skrzyżowała ręce na piersiach.

— Czego od niego chcecie?

Od kobiety, której znoszone, wyświechtane suknie całe były pokryte plamami i obryzgane błotem, zalatywało

niemytym ciałem. Cuchnęła obozem wojskowym. Margę ogarnęło obrzydzenie tak silne, że ledwie zdołała się przemóc, by wziąć do ręki dokument, który tamta jej podała.

Zaczęła czytać — na jej twarzy odmalował się wyraz osłupienia. Przełknęła ślinę, przygryzła dolną wargę, w końcu opuściła kartę. Hermann Schein podszedł do niej bez słowa, wziął dokument z jej ręki, przeczytał. Potem uważnie przyjrzał się kobiecie i powiedział:

— A zatem wy jesteście ślubną małżonką Roberta Mahlicha?

Markietanka z dumą kiwnęła głową.

— On jest drukarzem. Powiedziano mi, że ten warsztat należy do niego.

— Źle was pokierowano: ten warsztat należy do Margi Mahlich, również żony Roberta.

Markietanka rozdziawiła usta, palcem wskazującym pokazała na Margę i wybuchnęła śmiechem.

— Ta tutaj była jego żoną? Tak sobie pomyślałam. Zimne serce, zimny dom, zimne łono.

— Baczcie na wasze słowa! — zagroził jej Hermann Schein.

Jednak teraz Marga przebudziła się z odrętwienia.

— Poczekajcie. Dam wam to, co do was należy — powiedziała do kobiety.

Pociągnęła Hermanna za rękaw do kuchni. Razem załadowali Roberta Mahlicha na taczki, przeciągnęli przez warsztat do drzwi.

Kobieta wlepiła szeroko otwarte oczy w mężczyznę, który ciągle jeszcze leżał jak martwy.

— Macie. Zabierajcie go i zatroszczcie się o niego jak na żonę przystało! — rzuciła Marga ostrym tonem. — A nie ważcie się mi go tu przywozić, jak nie będziecie wiedzieć, co z nim począć!

Markietanka zaczęła jej złorzeczyć, ale Marga nie zareagowała na jej słowa. Przemówiła dopiero, gdy kobieta zażądała z powrotem swojego dokumentu.

— Dokument. Och! Za kilka dni zapytajcie o niego w ratuszu. Papier przedłożę tamjutro, kiedy będę składać doniesienie na Roberta Mahlicha z powodu bigamii, a na was — oskarżenie o cudzołóstwo.

Po czym Marga odwróciła się, zatrzasnęła za sobą drzwi i z hukiem zamknęła okiennice w warsztacie.

*

Rieke poczuła, że nadszedł jej czas. I oto spełniło się to, co zawsze wyobrażała sobie jako najgorsze z najgorszych: była sama. Samiuteńka.

Kiedy Lila rodziła swoje dzieci, jej dom za każdym razem był pełny. W izbie położnicy tłoczyły się sąsiadki i przyjaciółki, mężczyźni w tym czasie rozmawiali na podwórzu, skracali sobie czas oczekiwania grą w karty, załatwiali interesy. Rieke westchnęła, a właściwie jęknęła przy tym wspomnieniu.

Obecny był także medyk miejski, a w izbie urzędowała akuszerka. W kuchni starsze kobiety warzyły napitki i potrawy, aby od razu można było przystąpić do uczyty po chrzcie, tak jak to było w zwyczaju. Rieke bardzo dobrze to wszystko pamiętała. Pragnęła wtedy, aby i przy jej pierwszym rozwiązaniu było obecnych tylu przyjaciół, tylu krewnych i sąsiadów.

Lecz oto teraz była sama.

Nie wróciła nawet akuszerka, nie mówiąc już o Andreasie. Posłała po niego kilka godzin temu, lecz on polecił tylko, by po wszystkim zawiadomiono go, czy urodziła syna, czy córkę. Przekazał, że oczekuje wieczery o normalnej porze i wtedy zjawi się w domu.

Ostry ból omal nie rozerwał jej ciała. Krzyknęła głośno. Czowała, jakby coś rozszarpywało jej brzuch na kawałki. Potem ból ustąpił, Rieke odwróciła się, by sięgnąć po kubek z wodą. I wtedy poczuła, jak spomiędzy jej nóg wypływa coś ciepłego i wsiąka w prześcieradło. Płyn miał żółtawozieloną barwę. Rieke się przestraszyła, ostatkiem sił zsunęła się z łóżka, zatoczyła do drzwi, otworzyła je, zawołała na dziewczkę. I zaraz jej ciało skrzywiło się w kolejnym paroksyzmie bólu.

Wbiegła dziewczka, chciała zaprowadzić ją do krzesła porodowego, ale Rieke zdołała dojść tylko do łóżka. Leżała na nim, jej wysoki brzuch przebiegały fale skurczów, a ona krzyczała, krzyczała, krzyczała. Dziewczka całkiem straciła głowę, biegła tam i z powrotem po izbie. Wreszcie zadarła swojej pani spódnice, pobiegła po ręczniki. Przyniosła wodę z octem, przetarła Rieke czoło.

— Musisz wyciągnąć dziecko — wydyszała Rieke; w ataku bólu tak mocno ścisnęła ramię dziewczyny, że tamta wrzasnęła.

— Nie umiem! — zawołała. — Nigdy tego nie robiłam. Nie jestem akuszerką!

— Rób, co mówię! — krzyknęła Rieke i dziewczka uknęła między nogami swojej pani, desperacko ujęła w dłonie maleńką, usmarowaną krwią i śluzem główkę. Ciągnęła ją tak mocno, i jednocześnie tak delikatnie, jak tylko potrafiła. Rieke szarpnęła się w górę, wydała straszliwy krzyk, bardziej przeraźliwy niż wszystkie poprzednie. Dziewczka ciągnęła i ciągnęła, aż w końcu dziecko wyśliznęło się na zewnątrz z odgłosem przypominającym młasknięcie. Dziewczyna kołysała je uszczęśliwiona w ramionach, a Rieke leżała, dysząc, i z uśmiechem słuchała krzyku noworodka.

— Chłopiec czy dziewczynka? — zapytała.

— Chłopiec — odparła dziewczka.

— Urodził się dziedzic Geisenheimerów — szepnęła Rieke i zamknęła oczy.

Tymczasem służąca przecięła pępowinę, owinęła dziecko w lniane chusty.

— Zabiorę je na dół, do kuchni — powiedziała. — Tam jest ciepło, tam je wykąpię, zawinę w powijaki.

Przycisnęła noworodka do piersi i wyszła z izby. Na dole, w kuchni, zaśpiewała dziecku jego pierwszą piosenkę, wykapała je po raz pierwszy, tuliła je, pieściła i całowała, i nie słyszała, jak na górze płacze jego matka, która czuła się tak samotna i tak opuszczona, jakby była na świecie całkiem sama.

*

Lila zbierała się z powrotem do domu. Czuła się wyczerpana, tak zmęczona, jakby wędrowała cały dzień. Przez kilka godzin chodziła po mieście, a teraz siedziała na kamieniu nad Menem, patrzyła na wodę. Rozmyślała, wspominała całe swoje życie. Dopiero gdy strażnicy zaczęli zamykać bramy miasta, podjęła decyzję: opowie wszystko Arnowi, wyzna mu prawdę — on jest jej mężem, ma prawo znać tę tajemnicę.

A co potem stanie się z nią? Czy Arno ją odtrąci? Tego nie mogła teraz wiedzieć. Będzie musiała poczekać — pokaże to niedaleka przyszłość.

Lila kochała męża nad wszystko na świecie i serce jej pękało, gdy myślała o tym, jak wielki musi mu zadać ból. Ale nie było innego wyjścia. Rieke odkryła jej tajemnicę i nie będzie milczeć. Ten człowiek z Antwerpii szantażuje ją, a ona sprzedała całą swoją biżuterię — nie ma już niczego, żeby mu dać. Stało się właśnie to, czego tak strasznie się bała: przez wszystkie te lata błagała Wszechmogącego, by ją oszczędził. Jednak Jemu spodobało się

najpierw uczynić ją szczęśliwą, by potem tym srożej ją pokarać.

Lila rozejrzała się dokoła i już zaczęła się ze wszystkim żegnać. Spojrzała na Men, jakby patrzyła nań po raz ostatni: chciała na zawsze zapamiętać obraz brązowo-zielonej rzeki, rybackich łódek, portu... W końcu wstała i nagle zaczęło jej się śpieszyć. Chciała jak najszybciej mieć za sobą rozmowę z Arnem. Teraz, gdy już postanowiła, wszystko musi toczyć się szybko, bo inaczej może ją opuścić odwaga. Albo porwie się na czyn, którego później pożałuje, który zatruje jej życie. Zebrała spódnice i przez wieczorne ulice miasta pobiegła do domu.

Weszła do środka. Ogarnęła ją dziwna cisza, z kuchni nie dobiegał żaden dźwięk, żadnego szurania, brzęku garnków, odgłosu zamiatania, nikt nie śpiewał, nie śmiał się, nikt nie rozmawiał. Wydawało się, że dom jest całkiem pusty.

— Irmchen? — zawołała Lila dziewczynę, ale nikt nie odpowiedział.

Co się stało? Coś z Arnem? Serce na chwilę zamarło jej ze strachu, potem skurczyło się w twardy kamień, zimny dreszcz przebiegł przez całe jej ciało, zmroził członki jak szron. Lila zaczęła drżeć, przyłożyła obie ręce do ciężko i głucho bijącego serca. Potem zawołała cicho, prawie już bez nadziei:

— Arno?

— Jestem w gabinecie — usłyszała odpowiedź.

Aż krzyknęła z ulgi. Może jeszcze wszystko będzie dobrze... — przebiegło jej przez myśl. — Ale nie. Moja wina jest zbyt wielka i nie mam co sobie robić nadziei. Lecz inaczej się nie da — wszystko mu powiem. Teraz.

Wbiegła na górę, stanęła przed mężem zdyszana, z potarganymi włosami. Zupełnie nie zauważyła bladości na twarzy Arna, jego rozkojarzonych, niespokojnych ruchów.

— Muszę z tobą porozmawiać — powiedziała.

Mąż kiwnął głową, podsunął jej krzesło, sam usiadł naprzeciwko, łokcie oparł na poręczach, zetknął dłonie palcami. Jakoś blado wygląda... — dopiero teraz zauważyła Lila. — ...jakby oczekiwał ciosu...

— Nasze dzieci zostaną wydziedziczone, ponieważ nie mają prawa do spadku. A ja nie będę mogła dłużej być twoją żoną — wyrzuciła z siebie.

Zajrzała w nieruchomą twarz męża i nie wiedziała, co dalej. Oczy Arna błyszcząły dziwnym blaskiem.

— Mów!

Starala się na niego nie patrzeć. Bała się, że wyczyta w jego oczach nieufność albo pogardę. Albo jeszcze gorzej: miłość. Miłość, która w ciągu następnych minut rozplynie się albo nawet zamieni w nienawiść. Odetchnęła głęboko i zaczęła mówić:

— Miałam siedemnaście lat, kiedy zbezczeszczono dzielnicę żydowską w Antwerpii. Moja rodzina została zamordowana. Ja uratowałam się i uniknęłam śmierci tylko dlatego, że dobrze się ukryłam. Przez cały czas, gdy tłuszcza szalala na naszej ulicy, siedziałam skulona, ukryta w wielkiej szafie. W końcu znalazł mnie tam pewien łupieżca. Pokazałam mu skrytkę, w której mój ojciec przechowywał cenne rzeczy. Za to ten człowiek pomógł mi uciec z miasta. Zaprowadził mnie do pewnego młodego lekarza. Doktor de Bruy był protestantem i chciał ustrzec swoją rodzinę przed prześladowaniami. Jego żona właśnie niedawno powiła dziewczynkę. Miałam im obu towarzyszyć do Frankfurtu jako służąca, pokojówka i dama do towarzystwa jednocześnie. Tamtego dnia właśnie szłam, by wsiąść do powozu, którym mieliśmy jechać, gdy zjawił się ów mężczyzna, ten, co mnie wtedy znalazł. Zastąpił mi drogę, zmusił, bym mu przyrzekła, że gdy tylko znajdę się w bezpiecznym miejscu, dam mu

znać — on wtedy tam przyjedzie. Bo moje życie należy teraz do niego, tak powiedział. Dopiero jak mu się wypłacę, dopiero wtedy będę wolna. Przrzekłam mu wszystko, czego żądał, nawet że dostanie złoto. Sprzedałabym własną duszę, żeby tylko wyrwać się z Antwerpii.

Wyjechałam z żoną medyka i jego córeczką. Jechaliśmy całą kolumną powozów przez Akwizgran i dalej na Koblencję. W drodze nas napadnięto. Zginęła przy tym żona doktora. To był wypadek. Gdy zjawili się rabusie, zaczęła krzyczeć, krzyczała i krzyczała, nie mogła przestać. Wtedy jeden z nich wyciągnął ją z wozu, uderzył mocno w twarz, upadła i uderzyła głową o kamień. Zginęła na miejscu. Ja stałam obok z płaczącym niemowlęciem na ręku. Przyciskałam dziecię do piersi, żeby się uspokoiło, żeby i ono nie zginęło. Ale rabusie nie zwracali na nas uwagi. Śpieszyli się, przeszukiwali powozy, jeden drugiego poganiał. Pozabierali podróżnym mieszki z pieniędzmi, poodcinali sakiewki, ściągnęli też parę porządnych płaszczy. Gdy ktoś się bronił, dostawał w głowę. Potem złoczyńcy wyprzęgli konie, odcięli uprząż i zniknęli.

A ja stałam z niemowlęciem w ramionach i jego martwą matką u stóp. Dziecko, mała Femke, krzyczało i krzyczało. Było głodne, pieluszki miało przemoczone, główka Femke była rozpalona od gorączki. Nie wiedziałam, co robić. W końcu zamknęłam jej matce oczy, ściągnęłam z palca sygnet, którego nie zauważyli rozbójnicy, i ruszyłam drogą. Za mną podróżni kłócili się z woźnicami i furmanami. Jeszcze długo dobiegały mnie ich wrzaski.

Jakoś doszłam do Arensbergu. Jest tam klasztor dominikanek. Zanim położyłam dziewczynkę przed furta, odcięłam jej malutki loczek, na pamiątkę. Potem przewinęłam małą, zakolatałam do furty i ukryta za drzewem zaczęłam czekać, aż ktoś wyjdzie i zabierze ją do środka. Potem padłam na kolana i gorąco dziękowałam Bogu, że

uratował niemowlę. Przez chwilę pomyślałam nawet, że może powinnam zatrzymać Femke. Ale jak wtedy przeżyłabym z nią razem jako samotna matka, za którą by mnie uważano? Kto by mi dał pracę? Nikt! Lepiej było zostawić dziewczynkę w klasztorze.

Lila przerwała na chwilę i otarła łzę z policzka.

— Rozumiesz, Arno? Nie porzuciłam małej, nie zrobiłam tego. Ona była chora, była głodna, chciałam, żeby żyła. Dlatego położyłam ją tam na progu. Dominikanki znają się na leczeniu, na pewno pomogły Femke. Wiedziałam, że będzie tam miała dobrze. Ale ja? Jako Żydówka nie mogłam tak po prostu razem z nią wejść do klasztoru. Bałam się, rozumiesz? Nie wiedziałam, co mnie tam czeka. Opowiadano u nas różne straszne historie... Zrobiłam dla Femke, co tylko mogłam.

— Postąpiłaś słusznie — cicho powiedział Arno. Lila uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

— Potem udałam się do Frankfurtu, tak jak było zaplanowane — mówiła dalej. — Mieszkało tu już wówczas wielu antwerpczyków. Kiedy podałam się za Lilę de Bruy, gmina mnie przyjęła. Napisałam do doktora list, zawiadomiłam go o napadzie i śmierci żony. O losie jego córeczki i o sobie nie wspomniałam ani słowa. Chciałam zapobiec temu, by przybył do Frankfurtu i odkrył, że mieszkam tu jako Lila de Bruy.

Urwała, siedziała ze spuszczoneymi oczami, raz po raz niespokojnie zaciskając złożone na podolku ręce.

— Czy to wszystko? — zapytał Arno.

Lila skinęła głową.

— Resztę znasz. W Antwerpii otrzymałam staranne wychowanie, bez trudu mogłam dorównać każdej chrześcijance. W tutejszej gminie szybko zdobyłam dobrą pozycję. Potem się poznaliśmy. — I dodała cicho, prawie niedosłyszalnie: — Pokochaliśmy się i pobraliśmy. —

W końcu podniosła oczy na męża. — Rozumiem, że teraz musisz się ze mną rozejść — powiedziała. — Kupiec i patrycjusz z twoją pozycją nie może mieć Żydówki za żonę. Uczciwy chrześcijanin jak ty nie może żyć z oszustką.

Zaczęła cicho płakać, łzy spływały jej po policzkach i kapały na suknię.

— Próbowałam to naprawić — szepnęła, szlochając — ponad rok temu napisałam do dominikanek, kim był tamten podrzutek. Napisałam też, że mam na dowód rodzinny sygnet. Ale nie dostałam żadnej odpowiedzi.

Arno podniósł się z krzesła. Przez chwilę stał przed nią bez ruchu, potem powoli się odwrócił, podszedł do okna. Lila wstrzymała oddech, znowu zaczęła cicho szlochać: za późno — straciła Arna. Prawie oślepią łzami patrzyła na męża stojącego przy oknie. Jego ramiona drgały. Co raz przesuwiał dłoń po włosach i wzdychał.

Wreszcie się odwrócił. Lila znowu wstrzymała oddech.

— Nieszczęsna historia — powiedział Arno ochryple. Lila widziała, że bardzo się stara nie stracić panowania nad sobą.

— Odtrącisz mnie? — zapytała cicho, załamała dłonie. Arno milczał.

Wtedy Lila wstała, wzięła głęboki oddech, powoli wypuściła powietrze; uładziła suknię, po czym odwróciła się i poszła do drzwi.

— Dokąd chcesz iść? — usłyszała głos męża.

— Pakować się — odparła. — Spakuję swoje rzeczy i odejdę.

Patrzyła mężowi w oczy, stała spokojnie i cicho. Arno odwzajemnił spojrzenie, był równie spokojny. Potem na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

— Nie odchodź! — poprosił cicho. Rozłożył ramiona. Ale Lila spojrziała na niego, jakby był duchem.

— Nie odchodź? — zapytała.

— Nie odchodź! — powtórzył Arno. — Nie idź, tylko chodź do mnie. Pójdź w me ramiona.

Podszedł do niej, przyciągnął ją do piersi, zaczął całować — namiętnie jak w pierwszych tygodniach ich małżeństwa. Trzymali się tak mocno, jakby jedno było dla drugiego ostatnim oparciem. Ciasno objęci tulili się do siebie. Stali tak całą wieczność.

— Kto zna twoją tajemnicę? — po chwili zapytał cicho Arno.

Lila przełknęła ślinę.

— Ten mężczyzna, który każe sobie za milczenie płacić złotem, jest w mieście. Sprzedałam wszystkie moje kosztowności, dałam mu pieniądze. Ale on chce więcej.

— I dostanie — oświadczył Arno. — Jesteś dla mnie warta więcej niż całe złoto tego świata. Jesteś kobietą, która czyni mnie szczęśliwym, jesteś matką moich dzieci.

Otarł jej łzy z policzków, scałował je z kącików jej oczu.

— Czy jest jeszcze ktoś, kto wie coś o twojej przeszłości?

Lila się zawahała.

— Tak, Rieke.

"Stracisz jedno z nas, kiedy dowiesz się prawdy" — głos Luuka huczał w głowie Judith niby dzwon. Biegała po ulicach jak człowiek, który chce przed czymś uciec, ale wspomnienie towarzyszyło jej jak cień.

Każde słowo, każde nawet najdrobniejsze słowo, które Luuk wczoraj wypowiedział, brzmiało jeszcze w jej uszach jak echo, żywe, jakby narzeczony szedł obok niej i powtarzał to, co powiedział wcześniej.

— Kim naprawdę jest Lila Geisenheimer, tego nie wiem — powiedział. — Lecz wiem, że miała istotny wpływ na koleje losu córki mojego szwagra.

A potem Luuk opowiedział jej o swoim szwagrze:

— Arne de Bruy był medykiem, tak jak ja. I wówczas od niedawna ojcem rodziny, z młodą żoną i małym dzieckiem. Gdy Hiszpanie wystąpili przeciwko protestantom, postanowił wysłać rodzinę w bezpieczne miejsce — do Niemiec, do ewangelickiego Frankfurtu. Jego żonie i córeczce towarzyszyła wtedy pewna młoda Żydówka. To było dobre dwa dziesiątki lat wstecz. Szwagier sądził, że postąpił słusznie — do dnia, w którym nadszedł tamten list. Stało w nim napisane, że jego żona zginęła w podróży,

podczas napadu rabusiów na powóz. O dziecku, dziewczynce imieniem Femke — ani słowa. Szwagier zmarł ze zgrzyoty.

Luuk przez dłuższą chwilę patrzył w zamyśleniu w swój kieliszek. Potem podjął opowieść:

— Rozpocząłem poszukiwania — niestety, bez rezultatu. Aż wreszcie w minionym roku nieoczekiwanie zjawiała się u mnie młoda kobieta, która twierdziła, że jest córką mojego szwagra. Jako dowód pokazała list, który niejaka Lila Geisenheimer napisała do sióstr w pewnym klasztorze niedaleko Koblencji — tam wychowywała się ta młoda kobieta. Uradowałem się, że sprawa najwyraźniej została wyjaśniona, ale oczywiście nie tak od razu zaufałem owej kobiecie — w końcu szło też o rodzinny spadek, bardzo dużo pieniędzy, które jako jedyny żyjący powinowaty odziedziczyłem po szwagrze. Przed uznaniem jej roszczeń zleciłem pewnemu mężczyźnie, by zdobył jakieś informacje na jej temat. Już wkrótce skierował mnie on do pewnego Niderlandczyka, a ten twierdził, że znał Żydówkę, która wtedy towarzyszyła rodzinie szwagra w podróży. Ten antwerpski hultaj i złodziejaszek był świadkiem, jak Femke i jej matka wraz z nią wyruszyły w drogę do Frankfurtu.

Posłałem go do Frankfurtu, by odszukał ową Żydówkę, no i tę Lilę Geisenheimer, która napisała list i podobno przechowywała sygnet poświadczający pochodzenie Femke.

— Odnalazł tę Żydówkę? — zapytała Judith narzeczonego.

— Tego nie wiem. W każdym razie pewnego dnia napisał do mnie, że ma dla mnie wiadomości. Jak widzisz, przybyłem. Spotkałem się z nim — najpierw zażądał pieniędzy. Bardzo dużo. Dopiero potem wydał mi pierścień, sygnet z rodzinnym herbem. Rozpoznałem go, bo przecież przed laty byłem przy tym, jak mój szwagier

wsuwał go na palec swojej żonie. Ów mężczyzna powiedział mi, że pierścień faktycznie był w posiadaniu Lili Geisenheimer. Wydaje się zatem, że ta młoda kobieta powiedziała prawdę. Jest w Antwerpii; umieściłem ją tam u jednej z moich krewnych. Jak się tu wszystko wyjaśni, natychmiast po nią poślę.

— Ale dlaczego nie poszedłeś z tym do Lili? Dlaczego nie zapytałeś jej, skąd wziął się u niej ten sygnet? — dopytywała się Judith. Kiedy Luuk spuścił głowę, zrozumiała. — Nie kochasz mnie, prawda? Gdy byłam chora, troszczyłeś się o mnie z takim oddaniem tylko po to, by mieć dostęp do naszej rodziny! Chciałeś się dowiedzieć, kim jest Lila, bo przypuszczasz, że owa Żydówka i ona to ta sama osoba, czy tak?

Luuk nie odpowiedział. Judith wstała, potrząsnęła go za ramię.

— To prawda? Odpowiedz!

W końcu kiwnął głową, ciągle jeszcze nie mógł jej spojrzeć w oczy. Wtedy Judith zamachnęła się i wymierzyła narzeczonemu policzek, aż jego głowa odskoczyła na bok. Ale Luuk dalej tylko siedział bez ruchu. Ona zaś zamachnęła się drugi raz; a potem znowu i znowu, i znowu, nie mogła przestać, wymierzała mu policzek za policzkiem, jakby straciła rozum. W pewnej chwili, kiedy już sama prawie opadła z sił, Luuk przytrzymał ją za rękę, wstał i siłą posadził w fotelu.

— Wybacz mi! — powiedział. — Wybacz mi, proszę! Zasługujesz na mężczyznę, który będzie cię bardziej kochał, niż ja mógłbym kiedykolwiek.

Z tymi słowy Luuk van Aaaken wyszedł. A Judith zdjęła z palca zaręczynowy pierścień i wrzuciła go do najniższej szuflady komody. Czuła się do głębi zraniona, wykorzystana, ból i obraza tak ją piekły, że nie mogła wytrzymać w domu.

Nie wie, jak to się stało, że nagle znalazła się przed drzwiami domu iglarza Lennarta Leutholda. Przez otwarte okno zajrzała do warsztatu. Na dworze ziało był przejmująca, a okno otwarto pewnie dlatego, że nadymiło się z kominka. Zaraz też Judith zapiekły oczy, ale jakoś nie mogła się ruszyć z miejsca. Stała i patrzyła, aż w pewnej chwili Lennart podszedł do okna, by je zamknąć.

— Judith! — zawołał. — Judith! Co tu robisz?

I już był przy drzwiach, już je otwierał, wziął ją pod ramię, wprowadził do środka.

— Cała drżysz! — stwierdził, powiodł ją do kuchni, przysunął krzesło do paleniska, żeby mogła się ogrzać. Wziął jej zziębnięte dłonie w swoje i rozcierał tak długo, aż się rozgrzały.

— Gdzie... gdzie jest Käthi? — To było pierwsze pytanie Judith.

Lennart się uśmiechał.

— Nie ma jej.

— Jak to? Odprawileś ją?

— Nie. Nie wyrzuciłbym na ulicę żadnej kobiety bez dachu nad głową. Käthi wyszła za mąż, poślubiła pewnego rządcę z Vilbel. Mieszka teraz w jego domu.

— Ale... ale... ja myślałam... że ty...

— Co myślałaś, Judith? Że mnie nie obeszło, gdy usłyszałem, że się zaręczyłaś z nowym medykiem miejskim?

— Myślałam, że jesteś z Käthi.

Potem oboje umilkli. Bez słów patrzyli sobie w oczy, ich oczy wyrażały wszystko, czego nie mogły oddać słowa.

*

Lila i Arno siedzieli razem przy kominku, trzymając się za ręce. A gdy sięgali po kubki z grzanym winem

z korzeniami, wtedy ich spojrzenia się spotykały. Żadne z nich się nie odzywało. Nie potrzebowali słów, aby się porozumieć, ich tkliwa bliskość nie wymagała mówienia. W pewnej chwili nieśmiało podeszła służąca.

— Wybaczcie. Jest tu Andreas Geisenheimer, pragnie z wami mówić.

— Oczekujemy go — odparł Arno, wstał i przysunął do kominka trzeci fotel.

Ledwie usiadł z powrotem, a już wszedł Andreas. Nie wszedł — wpadł jak burza.

— Proszę! — wydyszał, nawet się nie przywitawszy. — Czytaj, bracie.

I nie zdjawszy płaszcza, Andreas rzucił się na fotel, wlepił wzrok w ogień na kominku. Krople potu spływały mu po czole, ale on zdawał się tego nie zauważać.

Lila wstała, nalała mu kubek wina.

— Co u Rieke? — zapytała.

Andreas spojrział szwagierce w oczy.

— Powiła dziecko. Chłopca — odparł.

— Och! — wykrzyknęła Lila. — Moje gratulacje!

Lecz Andreas potrząsnął głową, wskazał palcem na list, który czytał jej mąż.

— Andreas nie jest ojcem dziecka — powiedział Arno cicho. — To list od Amalii. Przyłapała Rieke i Trajana, naszego byłego ładowacza, na miłosnych igraszkach. I słyszała też, jak ci dwoje rozmawiali o tym, że dziecko nie jest Andreasa, tylko jego, Trajana.

— Ale Amalia nie żyje! Jak zmarła mogła napisać list?

Andreas małymi łykami sączył wino.

— Znalazłem ten list dzisiaj rano w naszej rodzinnej Biblii. Matka musiała go tam włożyć przed śmiercią, pewnie spodziewając się, że będziemy potrzebować Biblii do chrztu. Na kopercie była adnotacja, że list należy

otworzyć w dzień narodzin dziecka Rieke. To dzisiaj. Przeczytałem. I przybiegłem prosto do was.

Wyciągnął do Lili opróżniony kubek. Spojrzała na niego ze współczuciem, nałała wina po brzeg.

*

Odkąd poczta była w rękach rodziny Thurn und Taxis, listy z Frankfurtu do Lipska dochodziły w ciągu trzech dni. Toteż Marga nie była zaskoczona, gdy się dowiedziała, że urodził się najmłodszy Geisenheimer i że jest zaproszona na uroczystość chrztu do Frankfurtu.

Zastanawiała się tylko, czy może teraz zostawić swoją świeżo założoną gazetę. Kto zamiast niej będzie chodził codziennie do ratusza i wypytywał o nowe zarządzenia i wieści? Kto pogada z woźnicami i posłańcami w urzędzie pocztowym, by dowiedzieć się nowinek z kraju? I kto pójdzie na targ posłuchać, o czym plotkują kramarki i dziewczki? A na koniec — kto zbierze i spisze te wszystkie informacje, złoży czcionki i wydrukuje gazetę?

Pismo Margi codziennie sprzedawało się nieco lepiej, ale przecież nie było jeszcze tak dobrze, żeby mogła odpocząć, zrobić sobie wolne. W dodatku inna drukarnia robiła jej konkurencję. Mistrz Kachelofen każdego dnia targowego wysyłał swojego terminatora, który rozprowadzał jego pisma ulotne. Kachelofen ograniczał się jednak do wieści politycznych i informacji cechowych. Gazetę Margi natomiast, która podawała także ogłoszenia natury prywatnej, czytały — i kupowały! — także, a może nawet przede wszystkim kobiety.

— Jedź do Frankfurtu! — namawiał ją Hermann Schein. — Tyle ostatnio przeżyłaś, tyle się namęczyłaś! Czas, żebyś trochę odpoczęła, wyrwij się z tego kieratu.

Poza tym masz być matką chrzestną. Czy to nie jest dostatecznie ważny powód, by wsiąść do pocztowego dylizansu i pojechać?

— A kto tu będzie drukował?

— Ja — odparł kantor. — To znaczy, ja mogę zbierać informacje do twojej gazety. Do składania i obsługiwania prasy potrzebny będzie pomocnik. Możliwe, że gazeta wypadnie trochę gorzej, ale to przecież nie ma znaczenia, to tylko kilka dni; ludziom to obojętne, dla nich jest ważne, by wiedzieli, co się dzieje na świecie, w naszym mieście, w sąsiedztwie. No to będą wiedzieć! — Tu kantor uśmiechnął się szeroko.

— Naprawdę myślisz, że mogłabym pojechać? Tylko na parę dni...

Hermann Schein uśmiechnął się, ujął Margę za ramię, potem powiedział poważnym tonem:

— Kochana Margo, musisz się nauczyć, że i ty jesteś ważna, jesteś tak samo dzieckiem Bożym jak inni. Bóg chce, byś była szczęśliwa. I ja także tego chcę. Chciałbym przez całe twoje życie troszczyć się o to, by dobrze ci się wiodło.

Patrzył jej w oczy. Tak długo, aż Marga spuściła wzrok. Potem rzekła cicho:

— Nikt nigdy nie powiedział mi czegoś piękniejszego.

Uniosła twarz, zbliżyła do jego twarzy, pozwoliła się całować, ale gdy Hermann chciał językiem otworzyć jej usta, cofnęła się łagodnie.

— Nie, Hermann, jeszcze nie, daj mi trochę czasu. Dopiero wczoraj doniosłam radzie miejskiej o cudzołóstwie Roberta i wystąpiłam o rozwiązanie małżeństwa. Powiedziano mi, że za zgodą Kościoła mój wniosek pewnie zostanie rozpatrzony przychylnie. Ale dopóki nie jest to pewne, nie chcę robić niczego, co by zaszkodziło mojemu dobremu imieniu... albo twojemu.

Marga odchrząknęła, odetchnęła głęboko. I rzekła z pałającymi policzkami, patrząc mu wesoło w oczy:

— Ale potem, potem, obiecuję ci, Hermann, że będę cię kochać tak, jak na to zasłużyłeś.

*

Rieke leżała w łóżku, obok stała kołyska z noworodkiem. Rieke czuła się bardzo słaba, a powodem były nie tylko trudy porodu. Tymczasem Andreas jak dotąd tylko raz pojawił się w izbie położnicy — wieczorem, gdy powiła. Spojrzał na dziecko, zapytał o płęć i poszedł. Nazajutrz Rieke rozsyłała zaproszenia na chrzciny — ale Andreas się nie pokazał. Ani następnego dnia, ani wczoraj, ani nawet dzisiaj. Poleciała dziewczce, żeby go do niej przysłała, ale i wtedy się nie pojawił. Wydawało się, że jej unika. Rieke znała te wszystkie bajeczki, że mężczyźni muszą się wystrzegać krwi położnic, bo od tego mogą zamrzeć chęci ich lędzwi. Ale lędzwie Andreasa nigdy nie pały ochotą i pewnie dalej tak pozostanie. Rieke była gotowa pogodzić się z tym, że mąż jej nie pragnie.

Leżała na poduszkach całkiem wyczerpana. Jej twarz płonęła, Rieke czuła, że ma gorączkę. Pragnienie wysuszyło jej gardło, ale dziewczka z wodą jakoś nie nadchodziła. Przynajmniej trochę tłuszczu stało w tygielku na nocnym stoliku, tak że Rieke mogła sobie posmarować spękane wargi. Jakże chętnie by wstała, wzięła w ramiona swojego synka. Ale ból i gorączka tak bardzo ją osłabiły, że nie mogła się podnieść.

Żeby tylko Andreas już przyszedł... — myślała. Ale jednocześnie doskonale wiedziała, że nie przyjdzie — i że tak jest dobrze. Rieke nie umiała sobie wyjaśnić, skąd wie, że wraz z narodzinami dziecka zgasł ostatni ciepły płomyczek uczucia, jaki tlił się jeszcze między Andreasem a nią — po prostu to czuła, była o tym przekonana. I tak

samo wiedziała, co oznaczają gorączka — słyszała o tym wcześniej, kobiety nazywały ją gorączką połogową. Rieke zamknęła oczy, zanurzyła się w pięknym, kolorowym świecie, w którym nic nie bolało, a ona była ośrodkiem zainteresowania, kochana i uwielbiana. W tych snach spotykała Trajana, a także Amalię, swoją świekrę. I siostrę, swoją małą siostrę, która zmarła w dzieciństwie. Lecz oto nad tym barwnym światem skrzydła rozpostarł wielki, czarny ptak. Nawet we śnie Rieke wiedziała, co to oznacza: niebawem do jej drzwi zapuka śmierć.

Jak z oddali, z bardzo daleka usłyszała płacz dziecka. Potem ktoś wszedł, wziął je, i znowu zrobiło się cicho. Rieke z powrotem zanurzyła się w swoich snach. Od czasu do czasu wracała jej świadomość. Chwile jasności, które były takie dręczące. Chciałaby mieć przy sobie kapłana — lecz była zbyt słaba, by zawołać, poprosić, by go sprowadzono. Andreas ją opuścił. Dziewka troszczyła się jedynie o dziecko. Sąsiadki tylko plotkowały na ulicy. A rodzinę obchodziła tyle co zeszłoroczny śnieg. Kruk z jej snów stawał się coraz większy i większy. Nadlatywał coraz bliżej. Rieke krzyknęła, zasłoniła się rękami, ale zaraz opadły bezwładnie. Leżała przerażona, że ten straszny kruk usiadzie jej na piersiach, wydziobie oczy. Może nawet wyrwie jej serce?

Chciała krzyknąć, zawołać kogoś — ale jej gardło było tak suche, że wydała z siebie tylko ciche rżenie.

Lecz oto otworzyły się drzwi, ktoś przyszedł, żeby ją uratować. Rieke całą siłą woli otworzyła oczy — i rozpoznała Andreasa. Trzymał w ręku coś białego, coś, co szeleściło. Rieke wiedziała, że to jej wyrok śmierci. Wyciągnęła ramię do Andreasa, ale jej ręka trafiła w próżnię. Wtedy zamknęła oczy i już nie broniła się przed krukiem, poddała się, a on zniżył lot i usiadł na jej piersi.

20

W styczniowy poniedziałek grzebano Rieke Geisenheimer, zmarłą w wieku dwudziestu sześciu lat.

Nikt nie zamówił obwoływaczki i nie znalazł się też nikt, kto zechciałby ponieść trumnę długą drogą na cmentarz. Zawołano grabarza z wózkiem. To wszystko. Postawiono trumnę na wózku i tylko Lila przyniosła kilka gałązek jedliny z białymi wstążkami, by położyć na trumnie. Tylko nieliczni podążali w kondukcje za zmarłą. I wszyscy milczeli. Białe obłoczki oddechu idących unosiły się w mroźnym powietrzu. Śnieg i lód skrzypiał pod nogami, brwi mężczyzn pokryły się drobnymi kryształkami zamarznętej wody.

Już prawie dotarli na miejsce, gdy zobaczyli idącego z naprzeciwka cmentarnego dozorcę, który z daleka machał ręką, dając znak, by kondukt się zatrzymał.

— Dzisiaj nie grzebiemy — powiedział. — Ziemia zamarzła. Zabierzcie zmarłą z powrotem, trzeba poczekać, aż ziemia trochę odtaje.

Andreas Geisenheimer potrząsnął głową.

— Nie — powiedział — nie zabiorę jej do domu. Zróbcie z nią, co chcecie. Zostawiam wam ją.

Pogrzebał w kieszeni wamsu, wyciągnął skórzany woreczek, wetknął w skwapliwie wyciągniętą rękę oplacanego przez radę miasta grabarza. Ten podrapał się po nosie.

— Mam ją włożyć do beczki i spuścić do Menu? — zapytał wyczekująco.

Lila jęknęła na te słowa, odwróciła głowę. Judith się zachwiała, na szczęście był przy niej Lennart Leuthold, który ją podtrzymał.

— Wszystko mi jedno, co z nią zrobicie — odparł Andreas. Potem się przeżegnał, nasadził kapelusz na głowę, i wyprostowany, sprężystym krokiem wyszedł z cmentarza. Mała grupka żałobników podążyła za nim.

To doprawdy wbrew dobrym obyczajom, by w jednej rodzinie w tym samym tygodniu grzebano zmarłego i przystępowano do chrztu! Do podwójnego chrztu nawet! Ale Geisenheimerom łatwo to wybaczone — w kościele zebrała się połowa miasta.

Z przodu, przy ołtarzu i chrzcielnicy, stała Marga — w ramionach trzymała dziecko, piastowała je jak najdroższy skarb. Obok stali Lennart i Judith, którzy nie tylko ogłosili dzisiaj swoje zaręczyny. Mieli odtąd przejąć opiekę nad niemowlęciem, które nie miało ani matki, ani ojca, lecz mimo to w jakiś sposób należało do rodziny. Naprzeciwko Margi stała Lila. Miała na sobie białą szatę, w dłoni trzymała świecę. Towarzyszyli jej Arno i Andreas.

Proboszcz zabrał głos:

— Drodzy parafianie! Zebraliśmy się tu dzisiaj po to, by ochrzcić dwoje dzieci ludzkich. Tym samym przyjmujemy je do grona uświęconych w imię Jezusa Chrystusa.

Spojrzał na Margę, która podeszła z niemowlęciem do chrzcielnicy. Pastor zaczerpnął ręką nieco poświęconej

wody, powoli połał nią głowę niemowlęcia, jednocześnie wypowiadając słowa: „Ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna — tu znowu skropił główkę chłopca wodą i do-kończył: — i Ducha Świętego — imieniem Gaudenz”.

Po raz trzeci pokropił krzyczące niemowlę. Z ręką na jego główce wypowiedział słowa modlitwy, następnie otarł dziecko białą chusteczką i zwrócił się ku Lili.

Teraz ona podeszła do chrzcielnicy, rzuciwszy wcześniej mężowi spojrzenie, na które on odpowiedział uśmiechem i skinieniem głowy. Lila pochyliła głowę nad chrzcielnicą, pastor powtórzył formułę, wypowiedział słowa modlitwy, a na koniec pobłogosławił nowo ochrzczonych, narzeczonych, zakochanych i życzył całej rodzinie, by wreszcie zagościło w niej szczęście.

Przy drzwiach uścisnął każdemu rękę i dodał:

— Zobaczymy się za cztery tygodnie na ślubie Len-narta i Judith.

I mrugnął do Margi, która ciągle jeszcze trzymała niemowlę w ramionach.

— I założę się, że jeszcze w tym roku, jeszcze w tysiąc sześćset dwudziestym trzecim, będziemy świętować kolej-ne zaślubiny — szepnął jej do ucha.